

Anna Laszuk

dziewczyny, wyjdźcie z szafy!

Wydawnictwo

ISBN 978-83-03-03333-2

Wydawnictwo

Fundacja LORGA
Płock 2006



Dziewczyny, wyjdźcie z szafy!

Anna Laszuk

Copyright © Fundacja Lorga 2006-2009

Redakcja: Agnieszka Weseli

Skład i opracowanie graficzne: Dominik Witkowski

Zdjęcia na okładce: koniec kropka studio i justyna klein

Książka ukazała się dzięki wsparciu Partii Demokratycznej - demokraci.pl

Wydanie I

ISBN-10: 83-923554-1-5
ISBN-13: 978-83-923554-1-0

Fundacja LORGA
ul. J. Kwiatka 59/8, 09-400 Płock
Adres korespondencyjny:
00-908 Warszawa 49, skr. poczt. 69
Tel. 0502 89 55 71
<http://lorga.pl>
e-mail: fundacja@lorga.pl

Druk i oprawa:
Drukarnia „Plejada” s.c., ul. Kosmatki 63, 03-982 Warszawa

Podziękowania

Dziękuję wszystkim kobietom i dziewczynom, za sprawą których powstała ta książka.

Przede wszystkim tym, które odkryły przede mną swoje życiowe historie i obdarzyły mnie zaufaniem. To one są prawdziwymi autorkami tej publikacji, moja rola jest tutaj drugorzędna.

Dziękuję Marzenie Chińcz i (nieżyjącej już) Karze Auchemann, ponieważ od początku uwierzyły w sens mojego projektu i udzieliły mi wielkiego wsparcia.

Osobne podziękowania składam pani Mirze za bezinteresowną pomoc na najtrudniejszym dla mnie etapie pracy, Agnieszce Czerwińskiej za zdjęcia oraz Agnieszce Weseli za twórcze zaangażowanie i twórcze uwagi.

**Wybór trzeba oceniać nie w myśl kryterium
„normalności”, ale autentyczności.
Simone de Beauvoir**

Spis treści

Wstęp	11
Gdyby szczęście się zdarzyło	15
To jest dzicz kudłata, a nie demokracja	18
Dziewczyna z motocyklem	25
Świat potrzebuje hipokryzji	30
Dziewczyny, wyjdźcie z szafy!	39
To wy jesteście te Safy?	47
Jak dorosnę, to sobie taki domek zrobię...	56
Żona naszej Małgosi	65
Pod znakiem zapytania	72
Cześć, Mała, chcesz iść na wino?	81
Podoba mi się nasz kraj	86
Boję się coraz mniej	91
Żeby starczyło miejsca dla wszystkich	96
Ta sama, jaką zawsze znaliście	102
Mam w dupie małe miasteczka	107
Odwaga	112
Co ja w ogóle mam robić?	115
W dwóch różnych światach	125
Kobiety, Bóg i rodzina	133
Mój ojciec już nie rządzi	142
Jestem łajdakiem	147
Moje dwie matki	151
Nasze dzieci	157
Rodzina też polska	165
Stań po swojej stronie	173
Byłam na „Langenorcie”	181
Potrzeba rebelii	187
Kostium, który sama sobie uszyję	194
Kobiety są realne	202
Drag kingi	206
Bardzo daleko od szosy, czyli życie w alternatywie	218
Przeciwko dyskryminacji	228
Postówie	239
Aneksy	241

Wstęp

Mniej więcej 5 lat temu, kiedy debata publiczna w naszym kraju na temat mniejszości seksualnych była już mocno ożywiona, zrodził się w mojej głowie pomysł, żeby pozbierać prawdziwe historie polskich lesbijek. Pracując w radiu TOK FM, miałam okazję każdego dnia dyskutować ze słuchaczami o wszystkim, co budziło ich (i moje) emocje, począwszy od kolejnego skoku Adama Małysza, przez wydarzenia w sejmie, na homoseksualizmie skończywszy. Właśnie podczas tych radiowych rozmów uświadomiłam sobie w pełni, jaka jest moc stereotypu. Bo czym się mamy posługiwać, jak nie stereotypem, rozmawiając o grupie ludzi, których nie znamy?

Jaki jest stereotyp lesbijki, każdy z grubsza wie, a jeśli nie wie - tym lepiej (moim celem nie jest jego propagowanie). Za to o polskich lesbijkach wiadomo tak mało, że niektórzy nawet sądzą, że ich nie ma (bo, jak głosi stereotyp, rzekoma lesbijka jest kobietą, która nie spotkała na swej drodze właściwego mężczyzny). Hasło „lesbijki nie istnieją” pojawiło się też w tekstach publicystycznych jako prowokacja, podkreślająca ich zdumiewającą niewidzialność w przestrzeni publicznej (do moich ulubionych należy tekst autorstwa Anny Gruszczyńskiej, i drugi - Marzeny Lizurej, oba zamieszczone w książce *Homofobia po polsku*). Mówiąc w skrócie: lesbijki nie wychodzą z symbolicznej szafy, bo tak jest bezpieczniej, a ci, którzy chcą, żeby pozostały w tym ciasnym (i prywatnym) miejscu, nie mają zamiaru lesbijek dostrzegać, bo właściwie po co. Orientacja seksualna jest sprawą wyłącznie prywatną i jako taka nie powinna być eksponowana - to najbardziej popularny argument zwolenników szafy. Ale, jak słusznie pisała Lizurej: „Nie być widoczną to znaczy nie mieć żadnego znaczenia. Nie mieć żadnego znaczenia to znaczy nie mieć żadnych praw. Nie mieć żadnych praw to znaczy nie istnieć”¹. A lesbijki jednak istnieją.

Podobnie jak istnieją heteroseksualni politycy, eksponujący w kampaniach wyborczych swoje żony, swoje dzieci i kulisy życia domowego. Podobnie jak heteroseksualni ulubieńcy kolorowych pism, opowiadający o swoich romansach, ślubach i rozwodach. Jak wszystkie heteroseksualne pary, które idą ulicą, trzymając się za ręce albo całując się. I jak heteroseksualni krewni, pytający na zjazdach rodzinnych przyczajoną/przyczajonego w szafie lesbijkę/geja: „Kiedy wyjdiesz za mąż/ożenisz się?”

1. *Homofobia po polsku*, red. Z. Sypniewski, B. Warkocki, Warszawa 2004, s. 230.

Nie istnieje ściana oddzielająca sferę prywatną od publicznej. Kto usiłuje ją zbudować na użytek wykluczenia jakiejkolwiek grupy ludzi, tak naprawdę domaga się dyskryminacji. Tytuł mojej książki - *Dziewczyny, wyjdźcie z szafy!* - jest jednocześnie tytułem jednego z tekstów w niej zamieszczonych. Pięćdziesięcioletnia Roma mówi: „Ważne jest, aby można było żyć w zgodzie ze swą tożsamością, żyć otwarcie, nie bać się - dopiero takie życie jest normalne”.

Historie lesbijek żyjących w Polsce zbierałam w formie wywiadów od grudnia 2004 roku (kiedy Marzena Chińcz, wówczas redaktorka naczelna wortalu www.lesbijka.org.pl, zaoferowała mi pomoc wydawniczą) do maja 2006. Trwało to długo, ponieważ szukałam ciągle bohaterek jak najbardziej różnorodnych (pod względem wieku, miejsca zamieszkania, wykonywanego zawodu, światopoglądu, statusu społecznego, posiadania/nieposiadania dzieci, zaangażowania lub braku zaangażowania w działalność polityczno-społeczną itd.). Moim zamiarem było ogarnąć możliwie najszersze spektrum doświadczeń kobiet, które świadomie wiążą się z innymi kobietami (a więc, które uważają się za lesbijki i pozostaje to ich wyborem). Są tu obecne postacie, jakich polski stereotyp lesbijki nie bierze pod uwagę: matki, mężatki, rozwódki, katoliczki, były zakonnice, nauczycielki, a także kobiety, których orientacja seksualna zmieniła się na przestrzeni lat. Są obecne i te, którymi stereotyp chętnie się żywi, jak drag kingi czy feministki.

Częściowe odzwierciedlenie znajduje tu również historia ruchu LGBT, bo to indywidualne losy pokazują ewolucję, jaką przeszliśmy - od całkowitej pustki do wielości inicjatyw takich jak Lambda, OLA - Archiwum, Kampania Przeciw Homofobii, Porozumienie Lesbijek (LBT) czy lesbijskie/gejowskie portale internetowe (historyczną cezurą w tym obszarze był niewątpliwie rok 1989, czyli początek polskiej demokracji, ogromne znaczenie miało także rozpowszechnienie samego Internetu). Chcę jednak podkreślić, że historię, formy działania i dorobek tych organizacji (a także innych, niewymienionych w tym miejscu) trzeba dopiero opisać. Jest to osobne zadanie, którego tymczasem się nie podjęłam. Zamieściłam natomiast na ostatnich stronach książki fragmenty kalendarium (stanowi ono historię polskich lesbijek w pigułce), które powstało w ubiegłym roku z inicjatywy Porozumienia Lesbijek (LBT) i które opracowała Anna Górka.

Nie wszystkie historie, które zostały mi opowiedziane, znalazły się w tej książce. Nie wszystkie ważne problemy zostały poruszone. W trakcie pracy stanęłam przed dylematem, będącym udziałem zapewne większości autorów: rozbudowywać bez końca czy dokonać konie-

cznego wyboru. Pokusa, a nawet presja, żeby napisać o wszystkim, była tym większa, że liczba publikacji na temat lesbijek wciąż jest w Polsce bardzo mała. Ponieważ w debacie publicznej o sytuacji i prawach mniejszości seksualnych najmniej słychać same lesbijki, postanowiłam im właśnie oddać głos całkowicie. Nie ma tu wypowiedzi ich rodzin, przyjaciół, wrogów, ekspertów od seksualności ani specjalistów od seksualno-moralnego porządku świata.

Każda z moich rozmówczyń sama zdecydowała o tym, w jakim stopniu ujawni przed czytelnikami swoją tożsamość. Dlatego w niektórych przypadkach wiele danych (dotyczących miejsca pochodzenia, zamieszkania lub wykonywanego zawodu) zmieniałam na ich życzenie. Jedynie trzy dziewczyny wystąpiły pod swoimi nazwiskami. Książka bogatsza jest o fotografie dzięki odwadze wielu kobiet - im szczególnie chcę podziękować. Zdaję sobie sprawę, jak duży może być lęk przed zamierzonym albo mimowolnym coming outem w bliższym i dalszym otoczeniu. Przypuszczam, że efektem tego właśnie lęku jest, niestety, nieobecność w tej publikacji lesbijek mieszkających na wsi (jedyna z moich bohaterek, będąca nauczycielką w wiejskiej podstawówce, wyemigrowała do Holandii), jak również kobiet, które przekroczyły 60. rok życia (tu również jest jeden wyjątek). Wielokrotnie próbowałam pozyskać dla swego przedsięwzięcia lesbijki z obu tych grup. Bezskutecznie. Wiem na pewno, że istnieją, a jeżeli wybrały życie w szafie, chcę im powiedzieć: rozumiem. Wołanie „Dziewczyny, wyjdźcie z szafy!” może być tylko próbą przekonania. Nigdy presją, zwłaszcza w złej sprawie. A zdarza się, że nawoływanie do ujawnienia się jest zapowiedzią kary („Ujawnij się, a już my ci pokażemy!”).

Chcę tu jeszcze zawrzeć kilka refleksji natury politycznej i osobistej.

Pod koniec 2004 roku, kiedy zaczynałam pracę nad książką, dyskutowano o kształcie polskiej ustawy o związkach partnerskich. Jeszcze było to możliwe (prof. Maria Szyszkowska miała w tym zakresie dużo większy udział niż wszystkie ugrupowania lewicowe razem wzięte). Projekt ustawy został (latem 2004 roku) zaakceptowany przez senat, ale odrzucony w sejmie. W parlamencie nowej kadencji nikt już o nim nie wspomina, o rzeczowej dyskusji można pomarzyć, a konserwatywni posłowie prześcigają się w wymyślaniu inwektyw pod adresem homoseksualistów (wszak homoseksualista, w domyśle, bywa także lesbijką). Między wierszami parlamentarzyści prawicy przekonują też obywateli, że chociaż jesteśmy w Unii Europejskiej, to jednak poza nią. Podtekst jest czytelny: dobrze umiemy liczyć unijne pieniądze, ale nie zamienimy „naszych” wartości na „wasze”. Mniejszości seksualne

mogą sobie obejrzeć w telewizji urywki ze ślubu Eltona Johna z jego chłopakiem, i to by było na tyle.

Nie jestem na tyle naiwna, by sądzić, że w przyszłości idea związków partnerskich spodoba się wszystkim. Ale pozostaje ona konkretnym celem politycznym określonej grupy społecznej. Nie ma sensu udawać, że cel ten rozplynął się w powietrzu („Przecież nikt w Polsce nie chce małżeństw jednopłciowych!” - zakrzyknął w jednej z debat pewien polityk. A może jednak ktoś chce?). Nie zagłuszamy sporu, nie rozwiążemy go policyjną pałą. I żadna ze stron nie zbuduje świata wyłącznie ze swoich klocków.

Początek tworzenia wspólnej przestrzeni wyznacza język, którego się używa. On także nie jest sprawą prywatną. Jeden z wywiadów w tej książce nosi optymistyczny tytuł „Podoba mi się nasz kraj”. Mnie także się spodoba, jeżeli - to na początek - już nigdy nie zobaczę na polskiej ulicy transparentu „Pedały do gazu, lesbijki do obozów pracy”². Jeżeli wystarczy tu miejsca dla wszystkich. Wahałam się długo, czy napisać w tym miejscu: „Także dla mnie, jako lesbijki”. To zdanie jest kropką nad i, którą jednak stawiam.

Warszawa, czerwiec 2006

2. Taki transparent nieśli kontrmanifestanci podczas Marszu Równości w Poznaniu, w listopadzie 2005 roku.

Gdyby szczęście się zdarzyło

Wanda (60 lat) od śmierci męża mieszka sama, powtarza co jakiś czas: „I co ja miałam z tego życia?” Kilka miesięcy wcześniej opowiedziałaby mi więcej, ale teraz powroty do przeszłości budzą lęk. Niedawno przeżyła załamanie nerwowe, po którym woli się nie koncentrować na wspomnieniach. Cieszy się jednak z naszego spotkania, bo w jej opustoszałym mieszkaniu gość to rzadkość i święto.

Nigdy nie zaznałam miłości, to mnie najbardziej boli. Ani w domu rodzinnym, ani przy mężu, ani nigdzie. Byłam w życiu szczęśliwa może ze dwa razy, przez chwilę. Dawno temu, nawet nie ma co wspominać. Miałam przyjaciółkę... było, minęło. Jakieś pocałunki i to wszystko.

W domu rodziców panowała nędza, nieraz się zdarzało, że nie było co do garnka włożyć. U sąsiadów, co mieli ze dwanaścioro dzieci, było jeszcze gorzej. Nas były trzy siostry - jedna wyszła za męża, jak ja, a druga została sama. Obie starsze ode mnie.

Żyliśmy w małej mieścinie na Śląsku. Matka miała swoje życie, oschła była. Kiedy byłam mała, oddała mnie do takiego zakładu, który prowadziły zakonnice. Tam same takie dziewczyny trafiały - niechciane albo ciężko chore. Osiem lat tam spędziłam.

Fizycznej krzywdy od nikogo nie zaznałam, ale inną tak. Nakazy, zakazy, kary. Ręce na koldrę, modlitwy w kółko, to grzech, tamto grzech - wszystko grzech. Zakonnice były zimne, oschłe jak matka albo i gorzej. Poza jedną, co ornaty haftowała. Krótko z nami była, bo wszystkie dziewczyny bardzo do niej lgnęły, za bardzo. Dlatego gdzieś ją przenieśli. Tam bliskość była zabroniona - żadnego przytulania, za długich rozmów na osobności. Zimny wychów cieląt.

Jak wróciłam stamtąd do domu, raz jeden usiadłam matce na kolana. Powiedziała: „Spierdalaj, nogi mnie bolą”.

I tak to było. Wszystko bym oddała, żeby się stamtąd wyrwać.

Mój mąż miał piekarnię, chodziłam tam po bułki, i tak się poznaliśmy.

Był miły, zabiegał o mnie, no i starszy prawie o 30 lat. Chociaż wstręt do mężczyzn czułam sakramencki, pomyślałam: czemu nie? Będę miała opiekę, dach nad głową, utrzymanie. Zostałam jego drugą żoną.

Prawie przez całe życie nikomu nie mówiłam, że wolę kobiety. Ale mężowi powiedziałam. Nie awanturował się, po co zresztą miałby się awanturować - i tak wszystko było, jak on chciał. Współżyłam z nim.

Jak było, tak było, po wszystkim biegłam do łazienki - zmyć go z siebie, zapomnieć. Jeden raz splunął mi w twarz, kiedy odmówiłam.

Poza tym dobry był człowiek i taki elegancki, umiał się ubrać. W jego rodzinie ciągle opowiadali, że on nic, tylko Wandzia i Wandzia, dlatego tacy pewni, że majątek mi zostawił. Jaki majątek? Wszystko na życie poszło, na chorobę męża, leczenie, a ja zostałam dziadówką. Lata temu mówiłam mężowi: kupmy mieszkanie, będzie nasze, własne, ale moje gadanie nic nie znaczyło.

Teraz kamienica jest prywatna, nie stać mnie na czynsz, więc nie płacę. Może dostanę jakieś mieszkanie zastępcze, a jak nie, to nie wiem, co będzie. Siedemset złotych wdowiej renty mam. Na tamtej ścianie, gdzie biała plama, wisiał obraz. Sprzedałam. Reszta nic jest nie warta, same graty.

Nigdy nie pracowałam. Dbałam o dom i z mężem byłam do końca. Mimo, że miał dzieci i wnuki, zostałam ze wszystkim sama. Goła i wesoła. Mąż nie zostawił mi żadnego zabezpieczenia, przed śmiercią chyba o tym myślał, bo łzy miał w oczach i powtarzał: „Przepraszam cię, moja dziewczynko, bardzo cię przepraszam”.

Na pogrzeb zapożyczyłam się od sąsiadki. Po jego śmierci miałam załamanie nerwowe, niedawno. Zwaliła się na mnie cała przeszłość, dlatego nie chcę dużo opowiadać, żeby mi nie wróciła ta rozpacz. Bo ja wtedy nawet o śmierci myślałam... i tylko kawa, papierosy, kawa, papierosy.

Teraz żyję na tych 50 metrach bez pieniędzy, bez przyszłości, bez nikogo. Z siostrami tylko się spotykam. Żadna radość, one zgorzkniały są, a ze starszej kompletna dewotka się zrobiła. My oboje z mężem nie byliśmy specjalnie praktykujący. Raz, jak ksiądz po kolędzie przyszedł, to wszędzie nos wściubiał, wypytywał: „A która żona? A ślub kościelny był?” Mąż nie wytrzymał i się odciął: „A co? Święta inkwizycja wróciła?” I więcej księdza u nas nie było.

Po tym załamaniu, jak już doszłam do siebie, rzuciłam papierosy, kawy też nie piję.

Kiedyś zbierałam takie czasopisma, teraz się mówi: gejowskie. Po tym załamaniu wszystko spaliłam, żeby siostry nie znalazły, bo kto wie - gotowe do wariatkowa mnie oddać.

Całe życie zebrałam o odrobinę ciepła, żeby się chociaż przytulić. Mąż często mówił: „Tak cię pragnę”, ale jak prosiłam, żeby mnie objął, tak po ludzku, to się opędał jak od muchy.

Z siostrami to samo, w matkę się wdały. Czasami myślę, że wszystkie jesteśmy przeklęte.

Jakiś czas temu chodziłam do jednego klubu, w Katowicach. Poznałam paru gejów, z jednym się nawet zaprzyjaźniłam. Potem klub zamknęli, straciliśmy ze sobą kontakt. I tyle.

Ja od 15 lat bez seksu żyję, od tego też się może człowiekowi na głowę rzucić.

Czasami myślę, że może jeszcze w moim życiu coś się wydarzy, jakieś uczucie. Choćby na krótko, na tydzień, miesiąc, a potem niech się dzieje, co chce. Tęsknię za tym. Oglądam różne filmy o miłości (na przykład *Aimée i Jaguar* - piękny!), budzą we mnie marzenia. Ale nielato kogoś poznać. Internetu już się nie dam rady nauczyć, komputera nie mam, tylko ten stary telewizor. I w ogłoszenia żadne nie wierzę, bo nigdy nie wiadomo, z kim człowiek ma do czynienia, strach zaufać byle komu.

Raz trafiła mi się okazja, z mężatką, ale w końcu nic z tego nie wyszło. Chyba się bałam. Tak zostałam wychowana: tego nie wolno, tamtego nie wolno, strach, poczucie winy. Na nic sobie nie pozwoliłam. A może i szczęścia nie miałam...

To jest dzicz kudłata, a nie demokracja

Hanna (rocznik 1947) poszła w czerwcu 2005 roku na warszawską Paradę Równości i żałowała jednego: że uczestniczyło w niej tylko 2 tysiące osób, bo powinno przynajmniej dwa razy więcej. Przed przyjaciółmi się nie ukrywa: „Co by to była za przyjaźń, gdyby nie wiedzieli, kim jestem?” Dużą część swojego dorosłego życia spędziła za granicą, wróciła do Polski po 1989 roku, z nadzieją, że będzie tu się działo coraz lepiej. Ale kiedy spotkałyśmy się na wiecu zorganizowanym w obronie demokracji (po rozpadzionym przez policję Marszu Równości w Poznaniu), powiedziała: „Jest coraz gorzej. Gdybym była młodsza, uciekałabym stąd jak najdalej”.

Urodziłam się i wychowałam w Warszawie. Byłam najstarsza z rodzeństwa. Ojciec spędził wojnę za wschodnią granicą, a mama w czasie powstania była w Warszawie, rodzice poznali się tuż po wyzwoleniu. Jak byłam mała, słyszałam stale powtarzane słowo, którego nie rozumiałam, a które kojarzyło mi się z kupą. Była to „okupacja”, ciągle obecna w rozmowach starszych (od zakończenia wojny minęło zaledwie 6 lat).

Mój dziadek (tata mojego taty) był synem rabina. Naturalnie jako najstarsze dziecko powinien podążać śladami ojca, tylko że dziadek zupełnie nie miał na to ochoty (w domu moich dziadków już nie kultywowano tradycji żydowskiej). Urodził się w roku 1867 i jako młody chłopak przyjechał razem z bratem do Warszawy. Byli strasznie młodzi i tak biedni, że mieli na spółkę tylko jedną porządną parę spodni. A utrzymywali się z dawania korepetycji, więc jak któryś szedł udzielać lekcji, to wkładał te porządne spodnie, a drugi siedział w domu w podartych. Dziadek zdał eksternistycznie polską maturę i skończył studia w Dortmundzie. Dziadkowie ze strony mamy także mieli wyższe wykształcenie, to była z kolei rodzina ziemiańska. Ojca straciłam wcześniej, mama wychowywała nas sama.

Przez całe życie wszędzie się czułam obco, ale to nie musi mieć związku akurat z tym, co dzisiaj nazywamy orientacją. Czułam się inna, tak jak w pewnym sensie czuje się inne dziecko z domu *par excellence* inteligenckiego, kiedy spotyka się z innymi dziećmi i myśli, że wszystkie domy są takie, jak jego dom. A potem idzie odwiedzić koleżankę ze szkoły i widzi jej rodziców, miłych i serdecznych, ale jest zdumione, że w tym domu nie ma ani jednej książki, albo w jakiejś serwantce figuruje tylko seria „z tygrysiem”, bo tata interesuje się tajemnicami II wojny

światowej czy kryminałami.

Moi rodzice ciągle coś czytali, pisali, w naszym domu słuchało się muzyki poważnej. Pamiętam z dzieciństwa V Konkurs Chopinowski i ten sławny plakat Trepkowskiego, z wierszami i klawiaturą. I pamiętam taki epizod ze szkoły, kiedy czytało się *Antka* Prusa (a może jakąś inną czytankę o dwójce dzieci, które poszły do miasta) i nauczycielka poprosiła, żeby dopisać samodzielnie koniec tej historii. Staralam się dla moich bohaterów wybrać losy niezwykle: dziewczynka miała zostać wielką lotniczką (byłam pod wrażeniem filmu o francuskiej lotniczce Hélène Boucher), a z chłopca zrobiłam bodajże najslawniejszego pianistę, a może jakiegoś wynalazcę. Chciałam dla nich niezwykłego życia i pamiętam swoje zdumienie, kiedy inne dzieci czytały, że dziewczynka została krawcową, a chłopiec mechanikiem. To wszystko było takie strasznie zwyczajne.

Sama dla siebie także chciałam niezwykłego losu, a rodzice z pewnością oczekiwali ode mnie i mojego rodzeństwa, że będziemy nadzwyczajni. Nie było kwestii, czy my pójdziemy na studia czy nie, tylko: na jakie. Było wiadomo, że człowiek ma studiować to, co go interesuje, a co będzie robił później - to już inna sprawa. Również ludzie, którzy odwiedzali nasz dom, nie byli przeciętni: dziennikarze, tłumacze, architekci, filozofowie, malarze, reżyserzy.

Nie odniosłam wrażenia, że kwestia zamążpójścia (mojego czy siostry) była przez rodziców traktowana jako coś, co się musi zdarzyć, a jednak z wczesnego dzieciństwa pamiętam słowa mamy czy niani: „Jak będziesz duża, wyjdiesz za mąż”. Odpowiadałam: „Nie”. Kiedy miałam lat 12 czy 14, znów słyszałam: „Jak będziesz starsza, wyjdiesz za mąż, poznasz i pokochasz jakiegoś chłopca”. Odpowiadałam: „Nie”. Moją mamę bardzo to irytowało, powtarzała: „Nie mów >nie<, przecież nie możesz takich rzeczy wiedzieć dzisiaj, jesteś jeszcze dzieckiem”. A jednak wiedziałam, co mówię.

W szkole średniej kolejna nauczycielka polskiego poprosiła, żebyśmy sobie wyobrazili własne życie za lat 20. Dziewczynki opowiadały (to była żeńska szkoła): będę lekarką, mój mąż inżynierem, będziemy mieli dzieci - córeczkę i synka, i tak dalej. Moje wyobrażenie było takie: siedzę i pracuję, słucham muzyki, telefon jest wyłączony. Żadnego męża ani dzieci w tej wizji nie było.

Kiedy w mojej klasie pod koniec szkoły podstawowej zaczęły się fascynacje chłopcami, nosiłam liściki od zaprzyjaźnionej dziewczynki do chłopca, który jej się podobał, i od niego do niej. I kompletnie nie

rozumiałam tego całego podniecenia, tej fascynacji i euforii: spojrział, powiedział, obejrzał się! W ogóle mnie to nie obchodziło. Jak byłam bardzo smarkata i oglądałam filmy, a w nich sceny pocałunku (mężczyźni i kobiety rzecz jasna), to myślałam: „Że on ma z tego przyjemność - rozumiem. Ale ona?!” Nie mogłam pojąć, jakim cudem mężczyźni mogą się podobać. Nie miałam też wtedy żadnych męskich przyjaciół. Był brat, do którego przychodzili koledzy, ale wiadomo: koledzy brata to z definicji kretyni i już. Tym bardziej, że on był młodszy ode mnie, bardzo się różniliśmy zainteresowaniami, nie było wspólnych tematów do rozmowy.

Swego czasu zakochałam się w pani od polskiego i klasa od razu orzekła, że jestem lesbijką. Z jakichś powodów moje koleżanki знаły takie słowo, chociaż był rok 1962. Ciekawe - były w naszej klasie dwie dziewczynki, które cały czas bawiły się w zakochaną parę, i siedziały sobie na kolanach, i się zacałowywały, i na wycieczce szkolnej bawiły się w noc poślubną. Cały czas były w sobie wczepione i nikt tego nie traktował poważnie, natomiast mnie od razu przyklejono etykietkę. Wtedy zaczęłam czytać na ten temat. Znalazłam w domu jakąś książkę w języku angielskim, przestudiowałam ją z wielkim trudem i wiedziałam od razu: tam jest zawarta prawda o mnie. Nie było żadnych wątpliwości.

Pamiętam mniej więcej takie zdanie: „Jest wiele dzielnych i heroicznych dusz, które odgrywają w samotności tragedie swego życia, i nikt nie wie o ich trudnościach”. I postanowiłam, że tak właśnie będzie. Ale tego się nie dało urzeczywistnić, bo w jakimś momencie człowiek chciał jednak komuś o sobie powiedzieć.

Do nas do domu przychodziła taka stara lekarka, która nosiła się po męsku - garnitur, krawat, słomkowy kapelusz i laska. Uważała się za mężczyznę. Na ulicy zwracano się do niej „proszę pana”, ale u nas w domu nie pojawiało się w jej kontekście słowo „lesbijką”. Ja od dzieciństwa nie chciałam chodzić w spodniach, miałam natomiast swoje ulubione farmerki (tak się wtedy mówiło na džinsy). Do szkoły nie wolno było przyjść w spodniach, trzeba było je zdjąć w szatni. Bo dziewczynka jak włoży spodnie, nie wygląda jak dziewczynka. Ponieważ ja chciałam chodzić w spodniach, kiedy już byłam starsza i coś nie było widać w moim pobliżu żadnych chłopców, to mama czasem mówiła: „Ukłony od pani doktor X.”. Nie miałam pojęcia, o co chodziło, a to była taka aluzja.

Jeszcze w szkole, chyba w XI klasie, zakochałam się w starszej o 2 lata dziewczynie. To była moja pierwsza kobieta. Później, już na

studiach, zwierzyłam się z tego koleżance z grupy. Koleżanka była dzieckiem pary lekarzy, więc miała do tej kwestii podejście absolutnie kliniczne. Kazała mi natychmiast iść do lekarza! I tak się skończyła ta rozmowa, przyjaźń nie. Właściwie nie wiem, dlaczego akurat jej to powiedziałam. W dodatku nie otwartym tekstem, tylko w formie zgadywanki, nad której rozwikłaniem ona się okropnie mordowała. Zupełnie nie wiedziała, o co chodzi, aż w końcu zapytała: „Masz romans ze swoim bratem?” Romans z kobietą jakoś nie przyszedł jej do głowy, trudno się dziwić - homoseksualizm wtedy był całkowitym tabu.

Kiedy uzmysłowiłam sobie, kim jestem, bałam się, że mam to wypisane na czole, i że w ogóle jest to coś strasznego, o czym nikomu nie wolno mówić. Nie wspominałam w związku z tym młodości jako najpiękniejszego okresu w życiu. Czułam się zaszczuta i nieszczęśliwa, niewypowiedzianie samotna. Te wszystkie randki, wesole spotkania, beztroska, tańce, to wszystko, co kojarzy się z młodością, było mi odebrane. Jeszcze dziś z goryczą myślę o tamtym okresie. Dramat osoby odmiennej, wszystko jedno, czy jest Żydem, homoseksualistą czy kim tam jeszcze, jest dramatem osoby postrzeganej jako obca, której się tę obcość cały czas uświadamia. Wszystkie piosenki, cała literatura, nawet te durne reklamy - wszystko dotyczy wyłącznie osób heteroseksualnych. Nas nie ma, nie istniejemy.

Sądziłam, że nikt nie przejrzał mojej tajemnicy, ale mama jednak się domyślała i martwiła. U nas w domu mieszkała wówczas pewna dziewczyna, przesiadywałyśmy razem całymi godzinami (u mnie w pokoju, albo w tym, w którym ona nocowała) i od słowa do słowa różne rzeczy się zdarzyły, od wzięcia za rękę do reszty. Akurat wtedy mama chyba niczego nie podejrzewała, za to kilka lat później, kiedy byłam związana z inną kobietą (ja miałam 21 lat, ona 24), obie nasze matki zareagowały zupełnie okropnie. Sytuacja nie była do końca jasna, one nie miały pewności, co się naprawdę dzieje, ale domysły wzbudziły wystarczająco negatywne emocje. Ja zresztą byłam przekonana, że moja mama weźmie nas w obronę, zawsze przecież mówiła o tym, że trzeba szanować i chronić ludzką miłość. Bardzo się zawiodłam. Murem stanęła natomiast przy mnie młodsza siostra.

Trzeba jednak wziąć poprawkę na to, że mama była wychowana w duchu wiktoriańskim, najdosłowniej na łonie kościoła katolickiego, w szkole zakonnej z internatem, gdzie panowała istna paranoja wokół spraw płci w ogóle, a zwłaszcza homoseksualizmu. Na przykład w czasie dużej pauzy albo wolnego popołudnia, kiedy dziewczynki spacerowały po parku, mogły chodzić pojedynczo albo po trzy. Nigdy po dwie.

Moja siostra żartowała, że spacerowanie trójkami jest bardzo praktyczne: dwie idą w krzaki, a jedna filuje, czy nie nadciąga zakonnica.

Tak więc, znając atmosferę, w jakiej mama była wychowana, absolutnie jej się nie zwierzałam. Co więcej, zdecydowanie odmówiłam zeznań na wiadomy temat. A po wspomnianej awanturze wyprowadziłam się z domu. Jakiś czas później tamten związek się skończył, a potem wyjechałam z Polski.

To było niedługo po marcu '68 i wszyscy żyliśmy właśnie tymi wydarzeniami.

Bezpieka kolportowała obrzydliwe, antysemityczne ulotki w stylu „Kto chce wami rządzić”, w gazetach roiło się od ohydnych artykułów. W naszym domu zrobiono rewizję, ja byłam podejrzana, zdaje się, o próbę obalenia siłą ustroju. Potem długo nie mogłam dostać paszportu (dostałam go wreszcie dzięki akcji „fałszywy mąż”, mama załatwiła to z przyjaciółmi z zagranicy).

Było tyle rzeczy, o których nie można było mówić, książek, za przywiezienie których można było mieć grube nieprzyjemności, że ja się nie zastanawiałam nad sytuacją osób homoseksualnych w Polsce. Przede wszystkim nikogo takiego nie znałam, poza koleżanką, o której wspominałam.

W każdym razie po marcu '68 mój brat i siostra wyjechali. Ja nie chciałam emigrować, myślałam raczej o tym, żeby zobaczyć kawałek świata. Sondowałam różne kraje, na chwilę pojechałam do Danii, potem na chwilę do Francji, aż w końcu zostałam w Anglii (na 7 kolejnych lat). I dopiero tam po raz pierwszy weszłam „w środowisko”, jak to się teraz mówi.

Dzieliłam wtedy pokój z przyjaciółką, z którą przyjaźnimy się do dziś. Ona miała partnera, sporo od nas starszego, który się zorientował, kim jestem - znalazł w jakimś periodyku artykuł na ten temat, pod znamienym tytułem: „Lesbijki. Czy kiedykolwiek próbowaliście je zrozumieć?” W artykule tym była między innymi informacja o spotkaniach grupy kobiet. Poszłam więc i poznałam parę osób, chociaż oczywiście miałam straszego pietra, kiedy wybierałam się tam po raz pierwszy.

Spotkania odbywały się regularnie, zwykle miały jakiś określony temat, często związany z feminizmem, co interesowało mnie od zawsze. Mówiło się na ten temat w moim rodzinnym domu. Na przykład mama szalenie zwracała uwagę na to, żeby różne zadania domowe były równo dzielone i żeby nie miało miejsca to, co nazywała „obskakiwaniem chłopca”. Pamiętam, jak pewien znajomy przez chwilę mieszkał u nas

i przychodziła do nas jego narzeczona, późniejsza żona. Ona po prostu szalała po kuchni, a to kartofelki przysmażyła, a to kotlecik, a on siedział w fotelu i czytał gazetę. A mama mówiła do nas: „Patrzcie i uczcie się - tak nie wolno skakać wokół faceta!” Sama miała szalenie niezależną matkę, która nie bała się rozwieść i sama zarabiała na siebie i dziecko (ja babci już nie znałam, umarła w czasie wojny).

Wracając do tamtych, londyńskich spotkań - wśród kobiet było dużo nauczycielek, dziennikarek, cała fura pielęgniarek. Pamiętam też zabawny epizod: pewnego razu przyszedł pan, prowadząca zapytała go uprzejmie, czego sobie życzy. A on powiedział, że szuka żony, bo chce się ożenić i jakoś nikogo nie może poznać. Usłyszał jedną wielką salwę śmiechu i poszedł sobie.

To był początek lat 70., w Anglii panowała inna atmosfera niż obecnie. Zdarzały się grupy, które bardzo lubiły zebrać się w celu pobicia gejów i lesbijek. Ale już wtedy wychodziło pismo dla mężczyzn „Gay News” oraz dla kobiet - nazywało się (oczywiście i nieuchronnie) „Sappho”. Bywałam też w najstarszym londyńskim klubie tego typu, teraz już go nie ma, można go zobaczyć na filmie *Zabójstwo siostry George*. Klub jak klub - hałas, dym, jak wszędzie.

Kiedy zaczęłam chadzać na spotkania z londyńskimi lesbijkami, napisałam o tym do mojej siostry. Akurat wtedy przyjechała do niej mama i splot różnych okoliczności zdecydował, że i ona poznała, czarno na białym, treść mojego listu. No i mama przepłakała pół nocy.

Potem odbyło się mnóstwo międzynarodowych rodzinnych rozmów. Wszyscy tłumaczyli mamie, że nie zdarzyła się żadna tragedia, a ja nie popełniłam przestępstwa, moja siostra i ciotka (siostra ojca) obrugały mamę okropnie. Tak więc, kiedy mama przyjechała do mnie, do Londynu, miała już inne poglądy. Przeprosiła mnie za to, że nigdy nie starała mi się pomóc, prosiła, żebym wzięła poprawkę na to, jak została wychowana, i przede wszystkim, że zrozumiała, że albo mnie zaakceptuje albo straci. Ja powiedziałam wyraźnie, że nie będę niczego udawać, czy odgrywać komedii. I w końcu nasze stosunki ułożyły się bardzo dobrze.

Dużo później moja siostrzenica otrzymała rodzinną lekcję tolerancji, kiedy opowiadając o czymś użyła słów „pedały i lesby” (zapewne przyniosła je ze szkoły), na co moja siostra zareagowała bardzo zdecydowanie: „Nie mów tak. To jest określenie pogardliwe, a ludzi należy szanować, bez względu na to, jak są różni. Jest na przykład ktoś, kto cię bardzo kocha i kogo ty bardzo kochasz. Ktoś, kto jest mocno obecny w twoim życiu i właśnie żyje w takim związku”. Na to moja oniemia-

ła ze zdumienia siostrzenica zapytała: „Kto?!” I usłyszała w odpowiedzi: „Twoja ciotka”. Dziecko zamieniło się w słup soli. A potem zrozumiało i więcej nie było problemu.

Z Londynu dwa razy próbowałam wrócić na stałe do Polski, wytrzymałam pół roku, bo tyle można było na paszporcie konsularnym (wtedy jeszcze istniał taki dziwoląg), i znowu wracałam. W Londynie było dosyć trudno o pracę, moje rodzeństwo mieszkało w innej części Europy - wydawało się, że tam będzie łatwiej i przez pewien czas rzeczywiście było - więc się przenieśli. A do Polski wróciłam po roku 1989. Wierzyłam, że jestem tu potrzebna ze wszystkim, co potrafię. Podobnie jak cała polska inteligencja. To smutne, że przyszło tyle rozczarowań.

Uważam na przykład, że kobiety w Polsce siedzą jak mysz pod miotłą. Mieszkałam w wielu krajach Europy i nigdzie nie spotkałam się z taką pogardą wobec kobiet, na każdym poziomie, także języka. Gdyby w jakimkolwiek kraju demokratycznym jakkolwiek poseł wypowiedział się na temat kobiet tak, jak wielokrotnie robił to Janusz Korwin-Mikke, to byłby skończony raz na zawsze. On i jemu podobni powinni tutaj zobaczyć takie demonstracje, jakie oglądała Francja w czasie walki feministek o prawo do aborcji - ponad milion osób na ulicy.

Trzeba też oddzielić wreszcie Kościół od państwa, odbudować tu kulturę polityczną, której - jak sądzę - w tej chwili nie ma w ogóle. Co z tego, że Kaczyńscy byli w opozycji wobec totalitarnego systemu, skoro dzisiaj chcą mieć system monopartyjny i całą władzę w ręku? To jest totalitarne myślenie. Demokracja to znaczy, że ja walczę o to, żeby ktoś mógł wyrażać swoje poglądy, z którymi się najgłębiej nie zgadzam, a społeczeństwo obywatelskie poznaje się po stosunku do przestrzeni, która jest wspólna. Jeśli państwo zaczyna cenzurować wypowiedzi (przy czym jakoś niezbyt mu przeszkadzają antysemityczne wypowiedzi Radia Maryja i haniebne publikacje stowarzyszenia im. Piotra Skargi), a ta wspólna przestrzeń jest postrzegana jako ziemia niczyja, teren do zawłaszczenia, to jest dzicz kudłata, a nie demokracja.

Dziewczyna z motocyklem

Pani Basia (rocznik 1939) to najstarsza z bohaterek tej książki. Mieszka w południowo-zachodniej Polsce, od 22 lat żyje w udanym związku. Kiedy umawiamy się przez telefon na spotkanie, mówi: „Jestem siwa, rozpozna mnie Pani bez trudu”.

Wysiedlenie

Pochodzę z Kresów południowo-wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, z pięknego miasta, zniszczonego najpierw przez wojnę, a potem przez Sowietów. Kościoły, cerkwie, nekropolie, przepiękne kamienice - wszystko uległo dewastacji i do dziś w dużej mierze nie zostało odrestaurowane. Od czasów wojny byłam tam kilka razy, już jako dorosła osoba. Podziwiałam to, co ocalało, zasmucało mnie upadające miasto.

Cała moja rodzina od pokoleń żyła na Kresach. Kiedy ewakuowano nas w 1945 roku, miałam 6 lat. Przed wysiedleniem można było sobie wybrać albo Ziemię Zachodnie, albo miejsce, gdzie biegały białe niedźwiedzie. To drugie nie wydało się moim rodzicom atrakcyjne.

Mieliśmy 12 godzin na to, żeby się spakować i opuścić dom. I tak byliśmy szczęściarzami, bo oszczędzono nam podróży w bydłych wagonach. Wyjechaliśmy razem z innymi, w kawalkadzie samochodów ciężarowych. Wylądowaliśmy w jednym z miast Górnego Śląska, po drodze zahaczając o Kraków (nie było w nim jednak szans na znalezienie mieszkania). Nie pamiętam, czy na Śląsku rodzice znaleźli lokum sami, czy nam je zaproponowano, w każdym razie tam się zakotwiliśmy. Moi rodzice tak okropnie przeżyli wysiedlenie, że nawet nie rozmawiali w domu na ten temat. Wielka szkoda, bo ja - jako dziecko - niewiele zapamiętałam, a wiedza uzyskana z filmów czy książek nie jest tym samym.

Pamiętam natomiast, jak Polacy zajmowali kompletnie umeblowane, ponemieckie mieszkania. Na początku mieszkało tam jeszcze dużo Niemców, potem wszystkich wysiedlono. Byli przestraszeni, mówili po niemiecku cichutko, między sobą. Jak się bliżej podchodziło, zamieniali język na śląski. Wszystko to było bez sensu, cała ówczesna wędrówka ludów, ale nikt się wtedy z poczuciem sensu nie liczył.

Ubecja odwiedzała nasz dom prawie codziennie, wszędzie węszyli, wszystkich sprawdzali. Wśród ubeków było wielu ludzi żądnych jakiegokolwiek awansu społecznego, władza nie wymagała od nich właściwie niczego poza całkowitą wiernością, więc można sobie wyobrazić,

kto tam trafiał. Byli ślepo posłuszni władzy i bezwzględni wobec ludzi.

Okres powojenny był z jednej strony bardzo ciężki, ale dla mnie osobiście pod pewnym względem świetny, bo zarówno w szkole podstawowej, jak w liceum miałam nauczycieli z prawdziwego zdarzenia - wykształconych, mądrych, wymagających, wyrozumiałych. To był wielki plus. Na studia postanowiłam wyjechać do Wrocławia, gdzie wśród potwornych ruin była ta wyjątkowa, kresowa atmosfera. Wybrałam przedmioty ścisłe, kierunek związany z przemysłem. Później tego żałowałam, ale ponieważ przyjechaliśmy ze Wschodu z „dwoma walizkami”, a rodzice ledwo wiązali koniec z końcem, nie wypadało grymasić i zmieniać studiów na inne. Pracowałam, zmieniając zawody kilkakrotnie - jako konstruktor urządzeń techniki jądrowej, nauczycielka, informatyk, a gdy współczesne czasy wykluczyły dorosłych - jako agent ubezpieczeniowy. Teraz znalazłam swoje miejsce w niewielkim wydawnictwie. Jestem cały czas aktywna i świetnie się z tym czuję.

Dziewczyny „z klubu”

Swoje tak zwane osobiste preferencje odkryłam w czasach liceum. Oczywiście na początku zastanawiałam się: dlaczego? skąd to się bierze? Miałam opory, odczuwałam niepokój. W swoim czasie nawet myślałam o tym, że powinnam przestawić się jakoś na tory „praworzędne”, ale mi się nie udawało (mimo paru sytuacji, w których ten czy ów chłopak myślał o mnie poważnie).

W gruncie rzeczy moim największym kłopotem natury społecznej, jako nastolatki, było co innego: nie mogłam odnaleźć swojej roli w grupie. Czasy moich zabaw szkolnych czy innych towarzyskich aktywności przypadły na okres czarnego stalinizmu. Nie mogłam znaleźć swojej drogi. Nie interesowały mnie ani potańcówki z chłopcami (nie było zwyczaju, żeby dziewczyny tańczyły razem), ani rozmowy z koleżankami o strojach lub makijażach, które po pięciu minutach nudziły mnie potwornie. Musiałam chodzić w spódnicy, co raczej mnie nie cieszyło (dopiero pod koniec lat 60. modne zaczęło być spodnium i wtedy zaczęłam swobodniej się ubierać). Nigdzie nie pasowałam, ale im byłam starsza, tym większe dawałam sobie prawo do wolności (na przykład przez całe studia trzymałam w akademiku motocykl, co nie było wtedy takie zwykłe). W końcu odkryłam, że jestem dorosła i w ogóle nic nie muszę! Dziś mamy z koleżankami takie powiedzenie, że któraś jest (albo nie jest) „z klubu”, ale w dawnych czasach nie miałam poczucia, że w ogóle istnieje jakiś „klub”. O poznaniu potencjalnej partnerki decydowały przypadek i własna odwaga. Mam taką teorię, że można poznać bliżej

każdą dziewczynę, jeżeli się bardzo chce. Być może moja teoria wynika z zarozumiałości (niektóre moje przyjaciółki śmieją się, że ręk brakuje, jak wyliczam kobiety, z którymi byłam blisko związana), ale takie właśnie miałam doświadczenia. Tak czy inaczej, w codziennym życiu decydowały przypadek i jego konsekwencje.

Podczas studiów mieszkałam w żeńskim akademiku (koedukacyjnych wówczas nie było).

Z jednej strony w takiej grupie zawsze się znalazła jakaś interesująca postać, ale z drugiej - moje życie uczuciowe było najeżone problemami. W akademiku wszystko odbywało się w tajemnicy, po cichu, z nadzieją, że nikt nie zauważy. Ja akurat miałam szczęście - nikt mi nie naubliżał, ani stamtąd nie wyrzucił, chociaż na pewno na mój temat się rozmawiało. Po jakimś czasie nie przejmowałam się już tak bardzo, ale na początku miałam poczucie dużego ryzyka, nie było wiadomo, na jakie przykrości człowiek się naraża.

Pokoje miałyśmy w najlepszym wypadku trzyosobowe, łazienki i kuchnie na końcu korytarza, wszystko razem wyglądało jak kołchoz, więc trzeba było rozwiązać problem: „Jak poderwać dziewczynę w kilkuosobowym pokoju?” Poza tym żyliśmy w specyficznej społeczności, każdy na każdego donosił, plotkował. Mnie się jakoś udawało, ale te trudności, a często nielojalność partnerek, na pewno odcisnęły swoje piętno.

O moich rodzicach nie mogę powiedzieć złego słowa. Oni wiedzieli, ale niczego nie komentowali. Na swój sposób byli wierzący, chodzili do kościoła, w przeciwieństwie do mnie, bo ze względu na swoje preferencje czułam się z Kościoła wykluczona. Rodzice nigdy nie zadawali mi pytań natury osobistej, nie wywierali na mnie żadnych nacisków w kwestii zamążpójścia. Byli ludźmi o dużej kulturze, bardzo wyrozumiałymi, a poza tym zwyczajnie mnie kochali. Poznawali również moje wybranki, ale nie nazywało się ich inaczej niż przyjaciółkami. Dziewczynom zawsze było łatwiej niż chłopcom, bo bliskość między przyjaciółkami powszechnie uznawano. Nikt się nie dziwił, że przyszłam gdzieś z kobietą, zaprosiłam ją do domu, wzięłam za rękę, że jeździłyśmy razem na wycieczki.

Mój brat dowiedział się o moich preferencjach ponad 20 lat temu i też normalnie przyjął to do wiadomości. Kiedy teraz na przykład odwiedzam rodzinę w święta, to albo przyjeżdżam z moją przyjaciółką, albo w ogóle.

Dużo było w moim życiu kilkuletnich znajomości, można powiedzieć:

krótkich związków. Z niektórymi wiązałam większe nadzieje, z innymi nie. Spośród moich dawnych bliskich przyjaciółek wiele powychodziło za mąż, nawet sama je wyswatałam. Nie traktowałam nigdy życia intymnego jak sportu, ale uważałam, że jeśli dwóm osobom się nie układa, nie ma nic złego w powiedzeniu sobie „do widzenia”.

Chociaż nie dążyłam za wszelką cenę do stabilizacji, to teraz muszę przyznać, że ona nie jest taka zła. Od 22 lat jestem związana z jedną dziewczyną (pobiłam wszelkie rekordy), i tak już chyba umrzemy. Czasem diabeł kusi, kiedy człowiek spotka kogoś interesującego, ale trzeba mieć dystans do siebie.

Myślę, że dla trwałości związku ważne jest, żeby zrezygnować z ujarzmania drugiej osoby. I nie okłamywać się nawzajem. Przeżyłam w życiu wielkie rozczarowanie, właśnie z powodu kłamstwa. Powiedziałam sobie wtedy, że widocznie muszę odpokutować za to, że wiele razy sama odchodziłam.

Porównania

Pierwszy klub, w którym można było zachowywać się swobodnie, zobaczyłam za granicą. W 1981 roku wyjechałam z przyjaciółką do Anglii, potem przez jakiś czas byłyśmy w Kopenhadze. Miłość do podróży i zwiedzania wyniosłam z domu. Są to dobra, których nikt odebrać człowiekowi nie może. Zwiedziłam mnóstwo świata. Nie było jednak we mnie chęci, żeby wynieść się z kraju. Zawsze tu wracałam. W Polsce nie spotkały mnie ze względu na orientację jawne, aroganckie napady (jakie mają miejsce teraz) czy potępienie. Może dlatego, że zawsze mieszkałam w dużych miastach, gdzie jest więcej swobody, bo wcale nie prowadziłam się grzecznie. Uważam też, że kultura bycia była wówczas o wiele większa niż dziś. Ludzie na co dzień inaczej się do siebie odnosili, z większym szacunkiem (mimo, że pod względem politycznym i ekonomicznym czasy były okropne).

Nigdy nie uważałam, że trzeba się ukrywać, siedzieć pod stołem i przeproszać, ale, szczerze mówiąc, jestem przeciwniczką ostentacji, demonstracji i afiszowania się (bez względu na jakąkolwiek orientację). Teraz jednak można funkcjonować w sposób o wiele bardziej legalny niż kiedyś, w sensie społecznym. To prawda, że pod względem prawnym w Polsce związki osób tej samej płci nie istnieją, ale... parady, zwyczaj wprost przeniesiony ze społeczeństw o innej mentalności i wyższej kulturze, u nas są doskonałym pretekstem do wulgarnych zachowań polskich „fundamentalistów” - na ogół bezkarnych, a demonstrować powinniśmy zawsze, przy każdej, nawet drobnej, ale jasno

określonej próbie jakiegokolwiek dyskryminacji.

Trzeba wielu lat, o ile nie paru pokoleń, aby polskie społeczeństwo okazało się tolerancyjne dla wszelkich inności. Na razie - mówię to ze smutkiem - wychodzą z Polaków kompleksy i fobie, podsycane cynicznie przez marnych polityków i samozwańczych decydentów.

„Żyj i pozwól żyć innym” powinno być naczelnym edukacyjnym hasłem świątłych Polaków.

Po 1989 roku przeżyłam wielki szok, bo solidarność, życzliwość i kultura w kontaktach międzyludzkich istniały, dopóki był wspólny wróg. Król okazał się nagi. Nie ma w tej chwili ugrupowania, z którym mogłabym się identyfikować. Kiedyś bardzo liczyłam na Unię Wolności, ale ona przepadła. Ludzi, którzy ją tworzyli, i im podobnych jest na razie w Polsce niezmiernie mało. Udział w polityce mnie nie interesuje, ale uczestniczę emocjonalnie w polskiej rzeczywistości i ta rzeczywistość doprowadza mnie do furii. Wierzę jednak w tych młodych ludzi, dla których przeszłość dziadków czy rodziców będzie ważną historią, ale do której będą mieli dystans i będą kształtować naszą rzeczywistość według dobrych wzorców (mimo wszystko), otwartą na świat i na każdą inność.

Świat potrzebuje hipokryzji

Po rozwodzie Nina miała poczuć się lepiej. W końcu oznaczał jedynie zerwanie z fikcją, bo żoną - od prawie 30 lat - była tylko na papierze. Mieszkali z mężem osobno, nic ich nie łączyło. Poza córkami, które odwiedzał, kiedy były małe. Wychowała je ze swoją partnerką. Mimo to rozwód, krok na pozór formalny, zamienił jej życie w piekło.

Sześćdziesięcioletnia dziś Nina mówi: „Fikcja i ukrywanie się w szafie wszystkim były na rękę. Teraz córki odwróciły się ode mnie, odcięły od wnuków. Uznały widać, że mama lesbijka, ale mężatka, to coś lepszego od matki lesby-rozwódki”.

Miasto, w którym mieszkają do dziś bohaterki tej opowieści, znajduje się na południu Polski. Wcale nie jest małe.

Ze wspomnień

Miałam trzydzieści parę lat, gdy przypadkowo spotkany po latach przyjaciel z dzieciństwa powiedział mi: „Ty zawsze lubiłaś dziewczynki, nawet jak bawiliśmy się w doktora, pamiętasz?” Nie pamiętałam. Ale rzeczywiście, gdy graliśmy w dwa ognie, palanta, zośkę, zawsze dawałam wygrywać koleżankom, a chłopców traktowałam jak powietrze. Popisywałam się przed koleżankami, odbierając chłopakom koła od roweru, które toczyli po ulicy. Miałam w strategicznych miejscach przygotowane patyki do prowadzenia koła i, niewinnie stojąc, czekałam na moment, gdy któraś odwróci się w moją stronę. Szybka akcja i już podjeżdżałam do wybranej dziewczynki z prezentem.

W swoim „Diariuszu” zawsze zmieniałam imiona na męskie. Pewnie już wówczas podświadomie wiedziałam, że „to” uważa się za grzeszne, wstydlive. Bardzo skrzętnie ukrywałam i swoje książki, i „Diariusz”, i pamiętki od przyjaciółek. Także gwałtowne bicie serca, rumieńce i falę ciepła, które coraz częściej towarzyszyły widokowi interesującej koleżanki lub nauczycielki.

Największym dramatem nastolatki była niemożliwość podzielenia się swoim sekretem. Ale że byłam jedynaczką wśród dorosłych ludzi, szybko nauczyłam się chronić własny, intymny świat. Z tego, co się ze mną dzieje, zdałam sobie sprawę już w szkole podstawowej, ale tylko na poziomie fascynacji towarzyskiej. Dopiero przypadkowo odkryta w domu książka van de Velde'a (nie pamiętam niestety jej tytułu¹) poka-

1. Chodzi o słynny poradnik holenderskiego lekarza ginekologa i seksuologa Theodora Hendrika van de Velde'a, *Małżeństwo doskonałe: studium fizjologii i techniki*, wydany po raz pierwszy w 1926 roku (przyp. red.).

zała mi, kim jestem. I tak się zaczęło polowanie na literaturę. Inny kraj Baldwina był moją biblią przez całe liceum. Także cztery tomy Collette o Klaudynie.

Pamiętam swoje wypracowanie o Innym kraju (na luźny temat „Ostatnio przeczytana książka”). Sądziłam, że nie spadnie na mnie podejrzenie. Myliłam się. Tylko ja miałam potrzebę mówienia o uczuciach do tej samej płci. Dla wychowawczynie i ciała pedagogicznego stało się to okazją do publicznej chłosty. Odbyła się specjalna lekcja wychowawcza, chyba po to, żeby mnie wyprostować i zawstydzić.

Na drugi dzień pierwszy raz w życiu poszłam na wagary, do lasku położonego obok budynku liceum. Przeplakałam wszystkie lekcje, bałam się wrócić do domu. Miałam ochotę uciekać, uciekać jak najdalej. Potem poszłam do spowiedzi i to był jeszcze większy koszmar. Usłyszałam, że będę potępiona i spłonę żywcem w piekle. Zostałam ateistką, mimo późniejszych praktyk religijnych, jak ślub kościelny, chrzest i komunie córek. Najbardziej bałam się, by nikt nie odkrył mojej tajemnicy. I zaczęła się gra pozorów.

W liceum śpiewałam w zespole bigbitowym i ogłosiłam wszem i wobec, że kocham Andrzeja. Był dwa razy starszy ode mnie i był kierownikiem klubu. Wtedy nie znałam słów „pedał” czy „ciota”. Kiedy wyznałam miłość Andrzejowi, usłyszałam w odpowiedzi: „Bardzo Cię lubię, Ninko, ale jestem...” (nie zapamiętałam, czy nie usłyszałam wyraźnie słowa). Wykrzyknęłam: „Ty, ty... rowerze!” Powiedział spokojnie: „Pedale. Pedale, dzieciно”.

I wtedy odbyłam swoją pierwszą rozmowę o sobie, z tym człowiekiem. Przyjaźnimy się do dziś.

Mój pierwszy kontakt miłosny: obóz młodzieżowy i starsza kobieta. Już nie pamiętam ani jej imienia, ani wyglądu. Pamiętam za to ciepło, radość i czułość, bliskość, potem spojrzenia ponad głowami innych i ukradkowe muśnięcia rąk. Wtedy także dowiedziałam się, że powinnam być bardzo ostrożna, dbać o swoją tajemnicę i nie zwierzać się nikomu. Że muszę się po prostu ukrywać i to starannie. Decyzją normalną, i jedynie słuszną drogą, było małżeństwo, które z jednej strony zapewniało bezpieczeństwo marzeniom, z drugiej - spełniało oczekiwania rodziny. Zostałam więc żoną i matką.

Gra pozorów

Być może licealny zespół bigbitowy sprawił, że Nina kilkanaście lat później wybrała zawód choreografki. Założyła własną grupę przy Domu

Kultury w rodzinnym mieście, gdzie funkcjonowała bardzo dobra sekcja taneczna. I tak to się zaczęło.

Przez lata PRL-u zespół, oprócz codziennej artystycznej pracy, obsługiwał niektóre święta socjalistyczne, takie jak Dzień Hutnika. Był zapraszany do warszawskiej Sali Kongresowej (co przez wiele lat stanowiło nobilitację), wyjeżdżał za granicę. Poza nielicznymi spektaklami okolicznościowymi, praca dawała Ninie swobodę twórczą i osobistą.

- Na którymś z kolei wyjeździe zagranicznym - wspomina - poszliśmy z kolegą z zespołu do takiego kina, gdzie można było obejrzeć interesujące nas filmy. On był gejem, ale o tym się nie rozmawiało. Spędziliśmy tam chyba 4 godziny, to dopiero było przeżycie! W pewnym momencie obejrzałam się do tyłu i zobaczyłam na sali połowę naszej grupy. Oni wszyscy byli heteroseksualni, co nie znaczyło, że dla nich filmy z takimi wątkami były jakąś straszną sensacją. Po prostu przyszli z ciekawości.

Kiedy Nina opowiada o swoich tancerzach i tancerkach, tych najzdolniejszych lub najbardziej zaprzyjaźnionych, ożywia się i sama zaczyna tańczyć.

- Przychodzili do domu, zwierzali się. Razem podróżowaliśmy po świecie. Niektórzy z nich na stałe mieszkają w USA. Nawet mnie zapraszali, ale nie dostałam wizy. Bez sensu. Co Ameryce może grozić ze strony emerytki? Boją się, że będę pracować na czarno?

Oglądam zdjęcia z dawnych spektakli, czarno-białe: Nina z zespołem na próbie, po premierze, projekty kostiumów, sekwencje gotowych przedstawień. Między nimi są też fotografie ze ślubu, kiedy postanowiła pójść „jedyną słuszną drogą”, i ze zdarzenia, które tylko w komunizmie mogło mieć miejsce: chrztu cywilnego (starszej córki) w Urzędzie Stanu Cywilnego, z udziałem pierwszego sekretarza partii. Są tu również zdjęcia kolegów z Polskiego Radia, bo zanim została choreografką, pracowała jako dziennikarka radiowa.

- Trafiłam tam przez nasz lokalny radiowęzeł, bo zawsze coś pisałam, śpiewałam dużo, przez moment nawet w Czerwono-Czarnych! Przeszłam dwuletni kurs dla redaktorów rozgłośni, a potem poznałam radio z prawdziwego zdarzenia, w Krakowie. Po powrocie do swojego miasta mogłam wzorować się na tym, czego się nauczyłam - jak montować dźwięk, jak robić oprawę muzyczną, słuchowiska. Sprowadziłam tutaj profesjonalną konsolę, zrobiłam porządne studio. Wtedy, jednocześnie, zaczęłam się uczyć choreografii, i oczywiście wychowywałam dzieci. Moja kariera radiowa skończyła się, kiedy podczas odczytywa-

nia jakiegoś okropnego, gierkowskiego ogłoszenia uświadomiłam sobie, że już nie mogę tego robić. Poza wszystkimi tymi wspaniałymi, artystycznymi rzeczami, które robiliśmy, ówczesne media to była propaganda. I odeszłam. Całkowicie zajęłam się tańcem.

Nina twierdzi, że tamte czasy miały z pewnością jeden urok: relacje erotyczne między kobietami, zawoalowane niedomówieniem, tajemnicą, miały w sobie więcej piękna. Spojrzenia ponad głowami nieświadomych niczego ludzi, zrozumienie w pół gestu, między słowami. A teraz? Wszystko nazwane, kawa na ławę, wprost.

- Począwszy od lat 60., podkochiwałam się już to w jakiejś swojej tancerce lub starszej znajomej. Chowając to zawsze głęboko. Aż razu jednego stanęła w pierwszym rzędzie wśród tancerek ta, która zdecydowała o dalszym moim życiu.

Uczucie zaczęło się dosłownie od pierwszego spojrzenia. Tancerka, którą ponad 30 lat temu wyłowила wzrokiem, prowadząc próbę, miała na imię Mirka. Zobaczyły się i zaiskrzyło. Bez jednego słowa. Nina prowadziła wtedy zajęcia w obcym zespole, zastępując koleżankę w innym mieście. A że na próbie dystans między tancerką a mistrzynią wykluczał prywatną rozmowę, musiała włożyć wiele wysiłku w to, żeby nawiązać kontakt z nieznaną dziewczyną. Udało się. Ich związek trwał 3 lata, mimo, że obie były mężatkami.

- Chciałyśmy być uczciwe, powiedzieć wszystko, zacząć nowe życie - tłumaczy Nina. - To miało się zdarzyć w Budapeszcie, gdzie spędzaliśmy sylwestra razem z naszymi mężami. Pamiętam moment, w którym zaczęła się zła passa. Wychodziłyśmy z samochodu wyfiokowane, roześmiane, a ja nagle złamałam szpilkę w obcasie. Humor prysł, pokłóciliśmy się, cały scenariusz potoczył się inaczej. Okazało się, że panowie świetnie wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi, ale postanowili podtrzymać fikcję: oni są nadal naszymi mężami, my „koleżankami”, koniec i kropka. Rewolucja nie nastąpiła. Przeczekali i opłaciło im się. To był najgorszy sylwester w moim życiu.

Inne spojrzenie

Budapeszt, historia miłosna skazana na klęskę, świat, w którym wygrywają mężczyźni. To się zdarzyło naprawdę, to się zdarzyło na niby.

Inne spojrzenie Karoly Makka po raz pierwszy oglądałam w telewizji, będąc jeszcze dzieckiem. Legendarny „branżowy” film. Pierwszy, jaki można było zobaczyć w Polsce.

Komunistyczne Węgry, Eva (Jadwiga Jankowska-Cieślak) i Livia

(Grażyna Szapołowska) spotykają się w redakcji gazety. Zaczyna się romans, potem miłość. Z góry skazana na klęskę.

W 1982 roku niespełna trzydziestoletnia Jadwiga Jankowska-Cieślak zdobyła za rolę Evy nagrodę w Cannes dla najlepszej aktorki. Wielki sukces i długi cień. Jankowska-Cieślak opowiadała w wywiadach, jak musiała tłumaczyć niektórym reżyserom, że nie jest lesbijką, bo przecież ona lesbijkę tylko grała (trzeba przyznać, że po mistrzowsku). O Grażynie Szapołowskiej pomyśleć „lesbijka” nie sposób. Pomijając fakt, że filmowa Livia była żoną prominenta (jak być żoną i lesbijką jednocześnie?), to przede wszystkim sama aktorka dla wielu pozostaje do dziś ideałem kobiecości. A przecież w zbiorowej wyobraźni ideał kobiecości musi być hetero.

Po raz drugi oglądam *Inne spojrzenie* w roku 2005, dzień po Paradzie Równości, w której przeszło ulicami stolicy (wbrew zakazowi) 2 tysiące ludzi. Na projekcji w warszawskim kinie „Luna”², połączonej z panelem dyskusyjnym, jest Grażyna Szapołowska. I jest także Nina. Nina, dla której nic nie stało się na niby, i która cichym głosem mówi mi w kuluarach: „Wyszłam w trakcie, nie mogłam znowu tego oglądać. Wszystko mi się przypomniało, cały ten koszmar”.

Na ekranie próba zerwania małżeńskiej fikcji kończy się tragicznie. Livia leży sparaliżowana na szpitalnym łóżku. Już nie kocha Evy. Nie nawidzi. Eva najpierw sili się na optymizm. Potem próbuje ocalić choćby siebie. Nie udaje się.

W życiu Niny epizod z Budapesztu nie rozgrywa się w świecie totalitarnym, „tylko” i „aż” w opresyjnym. Obie z Mirką zostają tam, gdzie wyznaczono im miejsce: z mężami. Mirka bardzo chce mieć dziecko, zachodzi w ciążę. Po urodzeniu córeczki dopada ją rak. Ukrywa chorobę przed wszystkimi, niedługo potem umiera. Małżeństwo Niny, chociaż formalnie trwa aż do 2004 roku, kończy się niedługo po tym, jak na świat przychodzi druga córka.

- Kiedy przyszła druga miłość, byłam już zdeterminowana i spowodowałam, że mąż wyprowadził się z domu - mówi.

Dagmara

Miejsce męża wkrótce zajęła Dagmara. Kiedy Nina wyjeżdżała ze

2. Projekcja filmu *Inne spojrzenie*, połączona z panelem dyskusyjnym, odbyła się w ramach Warszawskich Dni Równości w czerwcu 2005. Spotkanie zorganizowała Marzena Chińcz z portalu www.lesbijka.org.pl, w panelu udział wzięli: Grażyna Szapołowska - aktorka, Tomasz Raczek - krytyk filmowy, prof. Maria Szyszkowska, Katarzyna Kądziela, oraz Nina - bohaterka tej historii. Dyskusję prowadziła autorka książki, Anna Laszuk.

swoim zespołem, to ona opiekowała się dziećmi. Na co dzień wszystkie obowiązki dzieliły po partnersku. On - jako ojciec - czasami odwiedzał dziewczynki. Wszyscy wiedzieli, jak było naprawdę. A jakby nie wiedzieli.

Nina przyznaje, że kiedy mąż zorientował się, kim jest dla niej Dagmara, urządził piekło.

- Były dzikie awantury. On myślał, że należę do niego na własność. Bez względu na to, czy jesteśmy razem, czy nie. To jak ze starym meblem - nie szkodzi, że stoi w piwnicy, ale jest. Jego, własny. Jest o tym przekonany do dziś.

Na początku były z Dagmarą tylko sąsiadkami. Czasem spotykały się przypadkiem w autobusie. Nina jeździła na próby do teatru, Dagmara - do szpitala (pracowała w służbie zdrowia). Pewnego razu kartka pocztowa, którą znajomi zaadresowali do Niny, trafiła do innej klatki tego samego bloku.

- Przypadek zrzucił, że do mojej skrzynki - wspomina Dagmara. - Poszłam do niej z tą kartką i tak się to zaczęło. W 1976 roku.

Odkąd stworzyły związek, Dagmara zamieszkała z Niną. W swoim domu bywała tylko od czasu do czasu. Przeżyły wspólnie 25 lat, razem wychowywały dzieci.

- Podział obowiązków na co dzień był jasny - śmieje się Dagmara. - Ja zawsze co sobota sprzątałam całe mieszkanie. Nina gotowała, bo ja tego nienawidziłam. Razem dbaliśmy o dom, prowadziłyśmy dzieci do szkoły, chodziłyśmy na wywiady, szkolne przedstawienia. Nie było czasu na wspólne wyjścia, randki...

- Ale jak już położyłyśmy dziewczynki spać, można było zachowywać się swobodniej - porozumiewawczo uśmiecha się Nina. - Przy ludziach wymieniałyśmy tylko czułe spojrzenia, muśnięcia dłoni. To miało swój urok. Rzeczywiście, na żadne życie towarzyskie nie było czasu. Nie znałyśmy żadnych innych par kobiet. Jeśli były, to też pewnie żyły w ukryciu.

Takie były czasy, takie jest to miasto

Siedzimy we trójkę na kanapie, oglądamy razem albumy z nagromadzonymi przez dziesięciolecia fotografiami. Nina z Dagmarą, obie mocno posiwiałe, wspominają dorastanie dziewczynek i rodzinne uroczystości. Śluby, chrzciny, imieniny, wycieczki. Żyły jak małżeństwo. Czy to możliwe, że nikt o tym nie wiedział? Obie zdecydowanie zaprzeczają: wszyscy znali prawdę, ale woleli jej nie nazywać. Zdaniem Niny,

była to tajemnica poliszyneła.

Rodzice Dagmary także wiedzieli wszystko od początku i akceptowali, chociaż „o tym” się nie rozmawiało.

- Oni chyba ją bardziej kochają niż mnie - mówi Dagmara. - Nawet w telefonie to jej numer mają zakodowany jako pierwszy. Nigdy nie pytali o nasze stosunki. Było oczywiste, że jesteśmy bardzo blisko, i tyle. Znali dobrze i Ninę, i dzieci. Kiedyś nie było zwyczaju, żeby tak wnikać w czyjeś życie.

- Ani z Mirką, ani później z Dagmarą nie składałyśmy sobie żadnych deklaracji - konkluduje Nina. - To nie było potrzebne. Kochałyśmy się, żyłyśmy ze sobą, i to wystarczyło.

Kryzys przyszedł z końcem lat 90. Kiedy mąż Niny stracił wzrok, stało się dla niej oczywiste, że będzie mu pomagała na miarę swoich możliwości, ale w żadnym wypadku nie zostanie z powrotem żoną. Ustallili razem zasady stałej opieki, za niewielkie wynagrodzenie. Ona sama była już na rencie, a córki miały własne dzieci i własne problemy.

Porzuciła w tym czasie choreografię i założyła jednoosobową firmę komputerową. Uznała, że w tańcu osiągnęła wszystko, co było możliwe, potrzebowała odmiany. Nowa pasja była jak wiatr w skrzydłach, ale później pojawiły się kłopoty finansowe. W ich związku z Dagmarą też coś się wyczerpało. Pewnie udałoby się przeczekać trudne czasy, w końcu tyle razem zbudowały. Ale Nina straciła siły, wszystko ją irytowało, zaczęła szukać pocieszenia w alkoholu. Dagmara z kolei musiała się zaopiekować chorą na Alzheimera matką, co oznaczało poświęcenie bez granic i bez miejsca dla siebie. A także powrót do mieszkania rodziców.

Pozostały sobie bardzo bliskie, ale była to już inna miłość. Bardziej przyjaźń na zawsze, która trwa.

Nina czasami żałuje, że rozstały się z Dagmarą.

- 25 lat razem! Góry przy niej przenosiłam, na wszystko miałam energię - wspomina. - Nie przeszkadzało mi, że mamy inne zawodowe zainteresowania. Byłyśmy po prostu blisko. Jeżeli taki związek jest możliwy między kobietą a mężczyzną, to wspaniale. Jeżeli między dwoma mężczyznami - wspaniale. Komu to przeszkadza? Orientacja seksualna... Miłość jest w każdym zakamarku ciała, w każdym nerwie. Jeśli jest.

Reguły gry

W 2003 roku Nina zakochała się raz jeszcze, i wtedy przyszła myśl

o rozwodzie. Nowa partnerka przekonywała, że po dwudziestu kilku latach separacji między małżonkami będzie on czystą formalnością.

- Zrobiłam to dla niej - mówi Nina. - Dość już miała mężatek, które prowadzą podwójną grę. Moja sytuacja była jasna od dawna, ale chciałam, żeby kobieta, którą kocham, poczuła się bezpiecznie. Dziś jedno wiem na pewno: więcej z tego wynikło szkody niż pożytku. Strasznie żałuję, że dałam się namówić.

„Czysta formalność” wywołała trzęsienie ziemi. Zanim Nina złożyła w sądzie pozew o rozwód, próbowała przez miesiąc przygotować do tego psychicznie męża.

- On ciągle myślał, że ja żartuję - mówi z goryczą. - Kiedy dotarło do niego, że naprawdę ten pozew złożyłam, obdzwonił całe miasto i nawygadywał o mnie niestworzonych rzeczy. Wpakował mi się do mieszkania i zażądał wmontowania zamków do jednego z pokoi. Dostał szau, zbuntował przeciwko mnie córki, wzbudził w nich litość. „Niewidomy ojciec i matka egoistka”, tak to sobie poukladały w głowie. Moja córka zeznała potem w sądzie, że ojciec mieszkał z nami przez cały czas i że nigdy się nie wyprowadził!

A przecież wszyscy wiedzieli, jak było naprawdę. Co spowodowało, że „zapomnieli”? Pytam Dagmarę, która bezradnie rozkłada ręce.

- Ja już przestałam cokolwiek rozumieć z tego życia - mówi.

Ninie udało się rozwieść z mężem na drugiej rozprawie, ale jej nowy związek z kobietą rozpadł się. Po szarpaninie w sądzie popadła też w tarapaty finansowe, ponieważ okazało się że większość jej rzeczy należy do męża. Do dziś żyje w prawdziwej biedzie. Jednak najboleśniej przeżywa zachowanie córek.

- Może wstydzą się tego rozwodu przez rodzinami swoich mężów? Oni na pewno komentowali moją sytuację. Jednak w głowie mi się nie mieści, że opinia ludzi jest dla nich ważniejsza niż ja! - analizuje bez końca. - Może nie rozumieją, że mam prawo do osobistego życia? Może myślały, że po tym rozwodzie opieka nad ojcem spadnie na nie? Ale ja przecież nadal bym mu pomagała, na tych samych warunkach! Z normalnego, ludzkiego obowiązku!

W niedzielę idziemy na proszony obiad, który przygotowała Seniora Granda (tak Nina z dumą mówi o ponad osiemdziesięcioletniej mamie). Po drodze dowiaduję się, że starsza pani niedawno wyszła za mąż, że kilka lat spędziła w Ameryce, że kocha życie i nowe stroje, i - co najważniejsze - jest jedyną osobą, która w czasie rodzinnej burzy stanęła na wysokości zadania. Zamiast potępić, wspierała.

Seniora Granda domyślała się od wielu lat, że Nina woli kobiety, chociaż wprost usłyszała to dopiero w tym roku. Pytam ją, czy kiedykolwiek miała coś przeciwko temu.

- Nie - odpowiada zdecydowanie. - Jak się jej tak podoba, to co w tym złego? Mój mąż też to akceptuje. Ona zawsze się kobietami interesowała, choćby w tym balecie tyle pięknych dziewczyn było... Nie miałam nigdy nic przeciwko, dorosła była poza tym. Po co się miałam wtrącać w jej osobiste życie?

Najstarsza kobieta w rodzinie próbuje zrozumieć i pojednać wszystkich. Wierzy, że Nina pogodzi się z córkami.

Modlimy się za to z mężem codziennie - mówi. - To w końcu matka, prawda?

Dziewczyny, wyjdźcie z szafy!

*Roma ma 53 lata, mieszka w Krakowie. Podczas naszego spotkania zrobiłam jej zdjęcie, na którym siedzi w otwartej szafie i mówi: „Wycho-
dź z niej!”*

Czasy PRL-u

Do późnych lat 80. nie wymawiało się słów takich jak „homoseksua-
lizm” czy „lesbijka”. Tylko nieliczne kobiety wtedy sobie radziły. Te naj-
bardziej aktywne, przebojowe, które bardzo chciały być sobą. Sądzę,
że pozostałe uważały jak ogół: „Kobieta z kobietą? - nie do pomyśle-
nia!” Wstydzily się własnych pragnień, chowały je do kieszeni i w końcu
robiły to, czego od nich oczekiwano: wychodziły za mąż, rodziły dzieci,
męczyły się całe życie. Czasami miewały kochanki.

Kiedy sama odkryłam, że podobają mi się kobiety, poczułam eks-
cytację, pozytywne zaskoczenie: „O, ciekawe! Nie jestem taka jak
wszystkie”. Byłam nastolatką i rozglądałam się na lewo i prawo za inte-
resującymi dziewczynami. Na studiach skrzydła mi opadły. Ekonomia
nie okazała się dla mnie dobrym wyborem, a w dodatku na uczelni
ciekawych dziewczyn jakoś nie było widać. Potem zaczęłam chodzić
z kolegą z roku i tak „przechodziłam” z nim przez całe studia, aż się
rozstaliśmy. Chciał się ze mną żenić, ja - absolutnie nie. Miałam już
pewność: to nie to.

Mój dom rodzinny był typowo katolicki i patriarchalny - ojciec zarabiał
pieniądze, mama siedziała w domu. Po rozstaniu z tym chłopakiem sły-
szałam: „To pewnie był niewłaściwy kandydat, poczekaj na odpowied-
niego”. Ludzie naokoło długo pytali: „Masz kogoś? Kiedy wyjdiesz za
mąż?” A ja przez wiele lat próbowałam nawiązywać bliższe kontakty z
kobietami, nigdy nie mówiąc otwarcie, kim jestem, co czuję. Po prostu
się bałam. Moje niezdecydowane próby nie przyniosły żadnego efek-
tu.

W latach 70., oprócz studiowania, zajmowałam się pilotowaniem za-
granicznych wycieczek. Przy okazji podróży do bardziej cywilizowane-
go świata zawsze zaglądałam do księgarń i, przeszukując działy psy-
chologiczne, polowałam na wiadomości o osobach homoseksualnych.
Nie znajdowałam niczego optymistycznego: choroba, dewiacja, itp.
Starłam się nie brać tych etykietek do siebie, ale na pewno odcisnęły
we mnie niedobry ślad.

Jeśli chodzi o jakiegokolwiek organizacje, to bardzo długo nic się nie

działo. W każdym razie przez długi czas nie miałam pojęcia, że poza mną istnieją ludzie innej orientacji niż heteroseksualna. Może ja wtedy byłam za mało zdeterminowana, ale nie... czułam się po prostu jak na pustyni, zupełnie nie wiedziałam, dokąd mam się zwrócić, choćby po informacje.

Po studiach zdarzył mi się romans z pewną kobietą, ale nie nazwałabym go związkiem. Trwał zbyt długo i zdecydowanie mi zaszkodził.

Ona była mężatką. Różniło nas wszystko - klasa społeczna, wykształcenie, sytuacja życiowa, mentalność. Kobieta ta była kilkanaście lat starsza ode mnie, śmiała i otwarta dużo bardziej niż ja. Na początku znajomości pojechaliśmy razem na wycieczkę, jako koleżanki. Zamieszkałyśmy w jednym pokoju, kilka wieczorów przegadałyśmy. Pochodziła ze wsi, nie była wykształcona i w jej modelu życiowym było absolutnie bezdyskusyjne, że trzeba wyjść za mąż, urodzić dzieci, prowadzić życie takie, jak wszyscy, koniec i kropka. Jednocześnie miała bardzo silną osobowość, cała rodzina funkcjonowała pod jej dyktando, nikt nie miał nic do gadania. Można powiedzieć, że to ona była mężczyzną w swojej rodzinie. Zdecydowanie reprezentowała typ *butch* i gdyby urodziła się dużo później, miała do dyspozycji jakieś inne wzorce, pewnie nie byłoby mowy o zamążpójściu.

Przyznała więc, że jest żoną i matką dwojga dzieci, ale nie czuje się zadowolona z małżeństwa, bo tak naprawdę podobają jej się kobiety. Ta otwarta deklaracja była dla mnie szokiem. Uznałam, że jej upodobania są wystarczającym powodem do nawiązania bliższego kontaktu. Nie było to mądre, ale w latach 70. spotkanie jakiegokolwiek osoby o tej samej co ja orientacji było niemal cudem. A skoro zdarzył się cud, trzeba z niego korzystać, bo być może więcej się nie zdarzy. Okropne, ale tak było. Na początku tego romansu przeżyłam wybuch emocji, nareszcie coś się w moim życiu zdarzyło. Jednak niedługo potem uświadomiłam sobie, że to wszystko nie jest dla mnie dobre i powinnam rozsądnie się z tej relacji wycofać. Niestety, wyplątywałam się aż przez 8 lat.

Pewnego rodzaju przełom nastąpił, kiedy zmieniłam pracę. Spotkałam kobietę, która zwróciła moją uwagę, młodszą ode mnie i - niestety - heteroseksualną. Tym razem jednak odważyłam się powiedzieć wprost, kim jestem, a ona była na tyle otwarta i mądra, żeby ze mną o tych sprawach normalnie rozmawiać. W tamtych czasach normalna rozmowa była jak oddech, powiew świeżego powietrza.

Odwilż

Pod koniec lat 80. pojechałam na delegację do Pragi, przypadkiem wpadła mi w ręce polska gazeta, chyba tygodnik „Polityka”, w którym po raz pierwszy przeczytałam o powstających właśnie w Polsce organizacjach dla osób homoseksualnych. Po powrocie potwierdziła to moja koleżanka, wręczając mi lokalną gazetę ze słowami: „Patrz, w Krakowie też się coś zaczyna dziać”. I tak po 1989 roku trafiłam do krakowskiej Lambdy, tam poznałam Violę, z którą stworzyłam już prawdziwy związek, na kolejne 8 lat. Ona miała przyjaciół wśród gejów, dzięki czemu zaobserwowałam, że faceci w tamtych czasach radzili sobie znacznie lepiej. Przynajmniej w jakikolwiek sposób próbowali się organizować.

Moi rodzice z czasem sami domyślili się prawdy na mój temat. Po latach mama zapytała wprost, a ja potwierdziłam. Zareagowała w bardzo przykry dla mnie sposób, powiedziała coś w rodzaju: „O, sprawiłaś mi wielki zawód, myślałam, że ojciec niesłusznie cię oskarża”. I było po rozmowie, ona moje preferencje traktowała w kategoriach tragedii życiowej. Nie była w stanie pojąć, że życie ludzi takich jak ja jest normalnym życiem, tyle że po prostu z osobą tej samej płci. Może w jej wypadku była to kwestia wieku i wynikający z niego brak elastyczności.

Ja sama jestem bardzo rodzinna, ale nigdy nie oznaczało to dla mnie powielania roli matki w domu. Gdyby wszystko rozegrało się w innych czasach, pewnie razem ze swoją partnerką miałabym dzieci, a teraz byłabym już otoczona wnukami.

Po paru latach działania krakowska grupa lesbijek z Lambdy rozsyłała się. Nastąpiła przerwa w spotkaniach, później przez krótki czas odbywały się one w lokalu fundacji kobiecej eFKa. Wreszcie, w drugiej połowie lat 90., reaktywowałyśmy tę grupę z moją partnerką i nazwałyśmy ją Safo. Dzięki inicjatywie Violi, która miała większą ode mnie potrzebę działania, Safo znalazła swoje miejsce na krakowskim Kazimierzu. Stały lokal (co jest podstawą wszelkich działań) zawdzięczałyśmy niezwiązanej już pośłowi Urbańczykowi. *Notabene*, nie powiedziałyśmy mu wprost, że chodzi o spotkania lesbijek, mówiłyśmy po prostu o grupie kobiecej. I przez 2 lata to funkcjonowało. Miałyśmy biblioteczkę z literaturą kobiecą, lesbijską, trochę filmów na ten temat. Organizowałyśmy wyjazdy w różne miejsca Polski, zapraszając na nie wszystkie osoby, które odezwały się do nas korespondencyjnie. Przychodziły do nas listy od młodych kobiet, które straszliwie się miotaly, pisały o próbach samobójczych, o jakichś nieudanych i okropnych próbach leczenia, o tragediach rodzinnych. Myślę, że Safo dawała dużo wsparcia dziewczynom z Krakowa i okolic, czasem nawet z bardzo daleka. Na nasze

spotkania przychodziło czy przyjeżdżało nawet po kilkadziesiąt kobiet (pamiętam, że oficjalne ogłoszenie o istnieniu Safo zamieściłyśmy kiedyś w „Gazecie Wyborczej”, co dziś wydaje się nie do pomyślenia. Po tych wszystkich latach powróciła jakaś paranoja wokół homoseksualizmu).

Byłyśmy z Violą działaczkami całą gębą, co niektóre młode dziewczyny miały nam za złe. Chyba uznawały aktywizm i różne formy organizowania się za niemodne, trochę śmieszne.

Mnie osobiście, od początku lat 90., pociągał przede wszystkim feminizm. Zaczęło się od drugiej krakowskiej konferencji feministycznej o czarownicach oraz od kontaktów z kobietami, które organizowały środowisko feministyczne w Krakowie, między innymi poprzez rozmaite konferencje. Oferta feministyczna trafiła też (w roku 1991) do krakowskiej Lambdy, ale byłam chyba jedyną osobą, którą tak to wciągnęło. Feministyczny sposób myślenia w oczywisty sposób połączył mi się w głowie z moją orientacją, dążeniem do niezależności, równorzędności, wydobywania się ze schematów i nakazów. Wsparło mnie to w buncie przeciwko bierności kobiet.

Potem razem z Violą zaczęłyśmy chodzić na spotkania feministyczne. Weszłyśmy nawet do zarządu fundacji eFKa, z którą potem, niestety, nasze drogi się rozeszły. Cóż, wśród kobiet też zdarzają się ostre konflikty i walka o władzę.

Lata 90.

Kiedy po 8 latach skończył się mój związek z Violą, wygasły i spotkania Safo. Byłyśmy głównymi liderkami grupy, nasze rozstanie było szeroko komentowane, dziewczyny miały do nas żal. Jakiś czas później kobieca grupa Safo została reaktywowana w innej postaci, pod nazwą Labrys.

Młode pokolenie spotykało się też po kawiarniach, ja w tym już nie bardzo uczestniczyłam. Bywanie w „branżowych” knajpach nie było dla mnie czymś atrakcyjnym. Co ja miałabym robić w knajpie w otoczeniu samych dwudziestolatek? Kobietom po czterdziestce, czy jeszcze starszym, potrzebny jest inny rodzaj spotkań. Niestety, w naszym kraju nie jest łatwo gdzieś się wpasować, znaleźć dla siebie grupę. A przecież nie jest tak, że potrzeby społeczne umierają razem z wiekiem.

Wielokrotnie marzyłam o emigracji, do Danii czy Szwecji. Przycho-
dzą mi do głowy kraje skandynawskie, bo w 1992 roku byłyśmy z Violą na obozie lesbijskim właśnie w Danii. Dostałyśmy wiadomość od za-

przyjaźnionego geja z Warszawy, że lesbijska feministyczna organizacja szuka kobiet z krajów bałtyckich, chętnych do wzięcia udziału w międzynarodowym wyjeździe wakacyjnym. Okazało się, to było bardzo zabawne, że niektóre kobiety z krajów byłego Związku Radzieckiego nie rozumiały tego lesbijskiego przesłania czy podtekstu, więc były szalenie zaskoczone towarzystwem, w którym się znalazły.

Mieszkałyśmy tam w duńskiej szkole ludowej, zorganizowanej przez kobiety dla kobiet. One zdobyły fundusze, one postawiły budynki, one prowadziły rozmaite zajęcia. Całe przedsięwzięcie funkcjonowało oczywiście przez cały rok, my byłyśmy tam zaproszone na dwa tygodnie. Chodziło między innymi o to, żeby pokazać nam kawałek demokracji, która w Polsce i innych państwach byłego bloku wschodniego dopiero się rodziła. Szwedki i Norweżki opowiadały o parytetach, zaangażowaniu kobiet w życie społeczne, publiczne, o wszystkim, co się robi na rzecz równego statusu kobiet i mężczyzn. Ten wyjazd dał nam potężny napęd do działania.

Kiedy Safo zyskało pewien rozgłos, dostałyśmy zaproszenie na konferencję w Pekinie (konkretnie 60 km od Pekinu), międzynarodową konferencję organizacji pozarządowych. Mnie wytypowała organizacja feministyczna, Violę - środowisko lesbijskie.

Było oszałamiająco: trzydzieści kilka tysięcy kobiet z całego świata, wielki festiwal kobiet.

Wybrano Chiny jako miejsce, w którym kobiety są bardzo dyskryminowane. Zamysłem organizatorek było nagłośnienie tych spraw chińskich, ale okazało się to także wielkim utrudnieniem - byłyśmy pilnowane, kontrolowane, odsunięto nas od konferencji oenzetowskiej na temat sytuacji kobiet, która odbywała się równoległe, także w Pekinie. Nie miałyśmy możliwości swobodnego poruszania się. Teren konferencji wydzielono olbrzymim płotem. Chińczycy usiłowali zepchnąć imprezę NGO w cień, a także dostarczyć nam „kobięcych” rozrywek w postaci zakupów i wycieczek po straganach, żeby odciągnąć nas od świata polityki. Specjalnie z myślą o konferencji tamtejsze władze wybudowały nowe bloki mieszkalne, tyle że zastałyśmy wszystko w stanie prawie surowym. Owszem, część gości trafiła do lepszych hoteli, ale nas akurat zakwaterowano w bloku z nieotynkowanymi ścianami i podłogą z betonu. W łazience wszystko ciekło i rozwalało się, z sufitu zwisała na kablu goła żarówka, dobrze, że w ogóle był prąd.

Za to na terenie kongresu odbyło się parę nielegalnych demonstracji, no i w ogóle działo się mnóstwo interesujących rzeczy: warsztaty

w różnych językach, imprezy wokół rozmaitych spraw feministycznych, w tym panele poświęcone lesbijkom.

Pamiętam swój zachwyt różnorodnością, egzotyką, kolorytem kobiet z całego świata. To był wspaniały festiwal różnorodności.

Na konferencji oenzetowskiej polską stronę rządową reprezentowała Jolanta Banach, która miała prawdziwie feministyczne wyczucie, to ona relacjonowała nam przebieg rozmów. Natomiast szefem polskiej delegacji był jakiś facet, który klepał puste frazesy o tym, jak dobrze kobietom żyje się w naszym kraju.

Każde państwo na kongresie ONZ zobowiązało się do realizacji na przestrzeni 5-10 lat określonych postulatów, takich jak poprawa sytuacji kobiet na rynku pracy, płace, kwestia praw mniejszości seksualnych. Nazwano to Pekińską Platformą Działań. Pakiet postulatów przeznaczony dla władz okazał się zbiorem pobożnych życzeń. Konkretnie okazało się tylko to, co wypracowały organizacje pozarządowe.

Obserwując sytuację w Polsce w ciągu ostatnich kilku lat, widzę regres. Chodzi mi o nastawienie władzy, klimat w społeczeństwie. Wolność bez ograniczeń przeznaczona jest dla skrajnej prawicy, dla mniejszości są głównie ograniczenia. To wszystko, co obserwowałam, czego doświadczyłam przed 1989 rokiem, kamuflowanie się, udawanie, samotność, wyizolowanie, nadal ze względów społecznych istnieje. Młode dziewczyny niby są w lepszej sytuacji, ale nie do końca.

Nie znoszę wmawiania ludziom, że orientacja seksualna to prywatna sprawa. Nieprawda, to nie tylko prywatna sprawa, to jest również sprawa społeczna związana z tożsamością jednostki w społeczeństwie. Bardzo dobrze sformułowała to profesor Magdalena Środa w jednym z wywiadów dla „Gazety Wyborczej” w lutym tego roku (2005): „Tak, jak dla wielu w określaniu ich tożsamości ważna jest polskość czy religijność, dla innych ważna może być płeć czy orientacja seksualna. Sposób funkcjonowania osób homoseksualnych w społeczeństwie, w grupie rówieśniczej jest przecież zdeterminowany przez ich orientację”. Dlatego tak ważne jest, aby można było żyć w zgodzie ze swą tożsamością, żyć otwarcie, nie bać się - dopiero takie życie jest normalne.

Po pięćdziesiątce

Obecnie pracuję w organizacji, która zajmuje się m.in. zwalczaniem dyskryminacji kobiet ze względu na wiek, wspierałam zakładanie stowarzyszenia Akademia Pełni Życia w Krakowie w latach 2001-2002 (większość członkiń to kobiety). Współorganizuję kursy komputerowe - ludziom starszym nauka obsługi komputera nie przychodzi tak szybko

jak młodym. Robiąc to, myślałam także o sobie, żeby nie zmarnować lat, które jeszcze przede mną, żyć aktywnie wśród ludzi. Ale tam z kolei kwestia orientacji pozostaje całkowicie niewidzialna. Kobiety z tej grupy są dość tradycyjne i nie angażują się w sprawy polityczno-społeczne. Chętnie pójdą na koncert, wystawę, zrobią kurs komputerowy - to owszem, ale nic więcej. Parę razy w Akademii Pełni Życia, kiedy słyszałam wśród starszych pań niechętne, stereotypowe rozmowy na temat osób homoseksualnych, miałam na końcu języka: „Proszę uważać na słowa. Wydaje się wam, że ci inni są daleko, gdzieś tam, nie obok, nie z wami”. Chyba dojrzałam chyba do tego, żeby przy następnej okazji tak powiedzieć. Ja już naprawdę nie muszę się kamuflować, dość tego było w moim życiu. Trzeba zachowywać się otwarcie. Wiem, że ze względu na życie zawodowe najpierw się myśli: „Teraz mam za dobrą pozycję, żeby sobie na to pozwolić”. A kiedy ma się słabszą: „Jeszcze nie teraz, zrobię to, jak będę mocna”.

To kiedy jest właściwy moment?

Smuga cienia

Teraz jestem sama, mieszkam z trzema kotami. Rozstanie z Violą było dla mnie straszną traumą, mimo, że to ja zerwałam ten związek. Zakochałam się w innej kobiecie.

To był trudny rok - straciłam pracę (firma, w której pracowałam, rozwiązała się), mój ojciec chorował. Viola jako partnerka miała mnóstwo zalet, które doceniłam dopiero jakiś czas po rozstaniu. Wtedy czułam tylko, że skapcianialiśmy, że pojawiły się nuda, rutyna. Zaczęłam szukać wsparcia, świeżych ekscytujących przeżyć. Potrzebowałam ich.

Viola zauważyła, że coś się ze mną dzieje, robiła jakieś próby naprawiania naszego związku, ale ja byłam w amoku. Teraz rozumiem, dlaczego niektórzy ludzie oszukują swoich partnerów - chcą sprawdzić, czy nowe uczucie to coś, co się zaraz może wyczerpać i skończyć, czy to miłość życia. Udawanie, żeby przeczekać i przekonać się, jest paśkudne, ale rozumiem, że ludzie świadomie wybierają taką strategię.

Tak więc zakochałam się w dziewczynie młodszej ode mnie o 17 lat i postanowiłam spróbować wszystkiego od początku.

Viola wyprowadziła się z naszego wspólnego mieszkania, wyszła z niego tak, jak stała. Co jakiś czas pojawiała się, zabierała coś do ubrania i zniknęła. Znienawidziła to mieszkanie. Zostawiła wszystko - w tym koty, odcięła się całkowicie, nie wzięła niczego. Po jakimś czasie, kiedy emocje opadły, podzieliliśmy się tylko zdjęciami z albumów. Zostawiła mi też auto. Wkrótce po tym wszystkim związała się z inną

kobietą, stworzyły bardzo udany związek.

Mnie się nie udało. Moja nowa partnerka nie mieszkała w Krakowie. Odległość, trudności na rynku pracy (ze względu na pracę nie zmienia się teraz tak łatwo miejsca zamieszkania) i różnice charakterologiczne sprawiły, że nic z tego nie wyszło. Przeżyliśmy wybuch namiętności, ale niewiele więcej nas łączyło. Ja już nie byłam zainteresowana bieganiem po klubach, życiem towarzyskim. Ona bardzo się koncentrowała na swoim życiu zawodowym - dyżury, zwariowane godziny pracy. No i budowałam ten związek z poczuciem winy za wyrządzoną Violi krzywdę. To się nie mogło udać.

Za późno zdałam sobie sprawę, że chociaż po wielu latach życia razem nie ma między ludźmi ekscytacji, ale za to jest wspólny dom, trwały związek, warto to cenić. Obie z Violą byłyśmy przekonane, że będziemy ze sobą zawsze. Może zgubiła mnie zwyczajność tego przekonania, jego oczywistość. Zamiast coś zmienić w sobie lub w relacji z Violą, zmieniałam partnerkę. Właściwie żałuję tego do dziś. Pewnie wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby zdarzyła nam się wielka, gwałtowna, gorąca miłość. Ale nasza taka nie była. Kiedy poznałyśmy się z Violą, była (w tamtej grupie kobiet i w tamtych czasach) jedyną lesbijką, z którą mogłam coś zbudować - łączyły nas zbieżność poglądów, podobny wiek. Nie było namiętności, szaleńczego zakochania, a ja po prostu za tym tęskniłam, zawsze chciałam to przeżyć. Teraz po części jestem już rozleniwiona, nie chce mi się nikogo szukać, brak mi wiary. Nawiązałam jakieś znajomości przez Internet, ale wszystkie wydały mi się płytkie i nie rokujące na przyszłość.

Nie wszyscy jesteśmy jak Romeo i Julia czy Gertruda Stein i Alicja B. Toklas, nie wszystkim jest to dane. Ale wiem, że miłość całkowicie zmienia życie, daje siłę do wszystkiego.

„To wy jesteście te Safy?”

Wszyscy mówią: *Duża Gosia i Mała Gosia. Mała jest młodsza i rzeczywiście mniejsza, a poza tym Dużej jest więcej w towarzystwie, bo kocha gadać. Twierdzą, że są jako para namacalnym dziedzictwem krakowskiej grupy Safo (tam się poznały). Kiedy pod koniec lat 90. spotkania Safo wygasły, współtworzyły Labrys (grupę dla lesbijek, która także już przeszła do historii). Mieszkają w Krakowie (razem z kotką o imieniu Fela), w tym roku obchodziły 8. rocznicę swojego związku.*

Anna Laszuk: *Zacznę z grubej rury, jeśli można. Jaki był najtrudniejszy okres w Waszym długoletnim związku?*

Mała: Kiedy Gosia pisała doktorat z filozofii. Szczerze mówiąc, było ciężko.

Duża: Spytaj jakąkolwiek żonę i jakiegokolwiek męża, jaka jest atmosfera w domu, kiedy jedno z nich pisze doktorat, obojętnie na jaki temat. Potworna praca! Ten doktorat zmęczył mnie, Gosię, rodzinę, znajomych i wszystkich naokoło. Odkąd skończyłam, zachowuję się w miarę normalnie.

A.L.: *Może pisałaś o czymś strasznym?*

Duża: Poniekąd masz rację. Wysłałam z założenia, że trzeba poznać poglądy ideowego wroga - napisałam doktorat o facecie, który był konserwatystą i narodowcem, a mówiąc wprost: antysemitą i ksenofobem. Teraz jest bożyszczem LPR-u oraz Młodzieży Wszechpolskiej, a Maciej Giertych jest jego apologetą. Poza tym tworzył dość interesującą teorię kultury. Był na przykład zdania, że w sądach jako podstawa prawodawstwa powinien obowiązywać dekalog, a w urzędach nie powinni pracować Żydzi, bo pochodzą z innej, obcej nam cywilizacji.

A.L.: *Wniosłaś własny wkład do tej twórczej myśli?*

Duża: Mój komentarz, aczkolwiek stonowany ze względu na akademicki charakter pracy, znajduje się w jej ostatnim rozdziale. Mówiąc dosadnie: po tym wszystkim wiem, jak myśli zakuty łeb. Oczywiście z perspektywy czasu konkluzja jest jasna - warto było się męczyć. Pracuję na uczelni, uwielbiam zajęcia ze studentami. Z ocen, jakie wystawiają mi w ankietach pod koniec roku akademickiego, wynika, że z wzajemnością.

Mała: Wszyscy byliśmy bardzo szczęśliwi, kiedy Gosia się obroniła.

Duża: Mój kochany tata powiedział wprost, że ponieważ nie doczeka

się mojego ślubu, przynajmniej będzie fetował ten doktorat.

A.L.: *Czyli brak męża i ślubu jest w twojej rodzinie bolesnym tematem?*

Mała: Rodzice Goški zachowują się wobec nas bardzo w porządku, ale chyba mają sporo oporów natury społecznej, ze względu na innych ludzi.

Duża: Rodzice przeżyli mój coming out bardzo ciężko, chociaż naprawdę się starali. Przeszli długą wewnętrzną drogę.

A.L.: *A jaka była wasza droga? Kiedy nastąpił moment, w którym zaczęłyście się definiować jako lesbijki?*

Duża: Ja dość długo zdobywałam świadomość, kim jestem. Po tym, jak przyjechałam do Krakowa na studia, czaiłam się przez 4 lata, nie umiając się przyznać do pewnych rzeczy przed sobą. W końcu, cała roztrzęsiona, poszłam do pewnej pani psycholog, żeby mi wszystko powyjaśniała. Trafiłam na wspaniałą osobę. Nerwy mi puszczały, rzeczywistość wirowała, a ona tłumaczyła spokojnie: „To, co pani robi, jest ciągnięciem pustego wózka pod górę! Proszę wykonać jakieś ruchy, proszę coś zrobić”. Ale zrobienie czegokolwiek było dla mnie bardzo trudne, więc tylko rozglądałam się tęsknie za kobietami na ulicy.

Przetłumaczyłam kiedyś na język polski fragment książki Ann Bannon. Ona pisała w latach 50. (pod pseudonimem) takie typowe *pulp fiction* dla lesbijek i udało się jej skonstruować archetypiczne postacie lesbijskie (jak na przykład Bippo Brinker i Laura), które rzutowały potem na całą literaturę tego rodzaju. Pamiętam taki epizod z życia wspomnianej Laury, oddający w pełni moją ówczesną sytuację psychiczną. Otóż Laura zakochała się w swojej współlokatorce, ale nie potrafiła w żaden sposób jej o tym powiedzieć. Tamta wiedziała tylko tyle, że Laura cierpi z powodu nieszczęśliwej miłości, więc wypytywała ją ciągle: „Jaki ON jest?” Ale ponieważ to nie był ON (a w dodatku podkochiwała się właśnie w niej), Laura czuła, że absolutnie nie może powiedzieć prawdy o sobie. Jest tam scena, kiedy Laura idzie ulicą i wszędzie widzi kobiety. Wszystkie są dla niej atrakcyjne ze swojej kobiecej zasady: wysokie, niskie, grube, chude, blondynki, brunetki - wszystkie! I prawie mdleje z wrażenia, że tych kobiet jest tyle naokoło, a żadna nie należy do niej.

A.L.: *Co przerwało ten tragiczny stan w twoim wypadku?*

Duża: Trafiłam na trop krakowskiej grupy Safo. Tam się z Gosią poznałyśmy w 1997 roku. Każdą z nas powodowała chęć zysku: chciały-

śmy poznać inne lesbijki w warunkach odmiennych niż knajpiano-piwnie. Tak się złożyło, że zaczęłyśmy przychodzić na te spotkania mniej więcej w tym samym czasie, poznałyśmy tam również większość naszych przyjaciół.

Mała: Ja też nie miałam wcześniej kontaktu z tak zwanym środowiskiem (poza tym, że moja najbliższa koleżanka była lesbijką, razem się trzymałyśmy). Pamiętam taki śmieszny moment, kiedy zdecydowałam się zadzwonić do Safo: telefon odebrała któraś z dziewczyn i powiedziała „Przepraszam, ale właśnie jesteśmy z kotkami u weterynarza, czy możesz zadzwonić później?” A ja się przez pół godziny zbierałam na odwagę, żeby w ogóle wykręcić numer!

Gosię bardzo dobrze zapamiętałam, bo miała tak zwane mocne wejście. Stała w drzwiach i spytała „To wy jesteście te Safo?”

Duża: Potem Gosia poderwała mnie na zapalniczkę, co zaowocowało wspólnymi spacerkami, różami i wszystkim innym. Co ciekawe, wszyscy byli bardzo zdziwieni, że zostałyśmy parą. Mijał rok, drugi, trzeci, i ciągle słyszałyśmy głosy: „To wy jeszcze jesteście razem?” Podobno z jakichś tajemniczych powodów nie pasujemy do siebie.

A.L.: Na przykład z jakich?

Duża: Nasz związek traktowano sceptycznie, bo kiedy powstał, ja byłam już na studiach doktoranckich, a Gosia właśnie szykowała się do matury. Moi heteroseksualni znajomi twierdzili, że tak duża różnica wieku między nami jest niesmaczna. Sądziли, że poderwałam sobie dzierlatkę-utrzymankę, czy kogoś w tym rodzaju. W dodatku Gosia zawsze wyglądała na młodszą, niż była w rzeczywistości. To, na ile przyjaciele są w stanie przyjąć taką informację normalnie, jest niezłym testem przyjaźni, można się czasami boleśnie rozczarować. Spośród moich przyjaciół jedni przeszli test pozytywnie, inni nie.

Mała: Wydaje mi się, że niektórzy znajomi Gośki nie zaakceptowali mnie po prostu jako osoby. Potem, z biegiem lat, to się zmieniało. Niedawno nawet para naszych przyjaciół, która na początku nie akceptowała naszego związku, zostawiła nam pod opieką swoje dziecko. Byłyśmy przez jeden wieczór baby-sitterkami.

A.L.: Bez wątplenia to dowód zaufania. Jak wam poszło?

Duża: Nie mogłyśmy małej zmusić do spania. Czytałyśmy książeczki, opowiadałyśmy bajeczki, pokazywałyśmy samochodziki - sama już zasypiałam, a ona nic! Nikt nam nie powiedział, czego jej potrzeba, żeby zasnęła, aż w końcu mała, wyginając buzię w podkówkę, oznajmi-

ła: „Ja bym chciała, żeby tu był tatuś i żeby się z mną położył”. Zagadka została rozwiązana: trzeba było położyć się obok i kropka.

A.L.: *Skoro mowa o dziecku - myślałyście o tym, żeby wychowywać własne?*

Duża: Odkąd wzięłam udział w pewnej audycji radiowej, mam coś w rodzaju traumy na ten temat. Ale poza tym - owszem, najchętniej założyłybyśmy rodzinny dom dziecka. Z tym, że tutaj to niemożliwe. Może w Hiszpanii.

A.L.: *A na czym polegała tamta radiowa trauma?*

Duża: Wszystko szło pięknie do momentu, gdy prowadząca program powiedziała, że w Wielkiej Brytanii wybuchła właśnie afera obyczajowa, ponieważ lesbijki kupują nasienie i tą drogą uzyskują dzieci. Natychmiast uruchomili się oburzeni słuchacze. Jedna pani cytowała Biblię, inna mówiła o końcu ludzkości, który niechybnie nastąpi, kiedy homoseksualiści będą wychowywać dzieci. Zrobiło się bardzo niefajnie. Naprawdę, do tamtego momentu nie miałam świadomości, że rodzicielstwo osób homoseksualnych jest aż tak drażliwym tematem, że wzbudza tyle agresji. My z Gosią sprawdziłybyśmy się w roli matek świetnie, jestem pewna.

Mała: Na razie zdobywamy doświadczenie przy mojej młodszej siostrze. I regularnie oglądamy telenowelę „Kochaj mnie”. Najchętniej pozabierałybyśmy te wszystkie opuszczone dzieciaki do siebie.

Duża: Jak patrzymy na „naturalne” i „święte” heteroseksualne rodziny, które krzywdzą własne dzieci, mamy ochotę wyrzucić telewizor przez okno. Dla mnie jest rzeczą racjonalną, że sytuacja, w której dziecko jest tak bardzo chciane i wyczekiwane przez parę lesbijek czy gejów, jest dla niego lepsza od tej, kiedy jest niechciane i traktowane źle.

A.L.: *W którym momencie dokonałyście coming outu we własnych rodzinach?*

Duża: Chyba nie ma dobrego momentu na coming out, każdy wydaje się niewłaściwy. Pamiętam taką książkę z dwiema wisienkami na okładce, *Ujawnij się*, którą napisał amerykański psycholog. Twierdził w niej, że największym błędem, jaki popełniamy, jest chęć powiedzenia wszystkiego za jednym zamachem i przerwania na rodziców w jednym momencie całego tego ciężaru, który nosiliśmy latami. Ale ja oczywiście ten błąd popełniłam.

Mój coming out przed mamą nastąpił na zimowym wyjeździe syl-

westrowym (z Gosią i innymi dziewczynami z Safo). Złamałam nogę jeżdżąc w Małym Cichym na sankach, a moja mama, bardzo przejęta tym nieszczęściem, przyjechała mnie pielęgnować. I ja właśnie wtedy postanowiłam jej wyjawić całą prawdę. Pamiętam, jak leżąc w łóżku wzięłam głęboki oddech i wypaliłam pompatycznie: „Mamo, chciałam powiedzieć ci coś bardzo ważnego, mam nadzieję że nie zmienisz o mnie zdania jako o człowieku...”, na co ona, z wielką troską i przejęciem, odpowiedziała pytaniem: „On jest żonaty...?”

A.L.: Prawie jak w historii Laury: „Jaki ON jest?”. W ogóle nie wpadła na właściwy trop?

Duża: Oczywiście domyślała się prawdy, ale nie dopuszczała jej do siebie. Bardzo ciężko to przeżyła. Poznała wtedy Gosię, niby było miło, nawet gotowałyśmy razem obiadki, ale widziałam, że po kątach popłakiwała. Na szczęście bardzo pozytywne wrażenie zrobił na niej długoletni związek liderek Safo, które również tam były. A potem wróciła z tym całym ciężarem do domu i tak się nieszczęśliwie złożyło, że nowiny na mój temat zbiegły się w czasie ze śmiercią najlepszego przyjaciela mojego taty. Tata nie wytrzymał nadmiaru wrażeń, co skończyło się dla niego atakiem serca. Kiedy poszedł do lekarza i usłyszał: „Pan musiał mieć ostatnio mnóstwo stresów”, pierwszej napotkanej osobie, czyli profesorowi kardiologii, wypalił: „Bo wie pan, moja córka jest lesbijką!”

Prowadziliśmy później długie i dramatyczne rozmowy. Dla mnie to wszystko - po spotkaniach z panią psycholog, odkryciu Safo i poznaniu Gosi - nie było już takie śmiertelnie poważne, ale dla nich tak.

A.L.: I jak sobie poradzili?

Duża: Poszli do psychologa, mieli ciągle poczucie winy (jak większość rodziców osób homoseksualnych), tropili błąd, który ich zdaniem na pewno musieli popełnić. Psycholog tłumaczyła, że homoseksualizm nie jest kwestią błędów wychowawczych, że niczego nie zrobili źle, tylko prawdopodobnie już na etapie ciąży wszystko ukształtowało się tak, a nie inaczej. Tata jednak długo nie mógł tego przyswoić i przy którejś z rzędu rozmowie powiedział mi: „Słuchaj, ja już wszystko wiem. To jest nasza wina, myśmy cię skrzywdzili w życiu płodowym!” Przy całym dramatyzmie sytuacji miało to wymiar komiczny.

W każdym razie oni bardzo się starali. Z czasem zaakceptowali Gosię, jeździmy do nich na działkę, dzwoniemy do siebie. Dużą rolę odegrał w tym wszystkim mój brat. Kiedy poinformowałam go - jako pierwszego

- o swojej kondycji seksualnej, odpowiedział: „Wiedziałem, że mamy ze sobą coś wspólnego!” Chodziło oczywiście o zainteresowanie kobietami. Bardzo pomógł rodzicom w miękkim lądowaniu. Brat traktuje nasz związek całkiem naturalnie i wszystkich swoich znajomych informuje, że jesteśmy razem. Wiele wsparcia dali rodzicom ich znajomi, którzy podawali różne pozytywne przykłady znanych sobie osób homoseksualnych. Mama potem serwowała mi wszystkie te opowieści: „A wiesz, Krysia mi powiedziała, że ma takiego znajomego i on jest w porządku!” Wykonali bardzo ciężką pracę, ani przez chwilę nie czułam się odrzucona.

Myślę, że o ile funkcjonują teraz w większych miastach grupy wsparcia dla lesbijek i gejów, spełniając fenomenalną rolę, to bardzo brakuje podobnych grup dla rodziców. Chociaż, z drugiej strony, ja rozumiem ich obawy przed wychodzeniem na zewnątrz z tego typu problemami.

A.L.: Twoje relacje z rodzicami przed ujawnieniem się były dobre?

Duża: Bardzo dobre. Zawsze dużo rozmawialiśmy, mieliśmy bardzo dobry kontakt. Szczególnie duża przemiana dokonała się w moim tacie, który nawet uwewnętrznił polityczną poprawność. On naprawdę czuje, o co w tym chodzi! Na przykład przyszedł kiedyś do mnie i pyta (bardzo poważnym tonem): „Dziecko... jak ja mam reagować, kiedy moi koledzy opowiadają kawały o gejach?” (muszę zaznaczyć, że wśród jego kolegów z pracy jest sporo prostych ludzi i sam fakt, że powiedział „o gejach”, a nie „o pedałach”, zrobił na mnie wrażenie). I dodał: „Wiesz, te kawały są czasem takie brutalne, okropne!” Bardzo to przeżywał. Nie mógł też zrozumieć, dlaczego my o naszym przyjacielu mówimy „pedał”, a nie „gej”. Wy tłumaczyłam mu, że nam wolno (jako przyjaciółkom i lesbijkom). On natomiast czuł, że jemu czy innym - nie wolno.

Kiedy indziej mi się zwierzył: „Byliśmy z mamą na sylwestrze w klubie sportowym. Wyobraź sobie, że tam były takie dwie panie, wcale niemłode, które tańczyły ze sobą”. Bardzo się zaangażował w rozumienie rzeczy, których wcześniej w ogóle nie dostrzegał. Obojgu rodzicom otworzył się jakby nowy świat, nowa rzeczywistość, zupełnie inaczej teraz patrzą na ludzi.

A.L.: A jak jest w twojej rodzinie?

Mała: Mama nie mieszkała z nami od dawna, nie mam z nią kontaktu. A mój ojciec jest supergościem. Przyjeżdża do nas na obiady, spotykamy się często, ostatnio zreperował nam rowery. Nie było między nami żadnych rozmów, ujawniania się, ale on doskonale wie, że jestem

z Gosią w związku, akceptuje to. Mam jeszcze dwunastoletnią siostrę (mieszka z tatą), zabieramy ją na różne wyjazdy. Trzeba przyznać, że jest o Gosię bardzo zazdrosna!

Duża: Chyba musimy ją pomału wprowadzić w temat. Lepiej, żeby się dowiedziała od nas, niż od koleżanek z podwórka. Traktuje normalnie fakt, że mieszkamy razem czy że śpimy w jednym łóżku. Kiedyś się pilnowaliśmy strasznie, żeby nie mówić do siebie „kochanie” w jej obecności, ale teraz już zachowujemy się spontanicznie.

Mała: Ona chyba dobrze wie, o co chodzi. W każdym razie rozumie, co znaczy słowo „gej”, bo sama jej to wyjaśniałam (usłyszała je w jakimś filmie).

A.L.: Wróćmy do czasów, kiedy grupa Safo się rozpadła. Dziewczyny tak po prostu przyjęły to do wiadomości i przestały się spotykać?

Duża: Safo przekształciła się w inną grupę, w czym miałyśmy swój aktywny udział. Powstał Labrys, było tam więcej dziewczyn młodych, nastąpiła pokoleniowa zmiana warty. Przez pierwsze 2 lata Labrys funkcjonował całkiem nieźle. W prasie figurowała informacja o spotkaniach, czasem okraszona moim numerem telefonu (innego nie było), co rodziło śmieszne sytuacje - na przykład kiedyś zadzwoniła do mnie koleżanka i mówi: „Gośka, twój telefon jest w encyklopedii zdrowia!”

Niestety, żadna z nas nie była przygotowana na to, żeby kierować organizacją, być liderką z prawdziwego zdarzenia. Bardziej to przypominało nieformalną grupę niż organizację. Zdarzało się, że przychodziły do nas dziewczyny w bardzo trudnej sytuacji życiowej, zagubione, którym nie umiałyśmy pomóc ze względu na brak przygotowania psychologicznego. Kończyło się na tym, że jeśli umiały wpasować się w grupę, to dobrze, jeśli nie - odpadały. Przyszła do mnie kiedyś taka dziewczyna, poprosiła o rozmowę i prosto z mostu zakomunikowała, że jeśli ja jej teraz nie wskażę światelka w tunelu, to ona się zabije i kropka. Co mogłam jej powiedzieć poza radą: „Pójdź do psychologa”? A ona z żadnym psychologiem rozmawiać nie chciała. Trochę pogadałyśmy, przyszła na jedno czy drugie spotkanie, ale niestety nie udało się jej zintegrować z grupą. W dodatku miała trudną - delikatnie mówiąc - matkę, z którą Labrys miał same kłopoty. Pewnego razu doniosła na policję, że jej córka spotyka się z jakąś sektą. Nie mam pojęcia, co się stało z tą dziewczyną. Żalowałam potem wiele razy, że nie miałyśmy możliwości pomagania takim osobom.

Za to sporo działałyśmy na polu kultury, wysoko i nisko rozumianej. Stworzyłyśmy bibliotekę, która zalega teraz w mojej szafie i czeka

na lepsze czasy, organizowaliśmy projekcje filmów, jeździliśmy na wycieczki, uprawialiśmy sporty. Z czasem skręciło to w stronę towarzystwa wzajemnej adoracji, bo przychodziło też sporo kobiet w jasno określonym celu matrymonialnym (Nie ma co ukrywać, że często takie grupy są traktowane jako jedyna okazja poznania osoby tej samej orientacji. Ma to zresztą swoje dobre i złe strony.) W końcu Labrys się rozpadł, co się zbiegło z obroną mojej pracy doktorskiej. Przyczynił się do tego brak lokalu, może też zjawisko zmęczenia materiału.

Ale ponieważ nic w przyrodzie nie ginie, niedługo później urodził się w Krakowie oddział Kampanii Przeciw Homofobii. Kibicujemy KPH, tak samo krakowskiej Lambdzie, tyle że już na odległość.

A.L.: *Nie macie ochoty się angażować?*

Duża: Pochłonęły nas sprawy naukowe i inne, związane z pracą, mieszkaniem. Wprawdzie nie czuję psychicznej potrzeby pisania habilitacji, ale wiem, że na uczelni się tego ode mnie oczekuje i prawdopodobnie będę musiała się za to zabrać.

Mała: Aż strach pomyśleć, jaką imprezę wyprawi wtedy twój tata!

Duża: Bardzo chętnie zajęłabym się tłumaczeniem literatury lesbijskiej, która nie ujrzała u nas póki co światła dziennego, ale po męce doktoratu brakuje mi do tego samozaparcia. W Polsce potrzeba nam wszystkiego - począwszy od seriali, w których pojawiałyby się lesbijki z krwi i kości, poprzez czytała o lesbijskich, na literaturze ambitnej skończywszy. Istnieją - zupełnie u nas nieznanne - opowiadania amerykańskich lesbijskich, jest wspomniana Ann Bannon czy Dorothy Allison. Można by zrobić z tego porządną antologię. I przydałaby się reedycja *Studni samotności* Radclyffe Hall, przetłumaczonej w zamierzonych czasach przez Krzywicką.

A.L.: *Zauważyłam, że polska literatura lesbijska raczej nie kwitnie.*

Duża: Poza Ewą Schilling właściwie nie ma o czym mówić. Chociaż warto na przykład wydobyć z zapomnienia Narcyzę Żmichowską i jej wiersz miłosny *Do niej*. Wiem, to trochę za mało. Przeczytałyśmy ostatnio *Dziennik lesbijski* Okoniewskiej, ale niestety...

Mała: Uff... ja wolę Sarah Waters.

Duża: Polska Waters jeszcze się chyba nie urodziła. Niecierpliwie na nią czekamy.

A.L.: *A biblioteczkę Labrysa wywieziecie do Hiszpanii?*

Duża: Mam nadzieję, że przyda się jeszcze na coś tutaj. Wizja Hi-

szpanii jest naszym wentylem bezpieczeństwa, podobnie jak wcześniej Szwecja i Holandia. Miło jest marzyć o rzeczywistości, w której można żyć normalnie, tutaj wydaje się to nierealne. Hiszpania jest dla mnie wielką otuchą. Kraj o tak katolickich fundamentach, który przyjął bardzo przyjazne dla homoseksualistów rozwiązania prawne. Jestem bardzo rozczarowana naszymi partiami politycznymi, które deklarują się jako lewicowe czy równościowe, a więcej gadają niż robią. Albo traktują nasze sprawy instrumentalnie. Pamiętam, że kiedy kilka lat temu zakładałyśmy Labrys, zaczęła do nas przychodzić dziewczyna, która głosiła, iż jest „z ramienia” młodzieżówki SLD. Dosłownie takiego wyrażenia użyła: „z ramienia”, dając nam do zrozumienia, że jakbyśmy się zapisały do SLD, to dostałybyśmy lokal i inne dobra. Mnie się ta próba politycznego handlu potwornie nie spodobała. Uważam, że wszystkie pozarządowe organizacje powinny działać poza układami politycznymi, co nie znaczy, że nie należy u polityków szukać poparcia. To w końcu dzięki profesor Szyszkowskiej ustawa o związkach partnerskich przeszła w senacie.

Fascynujące, że w Polsce jest tak ogromna liczba gejów i lesbijek (jest ich więcej niż górników i pielęgniarek razem wziętych), a nie potrafią niczego dla siebie wywalczyć. Powinniśmy nękać polityków każdego dnia - dzwonić, chodzić do biur poselskich i pytać: „A co pan/pani zrobił/zrobiła w kwestii naszych praw?” Oni powinni wreszcie poczuć, że ludziom na tym zależy i że nie odpuszczą. Wierzę, że jeśli będą rosły siłę w organizacje pozarządowe LGBT, ta siła przełoży się wreszcie na politykę. Tak jest we wszystkich demokracjach.

Jak dorosnę, to sobie taki domek zrobię...

Viola (47 lat) jest nauczycielką z dwudziestoletnim stażem, uczy w technikum przedmiotów zawodowych. Danuta, o kilka lat młodsza, pracuje w prywatnej firmie. Od niedawna mieszkają na wsi (razem z mamą Danusi i gromadą zwierzaków), w domu, który zbudowały z pomocą górali ściągniętych z Czorsztyna.

Anna Laszuk: *Zanim mi opowiecie, jak wybudowałyście ten piękny dom, chcę usłyszeć, co było przedtem. Jak się poznałyście?*

Danusia: W Krakowie, na kobiecych spotkaniach Safo.

Viola: Które organizowałam razem z Romą, moją ówczesną partnerką.

Danusia: Ja też byłam jeszcze wtedy związana z inną kobietą. Ale potem nam się życie pomieszało i któregoś dnia Viola przyszła do mnie z jedną torbą. Akurat to był dzień moich urodzin, a ona spytała, czy może zostać na jakiś czas.

Viola: Nie wytrzymałam wtedy psychicznie rozstawania się z Romą, więc postanowiłam wyprowadzić się z domu i przeczekać to wszystko. A że z Danusią złapałyśmy wcześniej bliższy kontakt, zapytałam, czy mogłabym u niej przez miesiąc pomieszkać. Bez żadnych podtekstów, bo w tamtym krytycznym momencie kobiety nie robiły na mnie żadnego wrażenia. No i pomieszkałam przez miesiąc, potem dłużej, aż to pomieszkiwanie skończyło się budową naszego domu.

Danusia: Zawsze mówię, że Wiołę w prezencie dostałam. Sama przyszła, zadzwoniła do drzwi i powiedziała „Oto ja!”

A.L.: *Ile lat minęło od tamtych urodzin?*

Danusia: Siedem, to się wydarzyło się w 1999 roku.

Viola: Tamten okres był dla mnie bardzo trudny - jedno uczucie jeszcze nie wygasło, drugie już się pojawiło, straszna huśtawka.

A.L.: *A jeszcze wcześniej, z tego co wiem, byłaś mężatką?*

Viola: No tak, ja dość długo nie zdawałam sobie sprawy, że można być, żyć i mieszkać z kobietą. Byłam mężatką 10 lat, nie mieliśmy dzieci. Rozstaliśmy się po kilku latach separacji, kiedy już byłam związana z Romą. Mój mąż nie wierzył, że jestem w stanie od niego odejść, chociaż mówiłam mu, że jak spotkam dziewczynę, która będzie mi odpowiadała, to odejdę. Facet nie przyjmuje takich rzeczy do wiadomości.

mości. Przychodziły mu do głowy fantazje, że będziemy może w jakimś trójkącie, ale nie sądził że zostanie sam. Moje odejście było szokiem dla niego. I dla mojej rodziny, bo on był przecież taki miły, opiekuńczy, bez nałogów. Tyle, że dla mnie miał jedną podstawową wadę: nie był kobietą.

Byliśmy przez parę lat w nieformalnej separacji, nie mieszkając razem, a potem zdecydowaliśmy się na rozwód.

Danusia: Wtedy już się znałyśmy. Nie miałam pojęcia, że Viola jest mężatką. Spotkałyśmy się, spytałam co słyhać, a ona powiedziała, że właśnie się rozwiodła. Pomyślałam „Co jest grane?“, bo od 8 lat była związana z kobietą.

Viola: Myślę, że w moim pokoleniu wiele lesbijek przeszło taką drogę. Poznałam kiedyś starszą panią, koło siedemdziesiątki, która opowiadała mi, że odkryła w sobie pragnienie drugiej kobiety, kiedy już miała wnuki i pochowała męża. Mówiła: „Całe życie byłam tak nie do końca szczęśliwa i nie wiedziałam, o co chodzi. A ja po prostu byłam lesbijką!”

A.L.: *Jak odkryła, że właśnie tego jej brakowało?*

Viola: Będąc już po sześćdziesiątce poznała swoją przyjaciółkę, w której się zakochała. Poznałam je obie. Młodsze dziewczyny nawet nie zdają sobie sprawy, jak teraz mają łatwo. Ja miałam szczęście, bo dzięki swojemu uczniowi poznałam środowisko gejów i lesbijek w czasach głębokiego socjalizmu.

A.L.: *Ile miałaś wtedy lat?*

Viola: 28. Kiedy zaczęłam pracować w szkole, byłam młodą dziewczyną, niewiele starszą od swoich maturzystów. To były relacje inne od tych, które mam z uczniami teraz. Przebywaliśmy ze sobą po lekcjach, przyjaźniliśmy się. Ten chłopak w pewnym momencie zaczął mi o sobie opowiadać, okazało się, że mamy podobne dylematy. On teraz jest już panem trzydziestosześcioletnim, utrzymujemy kontakt do dziś. Gdyby nie ta przyjaźń, długo jeszcze bym nie wiedziała, że można inaczej żyć, że istnieje coś poza małżeństwem. On zaprowadził mnie do knajpy, gdzie spotykali się geje, i jak się okazało, także lesbijki, chociaż było ich mniej.

A.L.: *To było oficjalne miejsce takich spotkań?*

Viola: Oczywiście, że nie. Wtedy nie mówiło się głośno o homoseksualizmie. Pamiętam taką zabawną rzecz: w tamtych czasach były

na przystankach autobusowych tablice, na których ludzie naklejali rozmaite ogłoszenia, także towarzyskie. I kiedy na przykład czytałaś, że dwudziestopięcioletnia kobieta szuka przyjaciółki, to można było się domyślić, że nie chodzi o zwykłą przyjaźń.

A.L.: Danusiu, ty przeszłaś prostsza drogę?

Danusia: O wiele prościej. Nie miałam nigdy takiego pomysłu, żeby wyjść za mąż, zawsze wiedziałam, czego chcę. Chociaż panowie, których znałam, mieli wielką ochotę żenić się ze mną. Był taki okres w moim życiu, kiedy spotykałam się z chłopakami, ale nigdy nie wchodziłam z nimi w bliższe związki.. Zastanawiałam się głównie nad tym, dlaczego nic do nich nie czuję.

A.L.: Mieszka tu z wami twoja mama, która chyba wie, że jesteście parą?

Danusia: Oczywiście. Będąc mniej więcej po trzydziestce, powiedziałam mamie, że jestem lesbijką. A ona odpowiedziała, że naturalnie wie. Mogła się domyślać, bo od zawsze byłam z jakąś przyjaciółką. Kiedy więc mama usłyszała, że chcę zamieszkać z Violą, zaprosiła nas razem na obiad.

Viola: Nie pamiętam tego obiadu dokładnie, ale byłam lekko stremowana. Na szczęście mama Danusi mnie zaakceptowała. Ona jest bardzo pogodną osobą.

Danusia: Nawet gdyby było inaczej, i tak bym z tobą zamieszkała! W każdym razie, kiedy powiedziałam na jakimś spotkaniu rodzinnym, że będziemy z Violą budować dom, zapytałam już wtedy mamę, czy chce z nami zamieszkać. W pierwszym odruchu zareagowała: „No nie, mam wam chałupy pilnować?”

Viola: Nie wiedziała jeszcze, jaki ten dom ma być piękny i dopiero jak zobaczyła plany, to bardzo chciała tu z nami być.

A.L.: Bo tu rzeczywiście jest jak w bajce. Jak ją wyczarowałyście?

Viola: Zaczęło się od zabawy w remontowanie małego domku na działce.

Danusia: A tak naprawdę od budowy działkowego kibelka.

Viola: Którego brak bardzo nam doskwierał, kiedy przyjeżdżaliśmy tam na cały dzień. Postanowiłam przypomnieć sobie harcerskie czasy i pośród chaszczy wybudować latrynę.

Danusia: Wtedy się okazało, że potrafimy razem działać - przybić,

przyciąć i zbudować.

Viola: To prawda. I wzięliśmy się za działkowy domek, który robił koszmarnie wrażenie - tu farba odłaziła, tam deski się rozwalaly. Stwierdziłyśmy, że ocieplimy go styropianem, objemy płytami OSB z belkami, dobudowałyśmy nawet kamienną ścianę z dwoma kominkami - zewnętrznym i wewnętrznym.

A.L.: *Skąd wiedziałyście co i jak się robi?*

Viola: Z literatury.

Danusia: Nie, wtedy tylko oglądałyśmy taki program w telewizji, w niedzielne poranki, pamiętasz?

Viola: A, tak! „Złota rączka”, angielski program, w którym sympatyczni dwaj panowie pokazywali, co i jak zrobić. Mieli takie fajne spodnie na szelkach, więc kupiłyśmy sobie od razu takie same, i taki sam młotek! To byli profesjonaliści, ale w bardzo przystępny sposób potrafili wszystko przekazać.

Danusia: Chodziłyśmy też po składach budowlanych, zaczęłyśmy kupować „Majsterka”, który stał się naszym ulubionym czasopismem.

Viola: Nawiasem mówiąc kiedyś, w szkole, dostałam ankietę „Co czyta nauczyciel?” Wpisałam, zgodnie z prawdą, „Inaczej”, „Majsterka” i „Muratora”.

Kiedy zaczęłam przyjeżdżać do Danusi na działkę, denerwowało mnie, że jeszcze nie wiadomo, czy z tego wszystkiego coś poważnego wyniknie, a ona już mnie do roboty zaganiała - tu plewienie chwastów, tam jakieś remonty. Ale jak mi pokazała swoje narzędzia, to się całkiem zakochałam!

A.L.: *Na widok Danusi z młotkiem?*

Viola: I ze szlifierką, i z wyrzynarką. W ogóle nie potrafiłam się tym posługiwać, a ona potrafiła. Patrzyłam i myślałam: „O Boże, ja też tak chcę!” Z dzieciństwa pamiętam tylko warsztaty w podstawówce, to się nazywało chyba zajęcia praktyczno-techniczne, na których nam, dziewczynkom, kazali szyć jakieś koszarne koszule nocne z flaneli, a chłopcy mogli robić różne fajne rzeczy, na przykład majsterkować. Strasznie im tego zazdrościłam i uważałam, że te głupie wyszywaniki dziewczyńskie to jedna wielka niesprawiedliwość. U nas w szkole dziewczyny nie miały nawet dostępu do narzędzi.

Danusia: No coś ty? Ja będąc w podstawówce powiedziałam, że nie będę szyć fartuszka, i zrobiłam lampę. Wprawdzie wtedy prąd mnie

skopał, ale przynajmniej się dowiedziałam, że może kopnąć, jak się połączy oba druciki.

Viola: Mnie nie dano takiej szansy i byłam strasznie rozgoryczona. A w prezencie zawsze dostawałam lalki, a nie na przykład „Małego majsterka”, więc jak później, na działce, zobaczyłam oszałamiające narzędzia Danusi i ją samą w akcji, to się zakochałam!

Danusia: Teraz chodzimy razem na „kobiece zakupy”.

Viola: Do Obi, Castoramy albo Praktikera. Dostajemy w pracy przed świętami słynne bony czy talony, i kiedy potem moje koleżanki opowiadają, jaką sukienkę sobie kupiły, czy kosmetyki, to ja mówię, że mam nową szlifierkę albo kolejną wyrzynarkę. I takie są nasze damskie zakupy.

A.L.: *Danusiu, skąd się wzięły twoje pasje budowlano-konstruktor-
skie?*

Danusia: Prawdę mówiąc, nie wiem. Mój ojciec był majsterkowiczem z zamiłowania i ja z nim robiłam dużo rzeczy, na działce lub w domu. Nikt mi tego nie bronił, więc miałam okazję, żeby różnych rzeczy się nauczyć i wprawić się w używaniu narzędzi. Zresztą, jako dziecko dostawałam w prezencie taką drewnianą skrzynkę z narzędziami. A w czasach głębokiego socjalizmu, kiedy się na przykład kupowało meblościankę złożoną z czterech płyt, czterech szafek i niczego poza tym, to można było ciąć te elementy na kawałki, zmieniać, robić z pionowych ścianek poziome i tak dalej. Rodzice mi na to pozwalali i nie było problemu.

Viola: Ty w ogóle miałaś fajniejsze dzieciństwo. Mój tato był jedynym mężczyzną w całym babinie (wcześniej cała jego rodzina została zesłana na tereny byłego ZSRR) i wszystko w domu potrafił zrobić sam, miał do tego talent. Ale nie miał nowoczesnych narzędzi i mnie się to wszystko kojarzyło z jakimś wielkim trudem i mozolem. Dopiero Danusia mi pokazała, że można wszystko dość prosto zrobić, jak ma się odpowiednie narzędzia pod ręką.

A.L.: *Ale z budową domu tak prosto nie było?*

Danusia: Same nie dałybyśmy rady, dom był naszym dziełem jako koncepcja. A wykonanie należało do górali.

Viola: Do połowy, bo nie obyło się bez przygód.

A.L.: *Zaraz, zaraz... najpierw powiedzcie mi, dlaczego wynajęłyście akurat górali?*

Viola: Obie byłyśmy zgodne, że dom ma być drewniany. A najpięk-

niejsze drewniane domki są, jak wiadomo, w górach. Ja zawsze sobie żartowałam, od dziecka, że jak dorosnę, to sobie taki domek zrobię.

Danusia: No i górale byli świetni, wszystko szło sprawnie do momentu, w którym stanęła więźba.

A.L.: Przepraszam za głupie pytanie, ale co to jest więźba?

Danusia: Więźba to konstrukcja, na której opiera się cały dom. Jak jest więźba, to znaczy, że nastąpił przełomowy moment w budowie. A najwyższy punkt na dachu to wiecha, którą trzeba „podlać”, na szczęście. Więc kiedy była już więźba i wiecha, to zrobiliśmy dla całej ekipy grilla, oczywiście zakrapianego. Jak górale zaczęli świętować, to nie mogli przestać. Musiałyśmy się z nimi pożegnać, bo zbliżała się zima, a tu wszystko było w rozsypce. W końcu znalazłyśmy faceta, który stawiał domy drewniane na Syberii, i on ze swoim pomocnikiem dokończył dom przed Bożym Narodzeniem.

Viola: W morderczym tempie. Na święta zaprosiłyśmy tłum gości, całą rodzinę. Ostatecznie wszystko się udało, ale na ostatnią chwilę jeszcze skręcałyśmy meble, a w Wigilię zamarzła woda w rurach i wywaliło prąd.

A.L.: Powiedzcie mi, tak szczerze, ile razy się pokłóciłyście na śmierć i życie, zanim doszłyście z tym wszystkim do ładu?

Viola: W czasie świąt nie pamiętam, żebyśmy się kłóciły. Trzeba było działać i ratować sytuację. Także przez cały ten czas, odkąd zaczęła się historia z domem, nie było żadnych sporów o to, jak on ma być urządzony, jak ma wyglądać.

Danusia: Kryzys nastąpił, jak był już zbudowany, jakiś czas po świętach właśnie. Ciągłe było przy nim mnóstwo pracy, nie miałyśmy już na to wszystko siły. Zamiast planować wakacje, harowałyśmy bez końca. Przebywałyśmy ciągle razem i ciągle od siebie czegoś wymagałyśmy. W końcu miałyśmy dosyć tego domu i siebie nawzajem.

Viola: Do tego stopnia, że prawie się rozstałyśmy. Naprawdę. Przyszła zazdrość, kłótnie, pomysły, żeby sprzedać dom i z powrotem podzielić cały majątek. Każda z nas zaczęła szukać wrażeń na zewnątrz, nowych znajomości.

A.L.: I co was przy sobie zatrzymało?

Danusia: Zrozumiłyśmy, że trzeba zmienić coś w naszym związku, przeszłyśmy punkt krytyczny.

Viola: Ja uświadomiłam sobie, że im mocniej chciałam przytrzymać,

kontrolować Danusię, tym bardziej ona mi się wymykała. Po rozstaniu z Romą bardzo się bałam kolejnego zawodu, zranienia. Ale ostatecznie po tym wszystkim stałyśmy się bardziej otwarte, nabrałyśmy do siebie zaufania, odwiedza nas dużo ludzi.

Danusia: Między innymi Monika, moja była uczennica. Z nią się wiąże pewna historia.

A.L.: *Byłaś kiedyś nauczycielką?*

Danusia: Dawno temu uczyłam w podstawówce, zanim wyjechałam na parę lat za granicę w celach zarobkowych. W każdym razie miałam wtedy w starszych klasach zaprzyjaźnionych uczniów, a z Moniką utrzymywałam stały kontakt przez te wszystkie lata. Oczywiście nikt z nich nie wiedział o mojej orientacji. Któregoś dnia Monika zadzwoniła do mnie, prosząc o spotkanie. Poszłam, niczego nadzwyczajnego nie podejrzewając, i dowiedziałam się, że rozpoznała mnie na zdjęciu, które zamieściłam razem z ogłoszeniem na internetowej stronie lesbijskiej. To było właśnie wtedy, gdy przechodziłyśmy z Wiolą kryzysowy okres. Monika przez przypadek to ogłoszenie znalazła i jak zobaczyła moje zdjęcie, to podniosła wielki wrzask z radości. Porozmawiałyśmy sobie szczerze, okazało się, że ona też jest lesbijką, i podobno domyślała się czy przeczuwała, że ja również. Teraz jest całkiem dorosłą osobą, pracuje, odwiedzamy się.

A.L.: *Kiedy zaczynałam szukać bohaterek tej książki, dostałam sporo maili typu: „Dużo bym mogła pani opowiedzieć, ale jestem nauczycielką, boję się wystąpić w takiej książce nawet anonimowo”. Wiolu, ty uczysz w szkole od 20 lat. Obawiasz się, że ktoś stamtąd dowie się, że jesteś lesbijką?*

Viola: Ja nigdy nie mówiłam oficjalnie o swojej orientacji w szkole, ale też nie robiłam z tego tajemnicy. Kiedy opowiadałam o jakimś wyjeździe, pokazywałam zdjęcia w pokoju nauczycielskim, to było widać, że w tych wszystkich miejscach jestem z kobietą. Niektóre moje koleżanki ze szkoły, nauczycielki, przeszły już na emeryturę, przyjeżdżają tu do nas na wieś. A jeśli chodzi o taki pełen coming out, to obawiałabym się raczej problemów z uczniami. Najbardziej tego, że nie byłaby to informacja ode mnie, tylko z drugiej czy trzeciej ręki. Żaden nauczyciel nie jest lubiany przez wszystkich, pewnych rzeczy wymaga, co jednemu pasuje, drugiemu nie. Może na jakimś szkolnym murku pojawiłby się na przykład złośliwy napis.

A.L.: *O treści „Iksińska jest lesbijką”?*

Viola: Właśnie. Chociaż teraz mi przyszło do głowy, że mogłabym tam dopisać: „No i co z tego?”

A.L.: *Dobra odpowiedź. A jak jest tutaj, we wsi? Krążą jakieś plotki na wasz temat?*

Viola: Nie mam pojęcia. Od początku mówiłyśmy ludziom, że jesteśmy kuzynkami, bo oczywiście kiedy pojawia się tu ktoś nowy, wzbudza zainteresowanie. A jak dwie kobiety razem budują dom, to nie jest znowu takie powszechne. Z sąsiadami mamy bardzo dobre kontakty. Podejrzewamy też, że mamy we wsi „kolegę”.

A.L.: *Kolegę, jak to się mówi, „z branży”?*

Viola: Owszem. To taki samotnie żyjący pan, bardzo sympatyczny. Kupowałam od niego parę razy jajka, przy którymś spotkaniu rzucił aluzję, że „wie, o co chodzi”.

Danusia: Nam się tu bardzo dobrze żyje. Ludzie przyzwyczaili się do nas, są życzliwi, pomagamy sobie w różnych drobnych sprawach. Nie próbuję wmawiać sobie, że mieszkają tu anioły, ale po prostu jest normalnie.

A.L.: *Oglądaliście taki film „Gdyby ściany mogły mówić 2”?*

Viola: Nie przypominam sobie, chyba nie.

A.L.: *Nawiązuję do niego, bo jestem ciekawa, czy jako para zabezpieczyłyście się pod względem prawnym. Opowiada, między innymi, o parze starszych kobiet. Mieszkają razem przez długie lata, w domku, na który jedna z nich zaciągnęła kredyt (spłacały go wspólnie). W pewnym momencie jedna z nich niespodziewanie umiera. Jej rodzina, po pogrzebie, wkracza do tego domu i w sposób zupełnie dla siebie oczywisty zaczyna konfiskować rzeczy, traktować tę drugą kobietę jak lokatorkę, która ten dom powinna dość szybko opuścić i poszukać sobie nowego miejsca do życia. To bardzo smutna historia. Prawo spadkowe w Polsce przyznaje największe prawa rodzinie (nawet dość dalekim krewnym) i małżonkom. Nawet w przypadku spisania testamentu na korzyść kogoś innego, rodzina może testament kwestionować. Często skutecznie. Niestety, słyszałam o takich przypadkach.*

Viola: No tak, ja też znałam parę gejów, z których jeden zmarł i drugi miał takie kłopoty, o których mówisz. Został bez grosza, mimo, że razem dorabiali się mieszkania, majątku. My oczywiście ziemię kupowałyśmy na spółkę, formalnie wszystko ma status współwłasności, ziemia i dom. Zrobiliśmy w tej sprawie wszystko, co można, z prawnego

punktu widzenia. Nie wiem, czy to wystarczające zabezpieczenie, ale innego nie ma. Na ile znam moją rodzinę czy rodzinę Danusi, nie sądzę, żeby chcieli podważać naszą wolę.

Danusia: Często zastanawiamy się, kto po nas to wszystko odziedziczy. I mamy takie marzenie, żeby to był zawsze dom kobiet. W pewnym momencie wybierzemy chyba jakąś zaprzyjaźnioną parę kobiet, młodszych od nas, którym zapiszemy to wszystko. Chciałybyśmy zabezpieczyć sobie opiekę na stare lata i jednocześnie mieć świadomość, że ten dom po naszej śmierci będzie tętnił życiem, nie wpadnie w przypadkowe ręce. Włożyliśmy w niego całe serce.

Żona naszej Małgosi

Małe miasto w centralnej Polsce. Jedno z tych, o których mówi się „Polska B”. Kiedyś miałam w tym mieście przyjaciół, pamiętam, jak wyglądało kilkanaście lat temu. Krótko mówiąc: lepiej. Podobno teraz na wszystko brakuje pieniędzy. Z dziewczynami umawiam się przy dworcu, odbierają mnie stamtąd samochodem. Agnieszka (45 lat) od wielu lat jest dziennikarką lokalnego tygodnika, recenzuje poczynania samorządowej władzy i komentuje różne wydarzenia z życia miasta. Małgosia przeprowadziła się tu 12 lat temu, kiedy postanowiły wieść wspólne życie. Uczy języka polskiego w miejscowym liceum. Ma 37 lat. Na spotkanie zaprosiły mnie do swojego domu. Na półce regału widzę ich wspólne zdjęcie, zrobione w konwencji, w jakiej większość młodożeńców fotografuje się tuż po „cywilniaku”. Zwróciło moją uwagę, bo w tym czasie dużo dyskutowano (w senacie i w mediach) na temat ustawy o związkach partnerskich.

Agnieszka: Poznałyśmy się dawno, dawno temu na dworcu Łódź Fabryczna. Żeby było śmieszniej: przy kantorze wymiany walut. Ale umówiliśmy się na spotkanie korespondencyjnie, dzięki ogłoszeniu zamieszczonemu przez Małgosię w towarzyskiej rubryce gazety „TOP”. Nie była to bynajmniej gazeta „branżowa”, tylko typowa gazeta z ogłoszeniami wszelkiej maści: samochody, nieruchomości, handel wszelkim dobrem i ogłoszenia towarzyskie. „Pan szuka pani”, „pani - pana”, i wreszcie „pani szuka przyjaciółki”.

Małgosia: Dostałam dużo listów, zarówno od pań jak i - nie wiedzieć czemu - panów. Pamiętam list od dziewczyny, która napisała, że jej partnerka wyjechała za granicę, a ona sama ma męża i jest w ciąży - nadmiar atrakcji zawirował mi w głowie. Na tle tego wszystkiego list Agnieszki był bardzo sensowny, przeraził mnie tylko jej wiek - 30 lat. Pomyślałam: dojrzała kobieta! A ja wtedy takie dziecko, chociaż studentka. Nie była to era komórek ani tym bardziej Internetu. Agnieszka podała mi stacjonarny numer telefonu do pracy.

Agnieszka: Byłam wtedy na etapie pierwszych kroków w dziennikarskim zawodzie, bo wcześniej jako magister inżynier rolnik pracowałam w ośrodku postępu rolniczego. Tak się złożyło, że kiedy poczułam potrzebę większej zmiany w swoim życiu, w moim mieście akurat zakładano prywatną, niezależną gazetę. To jest moje miejsce do dziś.

Małgosia: I pod ten numer ja wtedy wydzwaniałam. Przez dłuższy

czas bez powodzenia, ciągle odbierali jacyś ludzie, którzy informowali mnie, że Agnieszka właśnie zbiera materiał do kolejnego artykułu i nie ma jej w redakcji. Za którymś razem powiedziałam sobie: ostatnia próba! Jeśli teraz nie odbierze, dam sobie spokój, biorę kolejny list do ręki i zaczynam działać. Los jednak chciał, że odebrała. A kiedy się wreszcie spotkałyśmy... może to wyda się zaskakujące, ale zachwytu nie było. Krótko mówiąc: nie zaiskrzyło.

Agnieszka: Dużo później Małgosia wyznała, że jej zdaniem wyglądałam, jakbym wyszła z poprawczaka, ze względu na moje krótko obcięte włosy. Z kolei ja w tamtym momencie zobaczyłam taką niedojrzałą osóbkę. I taki był nasz mało romantyczny początek. W każdym razie spod kantoru wyruszyłyśmy do herbaciarni, której teraz już nie ma. Szkoda...

Małgosia: Poszłyśmy na herbatkę, a ponieważ mieszkałam niedaleko, zaprosiłam Agnieszkę do domu. Posiedziałyśmy, pogadałyśmy, odprowadziłam ją na dworzec i pojechała. Chyba obydwie długo się zastanawiałyśmy, czy coś z tego będzie. Potem było wiele rozmów telefonicznych, następne spotkanie okazało się cieplejsze i następne...

Agnieszka: Tak naprawdę trochę to trwało, zanim zaangażowałyśmy się obie emocjonalnie. Seks to nie wszystko.

Nasze narzeczeństwo trwało 2 lata i po tym czasie spotykania się w różnych miejscach to tu, to tam, podjęłyśmy decyzję o poważnym związku. Kupiłam kawalerkę, razem się do niej wprowadziłyśmy.

Małgosia: W jakimś sensie ten początek był najtrudniejszy. Kiedy tu przyjechałam, byłam na ostatnim roku studiów, w trakcie pisania pracy magisterskiej. Od września poszłam do pracy, którą Agnieszka mi znalazła (przez te wszystkie lata uczę w tej samej szkole), ale przez kilka miesięcy byłam u niej na garnuszku. Mój tata stracił wtedy pracę, nie mógł dawać mi pieniędzy. Rodzice zresztą wywierali na mnie presję, żebym wróciła do domu. Było mi naprawdę ciężko - z jednej strony naciski z domu, a z drugiej poczucie braku euforii ze strony Agnieszki: „Hurrra, zamieszkamy w jednym pokoju!”

Agnieszka: No tak, byłam przyzwyczajona do niezależności i nagle ktoś pojawił się w moim domu. Ale moja dorosłość pomogła w układaniu tego wszystkiego. Gdybyśmy się poznały 10 lat wcześniej, w ogóle nie umiałabym pójść na pewne kompromisy. Rodziców postawiłam przed faktem dokonanym. Pomyślałam, że jeśli nie zaakceptują mojego wspólnego życia z Małgosią, to najwyżej nie będę się z nimi

kontaktować. Oni na pewno wiedzieli, kim jestem - po tym, jak żyłam wcześniej i jak się zachowywałam, chociaż nigdy nic nie zostało powiedziane wprost, do dziś nie doszło do żadnej szczerzej rozmowy na ten temat. Miłość rodzicielska potrafi jednak pokonać niechęć.

Małgosia: Rodzice Agnieszki od dawna traktują mnie jak członka rodziny, chociaż rzeczywiście żadnej rozmowy na drażliwe tematy nie było. W moim domu sytuacja wyglądała zupełnie inaczej, można powiedzieć: paradoksalnie inaczej. Moja mama była mężatką, ale czuła zawsze inklinację do kobiet. Kiedy miałam jakieś 12 lat, jej przyjaciółka, która pracowała w teatrze i była od mamy starsza o 13 lat, właściwie z nami zamieszkała. Mama, która wcześniej niezbyt o siebie dbała, nagle zaczęła się stroić, zakładać wysokie obcasy.

Przechodziłam wtedy różne ambiwalentne fazy: z jednej strony byłam zła z powodu całej sytuacji (tata bardzo moją mamę kochał), z drugiej świadoma uroku, który ta kobieta wniosła do naszego domu. Wysoka, szczupła, elegancka. Pojęłam, że dla mnie jest kimś w rodzaju cioci i ponieważ inne formy bliskości z nią były niemożliwe, czasami snułam wizje, jak opiekuję się nią na starość. Byłam nią szalenie zafascynowana, ale potrafiłam też trzasnąć drzwiami i krzyknąć, żeby się wynosiła.

Tak więc w odpowiednim momencie mama właściwie odczytała moje skłonności, co nieoczekiwanie okazało się problemem. Dla niej kłopot nie tkwił w tym, że wybrałam kobietę, ale że wybrałam Agnieszkę.

Agnieszka: To prawda, bardzo się nie lubimy.

Małgosia: Moja mama po prostu nie lubi ludzi. Mam wrażenie, że niezależnie od tego, z kim bym była, z mężczyzną czy z kobietą, ta osoba byłaby dla mamy najgorszym wrogiem. No, ale w tej chwili mam tylko mamę. Tata, z którym się lepiej dogadywałam, zmarł 4 lata temu. Pół roku temu zmarła owa przyjaciółka mamy, którą zresztą do końca się opiekowałam. Nie mam rodzeństwa. Są takie momenty w życiu, kiedy brakuje krewnych.

Agnieszka: Długo mnie ukrywałaś. Twoja babcia zmarła w świadomości, że mieszkasz w tym mieście z jakimś Piotrem.

Małgosia: Babcia była bardzo religijna, nie było sensu czegoś takiego mówić. Nawet przed mamą zmieniłam Agnieszce personalia - imię i adres - bo kiedy byłam w poprzednim związku, na różne sposoby mi groziła. Chciałam Agnieszkę ochronić. Mama nie była zrównoważoną osobą, a tata się po prostu do tych spraw nie mieszał.

Agnieszka: Na pewno nie było mu przyjemnie, że Małgosia jest z kobietą i w związku z tym nie zanosi się ani na męża, ani na dzieci. Ale chyba mnie lubił, mieliśmy ze sobą jakąś więź. Może czuł, że Małgosia jest ze mną bezpieczna, że to wszystko ma ręce i nogi.

Małgosia: Ja nie miałam od początku świadomości, że wolę kobiety. Uważałam się zawsze za taką grzeczną, przyzwoitą, skromną. Kiedy poszłam do szkoły średniej byłam nawet za skromna - takimi dziewczynami chłopcy się za bardzo nie interesują. Sama także tego zainteresowania nie szukałam. Pierwsze doświadczenie seksualne przeżyłam z kobietą, więc potem szukałam kobiety.

Agnieszka: A ja miałam chłopaka, i to niejednego! W tamtych czasach wszystkie dziewczyny miały chłopaków, więc miałam i ja. Prowadzałam się z nimi za rączkę. Niemniej uważam, że nic gorszego w życiu nie mogłoby mnie spotkać niż stosunek z mężczyzną. Chyba bym wylądowała w psychiatryku. Całowanie to co innego, owszem, pozwalałam na to, co nie oznacza, że odczuwałam przy tym jakąś przyjemność. Cudów nie ma.

Jako nastolatka czułam się pozostawiona samej sobie z problemem swojej odmienności, bo wtedy był to duży problem, choćby właśnie wyizolowania, niewiedzy. Temat nie pojawiał się w mediach, w rozmowach, co najwyżej w encyklopedii, i to w mało sympatyczny sposób. Odkryłam swoje preferencje w wieku mniej więcej 14 lat. Kiedy dziewczyny z klasy kochały się w chłopakach, ja przeżywałam platoniczną i zarazem namiętą miłość do pewnej piosenkarki. Zaowocowało to poczuciem inności i świadomością, że lepiej się tym nie chwalić przed otoczeniem. Czasy liceum wspominam jako bardzo trudne - człowiek przestaje być dzieckiem, zadaje sobie ważne pytania, potrzebuje rozmowy. Nie czułam potrzeby otwierania się przed mamą, ani kimkolwiek z rodziny, nie potrafiłam nawet z nikim ze znajomych porozmawiać, czasy były inne. Dopiero na ostatnim roku studiów podzieliłam się tajemnicą z koleżanką. Nie mogłam już poradzić sobie z tym totalnym zamknięciem. A potem? Byłam już poukładana, wiedziałam doskonale, czego chcę. „Leczenie” nigdy mnie nie interesowało. Teraz jest masa portali, czatów, za naszych czasów była pustka. Miałyśmy z Małgosią mnóstwo szczęścia, że się odnalazłyśmy.

Małgosia: Na początku naszego związku przetopiliśmy mój złoty pierścionek. Powstały z niego dwa, oczywiście nosimy je do tej pory. Nikt na te pierścionki specjalnie nie reagował, chociaż ja miałam taki okres, że jakoś go wstydliwie przekręcałam czy odwracałam.

Agnieszka: Małgosia uczy w trudnej szkole. Nawiasem mówiąc, jest troszkę hipokrytką, bo uczniowie doskonale wiedzą, o co chodzi, i co roku dają jej to do zrozumienia. Pewnego razu szłam przez targowisko i nagle, gdzieś z boku, doleciało do mnie zdanie: „O, idzie mąż naszej Małgosi!” Miałam na końcu języka: „Jeśli już, to żona, cha! cha!” Ale powstrzymałam się, ze względu na nią.

Małgosia: W tym roku zdarzyło się, że czytałam listę obecności w męskiej klasie. Tak się złożyło, że wielu uczniów tego dnia nie przyszło na lekcje. Wyraziłam swoje zdziwienie, na co jeden z chłopców udzielił wyjaśnienia: „Iksiński pojechał wziąć ślub ze swoim chłopakiem w Holandii, bo jak pani profesor wie, w Holandii dają śluby homoseksualistom”. No i poprowadziłam lekcję dalej, jak gdyby nic się nie stało. Nawet nie wywarło to na mnie wrażenie, co znaczy, że jestem już nieco uodporniona.

Agnieszka: A ja bym z nimi na twoim miejscu podyskutowała...

Prawie codziennie zawożę Małgosię do szkoły, często odbieram. Jak dzieciaki z I klasy zaczynają się domyślać, co nas łączy, to na pewno są emocje i potem ją ćwiczą na lekcjach. Ale z czasem oswajają się z tematem i przestaje ich to interesować.

Małgosia: Mam przyjaciół ze szkoły, nauczycieli, przychodzą do nas. Wiedzą, że razem mieszkamy i chociaż my nie definiujemy pewnych rzeczy, to one same z siebie są jasne.

Agnieszka: To jest stereotyp, że życie w małym mieście musi być nieznośne dla par takich jak nasza. Na swój sposób jestem tu publiczną osobą. Świadoma część społeczeństwa w tym mieście czyta prasę i mnie rozpoznaje, ludzie się ze mną liczą. Nikt jednak nie robi problemu z mojej orientacji, a rozmawiam z racji swojego zawodu z różnymi ludźmi, o różnych sprawach. Nie spotkałam się nawet z żadną aluzją. I chociaż mam w mieście jednego naczelnego wroga, dość wysoko postawionego, to wątku mojego prywatnego życia nigdy nie wyciąga.

Małgosia: To Agnieszka zawsze powtarzała, żebym nie kręciła, nie kłamała, nie opowiadała bajek, że mieszkam z kimś innym albo sama. Wprawdzie nie całujemy się na ulicy, ale ja jestem taka, że z facetem w miejscu publicznym też bym się nie całowała.

Agnieszka: Gdyby weszła w życie ustawa o związkach partnerskich, miałabym tylko jeden problem: ilu gości zaprosić na wesele. Denerwują mnie te rozdmuchane w mediach opory urzędników stanu cywilnego. Urzędnik jest od tego, żeby wykonywał swoją pracę, a poza tym tutejszy

urzędnik jest akurat moim znajomym. I dla niego, i dla innych naszych znajomych nasz ślub byłby sprawdzianem z ludzkiej przyzwoitości.

Małgosia: Zastanawiałam nad uroczystością w innym mieście ze względu na mój zawód. Na pewno tutaj byłybyśmy pierwszą taką parą, no i jak to? Gazeta z naszym zdjęciem na pierwszej stronie?

Agnieszka: No właśnie ja mam taki zamiar, że będziemy tą pierwszą parą! Ale poważnie mówiąc: nie chodzi o to, żeby urządzić spektakularny show. Uważam po prostu, że osoby publiczne wręcz powinny się ujawniać. Żeby uświadomić ludziom, że dokonania, osiągnięcia człowieka nie są uwarunkowane orientacją seksualną i nie mogą być przez jej pryzmat dyskwalifikowane. To dla otoczenia egzamin z człowieczeństwa - jeśli szanowali cię wczoraj, to czy szanują cię i dziś. Moim zdaniem to bardzo istotne.

Małgosia: Dla nas legalizacja związku byłaby ważna w tych wszystkich sytuacjach urzędowo-finansowych. Mamy jakiś wspólny majątek, oszczędności, ale kiedy zakładałyśmy wspólne konto, to przy okazji wypełniania rozmaitych druków w rubryce „stopień pokrewieństwa” musiałam wpisywać „obca”. Czułam się okropnie, bo po pierwsze to nieprawda, a po drugie jest zwyczajnie niesprawiedliwe, że państwo ignoruje takie pary jak nasza.

Agnieszka: Kilka lat temu Małgosia miała operację, która miała wykazać obecność bądź nieobecność nowotworu, poważna sprawa. Kiedy wywożono ją z sali operacyjnej, podeszłam do lekarza, żeby wszystkiego się dowiedzieć. Dobrze trafiłyśmy - nie było żadnych pytań: kim ona dla mnie jest, po co? dlaczego? Na szczęście nowotworu nie było, więc nie zaistniała konieczność podejmowania dramatycznych decyzji, jakie się podejmuje w przypadkach, gdy pacjent jest nieprzytomny. Ale trzeba wziąć pod uwagę, że taka sytuacja zawsze może się zdarzyć.

Małgosia: Ślub czy związek partnerski nie jest tylko symbolem. Nie chodzi o ceremonię, bo przecież nie przebierałybyśmy się w welony i smokingi, imitując parę mieszaną. Między ludźmi jest różnie - czasami związek może być sformalizowany, a się rozpada, czasem nie jest i trwa całe życie. Symbol ma drugorzędną rolę, po tylu latach my i tak uważamy się za małżeństwo. Regulacja prawna pomogłaby nam w życiu, konkretnie, namacalnie.

Agnieszka: Ja jestem przekonana, że zdążymy. Że weźmiemy ślub w Polsce, choćby na starość i na wózku! Może za jakieś 10 lat, bo na razie to wszystko nie wygląda słodko. Dwa lata temu brałam udział

w programie telewizyjnym u Ewy Drzyzgi na temat homoseksualizmu. Małgosia była bardzo przeciwna temu pomysłowi i do tego zapowiedziała, że muszę się dać ucharakteryzować, dla zabezpieczenia przed rozpoznaniem (choć siedziałam tylko na widowni).

Małgosia: Występowała tam para dziewczyn, z których jedna straciła pracę po tym programie, o ile pamiętam, była pedagogiem szkolnym, więc moje obawy są uzasadnione. Nie posądzam o podobne działania kolegów nauczycieli czy naszej dyrekcji, ale już z rodzicami nigdy nie wiadomo. Mogą zdarzyć się sytuacje, kiedy pojawi się chęć odegrania na nauczycielu.

Pamiętam przypadek, kiedy usunęliśmy ze szkoły ucznia, który przyszedł na lekcje pod wpływem alkoholu. A kuratorium zażądało, żeby go przywrócić, wbrew decyzji autonomicznej rady pedagogicznej. Prawa ucznia bywają większe od praw nauczyciela. Niektórzy po prostu się nie uczą i w związku z tym ponoszą przykre konsekwencje, a woleliby nie ponieść. Krótko mówiąc: ja po prostu nie mam w tej sferze poczucia bezpieczeństwa.

Agnieszka: Mamy zaprzyjaźnioną parę mężczyzn w Łodzi. Nigdy nie chodzą do żadnego klubu, boją się. Gdyby spotkali tam kogoś znajomego, mogłoby się to fatalnie odbić na ich życiu zawodowym. Dochodzą nas słuchy, że w naszym mieście żyją jakieś inne lesbijki, ale nie mamy z nimi żadnego kontaktu. Jest para, mniej więcej w naszym wieku, która tak się kamufluje, że osobno mieszkają, każda ma własny samochód i w ogóle wszystko jest niby osobne, żeby tylko nikt się nie domyślił.

Małgosia: Agnieszka chyba nigdy się nie bała, a ja się boję coraz mniej.

Agnieszka: Nie mam pojęcia, skąd u mnie ta odwaga, może mam ją od urodzenia.

Pod znakiem zapytania

Alicja (29 lat) pracuje w jednym z poznańskich szpitali na oddziale kardiologii. Z naszej mailowej korespondencji wiedziałam, że jej partnerka walczy z rakiem (a właściwie, że walczą z nim obie). Dlatego, kiedy się spotkałyśmy po raz pierwszy, zaskoczyły mnie jej spokój i opanowanie. Powiedziała mi: „W poczekalni kliniki onkologicznej spotykają się wszyscy. Wiek, płeć, orientacja seksualna, poglądy nie mają znaczenia”. Jednak i tam czasami istotne są poglądy. I uważność na rzeczy z pozoru błahe. Dostałam od Alicji kopię listu otwartego do lekarzy, którzy przekazują pacjentom i ich rodzinom ważne, złe lub dobre wieści. Jego obszernie fragmenty załączyłam do naszej rozmowy.

Anna Laszuk: *W jakich okolicznościach poznałaś Julię?*

Alicja: Przez ogłoszenie w Internecie. Miałam kolegę, który - kiedy byłam osobą wolną - usilnie mnie namawiał na korzystanie z takiej formy nawiązywania znajomości. Trochę się ociągałam, ale w końcu spróbowałam. I tak znalazłam Julię, po jakimś czasie stworzyliśmy związek. Osiągnęłam w nim spokój i absolutne poczucie szczęścia, nie muszę niczego szukać. Mamy prawdziwy dom, spokojny, do którego chce się wracać.

A.L.: *Co się na to złożyło?*

Alicja: Coś prostego i kompletnie niezrozumiałego, czyli miłość. Zaufanie, dużo rozmów, dojrzałość, może też łut szczęścia. Każda z nas ma za sobą trochę doświadczeń (myślę, że pierwsze związki były czymś w rodzaju poligonu). I każda ma życiową pasję, którą realizuje w życiu zawodowym.

A.L.: *Kiedy przyszła wiadomość o chorobie?*

Alicja: W połowie października Julia wyczuła jakiś guz w piersi. Wiedziałam, żeby koniecznie poszła na badanie USG. Ginekolog nie od razu wiedział, co to jest, dał jej skierowanie do poradni chorób sutka, czekałyśmy kolejne tygodnie na wizyty. Doszłam do wniosku, że trzeba to badanie zrobić odpłatnie. A kiedy Julia w listopadzie zrobiła wreszcie USG, wiedziałam już, że nie jest dobrze. Są pewne cechy guza sugerujące, że to może być poważna sprawa, i w przypadku Julii tak właśnie było. Lekarz doradził konsultację chirurgiczną, a ponieważ mój znajomy jest szefem poradni chirurgicznej, doradził mi, żeby natychmiast jechać do centrum onkologii. Po pierwszych biopsjach Julia została zapisana

na operację, którą wykonano tuż przed Bożym Narodzeniem. Usunięto jej piersi, nowotwór okazał się złośliwy.

A.L.: Porażająca wiadomość. W jaki sposób wpłynęła na ciebie?

Alicja: Mniej więcej w tym czasie stwierdziłam, że nie radzę sobie psychicznie w pracy. Moje możliwości intelektualne pogorszyły się, a pracuję także naukowo. Musiałam się wytłumaczyć z pewnych błędów, które popełniałam, więc opowiedziałam szefowi, co się dzieje w moim życiu. Nie ukrywałam, że chodzi o moją partnerkę. Dzięki tej szczerości mogłam się zająć Julią, kiedy przechodziła chemię. Żona mojego szefa też kiedyś chorowała na raka piersi, więc on wiedział, z czym to się wiąże, okazał mi wiele zrozumienia. Zresztą także fakt, że ja pracuję w służbie zdrowia, dużo nam ułatwił. Chociaż nie wszystko. Lekarze, którzy przekazują złe wiadomości, zupełnie inaczej zachowują się wobec żony lub męża pacjentki/pacjenta, a inaczej, jeśli rozmawiają z kimś nie tak bliskim. Ja oficjalnie jestem dla Julii tylko przyjaciółką. I tak jestem traktowana.

A.L.: „Inaczej” znaczy mniej delikatnie?

Alicja: Nie wiem jak to ująć, po prostu inaczej przekazuje się informacje o chorobie osobie, która z racji swojego statusu pozostaje w bliskim kontakcie emocjonalnym z pacjentem, a inaczej komuś, kto oficjalnie nie należy do rodziny. Ten problem tak bardzo mnie męczył, że postanowiłam coś z nim zrobić, nie tylko we własnej sprawie. Po jakimś czasie napisałam list otwarty do lekarzy onkologów, który moja zaprzyjaźniona psycholog włączyła do programu szkoleniowego dla służby zdrowia. Może nie wszyscy wezmą go głęboko do serca, ale mam nadzieję, że niektórym otworzy oczy.

A.L.: Wiem, że usunięcie piersi jest zwykle dla kobiety dużym problemem psychicznym, także dla jej partnera czy partnerki. Czy tak było w waszym przypadku?

Alicja: Miesiąc po operacji najważniejsze było to, że Julia żyła. Operacja była radykalna, bo usunięcie piersi - a nie tylko samego guza - zmniejszało ryzyko wznowy (tak to się fachowo nazywa). W naszym związku to okaleczenie niczego nie zmieniło, akurat ono nie było dla mnie żadnym kłopotem. Julia przestała się sobie podobać, ale ze względu na wypadające włosy - w jej przypadku chemia musiała być bardzo agresywna. Na szczęście włosy odrastają, niedługo będzie się czuła lepiej. Przez cztery dni po chemii ona jest w stanie tylko spać i odpoczywać. Kiedy miała chemię, brałam sobie wolny dzień w pracy.

Chemia to taki lek w kroplówce podawany raz na trzy tygodnie. Człowiek kładzie się, przyjmuje to przez 2-3 godziny, a potem jedzie szybko do domu, ponieważ leczenie ma różne skutki uboczne, jak nudności, osłabienie. W drugim tygodniu następuje spadek odporności. Teraz chemia dobiega końca i myślę, że jak Julia wróci do pracy, to dojdzie szybciej do siebie.

A.L.: *Jakie są rokowania?*

Alicja: Niepewne. Istnieje ryzyko nawrotu. Na razie całe leczenie i lepsze okresy nie gwarantują sukcesu. Badania okresowe robi się na początku co cztery miesiące, potem co pół roku. O radykalnej poprawie będzie można mówić za 5 lat, a po 10 latach będzie można powiedzieć, że nastąpiło wyleczenie. W przypadku raka piersi jest duża przeżywalność. W pewnym sensie to najlepszy nowotwór złośliwy, jakiego się można nabawić.

A.L.: *Czy w tej bardzo trudnej dla was sytuacji macie wsparcie ze strony rodziny?*

Alicja: Moi rodzice o wszystkim wiedzą. Martwią się chorobą Julii, starają się nas wspierać. Jednak chyba nie do końca zdają sobie sprawę z tego, jak ja to wszystko przeżywam. Związki kobiety z kobietą czy mężczyzny z mężczyzną nie są traktowane tak serio, jak małżeństwo. Mimo trwałego uczucia, wspólnego domu.

A.L.: *Rodzice nigdy nie traktowali twojej orientacji jako problemu?*

Alicja: Jestem jedynaczką, może to wiele tłumaczy. Z mamą więcej rozmawiam, ale mam wrażenie, że tato łatwiej się z tym pogodził niż ona. Mama jest kobietą bardziej tradycyjną, przypuszczam, że dobrze by się realizowała jako babcia, ale musi sobie poradzić bez wnuków.

A.L.: *A jaka jest sytuacja w rodzinie Julii?*

Alicja: Ona miała bardzo ciężkie życie. Ojciec wcześniej zmarł, a matka z bratem znęcali się nad nią psychicznie, to był bardzo niedobry dom, zimny. Bez oczywistej patologii, ale dom ludzi o sadystycznych skłonnościach. Byłam pierwszą osobą, której Julia o nim opowiedziała. Jak ją poznałam, pracowała na trzy etaty w różnych miejscach i oddawała właściwie wszystkie pieniądze rodzinie, bo dla nich od tego właśnie była (jej matka i brat nie pracowali). Miała bardzo smutne życie. Matka odizolowała ich także od dalszych krewnych. Nie ma więc mowy o żadnym wsparciu. Myślę, że kontakt z nimi mógłby jej nawet zaszkodzić.

Ponieważ Julia pisze doktorat, powiedziała o swojej sytuacji dziekanowi. To wydział humanistyczny, na którym panują dość partnerskie układy, przyjacielskie Dziekan bardzo jej pomógł, załatwił nawet mieszkanie, kiedy moje było w remoncie.

A.L.: *Oprócz pana dziekana macie przyjaciół?*

Alicja: Tak, mamy dobrych znajomych, którzy wiedzą o nas. Odwiedzamy się. Mamy to szczęście, że przed chorobą Julii nikt nie ucieka, wokół nas jest wiele życzliwych osób. Ale ponieważ nie wszyscy wiedzą, że jesteśmy razem, właściwie nie możemy skorzystać w pełni z tego wsparcia. Kiedy Julię odwiedzają znajomi z pracy, na czas wizyty chowamy na przykład nasze wspólne zdjęcia. Ja swoim kolegom z pracy nie mogę powiedzieć, jaki mam kłopot, bo nie chcę się przed nimi ujawniać. To środowisko dość zamknięte, co potwierdza także mój profesor. Sam przyznał, że rozpowszechnienie takiej informacji mogłoby mi zaszkodzić.

Coming out jest nieodwracalny, wolę być ostrożniejsza niż popełnić błąd. Ale jednocześnie odczuwam brak wsparcia społecznego, jako partnerka osoby chorej na raka. Nie mam taryfy ulgowej, muszę trzymać fason.

A.L.: *Ciągłe trzymanie fasonu musi być potwornie trudne.*

Alicja: Ta choroba wiąże się z wieloma trudnymi momentami, z życiem w ciągłej niepewności. W pewnym momencie mój lęk był już bardzo silny. Prześladowały mnie myśli o tym, jak bardzo silnie jestem z Julią związana i że mogłabym nie poradzić sobie z jej śmiercią. Nie wiem, czy na tyle, żeby popełnić samobójstwo w sensie dosłownym, fizycznym, ale emocjonalnym owszem. Psychiczne samobójstwo może być nawet gorsze. Bałam się, że tak właśnie zareaguję, jeśli raka nie uda się pokonać. Postanowiłam więc poszukać jakiegoś mądrego psychologa, co nie było wcale takie proste. Najpierw umówiłam się z pewną panią psycholog w ramach bezpłatnych porad. Wysłuchała mnie i powiedziała: „Nie potrafię pani pomóc”. Szczerze mówiąc, to było dla mnie wstrząsające. Poleciała mi inną psycholożkę, od której usłyszałam z kolei, że jak moja partnerka wyzdrowieje, to możemy przyjść razem, na wspólną terapię. Wytłumaczyłam jej, że nie chodzi mi o problem, który mamy w związku, ale o mój własny. I w końcu znalazłam trzecią osobę, psychoonkolożkę, która bardzo mi pomogła.

A.L.: *Paralizujący lęk minął?*

Alicja: Gdyby tak się zdarzyło, że Julia umrze, musiałabym przebyć bardzo trudną drogę. Czuję jednak, że byłabym w stanie ją przejść i żyć dalej, to jest wielki postęp. Spokojniej myślę o tym, że taki etap może się zdarzyć. Wcześniej lęk zaciskał mi gardło, klatkę piersiową, był fizycznym bólem. Teraz go nie czuję. Niezależnie od tego, jaka choroba obecna jest w domu, choruje cały dom, nie tylko ta jedna osoba. Trudno sobie z tym poradzić. A psychologów, tak na marginesie, radzę wybierać ostrożnie.

A.L.: *Zapytam jeszcze o pobyt Julii w szpitalu, jej stosunki z innymi pacjentkami. Szpital jest miejscem, w którym ludzie dużo opowiadają o sobie. To może dawać wsparcie, ale też dla niektórych jest kłopotliwe. Mam tu na myśli akurat tajemnicę, jaką otoczony jest wasz związek.*

Alicja: To prawda. W szpitalu były panie, które mają rodziny, mężów, dzieci, wnuki, to oczywiście podstawowy temat rozmów Polek, w szpitalu czy poza nim. Dla osoby z innej bajki zaczyna się czekanie na niewygodne pytania, a bycie bierną słuchaczką to czasami za mało. Julia jest powściągliwa, więc starała się nie odpowiadać na pewne pytania, bo niemiło jest w polskich realiach opowiadać o sobie jako starej panie z wyboru, a co dopiero lesbijce. Mnie na jej miejscu byłoby pewnie trudniej zachować milczenie. Lubię pogadać z ludźmi w atmosferze zaufania. Na szczęście Julia w szpitalu była krótko.

Jest jeszcze dodatkowy kłopot w postaci zawodu, jaki ona wykonuje. Nie było mowy o coming oucie w szpitalu, bo pracuje w nim pani, której dziecko Julia uczy.

A.L.: *Ale w tej chwili nie pracuje?*

Alicja: Na razie przebywa na długotrwałym zwolnieniu, ale od września chyba wróci do pracy. Operacja, niestety, na długo wyłącza z życia zawodowego.

A.L.: *Czy walka z rakiem wpłynęła negatywnie na wasz związek?*

Alicja: Ten związek był i jest na tyle głęboki uczuciowo, że nie zdarzyły się nam z tego powodu kryzysy. Julia jest osobą bardzo zrównoważoną, nasze temperamenty wyjątkowo się dopasowały. Jeżeli choroba miała na nas jakiś wpływ, to taki, że teraz nasz związek jest silniejszy i głębszy. Zmieniło się trochę nasze podejście do życia, hierarchia wartości, jesteśmy bardziej refleksyjne, ja złagodniałam. Jestem bardziej empatyczna, umiem lepiej słuchać ludzi. Nabrałam dystansu do życia, do świata. Rak, wbrew pozorom, nie jest najgorszą z chorób, bo daje

trochę czasu, żeby zmienić swoje życie. Zawał serca, wylew, wypadek samochodowy nie dają na to szans. W naszym przypadku walka cały czas się toczy, ale można powiedzieć, że osiągnęliśmy pewien spokój.

A.L.: *Jesteś osobą wierzącą?*

Alicja: Wychowałam się w rodzinie katolickiej, w której wiara była ważnym elementem. Ale z racji życia, jakie wybrałam, i swojej orientacji nie należę do Kościoła. Trochę mi tego brakuje, czuję jakiś żal, tęsknotę. Nie mogłabym zrezygnować ze związku z Julią, on jest dla mnie najważniejszy, natomiast z pokorą przyjmuję to, co Kościół mówi na temat życia, jakie wiodę. Uważam, że Kościół nie powinien się zmieniać, za mało mamy w życiu rzeczy niezmiennych, wszystko wokół się zmienia. Chciałabym jednak, żeby było w nim więcej miłości, tolerancji, wybaczenia. Więcej ciepła zamiast strachu. Mam wrażenie, że osoby, które nie wierzą w Boga, są postrzegane jako gorsze. Także te, które żyją na przykład w konkubinacie. Tak nie powinno być, wiara nie w ten sposób ma czynić człowieka lepszym.

A.L.: *Powiedziałaś, że chcesz opowiedzieć swoją historię przede wszystkim po to, żeby zwrócić uwagę na tabu, jakim jest choroba. Co dokładnie miałaś na myśli?*

Alicja: Rak dotyka wszystkich, niezależnie od statusu. Kiedy mówi się o związkach osób homoseksualnych, towarzyszy temu zwykle atmosfera sensacji, skandalu. A my zmagamy się ze zwyczajnym życiem, także z tym, co w nim najtrudniejsze. Chciałam również powiedzieć innym kobietom, jak ważna jest kontrola swojego zdrowia. Lesbijki są bardziej narażone na raka piersi niż heteroseksualne kobiety. Wśród nas mniej jest tych, które decydują się na dzieci, a brak potomstwa jest pewnym czynnikiem ryzyka, tak niestety mówią statystyki (oczywiście palenie papierosów czy zachorowania innych kobiet w rodzinie też są takimi elementami). Mam do tego uzasadnione wrażenie, że wiele lesbijek unika wizyt u ginekologa, między innymi z obawy przed pytaniami o życie intymne. Wiem, że ginekologów swoją drogą przydałoby się trochę uwrażliwić na to, że nie wszystkie jesteśmy heteroseksualne, ale badać się trzeba i tyle. Przynajmniej raz w roku. Jest o co walczyć, bo wizyta u ginekologa naprawdę nie jest ani trochę tak straszna, jak walka z rakiem. Uwierzcie mi.

PS.

Julia zmarła w czerwcu tego roku. Wcześniej były kolejne operacje, ponowna chemioterapia, wizyty w zagranicznych klinikach. Alicja wzięła kilkumiesięczny urlop w szpitalu, żeby być przy Julii przez cały czas, do końca. Powiedziała mi: „Byłam przygotowana na to, co się stało. Na tyle, na ile mogłam. Wiem, że zrobiłam wszystko”.

List Alicji do lekarzy onkologów:

Drodzy Koledzy i Koleżanki,

nazywam się... Pierwsze zdanie, a już jest ciężko. Powiedzmy, że mam na imię Alicja, powiedzmy że mam 30 lat. To bez znaczenia, ważniejsze jest coś innego - to, że teraz cierpię, bo najbliższa mi osoba jest chora na raka i strach jest wszechobecny.

Początkowy zwrot do Was wziął się stąd, że jestem lekarzem i mimo, że się nie znamy, to jednak coś nas łączy - zawód, którego specyfikę możecie zrozumieć tylko Wy.

Każdy, kto zetknął się z chorobą kogoś z najbliższych (czyli też każdy z Was), wie, jak ważne jest w tym momencie wsparcie ze strony rodziny, przyjaciół, znajomych, lekarzy, a nawet tylko przelotnie spotkanych osób.

Czy zastanawialiście się kiedyś, jaka jest orientacja seksualna Waszego pacjenta? Być może, czasami. A ilu z Waszych pacjentów powiedziało Wam o swojej „nietypowej” orientacji seksualnej? Jeśli zachowując ostrożność w szacunkach powiemy, że osoby homoseksualne stanowią 3-4% naszego społeczeństwa, to znaczy że co trzydziesty Wasz pacjent jest TAKI. To dotyczy pacjenta w każdym wieku. To dotyczy co trzydziestego człowieka w każdej grupie, jaką sobie tylko wyobrazimy. To dotyczy naszych rodzin, znajomych, kolegów i koleżanek z pracy, sąsiadów, ludzi mijanych na ulicach. Ja też jestem TAKA.

Zastanawiam się, ile razy przyszła do Was osoba, która powiedziała, że jest życiową partnerką kobiety, którą leczycie (lub w przypadku mężczyzn: życiowym partnerem pacjenta) Czy to był co trzydziesty członek najbliższej rodziny? Mam niejasne przeczucie, że zdarzało się to dużo rzadziej, a może nawet wcale. Pewnie przychodziły „siostry”, „przyjaciółki”, „znajome” (w przypadku homoseksualnych mężczyzn „bracia”, „przyjaciele” i „znajomi”). Nawet na konferencjach, podczas których mówi się, że z naszym chorym choruje cała jego rodzina, wymienia się współmałżonków, a kiedy mówi się czasami o „partnerach”, to myśli się

tylko o układach heteroseksualnych. Może sądzicie, że to jest problem ludzi o orientacji homoseksualnej, że chcą się ukrywać, że sami zamykają się w getcie?

Ujawnienie się to rękawica rzucona światu. Wierzcie mi, że na to trzeba mieć siłę. W momencie, kiedy choruje najbliższa nam osoba, tych sił jest niewiele. Wystawianie się na dodatkowe ciosy graniczy z próbą samobójczą. Pewnie jesteście ciekawi, jak ten problem wygląda w moim życiu.

Moi rodzice wszystko wiedzą i bardzo się martwią chorobą Julii (czyli mojej partnerki), ale nie mogę im powiedzieć wszystkiego o tym, co czuję. W heteroseksualnym świecie bardziej się wierzy w miłość między małżonkami, niż między ludźmi żyjącymi w konkubinacie, o związkach homoseksualnych nie wspominając. Moje życie zawodowe jest świetne - ciekawa specjalizacja, interesujący ludzie, ale... muszę milczeć. Stawka jest wysoka, a wiadomość o odmiennej orientacji seksualnej roznosi się lotem błyskawicy. Milczenie jest trudne. Czasem nie mam siły pracować lub popełniam błędy, i jaką mam wymówkę? Chora „przyjaciółka”. Słabe wytłumaczenie. Życie zawodowe mojej partnerki to sytuacja jeszcze trudniejsza - uczy w szkole. Kiedy odwiedzają nas jej koleżanki-nauczycielki, przed każdą wizytą zastanawiamy się, które wspólne zdjęcia powinny zostać schowane, i czy przypadkiem nie zamknąć szczelnie drzwi do sypialni.

Jest jeszcze życie szpitalne, a w nim trudności, niezręczności i napięcia, pojawiające się na każdym kroku. Początek to poczekalnia pod gabinetem diagnostycznym. Wokół kobiety, wszystkie przerażone. Starsze są same lub z dziećmi, te w średnim wieku siedzą tu z mężami, najmłodsze - z narzeczonymi. Z niespokrewnioną kobietą przyszła tylko Julia.

Ja też chciałabym usłyszeć słowa wsparcia od lekarza onkologa, ale one są zarezerwowane tylko dla rodziny, nie dla przyjaciółek. W naszym kraju mam szansę być „przyjaciółką” Julii przez kolejnych 50 lat, ale my się nie przyjaźnimy, my się kochamy.

Na oddziale szpitalnym współpacjentki wypytyują (jak nie mnie, to Julię) o chłopaka lub męża. Wieczorami, na korytarzu czy w salach, zaczynają się tematy rodzinne. Osobiste pytania to przecież tylko pogłębianie więzi między amazonkami. Większość osób homoseksualnych nikomu nie mówi o swojej orientacji. Z jednej strony to błąd, a z drugiej - co chwilę docierają do nas sygnały o agresji wobec TAKICH ludzi. Ujawnienie może się różnie skończyć. Stawką może być życie w

wymiarze fizycznym, społecznym, zawodowym.

Zadręczam Was zwierzeniami, bo Wy nas leczycie, opiekujecie się nami, jesteśmy nieustannie obecni w Waszym życiu. Samotni, milczący, co trzydziesty. Choroba nowotworowa dotyka nas co najmniej w takim samym stopniu, jak pozostałych ludzi. Częściej jednak wymaga od nas opanowania i tłumienia emocji. Częściej płaczemy w samotności.

Nie wiem, jak nauczyć świat tolerancji, ale bez Was to się nie uda. Być może będziecie mogli szerzyć tolerancję we własnych środowiskach, w domach, w pracy, wśród przyjaciół. Rozejrzyjcie się wokół. Ludzie tacy jak ja co chwilę pojawiają się na horyzoncie.

Cześć, Mała, chcesz iść na wino?

Magda (31 lat) mówi: „Jak się uprę, mogę wszystko”. Kilka lat temu pojechała na warsztaty do słynnego wrocławskiego Ośrodka im. Jerzego Grotowskiego, od tamtej pory tańczy, także przed publicznością. Nie przeszkodziły jej w tym niepełnosprawność ani fakt, że do poruszania się niezbędny jest jej chodzik. Mieszka na Wybrzeżu razem ze swoją dziewczyną, Elą.

Anna Laszuk: *Zacznijmy od początku, czyli od dzieciństwa. Jak je wspominasz?*

Magda: Dzieciństwo było trudne. Bardzo wczesnie okazało się, że jestem chora, mnóstwo czasu spędziłam w szpitalu. Przez długi czas nikt nie wiedział, na co właściwie choruję, wiadomo było jedynie, że to coś poważnego. Trudno było też znaleźć miejsce w dobrej klinice. Pamiętam, że jak byłam małym dzieciakiem, nastąpił stan wojenny. Specyficzne wspomnienie - niewiele widziałam, bo w szpitalu były kraty w oknach. Ale właśnie te kraty i wspomnienie, że rodzice mieli trudności ze swobodnym przyjeżdżaniem do mnie, stały się symbolem tamtego okresu.

Potem była szkoła, ale w dużej mierze w domu. Uczyłam się na indywidualnych lekcjach. Między podstawówką a liceum spędziłam mnóstwo czasu w sanatoriach. W liceum wychowawczynie zachęcała wszystkich w klasie, żeby koniecznie odwiedzali swoją chorą koleżankę. Strasznie mnie to wkurzało, było takie nienaturalne. Nienawidziłam, jak cała klasa zwała się do naszego domu. Nawiązałam jednak w tamtym czasie ważne przyjaźnie, szczególnie jedną. Była intensywna, inna niż wcześniejsze. Trudna i niezidentyfikowana. Skończyła się nagle, drastycznie i właśnie z powodu bliskości.

A.L.: *Czy dobrze się domyślam, że to była dziewczyna i twoja pierwsza miłość?*

Magda: To była dziewczyna, ale wtedy nie przyszło mi do głowy, że także miłość. Teraz dopiero widzę, że stanowiła kamień milowy w moim życiu. Mając naście lat, czułam się kompletnie nieposkładana, nieokreślona. Nie wiedziałam do końca, kim jestem.

Nasze weekendowe spotkania stały się centrum mojego świata - rozmowy na poddaszu (głównie o poezji), jazz, dużo łagodności. I tajemnica. To nie ja przestraszyłam się bliskości. Ta relacja nie była jednak dla mnie czymś, co mogło stanowić oparcie.

A.L.: Jak wyglądały twoje ówczesne relacje ze światem, pomijając nieszczęsne klasowe odwiedziny?

Magda: Byłam w zupełnie innej sytuacji niż towarzystwo ze szkoły. O wiele gorzej znałam życie, przez te wszystkie szpitale i siedzenie w domu. Ale za to odkryłam na własną rękę buddyzm i Wschód. Zapušciło to we mnie korzenie. Nie było łatwo siedzieć przed ścianą i liczyć oddechy, ale było fajnie. Buddyzm stał się dla mnie jedyną pewną, namacalną rzeczą. Rodzina nie wyrażała żadnego zaniepokojenia moimi praktykami. Mam pod tym względem szczęście i doceniam to, że są tolerancyjni.

Poza tym, jako że byłam chora od urodzenia, najbardziej na świecie chciałam wyzdrowieć, czy inaczej mówiąc: uzdrowić się. Wiedziałam już, że nie mam szans na takie zdrowie, o jakim marzyłam, będąc dzieckiem. Często myślałam o tym, żeby jakoś mi się udało dociągnąć do starości. Przeżywałam ciągle stan zawieszenia, niepewności. To było trudne.

Potem zaczął się zupełnie nowy etap w moim życiu, czyli studia i samodzielność. Wyjechałam do innego miasta.

A.L.: Nie bałaś się tej samodzielności?

Magda: Sama zdecydowałam, że tak będzie i kropka. Powiedziałam sobie: chcę żyć normalnie. Zupełną nowością było dla mnie chodzenie do sklepu, kupowanie sobie jedzenia, bo ja tego nigdy dotąd sama nie robiłam. Pamiętam swoją pierwszą noc w akademiku: oto ja, pochodząca z grzecznego domku, zawsze przy rodzinie, dostałam pokój na męskim piętrze (to było pierwsze piętro, a więc stosunkowo nisko, w tym budynku nie było windy). Układałam właśnie na półeczkach swoje misie i książki. Ledwo poukładałam, wszedł do pokoju na wpół trzeźwy koleś i mówi do mnie: „Cześć, Mała, chcesz iść na wino?” I tak zostałam wprowadzona w wielki świat. Wyszłam na korytarz i poszłam na to wino. A potem były różne inne rzeczy związane z prawdziwym studenckim życiem.

A.L.: Hulanki, swawole i życie miłosne?

Magda: Tak jest. Moje życie erotyczno-miłosne polegało wtedy na dowiadywaniu się, kim jestem i czego chcę. Przewijali się przez nie jacyś faceci i kobiety. W ogóle ludzie Ignęli do mnie, a ja do nich, przychodzili spontanicznie, jak ten koleś od wina: „Puk, puk! Cześć, Mała...” i tak dalej. To nie znaczy, że przyjmowałam absolutnie wszystko, co się wydarzało. Do tej pory tak jest - oglądam rzeczy, ludzi, zdarzenia,

a potem biorę lub nie. Moja mama uważała kiedyś, że powinnam być wdzięczna każdemu, kto miło się uśmiecha, jak ci ludzie z liceum, pakujący się całą kupą do domu. Złościło mnie to, nie chciałam być wdzięczna wszystkim za wszystko. Na studiach moje kontakty z ludźmi stały się zdecydowanie prostsze. Byłam poza rodzinnym domem, sama wybierałam, gdzie i z kim chcę być.

A.L.: Tak na marginesie: co właściwie studiowałaś?

Magda: Powiem ogólnie, że był to kierunek humanistyczny. Ale swego czasu częściej bywałam w Instytucie Malarstwa niż na własnym wydziale. I wykładowcy rysunku lepiej mnie rozpoznawali niż moi. Akurat związałam się wtedy z kobietą, która malowała obrazy i przy okazji utwierdziła mnie w przekonaniu, że ja też potrafię.

A.L.: Można chyba powiedzieć, że twoje studenckie życie było hiperintensywne. Czy odnosiłaś czasem wrażenie, że twoja choroba stanowi dla ludzi jakiś problem?

Magda: Nie czułam tego. Szczerze mówiąc, ja sama nie traktowałam jej jako bariery. Pamiętam, jak pewnego dnia pojawiła się na mojej drodze odlotowa, zakolczykowana dziewczyna i powiedziała: „Cześć! To co? Idziemy w miasto?” Nie było ważne, że ja ledwie chodzę, z jakimś dziwnym sprzętem, zupełnie niedostosowanym do takich warunków. Odpowiedziałam: „Jasne, idziemy w miasto!” Przeszliśmy dobrych parę kilometrów. To nic, że się zziąjałam jak nieboskie stworzenie. Gaędałyśmy i piłyśmy na rynku jakieś piwo, fajnie było. Nie zaistniała kwestia „czy mnie należy holować lub specjalnie transportować”. Ona o tym nie myślała, i dobrze.

Na szczęście poznałam w swoim życiu dużo osób z takim podejściem. Do dzisiaj drażni mnie, jak ktoś się zbyt długo zatrzymuje nad moją kondycją. Wtedy wyczuwam, że jakoś sobie z tym nie radzi czy nie rozumie. Ja z kolei nie wiem, jaką rolę przyjąć - czy powinnam edukować? Coś wyjaśniać? Tak naprawdę nie chce mi się tym zajmować, mam to gdzieś. Lubię też, kiedy ludzie mówią mi prawdę.

A.L.: Jak wiadomo, to nie zawsze jest przyjemne.

Magda: Nie szkodzi, szczerść zawsze jest lepsza. Kiedy po studiach szukałam pracy (przez długi czas bez skutku), na iluś tam pracodawców zdarzył się jeden, który rozmawiał ze mną szczerze. Chciałam natychmiast stać się dorosła. Znaleźć pracę, mieszkanie. I zaczęły się schody - okazało się, że nikt mnie nie chce zatrudnić, twierdząc na

przykład, że moja specjalizacja to pomyłka. Jestem jednak uparta i szukałam długo. Po drodze trafiłam w przedziwne miejsce, gdzie nie dojeżdżał żaden autobus. Kumpel zawiózł mnie swoim rozklekotanym ma-
luchem, dodatkowo musieliśmy przeprowić się promem przez jezioro. Przyjeżdżamy, a tam zamek! Okazało się, że na jego terenie jest szpital psychiatryczny. Absurdalne miejsce, pod żadnym względem do mnie niepasujące. Rozmowa z panem dyrektorem była krótka. Zaczął bez ogródek: „Czy pani wie, co to za placówka? Jacy tu przebywają ludzie i jak mogą się zachowywać?” Odparłam prostolinijnie, że nie wiem. „To szpital psychiatryczny. Tu są ludzie, którzy sami sobie robią krzywdę, a takim osobom jak pani też są w stanie ją zrobić. Prawdziwą, fizyczną krzywdę, i do tego obrzucić panią wyzwiskami”. Ostro sprowadził mnie na ziemię. Mimo to nie wyszłam stamtąd zła ani rozgoryczona, bo nie plótt trzy po trzy, że mam nieodpowiednie kwalifikacje, nie owijał bawełnę. Niedługo potem wyjechałam z Polski, myślałam o zmianie zawodu. Pojawiła się też w moim życiu wielka miłość. Bardzo mnie to wzmocniło. Wróciłam do kraju, miałyśmy wspólne plany, ale po jakimś czasie ten związek się rozpadł.

A.L.: Z jakiego powodu?

Magda: Tak do końca nie wiem. Ona pochodziła z tradycyjnego, katolickiego domu, w którym ja funkcjonowałam (oczywiście tylko w opowieściach) pod męskim imieniem. Chyba byłam jakimś Tomkiem czy Leszkiem. Rodzina mojej dziewczyny gwałtownie poszukiwała dla niej męża. Jak się zorientowali, że Tomek *ve/* Leszek nie jest mężczyzną, starali się ją „naprawić”. Do tego stopnia, że zabronili jej wszelkich kontaktów z kobietami. Kandydat na męża się znalazł i chociaż ona bardzo się opierała, to tylko do czasu.

Nasz związek tego wszystkiego nie wytrzymał i skończył się. Myślę też, że ona wtedy dopiero dowiadywała się czegoś o sobie, była bardzo młoda. Nie sądzę, że nasze rozstanie było spowodowane brakiem miłości, raczej zabrakło dojrzałości. Nie mam do niej żalu. W Polsce jest naprawdę ciężko, jeśli chodzi o decyzje tego typu, zwłaszcza teraz. Najtrudniejsza i najważniejsza jest, jak myślę, własna zgoda na takie życie. Nawet jeśli jesteś ze sobą pogodzona, to czynniki zewnętrzne mogą dać ci mocno w kość. I możesz mieć dosyć, po dziurki w nosie.

A.L.: Miałaś kiedyś dosyć?

Magda: Ja akurat jestem pewna, że chcę żyć z kobietą, i jeśli się nie powiedzie, nie powiem: zmieniam kierunek, zmieniam drogę. Kie-

dy przeżyłam wielką miłość, zaczęłam szukać początków. Pomyślałam o tamtej pierwszej przyjaźni i wreszcie ją nazwałam. Pewnie też pod wpływem pytań innych ludzi, typu: „Czy zawsze czułaś się lesbijką?” Dla mnie miłość do kobiety była tak naturalna, że nie zastanawiałam się nad tym jako nad czymś dziwnym. Jeżeli o tym myślałam, to czysto porównawczo - ludzie żyją tak, a ja tak. Podobnie, jak o mojej kondycji fizycznej - jestem taka, a większość ludzi ma inaczej. I tyle. Moja rodzina myśli chyba w tych samych kategoriach: jestem super, chociaż jestem inna. Dowiedzieli się o mojej orientacji, kiedy przeżywałam straszne katusze miłosnego rozczarowania. Potem, na zmianę, temat zniknął i się odradzał. Rodzice znają Elę (moją dziewczynę), odwiedzamy się. Ale mam świadomość tego, że nasz związek nie jest dla nich tak samo poważny, jak związek mojego brata z jego dziewczyną. Wyczuwam różnicę, to jest dyskomfort.

A.L.: Jak się pozbierałaś po rozstaniu ze swoją wielką pierwszą miłością?

Magda: No cóż, to był cios. Po nim przyszła mobilizacja sił. Znalazłam pracę, pierwszą naprawdę satysfakcjonującą w moim życiu. Wynajęłam wspaniałe mieszkanie z wielkim oknem. Zaczęły się też zdarzać przelotne związki i pewność, że chcę być z kobietą. I co najważniejsze - nastąpiła dla mnie era tańca. Pojechałam do ośrodka badań twórczości Jerzego Grotowskiego. To był artystyczny szal. Mnóstwo warsztatów, wielki wybuch energii. Pamiętam z pierwszych dni słowa jakiegoś Angola: „Ty nie tańczysz? Dlaczego?” Zaczęłam więc tańczyć, przekraczać swoje granice. Okazało się to wielką, duchowo-cieleśną wyprawą. I wtedy znowu, nie wiadomo skąd, zaczęły się pojawiać nowe, zaskakujące miejsca i ludzie. Po drodze wydarzył się jeszcze jeden związek, z którym wiązałam dużo nadziei. Niestety, także się skończył. Czułam gorycz, bezsens. Myślałam, że coś chyba ze mną jest nie tak. Ale nawet kiedy byłam nieszczęśliwa i sama, kiedy waliły się wszystkie plany, to różne wyraziste drobnostki dawały mi jakiś rodzaj szczęścia. Siedziałam na przykład w nocy, na ławce przed domem, i myślałam: piękny moment... I zawsze pojawiał się to symboliczne wino. Wiesz, „cześć, Mała”, i tak dalej. To mógł być taniec, obraz, chwila, cokolwiek.

Teraz myślę o związku zupełnie inaczej, niż kiedyś. Jak o miejscu uporządkowanym, o czymś stałym. Chyba nareszcie buduję dom, razem z Elą. Czuję spokój, jestem bezpieczna.

Podoba mi się nasz kraj

Dorota (36 lat) mieszka w Szczecinie, od wielu lat uczy w przedszkolu i na nic nie narzeka.

Anna Laszuk: *Kiedy byłaś mała, to marzyłaś: „Zostanę przedszkolanką!”?*

Dorota: Właśnie najbardziej na świecie nie chciałam być nauczycielką (bo przedszkolanka to nauczycielka). Miałam nią zostać tylko na chwilę, z braku lepszego pomysłu na życie po maturze. Chciałam studiować historię, ale w końcu nie złożyłam nawet papierów, czego właściwie do dziś żałuję. Skończyły się wakacje, trzeba było coś ze sobą zrobić. Postanowiłam, że spróbuję popracować w przedszkolu - wtedy nie trzeba było mieć do tego żadnych specjalnych kwalifikacji. Pomyślałam, że potrwa to rok, a potem zdam na historię. I nieoczekiwanie w przedszkolu spodobało mi się od pierwszego dnia. Zostałam tam na kolejne 3 lata, a teraz... minęło już 17. I nie żałuję. Dzieciaki polubiłam od początku, spodobały mi się też układy personalne w przedszkolu. Miałam 18 lat, a moje koleżanki - sporo po czterdziestce. Otoczyły mnie bardzo dużą opieką: pomagały, ukrywały moje błędy, przekazywały swoje pomoce naukowe, kiedy odchodziły na emeryturę.

A.L: *Poproszę o anegdotę. Coś, co ci utkwilo w pamięci w związku z tymi 17 latami kariery.*

Dorota: Rok temu weszłam do knajpki, żeby przeczekać dwie godziny do kolejnych zajęć. Podeszła do mnie właścicielka, zaprosiła do stolika, powiedziała, że zaraz wszystko poda, była nadzwyczajnie miła i uprzejma. Zdziwiłam się, bo w tym lokalu zawsze była samoobsługa. Przyniosła mi kawę, usiadła naprzeciwko i mówi: „Pani mnie nie pamięta?” Nie pamiętałam. „Ale nic sobie pani nie przypomina? Mam na imię Kasia...” i okazało się, że jako dzieciak była u mnie w grupie. Przypomniałam ją sobie w takiej sytuacji: myłam jej ręce w toalecie, a ona powiedziała wtedy: „Jak będę duża, to się z panią ożenię”. Ale uznałam, że nie wypada jej tego przypominać.

A.L: *Szkoda. Pewnie by się z tego śmiała. Denerwują cię sondaże typu: „Czy zaakceptowałbyś fakt, że nauczyciel twojego dziecka jest homoseksualistą?”*

Dorota: Nie zwracam na nie uwagi. Wiem, że w ludzkich umysłach zachodzi przedziwne przełożenie: homoseksualista równa się pedofil,

ale to jest tak totalna bzdura, że nawet szkoda o tym myśleć.

A.L: *Nigdy ta bzdura nie przysporzyła ci kłopotu?*

Dorota: Pamiętam tylko ze studiów przykrą historię, która na szczęście nie dotyczyła bezpośrednio mnie. Szłam korytarzem, za mną kroczyło trzech wykładowców. Między innymi pan profesor od psychologii. Rozmawiali o tym, że należy usunąć jednego chłopaka z roku, ponieważ jest gejem: skończy uniwersytet i będzie pracował w szkole - niedopuszczalne. Byli przekonani, że wypuszczając przyszłych nauczycieli w świat, tak właśnie powinni postępować. Bardzo mnie to wtedy zabolowało.

A.L: *Twoje koleżanki z pracy wiedzą, że jesteś lesbijką?*

Dorota: Wiedzą. Lubią mnie, ta informacja niczego między nami nie zmieniła. Znają mnie, dobrze wiedzą, jaka jestem. Natomiast rodzice w przedszkolu mogliby reagować różnie. Wszystko zależałoby to od tego, czy zdążyli mnie poznać jako nauczycielkę, czy nie.

Ale weźmy taką sytuację: przychodzi do mnie mama dziecka, miło sobie rozmawiamy, więc ona proponuje sympatyczne spotkanie przy kawie. W mojej głowie rodzi się myśl, że proponuje tę kawę, bo NIE WIE. Może gdyby WIEDZIAŁA, nie zaproponowałaby. I to jest trochę przykre, chociaż może nie urasta do rangi problemu.

A.L: *Chciałabyś, żeby WIEDZIELI wszyscy?*

Dorota: Nie wiem, czy coming out zawsze jest potrzebny. Można sobie spokojnie żyć w jakiejś grupie i bez niego. Przecież nie jest tak, że kogoś poznaję, i wyciągam rękę ze słowami: „Mam na imię Dorota, jestem lesbijką”. Ale przyjaciele, znajomi, rodzina myślę, że powinni wiedzieć. Wtedy jest po prostu dużo łatwiej. Bliskość oznacza szczerłość, po co tracić do siebie zaufanie? W mojej rodzinie pierwszy domyślił się prawdy mój tata, potem powiedział mamie. Nie było dramatycznych rozmów, rozrywania szat, wylanych łez. Po prostu: jest jak jest.

A.L: *Ile miałaś wtedy lat?*

Dorota: 18. Rodzice uświadomili sobie, kim jestem, w okresie, kiedy byłam w pierwszym związku. Ja wiedziałam o sobie wcześniej, chyba począwszy od okresu dojrzewania. Jestem jedynaczką, moja mama urodziła mnie dość późno, więc cała rodzicielska miłość skupiła się na mnie. Choćbym nie wiem co zrobiła, to i tak mama z tatą uważali, że jestem wspaniała i jedyna. Żyję w rodzinie, w której każdy za każdego skoczyłby w ogień. Czasami się śmiejemy, że rodzina to jest siła!

W naszym przypadku to z pewnością prawda.

A.L.: Ty sama chciałabyś mieć dzieci?

Dorota: Nie wiem, mam wątpliwości. Byłabym beznadziejną matką, zamęczającą swoje dziecko miłością. Nie pojechałoby w góry, bo może spadnie, nad jeziora też nie, bo może się utopi. Bardzo się staram nie zamęczyć swoją nadopiekuńczością dzieci w przedszkolu. A poza tym człowiek musi się najpierw nauczyć być sam ze sobą, umieć sobie uatrakcyjnić czas, zapewnić jakieś rozrywki, żeby mógł je potem zapewniać drugiej osobie. Póki co, ja się tego wszystkiego dopiero uczę. Zwłaszcza po rozstaniu z moją partnerką.

A.L.: Jaki to był związek?

Dorota: Byliśmy razem 10 lat. Przez pierwsze 6 było naprawdę pięknie. I niestety, muszę powiedzieć, że pięknie było tak długo, dopóki miałyśmy jakieś problemy. Dopóki trochę brakowało pieniędzy, dopóki nie było wiadomo, jak będzie z mieszkaniem, dopóki wiele różnych rzeczy było nieuregulowanych. A potem przyszła klasyczna nuda. W pewnym momencie nie robiłyśmy wspólnie nic poza byciem w domu, gotowaniem, oglądaniem telewizji. Myślę, że ludzie muszą mieć wspólne cele. A kiedy w tym związku one się skończyły (a polegały na przykład na kupnie telewizora czy pralki), to już po prostu nic nie zostało. Ja zawsze lubiłam przebywać z ludźmi, moja partnerka wręcz przeciwnie.

A.L.: Według jakiego klucza, że tak powiem, się dobraliście?

Dorota: Dla mnie to była miłość od pierwszego wejrzenia. Zobaczyłam ją na studiach. Siedziałam na ławce, ona weszła - to jest obraz, który bardzo często jeszcze do mnie wraca - zobaczyłam ją, i już, poczułam się zakochana. Przez pół roku trzymałam to uczucie w wielkiej tajemnicy. A później spotkałyśmy się przypadkiem. Padał deszcz, ona podeszła do mnie z parasolem i umówiliśmy się na kawę. Tak się zaczęło 10 wspólnych lat.

A.L.: I tak zwyczajnie okazało się, że ją również pociągają kobiety?

Dorota: Jej nigdy wcześniej nie przemknęło przez myśl, że może związać się z kobietą.

Zawsze mówiła, że zakochała się w człowieku, czyli konkretnie we mnie. Nasze początki były naprawdę bardzo fajne. A rozstanie nie wydarzyło się z dnia na dzień. Długo o nim myślałam, dużo o tym rozmawiałyśmy. Podejmowałyśmy różne praktyczne próby uzdrowienia sytuacji. Jakieś wyjścia na zewnątrz od czasu do czasu, na przykład

wychodziłyśmy raz w miesiącu do knajpy, co miało być wielkim świętem, wydarzeniem, ale ja widziałam, że to ją po prostu męczy. W pewnym momencie stało się jasne, że tego już się posklejać nie da, nie ma już do czego wracać i nawet jeżeli dalej będziemy ze sobą mieszkać, niewiele się zmieni. Że nigdy już nie będzie tak jak było i będzie to życie, jakie wiodą miliony znudzonych sobą małżeństw.

A.L.: Czyli wasz związek był zamknięty? Wysepka dwojga ludzi, która miała być szczytem szczęścia, a okazała się czymś w rodzaju klatki?

Dorota: Niestety tak. To był czas, kiedy ja nie znałam ani jednej osoby, kompletnie nikogo, z tak zwanej „branży”. Wydawało się nam obu, że takie znajomości nie są nam do niczego potrzebne. To był błąd. Jest wiele maleńkich problemów, które przeżywa się w związku, ludzie mogą się tym podzielić, opowiedzieć, jak sobie z tym czy owym dali radę. Maleńki problemik potrafi urosnąć do rangi ogromnego, kiedy człowiek zostaje z nim sam. To również było przyczyną mojego odejścia, a jak się już wyrwałam z tego związku, chciałam zagarnąć wszystko, cały świat.

A.L.: Jak Twoja partnerka przyjęła decyzję o rozstaniu?

Dorota: Na początku bardzo dramatycznie. Ale to bardzo rozsądna i delikatna osoba. Jestem pewna, że naprawdę mnie kochała, tak samo zresztą, jak ja ją. Odchodząc miałam nadzieję na inne, lepsze życie, i ona nie rzucała mi kłód pod nogi.

A.L.: Nie czułaś się winna, że odchodzisz?

Dorota: Ja w ogóle raczej nie czuję się winna. To nie znaczy, że nie widzę swoich błędów, czy przerzucam odpowiedzialność na drugą osobę. Jeżeli coś w życiu nie wychodzi, to trudno. Poczucie winy nie ma sensu. Nie żałuję też niczego. Cieszę się, że byłam z osobą, która mi pod wieloma względami imponowała. Do dzisiejszego dnia jestem ciągle pod ogromnym wrażeniem jej inteligencji, umiejętności radzenia sobie. Przeżyłam wielką miłość. Nie szukam rozpaczliwie następnej. Zaczął się po prostu nowy rozdział.

A.L.: I jaki on jest?

Dorota: Poznaję rozmaitych ludzi, lubię z nimi rozmawiać, lubię ich słuchać. Jestem pasjonatką Internetu i komputera (ale akurat nie jako środka nawiązywania znajomości, miłości tym bardziej). Rozkwitają moje stare przyjaźnie, na przykład z takim małżeństwem, które żyje ze sobą już 14 lat. Jestem pod nieustannym wrażeniem ich uroku, miłości,

zachowania wobec siebie. W życiu nie widziałam tak dobrego związku. Poza tym odkryłam w sobie społecznikowskie zacięcie.

A.L.: Jak się ono objawiło?

Dorota: W kilkanaście osób zakładamy fundację, która będzie proponować różne prorozwojowe działania, warsztaty. Część z nas pochodzi z Austrii, z Niemiec, w Polsce naszym głównym terenem działania będą rejony północne. Ja akurat chcę się zająć pracą z kobietami, głównie ze środowisk najbardziej zaniedbanych. Też z takimi, które są na życiowym zakręcie, bo na przykład przekroczyły sześćdziesiątkę i w żadnych innych grupach nie znajdują dla siebie miejsca, czują się na marginesie. Bardzo fajnie sprawdziły się zajęcia niejednorodne pokoleniowo, wśród uczestniczek była siedemnastolatka i pani siedemdziesięcioletnia, nawiasem mówiąc, one akurat bardzo się zaprzyjaźniły. Dziewczyna poznała kobietę, która mogłaby być jej babcią, i zobaczyła, że ta „starsza pani” jeszcze mówi o miłości, prowadzi ciekawe życie. Z kolei tamta zobaczyła, że siedemnastolatka wcale nie musi być głuputkim dzieckiem, które ma siano w głowie. Jestem święcie przekonana, że siła tkwi w grupie. Kiedy człowiek zostaje sam ze swoimi problemami, nie prowadzi to do niczego dobrego. Trzeba wyjść do ludzi.

A.L.: O czym marzysz tak wyłącznie dla siebie?

Dorota: O wolnym weekendzie spędzonym w górach, mogłabym połazić i umordować się. Albo o weekendzie z pilotem od telewizora w garści, na kanapie. Już za tym zatęskniłam.

A.L.: No, proszę! A myślałam, że kanapa i telewizor odpadają.

Dorota: Niedawno na imprezie, wśród znajomych, padło właśnie hasło: powiedz, o czym marzysz? W pierwszym momencie każdy wymyślał nie wiadomo co, a w głębi duszy - jak się okazało - wszyscy marzyliśmy głównie o jednym wolnym dniu we własnym łóżku, przed telewizorem.

A.L.: Spotkałam ostatnio wiele kobiet, które najbardziej marzą o emigracji. Ty najwyraźniej do nich nie należysz?

Dorota: No, nie należę. Nasz kraj mi się podoba, całkiem dobrze w nim funkcjonuję. Podoba mi się realne życie. I czasy, w których żyję. Są pełne wyzwań, prawda?

A.L.: O, tak.

Boję się coraz mniej

Ewa (19 lat) niedawno rozpoczęła studia na wydziale kulturoznawstwa w Łodzi. Zdawała też do szkoły filmowej, ale za pierwszym razem się nie udało. Jeśli nie uda się za drugim, prawdopodobnie wybierze emigrację. Myśli jak wiele innych polskich lesbijek: tam jest wolność, tam jest tolerancja. „Tam”, czyli w zachodniej Europie.

Anna Laszuk: *Znajomi z uczelni wiedzą, że umawiasz się na randki z dziewczyną?*

Ewa: Prawie nikt nie wie. W liceum było tak, że o wiele za dużo osób się dowiedziało, rozeszły się plotki. Nie doświadczyłam żadnej agresji czy ataku wprost, ale były krępujące spojrzenia, komentarze za plecami. Obserwowanie i dystans.

A.L.: *W nikim nie znalazłaś oparcia?*

Ewa: Znalazłam, w mojej ulubionej nauczycielce. Poszłyśmy kiedyś na herbatę, porozmawiać. Miałam w klasie chłopaka (tak to można nazwać) i podczas tego spotkania oznajmiłam, że już z nim nie jestem. Spytała dlaczego, na co odpowiedziałam, że związałam się z kimś innym. I nagle zamilkłam. To wydało się jej dziwne, bo zawsze dużo mówię. I zorientowała się, sama wpadła na właściwy trop. Znała tę dziewczynę (Agnieszka też była w naszej klasie, było widać, że się przyjaźnimy), więc tylko zapytała, czy właśnie o nią chodzi. Potwierdziłam, a ona uśmiechnęła się tylko. W ogóle nie uznała całej sprawy za problem, co mnie bardzo ucieszyło. Potem przyniosła mnie i Agnieszce do szkoły pięknego kwiatka.

A.L.: *Historia z Agnieszką to twój pierwszy związek z dziewczyną?*

Ewa: Tak.

A.L.: *A co było wcześniej?*

Ewa: Wcześniej zdarzało się, że jakaś dziewczyna tak po prostu podobała mi się, albo samo przytulenie się do niej sprawiało mi o wiele większą przyjemność, niż kiedy przytulałam się do chłopaka. Jeszcze wcześniej, w gimnazjum, prowadziłam długie rozmowy z koleżanką pod tytułem „coś ze mną jest nie tak”. Kiedy o tym opowiadałam, to głównie tłumaczyłam się, że taki wiek, że dziewczynki tak mają, bo chcą spróbować wszystkiego. I że przecież mi przejdzie. Później się okazało, że to nie kwestia wieku i próbowania, tylko ja po prostu tak mam.

A.L.: *Jak twoje przyjaciółki czy bliscy znajomi na to reagowali?*

Ewa: Wydaje mi się, że dobrze. Otaczam się duszami artystycznymi, ludźmi, dla których ważne są uczucia, a nie jakieś konwenanse. Mam kilku znajomych ze starych szkół, którzy może nie są tak bardzo wrażliwi, ale też nie robili z tego problemu. W większości traktowali to jak ciekawostkę: „O, fajnie, mam kumpelę lesbijkę” albo: „Ale śmiesznie, ciekawe kiedy jej przejdzie?” W klasie wszyscy dowiedzieli się dopiero po moim rozstaniu z Agnieszką, było widać nagłą zmianę w naszym zachowaniu. Nikogo nie dziwiło, że się do siebie przytulamy, wyglądałyśmy jak bardzo bliskie przyjaciółki. Dziwne było nasze nagłe odsunięcie się od siebie. Ale na przykład moja mama Agnieszki bardzo nie lubiła. Na pewno czuła podświadomie, że nie chodzi o zwykłą przyjaźń. Mówiła: „Ta dziewczyna jest głupia, bezwartościowa, płytka”, twierdziła, że Agnieszka ma na mnie zły wpływ. Strasznie mnie to bolało. Prosiłam i walczyłam, żeby, skoro nie umie myśleć inaczej, przynajmniej przy mnie tak nie mówiła. Bez skutku.

A.L.: *Dlaczego rozstałaś się z Agnieszką?*

Ewa: Ona wróciła do swojego byłego chłopaka. Można powiedzieć, że przez chwilę byliśmy we trójkę, to znaczy ona była na zmianę ze mną albo z nim, co, delikatnie mówiąc, nie było dla mnie fajne. Powiedziałam jej, że musi powiedzieć mu prawdę, bo ja nie zniosę takiej sytuacji. No i powiedziała, ale on to olał. Kiedy byłyśmy we dwie, czułam że jesteśmy razem, ale kiedy pojawiał się on, ja już nie byłam ważna. W miejscach publicznych to właśnie oni mogli się przytulać, okazywać sobie uczucia, być razem. A ona twierdziła, że nie potrafi wybrać, bo każde z nas kocha innym rodzajem miłości. Mówiła: „To jak mierzenie metrów do kilogramów”. Ostrzegałam ją, że jeśli nic się nie zmieni, odejdę. I odeszłam.

Po rozstaniu było strasznie, po prostu na jakiś czas umarłam. Odbiło się to na szkole, na kontaktach z ludźmi. W dodatku wszystko działo się podczas egzaminów i matur.

A.L.: *Zdałaś?*

Ewa: Zdałam, ale wpadłam w depresję. Od naszego rozstania minął chyba rok, a ja czułam się coraz gorzej. Najpierw poszłam do szkolnego psychologa, ale on nie bardzo sobie ze mną radził. Potem zwróciłam się do mamy. Dzięki niej poznałam wspaniałą psycholożkę. Bardzo długo nie chciałam jej powiedzieć, że byłam z dziewczyną. A kiedy w końcu powiedziałam, potraktowała to normalnie. Zaczęła inaczej ze

mną rozmawiać. Okazało się, że problem tkwi w mojej niezgodzie na swoją orientację. Dopiero od niedawna zaczynam to akceptować, ale cały czas czuję duże napięcie ze względu na otoczenie, środowisko, ogólny brak tolerancji. Okropny polski klimat.

Teraz spotykam się z dziewczyną, która jest bardzo pogodzona ze sobą. Jej rodzice wiedzą, znajomi, ludzie z pracy też. Wszyscy ją akceptują. A po niej widać, że jest lesbijką.

A.L.: *Co masz na myśli?*

Ewa: Ola nie jest zbyt kobieca. Kiedy idziemy razem, objęte, to po prostu od razu widać, że jesteśmy parą. Nie mamy za bardzo gdzie się spotykać, możemy najwyżej jechać do znajomej albo iść do jakiegoś klubu. Ale przecież to bez sensu, cały czas siedzieć w jednym klubie. Chciałybyśmy zachowywać się swobodnie. Wszędzie: w kinie, na ulicy, w pubie, gdziekolwiek. Mnie bardzo dotykają reakcje ludzi, ich niechęć, komentarze. Ona się z tym pogodziła, wie, że tak po prostu jest, a ja nadal mam jakąś wewnętrzną potrzebę walki. Potrzebę uświadomienia wszystkim naokoło, że nie mam trzech rąk, rogów i ogona, że jestem normalna. Czasem spojrzenie czy głupie słowo może bardzo zaboлеć, są takie momenty. Ja wtedy smutnieję, odsuwam się, już jest inaczej. Pojawia się to nieznośne napięcie, które odbiera mi radość życia. Kiedy Ola zakłada kaptur, garbi się i wygląda całkiem jak chłopak, możemy iść spokojnie. Niby spokojnie.

A.L.: *Kiedy idziesz ulicą z Olą, boisz się, że zostaniecie w jakiś sposób zaatakowane?*

Ewa: Boję się, bo wiem, że Oli się zdarzały takie sytuacje. Boję się bardziej o nią niż o siebie, bo jeśli ktoś dostanie wpierdol, to właśnie ona. Jest męska w sposobie bycia, ubiera się specyficznie, wiem, że u niektórych to wzbudza agresję. Kiedyś jechałyśmy w nocy autobusem, nie dotykałyśmy się nawet, po prostu siedziałyśmy obok siebie. Weszło kilku dresików, więc Ola automatycznie wstała i poszła w stronę kierowcy. Na wszelki wypadek, wiedząc, że mogą wysiąść na jej przystanku, podejść i pobić.

A.L.: *Jak się poznałyście?*

Ewa: W klubie gejowskim. To była pierwsza kobieta, którą z premedytacją podrywałam. Wcześniej miałam duży problem, żeby podejść do dziewczyny, zagaicić. Nam jednak jest trudniej, nawet jeśli chodzi o znalezienie kogoś. Człowiek heteroseksualny może swobodnie za-

czepić kogoś w bibliotece, w tramwaju, wszędzie. Wystarczy wymienić się numerami telefonów, to już kwestia odwagi.

A.L.: Zdarzyło się, że nie wiedziałaś co zrobić, kiedy podobała ci się jakaś dziewczyna?

Ewa: Tak, jeszcze w szkole. Grałyśmy razem w drużynie koszykówki. To było takie strasznie szczeniackie. Chyba domyśliła się, o co chodzi, bo zaczęła mnie unikać. Opuściłam sobie. Ale w innych sytuacjach, kiedy wiedziałam, że mam do czynienia z lesbijką, lęk paraliżował mnie jeszcze bardziej. W moim myśleniu dużo zmienił pewien chłopak, gej, którego poznałam na wakacjach. Wybił mi z głowy strach, głupie myśli: „Jak ja będę żyć? Jak sobie poradzę? Może wyjadę do Holandii?” Dostałam do wniosku, że sama sobie zamykam drogę i problem buduje się we mnie. I on uczył mnie podrywać dziewczyny.

A.L.: Jak poderwałaś Olę?

Ewa: W klubie to ona do mnie podeszła i poprosiła do tańca. Ale jak ją tylko zobaczyłam, od razu mi się spodobała, czysto fizycznie. Prze- tańczyłyśmy cały wieczór. A potem... nie odebrałam pięciu telefonów od niej, przez stres. W końcu się umówiliśmy na kawę, poszliśmy sobie na piwo i pogadałyśmy, znowu się spotkałyśmy. I jakoś poszło.

A.L.: To chyba jednak ona Cię poderwała.

Ewa: Ale jednak wykazałam odwagę!

A.L.: W twoim otoczeniu ktoś próbował Cię nawracać?

Ewa: Było parę takich osób. Pytały: „Jesteś pewna?”, mówiły, żebym się zastanowiła. Na szczęście po pewnym czasie ludzie dają za wygraną. W końcu widzą, że ich walka nie ma sensu.

A.L.: Ujawniłaś się przed mamą?

Ewa: Mama o niczym nie wie. Chociaż trudno nie wiedzieć, jeżeli od 3 lat nie pojawił się w moim życiu żaden chłopak, za to ciągle dzwoni do mnie ta sama dziewczyna. Mama nie wie, kim jest Ola. Gdyby ją poznała, to samo w sobie byłoby dla niej jasnym i ostatecznym sygnałem. Już powiedziała, że jak rozmawiam z Olą przez telefon, to dziwnie mówię, jakbym miała jakąś tajemnicę.

A.L.: Chcesz ją mieć?

Ewa: Parę razy rzucałam mamie hasła, po których mogła się domyślić. Ale pytała tylko, czy powinna się martwić. Odpowiadałam: „Nie

wiem, ja się nie martwię”. Mama ma dużo różnych problemów, nie chcę jej dodawać kolejnych. Boję się, że będzie za wszystko winić siebie.

A.L.: *Za to, że ty czujesz się lesbijką?*

Ewa: Owszem. Kiedyś pewnie będę musiała jej powiedzieć, bo przecież widzi, że coś się dzieje. Wytworzył się między nami dystans. Powiedzenie prawdy łatwiej by mi przyszło, gdyby nie było Oli. Boję się, że mama będzie chciała ją poznać. Boję się o nie obie. Po prostu wiem, że Ola nie spodoba się mojej mamie. Nie chciałabym doprowadzić do konfrontacji takich dwóch silnych osobowości.

Mojemu starszemu bratu chyba nigdy nie powiem. Jest strasznie cięty na gejów, na szczęście wyjeżdża teraz za granicę. Ja też myślę o tym, żeby wyjechać i pewnie tak zrobię, jeżeli nie uda mi się za drugim razem zdać do filmówki.

A.L.: *Czym chciałabyś się zajmować w życiu?*

Ewa: Teatrem. To jest moja wielka pasja. Bezkompromisowa namiętność, jak mówi Jarzyna. Kocham magię teatru, zapach sceny, samą możliwość bycia innym człowiekiem, rozwijania się przez to. Po rozstaniu z Ewą napisałam sztukę. Wysłałam ją na konkurs dramaturgiczny do Domu Kultury, gdzie działałam jako wolontariuszka. Od tamtej pory nie odważyłam się tam pójść, bo sztuka była rodzajem coming outu. Boję się reakcji ludzi, a jednocześnie mam nadzieję, że będzie pozytywna. Sama nie wiem.

Chyba jednak coraz mniej zależy mi na tym, żeby się ukrywać.

PS.

Pół roku temu Ewa zdecydowała się jednak wyjechać do Wielkiej Brytanii. Nie wyklucza, że zostanie tam na zawsze.

Żeby starczyło miejsca dla wszystkich

Z Agnieszka (23 lata) rozmawiałam o przeszłości, ale ona przeszłością nie żyje. Na pewno wyruszyła znowu odkrywać świat (i siebie w nim), bo po Szwecji spodobała jej się Szkocja, a potem Niemcy. Kiedy wraca do Polski, to tylko na kilka miesięcy, bo „tam jest powietrze, a tu - dulszczyźniany zaduch”.

Zacznę od tego, że jako nastolatka uczęszczałam do liceum katolickiego w Lublinie. Nie pochodzę z bardzo religijnej rodziny, miałam wolność w kwestii wiary, jednak do tej szkoły trafiały nie tylko osoby wierzące, ale także „ludzie z problemami”. Ich rodzice myśleli, że te problemy tam przepracują. Ja akurat zawsze bałam się egzaminów i stresów z tym związanych, a w tym liceum po prostu egzaminów nie było. Dyrektorzy szkoły byli księżmi, pozostali nauczyciele - osobami świeckimi. Uczyliśmy się w koedukacyjnych klasach.

Oczywiście do pewnego momentu chodziłam do kościoła, ale z czasem pewne rzeczy zaczęły mi się nie zgadzać, powiedzmy: teoria z praktyką. A podczas pobytu w katolickim liceum nastąpił koniec mojej religijności. Księża dyrektorzy pomiatali nami, jakby czuli przyjemność w posiadaniu władzy, używaniu jej. Oficjalnie nazywało się to uczeniem nas pokory. Wiem, że środowisko katolickie nie składa się tylko z tego typu ludzi, ale ja właśnie na takich trafiłam. Panowało tam straszne zakłamanie, część uczniów nie była wierząca, część - obserwując, co się tam działo - traciła wiarę. Na religii nie było żadnej rzeczowej dyskusji. Jak ktoś wytaczał konkretny argument, księża uciekali się do dogmatu. Możliwe, że ja wierząca nie byłam nigdy. Do bierzmowania przystąpiłam za namową mamy i niezupełnie na poważnie. Zadziwiające, jak wiele młodzieży, która trafia do szkół katolickich, odchodzi od Kościoła, naprawdę duży procent.

Monika, czyli najważniejsza dla mnie osoba stamtąd, była nauczycielką niemieckiego i w IV klasie zaczęłyśmy wyraźnie coś do siebie czuć. Zaprzyjaźniłyśmy się, a kiedy byłam na I roku germanistyki, już w Warszawie, to „coś” wybuchło. Na początku nie pociągała mnie fizycznie. Była dla mnie autorytetem, uważałam ją za bardzo mądrą życiowo kobietę. Lubiłam z nią przebywać, świetnie się nam rozmawiało. Dobrze się rozumiałyśmy, miałyśmy podobne poglądy. To uczucie się nawarstwiało, rosło. Z czasem zrozumiałam, że jest mi bardzo bliska, i że potrzebuję także bliskości fizycznej. Nie zamierzałam mieć żadnego chłopaka, wystarczyła mi duchowa więź z Moniką. Nic innego nie

było mi do szczęścia potrzebne. Powiedziałam jej o tym. Rozwijało się to krok po kroku, coraz dalej, aż przyszedł moment przełomowy. Nie myślałam, że tak naprawdę jestem heteroseksualna, a uczucie do tej kobiety jest w moim życiu niezrozumiałym wyjątkiem. Uświadomiłam sobie, że byłam taka zawsze. Dopiero wtedy, bo to uczucie było takie silne i prawdziwe. Przypomniało mi się, że w II i III klasie liceum miałam przyjaciółkę, w której byłam ewidentnie zakochana i ona we mnie też. W szkole chodziłyśmy sobie za rączkę, miałam ogromną potrzebę przytulania się do niej, nie byłam w stanie wytrzymać bez niej jednej doby. Tylko nie zdawałam sobie sprawy, o co w tym wszystkim chodzi, bo przecież taki związek zgodnie z obowiązującą normą nie ma prawa bytu. Wszystko zresztą zależy od tego, w jakim środowisku jesteśmy wychowywani. Ja wcześniej w ogóle nie wiedziałam, że jestem zdolna zakochać się w kobiecie i kiedy pierwszy raz spotkało mnie coś tak silnego, chodziłam jak ogłuszona. A ona była w związku małżeńskim, z dwudziestoletnim stażem, i miała córkę w moim wieku. Od początku zdawałyśmy sobie z Moniką sprawę, że jesteśmy w bardzo trudnej sytuacji, to była tragedia. Jej mąż nie miał o niczym pojęcia, długo uważał mnie za przyjaciółkę rodziny. Złapałam wtedy totalnego doła, nie wiedziałam, co robić. Kochałam ją bardzo i nie mogłam sobie bez niej wyobrazić życia, ona twierdziła to samo.

W pewnym momencie przestałam sobie radzić z tym, że jej mąż o niczym nie wie, że dzielą jedno łóżko. Nie chciałam występować w roli kochanki, postawiłam więc sprawę jasno, oczekując że Monika zdecyduje się na wyprowadzkę z Lublina, przeniesie do Warszawy, znajdzie tutaj pracę. Zdecydowała się i zamieszkałyśmy razem.

Wtedy wzięłam dziekanę na rok, bo rysowała się przede mną perspektywa wyjazdu na stypendium do Szwecji, w semestrze letnim. Poza tym wymyśliłam sobie, że będę pracowała i studiowała zaocznie, bo inaczej w Warszawie nie byłabym w stanie się utrzymać. Zaczęłam pracować w restauracji wegetariańskiej. Weszłam w nowe środowisko, można powiedzieć: od razu jako lesbijka, bo na początku identyfikowałam się z tym bardzo, znajdowałam wielką przyjemność w deklarowaniu, kim jestem. Miałam nawet takie założenie, że w nowej pracy ukrywać się nie będę, mówiłam wprost: „Jestem lesbijką i mieszkam ze swoją dziewczyną”. Oczywiście, padały uwagi za strony co bardziej złośliwych kolegów: „Ty to chłopka nie miałaś” i tym podobne, ale w sumie byłam akceptowana.

Kiedy Monika przeniosła się do Warszawy, nie miała tu żadnych swoich znajomych, wylądowała w obcym mieście. Ludzie, z którymi się

spotykałyśmy, byli moimi dobrymi znajomymi, którym ufałam. Oni nigdy nie komentowali różnicy wieku w naszym związku. Kiedy zamieszkałyśmy razem, miałam 21 lat. Wszystko stało się takie strasznie serio, rzuciłyśmy się na głęboką wodę. A mnie brakowało beztroskiego okresu randkowania, spotykania się. Zaczęły się ujawniać różnice myślenia między nami, inne potrzeby. Ja chciałam czasem wyjść do klubu, do kina, do ludzi, a ona nie potrzebowała tego tak często, wolala siedzieć ze mną w domu.

Nasz związek na odległość, kiedy jej mąż jeszcze o niczym nie wiedział, trwał rok, potem nastąpiło pół roku wspólnego życia, a przez następne pół roku ja byłam na stypendium naukowym w Szwecji. Perspektywa mojego wyjazdu od początku była dla Moniki nieznośna. Przeprowadziła się dla mnie, wszystko rzuciła dla mnie, a ja nagle ją zostawiam - tak o tym myślała. No, ale pojechałam.

To był wyjazd dla studentów zainteresowanych językiem szwedzkim, organizowany przez Instytut Szwedzki. Przez te pół roku chodziliśmy do szwedzkiej szkoły, ja byłam tam jedyną Polką. Ciekawe było obserwować, jak to społeczeństwo funkcjonuje, jak tam jest, ale najciekawsza była ta ich mentalność, że każdy jest indywidualnością i naprawdę każdy ma w tej społeczności swoje miejsce. To było piękne, niezwykle, u nas tego nie ma.

Mieszkałam na strasznym zadupiu, w miasteczku z 7 tysiącami mieszkańców, co ciekawe: takim pielgrzymkowym, trochę podobnym do naszej Częstochowy. Tyle, że szwedzki Kościół protestancki jest otwarty na ludzi, bardzo różnych, po prostu religia jest dla nich, a nie odwrotnie. Poznałam tam sporo osób homoseksualnych. W mojej szkole funkcjonowała klasa, stworzona specjalnie dla tych, którzy mieli potem pracować w Kościele. Jedna z kobiet, która się kształciła na diakona, była matką lesbijki. Otwarcie o tym mówiła, organizowała spotkania, małe grupy wsparcia w środowisku szkolnym. Spotkałam też księży, którzy żyją razem w związkach. Nie wiem dokładnie, jak się do tego odnosi protestantyzm, zdania na ten temat są chyba podzielone, natomiast - o ile wiem - głowa Kościoła szwedzkiego nie ma nic przeciwko związkom homoseksualnym. W poszczególnych przypadkach dużo zależy od postawy konkretnego pastora, to on ma w swoim sumieniu rozstrzygnąć, czy udzieli błogosławieństwa takiej parze, czy nie. Podczas tego pobytu zobaczyłam, że istnieje społeczeństwo, w którym da się normalnie funkcjonować. Szwedzcy nauczyciele pytali, co słyhać u mojej dziewczyny, co robimy w wakacje. Czułam się normalnym, wartościowym, równorzędnym człowiekiem. Czułam, że nikt tam nie patrzy

na mnie, na kogokolwiek, przez pryzmat seksualności, a jednocześnie różnorodność seksualności jest akceptowana.

Po mojej półrocznej nieobecności rodzice bardzo chcieli, żebym do nich przyjechała. Wróciłam, ale już do tego domu, który zbudowałyśmy z Moniką.

Rodzicom powiedziałam o naszym związku parę miesięcy po tym, jak zdecydowałyśmy się być razem. Źle się czułam w tamtym okresie i oni widzieli, że coś niedobrego się dzieje. Miałam z nimi zawsze bardzo dobry kontakt, rozmawialiśmy na różne tematy. Byłam dumna z tego, że mam w rodzicach wsparcie. Jednak trochę się bałam ujawnienia, bo często w rodzinie, przy okazji rozmaitych spotkań, słyszałam opowieści „o pedałach i lesbach” albo o tragediach rodzinnych, jak to na przykład żona zostawiła męża dla kobiety. A Monika wybrała przecież życie ze mną, nie z mężem. Czułam wtedy, że nie mogę pozwolić wydostać się temu, co jest we mnie, bo nie wiadomo co z tego wyniknie. Ale w końcu byłam już tak zdesperowana, że stwierdziłam: jeśli oni tego nie zaakceptują, to trudno, ja chcę być z Moniką tak czy inaczej. I tato kiedyś mnie zagadnął, w tamtym trudnym okresie: „Co się dzieje, dziecko?”, a ja w odpowiedzi po prostu się rozplakałam. Oczywiście oni się trochę domyślali, w czym rzecz. Tylko tata przypuszczał, że ja jestem transseksualna, i - co zabawne - zobaczyłam w jego oczach ulgę, kiedy usłyszał że jestem „tylko” lesbijką. Wydawało się więc, że ze strony taty wszystko jest super. Z mamą było gorzej, największym problemem dla niej była różnica 20 lat między mną a Moniką. Ojciec jest bardziej konkretny, rzeczowy, mama - uczuciowa. To było przykre, że płakała przez kilka dni, bo co ja takiego zrobiłam? Jestem, jaka jestem, no, ale mimo wszystko to był dla niej powód do łez.

Z czasem stosunek mamy do tego wszystkiego zaczął się normować. Podrzucałam jej jakieś publikacje na temat homoseksualizmu, ona czytała, interesowała się, ojciec natomiast zupełnie nie. Wreszcie mama uznała, że pora zaprosić nas obie do domu. Tyle, że zrobiła to akurat w dzień, w którym my się rozstałyśmy.

Mnie chyba zabiła ta różnica wieku, 20 lat to jest bardzo dużo. Monika bardzo się starała i nie mogę na nią złego słowa powiedzieć.

Przez długi czas chodziłam do psychologa i próbowałam sobie to wszystko poukładać, zadawałam sobie pytanie, o co mi tak naprawdę chodzi, ale ostatecznie nie znalazłam odpowiedzi. Wiedziałam, że nie mogę już być z nią, bo mnie w jakiś sposób ogranicza, ale z drugiej strony doszłam do wniosku, że ja w ogóle nie potrafię być w jakimkol-

wiek poważnym związku, bo nie jestem w stanie oddać się w zupełności. Chyba byłam za młoda, żeby taki związek stworzyć.

Po naszym rozstaniu Monika wróciła do Lublina i swojego dawnego domu. Ja miałam nadzieję, że im się z mężem jakoś ułoży. I rzeczywiście, jakoś się ułożyło - znowu są razem. Ale ona mówi, że tylko pozornie wygląda to dobrze. Mówi też, że nikt się nawet nie domyśla, co w niej siedzi tak naprawdę. Nie rozmawia z nikim o swojej sytuacji, uczuciach, bo już wie, że zadała dużo bólu swoim najbliższym. To wszystko na pewno jest dla niej bardzo trudne.

Wydaje mi się, że moi rodzice po tej historii mieli nadzieję, że spotkam jakiegoś faceta. Teraz chyba już jej nie mają. Zaczęłam układać sobie życie od nowa, w moich opowieściach zazwyczaj przewijają się dziewczyny, jednak oni cały czas nie chcą dostrzegać tego kawałka mnie. Czuję, że dawnej bliskości, jaka była między nami, już nie ma.

Kiedyś ojciec mówił (na temat mojej orientacji), że wszystko jest w porządku i ważne jest tylko to, żebym była szczęśliwa. Teraz mi się wydaje, że to były słowa na wyrost. Mam wrażenie, że ucieszył się z końca mojego związku z Moniką. W tej chwili temat właściwie nie istnieje. Kiedy napomknę, że gdzieś byłam i poznałam jakąś dziewczynę, on udaje, że nie słyszy. Próbuje uczynić tę sferę niewidzialną, bo jeśli czegoś nie widać, to tego nie ma.

Jeśli chodzi o mamę, też mam wrażenie, jakby wszystko się cofnęło. Powiedziałam jej ostatnio: „Mamo, jeśli ja sobie znajdę dziewczynę, to będzie od nowa to samo, to samo obie będziemy musiały przejść, od samego początku”. Odpowiedziała: „Być może”.

Byłam świadoma, że muszę dać rodzicom czas, ale nie da się oddzielić mnie od tego, kim jestem, z kim jestem. To wychodzi na każdym kroku.

Po moim powrocie ze Szwecji władza akurat zakazała w Warszawie Parady Równości. Na dzień dobry poczułam się przytłoczona. Pamiętam, że kiedy stamtąd wyjeżdżałam i żegnałam się z ludźmi, wszyscy do mnie podchodzili i mówili: „Agnieszka, walcz! Trzymaj się i walcz”. A ja myślałam o tym, że mogłabym się tam właśnie przeprowadzić, ponieważ nieustanne bycie silną jest bardzo frustrujące. Ciągła walka jest trudna do zniesienia.

Z koleżanką, która ci mówi, że „to” jest złe, a ty jesteś chora, z jakimiś ludźmi, którzy występują w telewizji w charakterze autorytetu i mówią to samo, a publika słucha i wierzy.

Mam siostrę, kochaną, 2 lata młodszą, która jako jedyna z całej ro-

dziny przyjęła mnie z moją orientacją zupełnie normalnie. Oczywiście, na początku potrzebowała czasu, ale w tym momencie jest totalny luz. Ona mi opowiada o swoim chłopaku, ja mogę jej opowiadać o swojej dziewczynie. I tak powinno być na świecie. Tylko, że samo się nie robi. Jestem pewna, że najwięcej zależy od nas samych. Chciałabym, żebyśmy wszyscy wyszli z tej wielkiej szafy i się pokazali: „Halo, jesteśmy tu!” Zwykli ludzie, każdy z osobna.

PS.

Podczas pobytu w Niemczech Agnieszka zakochała się. Wróciła do kraju tylko po to, żeby obronić pracę magisterską. Potem wyjedzie do Niemiec, żeby zostać tam, jak sądzi, na zawsze.

Ta sama, jaką zawsze znaliście

Marta (23 lata), ledwie obroniła magisterkę, wyjechała do Szkocji. Dołączyła do kilkumilionowej grupy polskich emigrantów, na razie na pół roku i przede wszystkim ze względów zarobkowych. Już podczas naszego pierwszego spotkania mówiła: „Nie widzę tu dla siebie przyszłości”. Natalia (jej partnerka i rówieśniczka) uczy się jak szalona języków obcych. Po pierwsze - lubi, po drugie - bez nich nie ma co myśleć o godziwym życiu za granicą. Dziewczyny chcą być przygotowane do prawdziwej emigracji. I nie chodzi tylko o dobrą pracę, ale wyrwanie się z dusznej obyczajowo Polski. Na rozmowę ze mną zgadza się tylko Marta. Natalia zbyt obawia się ujawnienia.

W małym miasteczku

Kiedy pytam o coming out, Marta podaje mi kilka gęsto zapisanych kartek. Tekst zaczyna się tak:

Kochani!

Niestety, nie zdobyłam się na to, by z Wami porozmawiać, dlatego piszę, co i tak jest dla mnie bardzo trudne. Nasza rodzina z jakiegoś powodu nigdy nie była skłonna do dzielenia się między sobą osobistymi uczuciami i przeżyciami. Nigdy do końca tego nie rozumiałam i bardzo mnie to martwiło. Przez wiele lat męczyło mnie nabijanie się z wielu ważnych dla mnie spraw. Teraz proszę Was o to, byście potraktowali poważnie wszystko, co przeczytacie. Nie mogę dłużej udawać, kłamać. Za dużo energii zabiera mi zastanawianie się nad tym, co chcielibyście usłyszeć, a czego nie. Za chwilę przeczytacie coś, co może Was zszokować, zresztą nie wiem - wywołać oburzenie, radość, gniew, może smutek.

Mamo! Zawsze powtarzałaś: „To twoje życie”... Tak, to moje życie i jestem szczęśliwa. Jest takie słowo: „coming out”, oznacza po prostu „ujawnienie się”. Ja też postanowiłam się przed Wami ujawnić. Przeczytajcie tę historię...

Marcie zabrakło odwagi, żeby wręczyć ten list rodzinie. Dostała go tylko jedna z siostr. Powiedziała: „Jak chcesz... Moim zdaniem lepiej, żeby nie wiedzieli”.

Marta pochodzi z N., małego miasta w centralnej Polsce. Tu mieszkają jej mama i trzy starsze siostry, które od dawna są mężatkami, mają dzieci.

W cichym i spokojnym N. wszyscy się żenią albo wychodzą za mąż, wychowują dzieci. A w każdym razie wydaje się, że wszyscy powinni. Według Marty N. ma dwa profile. Jeden odrapany: kilka barów, w których przesiadują młodzi ludzie znudzeni w piątkowe wieczory, jedna stacja PKP, sklepy (których co chwilę ubywa, bo bankrutują). Do niedawna były dwa kina, ale splajtowały. Pierwsze przerobiono na sklep z obuwem, potem z ubraniami, jeszcze potem z zabawkami. Teraz jest tam „Figloraj” dla dzieci - niebo zjeżdżalni, piłek i innych cudów, ale też nie wiadomo, jak długo pociągnie. Jest Dom Kultury z lekcjami rysunku, tańca, języka angielskiego. I galeria sztuki, w której czasem zawisną obrazy kogoś mniej lub bardziej sławnego. Kościołów jest kilka, podobnie jak cmentarzy. W Zaduszki na cmentarzach gromadzą się tabuny młodzieży, bo większych atrakcji brak. N. co roku obchodzi swoje dni, na których i tak nic się nie dzieje, poza tym, że zagrają na przykład Czerwone Gitary albo regionalne zespoły metalowe.

Drugi profil N. ma swój małomiasteczkowy urok. Czysto, duże parki, wzgórze zamkowe, skansen i stary Teatr Miejski. Ostatnio, z braku prawdziwego kina, teatr przepoczwarza się w razie potrzeby w salę kinową. N. ma spokój i ciszę. I swoją nudę, którą Marta starała się rozbić.

- Jako szesnastolatka zostałam reporterką w lokalnej telewizji, robiłam materiały z życia miasta - opowiada. - Na co dzień ganiałam w portkach, ale kiedy trzeba było pójść na jakąś galę, wkładałam sukienkę i wysokie obcasy. Potem była praca z Owsakiem i Fundacja im. Urszuli Jaworskiej, koordynowałam tam działania wolontariuszy. Udało nam się zebrać 75 tysięcy złotych!

Trudniejsze od pokonania nudy było przewyciężenie konserwatywnej mentalności, którą nasiąkla jak gąbka.

- Żyjąc w N. nie wiedziałam nawet, że lesbijki istnieją. Samo słowo „lesbijka” było obce, kojarzyło mi się z czymś dziwnym i zakazanym. Koleżanki z liceum ciągle chciały mnie swatać, jako jedyna w klasie nie miałam chłopaka. Przed studniówką pojawił się problem: z kim zatańczyć poloneza? Zdecydowałam się poprosić jednego faceta, potem próbowaliśmy być razem. Nic między nami nie zaszło poza pocałunkami, których nienawidziłam.

Następne nieudane próby bycia „hetero” Marta usiłowała zracjonalizować: „To jeszcze nie był ten właściwy, jestem za młoda na seks”. I chciała sprostać wymaganiom, żeby być taką jak wszyscy. Ale dziewczyny wzbudzały zbyt silne emocje. Kolejna i ostatnia próba bycia

w związku z chłopakiem także skończyła się zerwaniem, wkrótce po wizycie u siostry.

- To było na początku studiów. Pojechaliśmy z Markiem odwiedzić Monikę. Następnego dnia dostałam od niej maila: „Boże, jak patrzę na Ciebie, zupełnie nie widzę w Twoich oczach szczęścia! Przerwij to, co nie daje Ci i nigdy nie da satysfakcji. Widzę, co się z Tobą dzieje. To nie mężczyźni”. Kilka lat wcześniej Monika opowiedziała mi w sekrecie o swoim romansie z przyjaciółką. W jej przypadku to był epizod, ale pewnie dzięki niemu wiele rozumie. To od niej usłyszałam później: „Zawsze wiedziałam”.

Nowy rozdział

Po maturze Marta wybrała pedagogikę specjalną w Warszawie i pożegnała się z N. Z dała od domu i małomiasteczkowej aury nastąpił przełom.

- Przez pół roku chodziłam do Lambdy na Gennemę, grupę dla dziewczyn - wspomina. - Tam po raz pierwszy spotkałam inne lesbijki. Po dwóch miesiącach zdecydowałam się na indywidualny kontakt z terapeutą. Pytałam go, dlaczego taka jestem, mówiłam: „Zawiodłam wszystkich, będę potępiona, nie tego ode mnie oczekiwali”. Popatrzył mi w oczy i odparł: „To twoje życie czy ludzi wokół ciebie?” Wtedy coś we mnie pękło. Napisałam ten list, o wszystkim, co się ze mną działo przez całe życie. Chciałam, żeby siostry i mama wiedziały, kim jestem. Potem zrezygnowałam. Ze strachu, że jednak nie zrozumieją. Ale i tak wszystko było już inne. Warszawa to nie moje rodzinne N.

Pierwszą fascynacją Marty była poznana w nowym życiu biseksualna dziewczyna, miotana sprzecznymi pragnieniami. Następna szukała lekarstwa po nieudanym związku. Aż wreszcie nadeszła prawdziwa miłość - Natalia. Poznały się w jednym z gejowsko- lesbijskich klubów.

- Delikatna i nieśmiała, taki dzieciaczek, chociaż młodsza ode mnie tylko o rok! Mieszkamy razem w domu jej mamy, która oczywiście wie, że jesteśmy parą. Poznawałyśmy się z „teściową” stopniowo, polubiła mnie bez problemu.

Marta z Natalią zajmują jeden niewielki pokój. Oprócz nich są tu jeszcze dwa kotki: Helsinka i Taubi. Helsinka dostała imię na cześć stolicy Finlandii, Taubi jest pocieszny i ufny, nikogo się nie boi, chociaż nie słyszy od urodzenia.

Niedawno minęły 2 lata, odkąd dziewczyny są razem. Prowadzą zwykłe, domowe życie: herbatka, kocyk, rozmowy, studiowanie map

i przewodników (planują wiele podróży po świecie). Marta pożera książki. Oglądam połówki zeszytu z myszką Miki na okładce, w którym od V klasy podstawówki zapisuje przeczytane pozycje - to tradycja rodzinna. Rozwój czytelniczy Marty wiedzie od *Doliny Muminków*, odnotowanej koślawym dziecięcym pismem, przez horrory Kinga, do wszystkich powieści Jeanette Winterson.

- Natalia nie pozwala mi gromadzić książek, bo mamy w domu za mało miejsca. Mówi, że nie chce żyć w bibliotece. Jej wystarczą do szczęścia słowniki i opaste księgi do ekonomii - śmieje się Marta. - A ja lubię poczytać sobie zwykłe książki.

Wśród „zwykłych” książek widzę dużo literatury feministycznej i lesbijskiej. Okazuje się jednak, że Marta słowa „lesbijka”, w stosunku do siebie i Natalii, stara się nie używać.

- Nie podoba mi się, budzi złe skojarzenia - mówi. - Szliśmy kiedyś z Natalią po Marszałkowskiej, trzymając się za ręce. Centrum Warszawy, środek dnia. Obok przechodziła rodzina - mężczyzna, kobieta i mały chłopczyk. W pewnym momencie padło pogardliwe: „Patrz, jakie lesby!” Tak ojciec rodziny poinformował swoją żonę, kim mianowicie jesteśmy. Ich synek być może usłyszał to słowo po raz pierwszy. Nie sądzę, żeby zrozumiał, co znaczy. Poza tym, że na pewno nic dobrego. Bo przecież zostało powiedziane w taki sposób...

Od tamtej pory Natalia już nie chce chodzić z Martą za rękę. Nie założy srebrnej obrączki. Nie udzieli mi wywiadu.

Marta nie zamierza utrzymywać kontaktu ze znajomymi w N. Kiedy pytali, czy ma kogoś, mówiła o Patryku. Dla tych, którzy nie znają prawdy (bądź nie powinni jej znać), Natalia jest Patrykiem, a Marta Dominikiem. W ten sposób oficjalnie każda ma chłopaka, a krąg znajomych „hetero” został zredukowany, bo ciągle wymyślanie historyjek męczy. Ale dawny pokój Marty, w rodzinnym domu, pełen jest zdjęć Natalii.

- Mama zachowuje się, jakby ich nie widziała. Tylko raz zadała pytanie mojej siostrze: „Natalia to dla Marty koleżanka, przyjaciółka, czy bardziej niż przyjaciółka?”

Monika, zgodnie z prawdą, wybrała odpowiedź numer trzy. Zapadło milczenie. Dawniej przyjeżdżałam do domu w N. z Natalią, ale była tam traktowana jak moja koleżanka. Obie źle się z tym czułyśmy. Szwagier nie dawał mi spokoju: „Dlaczego ciągle mówisz MY - z Natalią, obok Natalii, u Natalii?” Przecież mu nie wykrzyczę, że z nią żyję!

Ale przecież chciałyby. Jeśli nie wykrzyczę, to zwyczajnie powie- dzieć. W liście z szuflady przekonuje: „Wciąż jestem tą samą Martą,

którą zawsze znaliście. Jedyna rzecz, która się zmieni, to ta, że teraz będziecie znali mnie lepiej. Kocham Was”.

Przystanek Europa

Szkocja różni się od N. jeszcze bardziej niż Warszawa. Także Skandynawia, którą dziewczyny zwiedziły podczas minionych wakacji. Najpierw przez cały rok oszczędzały i zaznaczały najciekawsze punkty na mapie Danii, Norwegii, Finlandii. Będąc na miejscu, tropiły głównie cuda przyrody, ale w Kopenhadze odwiedziły całą masę „branżowych” knajp, w samym tylko centrum. Tęczowe flagi widać z daleka, łatwo było trafić.

- W Skandynawii lesbijki chodzą całymi komunami - opowiada Marta.
- Trzymają się za ręce, zachowują totalnie swobodnie. No i wyglądają na lesbijki - albo wygolone na zero, albo z różowo-fioletowymi włosami. Czasem agrafka w nosie, czarne ciuchy, mocno subkulturowy image. Pewnie nie wszystkie taki mają, ale one najbardziej rzucały się w oczy. Byłyśmy też w jednej z organizacji LGBT. Obraz Polski jest tam straszliwy. Rozmawialiśmy z dziewczyną, której Polska myliła się z Ukrainą. Poza tym była przekonana, że u nas geje i lesbijki mogą się spotykać tylko w parkach lub w krzakach. W wielkiej tajemnicy. Wyjaśnialiśmy, że nie jest aż tak źle!

Natalia była Skandynawią zachwycona. Marta nie na tyle, żeby wiedzieć tam swoją przyszłość.

Przyszłość na razie jest niepewna. Dziewczyny wierzą, że ich związek przetrwa wszystko, ale chciałyby żyć w bezpiecznym, otwartym kraju.

Może kiedyś Polska się zmieni. W końcu N. też leży w Europie. Przynajmniej na mapie.

Mam w dupie małe miasteczka

Iwona ma 30 lat, uczy przedmiotów humanistycznych w wiejskiej podstawówce na południu Polski. Ze względu na otoczenie i własne bezpieczeństwo nie chce ujawniać zbyt wielu faktów ze swojego życia. Zamierza niedługo wyemigrować do Holandii (stamtąd pochodzi i tam mieszka jej partnerka - Inge). Ta możliwość, to - jak mówi - wentyl bezpieczeństwa w IV Rzeczypospolitej. W Polsce czuje się okazem zagrożonym.

Anna Laszuk: *Dlaczego wybrałaś szkołę na wsi jako swoje miejsce pracy?*

Iwona: Praca mnie wybrała. Nie jest tak, że dostaniesz ją gdzie chcesz. Tutaj dostałam pracę i mieszkanie.

A.L.: *Jak się żyje feministce, ateistce i lesbijce w wiejskiej społeczności?*

Iwona: Delikatnie mówiąc, ciężko. Życie tu po prostu mnie zabija. Ale odkąd się zakochałam, jest mi łatwiej. Na przykład przeprowadziłam domowy coming out.

A.L.: *Jak poszło?*

Iwona: Powiedziałam mojej mamie - przeżyła, powiedziałam mojemu bratu - przeżył. Wspaniale. Planuję kolejny coming out, przed szkolnym katechetą.

A.L.: *Serio?*

Iwona: Na razie o tym marzę.

A.L.: *Do niedawna siedziałaś w tak zwanej szafie. Nikt nie wiedział, że jesteś lesbijką?*

Iwona: Siedziałam w szafie półotwartej. Ujawniałam się na raty, najpierw przed znajomymi, ale oni nie pochodzą stąd. Część z nich poznałam, podobnie jak Inge, przez Internet. Znalazłam ich, że tak powiem, według klucza feministycznego. Najpierw zaczęłam szukać w Internecie tekstów feministycznych i lesbijskich, które mnie interesowały, a potem pojechałam na konferencję. Poznałam ludzi, dzięki nim - następnych. Utrzymujemy kontakt mailowy, odwiedzamy się.

A z mamą było tak, że prowadziłam z nią liczne rozmowy, w trakcie których odmieniałam przez wszystkie przypadki słowo „homoseksua-

lizm". Powtarzałam to cały czas, aż w końcu któregoś dnia podczas telefonicznej kłótni oznajmiłam jej, że jestem lesbijką. Niedługo potem poznałam moją obecną dziewczynę i zaprosiłam ją do Polski. Powiedziałam o tym mamie (poprosiłam, żeby pomogła mi przygotować jakąś typowo polską potrawę), jak również o tym, że Inge pochodzi z Holandii. Wtedy usłyszałam coś brutalnego, niemal chamskiego: „Uważaj na >adidas<”. To było okropne, ale z drugiej strony pomyślałam sobie, że było po prostu szczere. W ten szczególny sposób moja mama oświadczyła, że zdaje sobie sprawę z istnienia mojego życia seksualnego: oto przyjedzie moja dziewczyna i będziemy zapewne uprawiały seks. Tak więc szczerłość jej komentarza nawet mi się podobała, chociaż po czasie podoba mi się coraz mniej.

A.L.: I co zrobiła Twoja mama, kiedy się dowiedziała, że przyjeżdża Inge?

Iwona: Wzięła się za gotowanie, potem - przez telefon - pytała, czy nam smakowało. Przed Bożym Narodzeniem zaprosiła nas obie na święta i trzeba przyznać, że okazała Inge mnóstwo ciepła. Była moją dziewczyną oczarowana, cóż - nie ona jedna. A jeśli chodzi o ogólne nastawienie do sprawy, to oczywiście mama nie chce, żebym na uroczystości rodzinne czy wesela przychodziła z Inge. Już mi zakomunikowała, żebym przypadkiem nie robiła żadnych numerów. Niestety, ta niezgoda jest mi nawet na rękę, nie marzę o szerszej konfrontacji z rodziną.

A.L.: Ale o konfrontacji ze szkolnym katechetą marzysz?

Iwona: Owszem, ale ujmując rzecz realnie, wystarczył mi coming out, który przeprowadziłam w szkole jako ateistka - chciałam uświadomić uczniom, że nie wszyscy są katolikami. Okazało się, że niechodzenie do kościoła jest tu czymś bardzo egzotycznym. Na przykład taka sytuacja: jadę z uczniem pociągiem, rozmawiamy sobie miło i sympatycznie, on pokazuje mi jakąś gazetkę o zwierzętach, którymi się interesuje, dyskutujemy, i w pewnym momencie mówi do mnie: „Proszę pani, mam do pani pytanie, tylko proszę się nie denerwować... czy pani jest niewierząca?!” Poczułam się bardzo źle z tym, że dla nich to takie niezwykłe.

A.L.: Czy, poza Tobą, wszyscy - nauczyciele i uczniowie - są katolikami?

Iwona: W szkole rządzi ksiądz. A pokój nauczycielski nie jest świadomy tego, że coraz bardziej ustępuje księdzu pola. Wielu nauczycieli

do kościoła nie chodzi, ale w okolicach świąt wszyscy jesteśmy zmuszeni wysłuchiwać odpowiednich fragmentów Nowego Testamentu. Podobnie w czasie wigilii nauczycielskich - odczytuje się na głos wyjątki z Biblii. Po ostatnich wyborach, wygranych przez prawicę, ksiądz coraz bardziej się szarogęsi. Wymaga na przykład, żeby nauczyciele uczestniczyli we mszy. Niedawno pojawiła się propozycja, żeby wychowawcy dawali punkty ujemne uczniom, którzy nie uczestniczą we mszy rozpoczynającej i kończącej rok szkolny. Ja oświadczyłam na radzie pedagogicznej, że nie będę tego robić. Zresztą nie chodzi tylko o msze - kiedy ksiądz planuje szkolne wycieczki do muzeum naszego patrona (*notabene*, jest nim postać związana z Kościołem), to powszechnie wiadomo, że tam nie chodzi tylko o oglądanie pamiątek, ale także o wspólne mówienie pacierzy.

A.L.: Nikomu nie przeszkadza, że szkoła de facto nie jest świecka?

Iwona: Poza mną przeszkadza tylko jednemu nauczycielowi, który tak się składa - też nie jest katolikiem. Ksiądz chciał pewnego razu, żebym podczas lekcji rozprawiała jakieś materiały o treści katolickiej, co było demonstracją siły z jego strony, bo on się nigdy do mnie z niczym nie zwraca (kiedy na przykład spotykamy się na korytarzu, ja mówię „dzień dobry”, a ksiądz odpowiada milczeniem, bo uznaje tylko formułę „szczęść Boże”). Rzuciłam okiem na te ulotki i powiedziałam, że nie dam tego uczniom. Przecież takie rzeczy może rozdawać katecheta, prawda? Przy tej rozmowie był obecny wspomniany przeze mnie nauczyciel, który bardzo mi wtedy pomógł, mówiąc dobitnie, że i jemu ten pomysł się nie podoba. Podobnie jak ja uważa, że Kościół powinien być oddzielony od państwa, między innymi w szkole. Tylko, że to jest walka z wiatrakami.

A.L.: Co o tym wszystkim myślą pozostali nauczyciele?

Iwona: Niektóre nauczycielki przewracają oczami, słysząc sugestie wychowawcze księdza, ale grzecznie za nim podążają. Nikt mu się głośno nie sprzeciwi.

A.L.: W szkole przewija się w jakiś sposób temat homoseksualizmu?

Iwona: O, tak. Dzieci pytają czasem na lekcji, skąd się biorą homoseksualiści. A ja spokojnie tłumaczę. Zadają sporo pytań na ten temat, w ogóle interesuje ich seksualność, już na poziomie IV klasy. Ciekawe, że w ich pytaniach nie pojawiają się wyrażenia „mąż i żona” czy „mama i tata”, tylko „chłopak i dziewczyna”. Póki co widzę, że można

ich ukształtować na tolerancyjnych ludzi, ale nie czarujmy się, dorastając w tym otoczeniu, nie mają na to zbyt wielkiej szansy.

A.L.: „W tym”, czyli jakim?

Iwona: Plotkarskim, zamkniętym, konserwatywnym, pełnym zawiści i hipokryzji.

A.L.: *Nie masz męża, dzieci, nie chodzisz w spódniczkach, sprzeciwiasz się księdzu. Jesteś postrzegana w szkole jako dziwna?*

Iwona: Pewnie tak, w każdym razie czuję się tak postrzegana. Zarówno wśród nauczycieli, jak i uczniów. Co do tych pierwszych, to zbyt długo tu uczę, żeby pozwalać sobie w kaszę dmuchać. Obralam strategię wyśmiewania ich drobnomieszczańskich wymagań, doprowadziłam do tego, że jest im głupio nawet w żartach wytykać mi brak męża. Wiedzą, że moja „dziwność” czy „inność” oznacza też niezależność. A uczniowie? Może kiedyś zrozumieją.

A.L.: *Jakie mogłyby być konsekwencje twojego ujawnienia się, jako lesbijki, w szkole?*

Iwona: Nie wiem, pokój nauczycielski na pewno bałby się hałasu, który mógłby się zrobić wokół szkoły. A hałas w trudnych czasach jest bardzo niewskazany. Może usiłowałiby pod byle pretekstem mnie wyrzucić. Na pewno walczyłabym o swoje prawa, nie wróciłabym z powrotem do szafy. Wczoraj rozmawiałam z moim przyjacielem, który jest gejem, powiedział: „Nie chcę być >kimś z zoo<”. Ja też nie chcę. Być okazem, lokalną lesbijką. Ale teraz czuję się już nie tylko okazem, ale okazem zagrożonym. W IV Rzeczypospolitej rzeczywiście jest inne powietrze.

A.L.: *Jakie?*

Iwona: Używając eufemizmu: pachnie strachem. Pojechałam na przykład na Marsz Równości, razem z moją dziewczyną, która właśnie przyjechała do mnie na kilka tygodni. Zaszokował nas poziom agresji, nienawiści wobec manifestujących, ta ilość policji, w dodatku wcale nie gwarantująca bezpieczeństwa. Ja czułam, że moim obowiązkiem jest być tam, chociaż moja mama była przeciwna, bała się. Nie kamieni Młodzieży Wszechpolskiej, które mogą polecieć w moją stronę, ale kamery, która zarejestruje moją obecność, i tego, że wszyscy będą mogli mnie obejrzeć w wieczornych wiadomościach.

A.L.: *Ty się tego nie obawiałaś?*

Iwona: Czasami jest mi wszystko jedno. Mam dość życia na pół gwizdka, depresji, ukrywania się i kontrolowania - kto wie, kto nie wie, i co z tego wyniknie. Rozmawiałam z Inge, że jeśli tu nie wytrzymam, wyjadę do Holandii. Na stałe.

A.L.: *Wyobrażałaś sobie jakoś konkretnie swoje życie tam?*

Iwona: Na konkrety jest za wcześnie, na razie nie podjęłam ostatecznej decyzji. W każdym razie - nie muszę mieć przez całe życie statusu nauczyciela. Tracę młodość i urodę, poprawiając za parę groszy uczniowskie zeszyty, nie wiem, czy mi zależy na takim statusie? Mogę spokojnie być na przykład kurierką. Przede wszystkim jednak wyobrażam sobie wspólne życie z moją dziewczyną. I wiesz co? Mówiąc Bursą: „Mam w dupie małe miasteczka!”

A.L.: *Dlaczego więc ciągle tu jesteś?*

Iwona: Muszę doprowadzić moją subwersywną działalność wywrotową do końca, a potem wyjadę tam, gdzie czeka na mnie normalne życie. Jedni wyjeżdżają za chlebem, inni za wolnością. Tymczasem rozejrzyj się po mojej biblioteczce. Możesz sobie wziąć, co chcesz. Zostaw mi tylko podręczniki do niderlandzkiego.

PS.

Spotkałam Iwonę na tegorocznej Paradzie Równości w Warszawie. Powiedziała, że za kilka tygodni będzie już w Holandii, gdzie czekają na nią Inge i nowa praca.

Odwaga

Sylwia (25 lat) pochodzi z Lublina, gdzie działa katolicka grupa „Odwaga”. Na internetowej stronie „Odwagi” wiele można przeczytać o „prewencji i terapii homoseksualizmu”, „wychodzeniu na prostą”, nie-dojrzałości emocjonalnej i zaburzeniach rozwojowych, które (zdaniem autorów publikacji tam zamieszczonych) mają być podstawą „homoseksualnych skłonności”. Kto tych skłonności w sobie nie akceptuje i chce wejść na „drogę ku światłu”, posiłkując się wykładnią nauki Kościoła, trafił pod właściwy adres. „Odwaga” chce wspierać i zmieniać, niektórzy mówią: leczyć (wbrew opinii Światowej Organizacji Zdrowia, że homoseksualizm nie jest chorobą). O sukcesach grupy zaświadcza ją (także na internetowych stronach) ci, którzy niechcianej „skłonności” się pozbyli. Sylwia, jak mówi, trafiła do „Odwagi” dla mamy. Jej kontakt z „Odwagą” był stosunkowo krótki i nie przyniósł oczekiwanych (przez mamę) rezultatów.

Moja mama dowiedziała się, że jestem lesbijką, od mojego brata. To był dla niej wielki problem. Postanowiła szukać dla mnie jakiegoś ratunku i w końcu usłyszała od znajomego księdza o „Odwadze”. Zaczęła mnie namawiać, żebym poszła do terapeuty stamtąd, a właściwie sama poleciła mi terapeutkę, jak się okazało - zakonnicę. Ja na samym początku domyślałam się tylko, że to wszystko ma związek z Kościołem - w pokoju wisiał krzyż, święte obrazy, ale sama terapeutka nosiła świecki strój. Miała na imię Grażyna, spotykałyśmy się raz w miesiącu i rozmawiałyśmy o moim życiu. W końcu namówiła mnie na trzydniowy wyjazd - spotkanie grupowe. Zastanawiałam się, do czego mi to w ogóle potrzebne, miałam wątpliwości, ale mama zaczęła naciskać i zdecydowałam, że tam pojadę, ze względu na nią.

Spotkanie trwało od piątku do niedzieli, brały w nim udział same kobiety, w wieku 18-25 lat, wszystkie przyjechały w jednym celu: wyleczyć się z homoseksualizmu i zacząć „normalnie” żyć. Tylko ja mówiłam, że jestem tam ze względu na mamę. Część z nich przyjechała w tajemnicy przed rodzicami, nikt nie wiedział o ich orientacji.

Niektóre nie próbowały jeszcze związku z kobietą, czuły jednak, że sama chęć takiego związku jest grzechem, i z tego powodu trafiły do „Odwagi”, inne z kolei miały za sobą nieszczęśliwe związki. Każda była albo skrzywdzona, albo chciała się wyleczyć z homoseksualizmu, no i wszystkie były katoliczkami (w grupie uczestniczyła też jedna zakonnica, która czuła, że podobają jej się kobiety). Tak jak w moim przypadku

- najpierw był kontakt telefoniczny z Grażyną, a po pięciu czy dziesięciu spotkaniach terapeutycznych - propozycja wyjazdu. Dotyczyło to zarówno dziewczyn, jak i chłopaków (grupy nie były koedukacyjne).

Mieszkałyśmy w zwyczajnym domku jednorodzinnym, kawałek dalej była kaplica. Raz dziennie można było uczestniczyć we mszy, ale nie było to przymusowe. Zajęcia polegały na rozmowach o życiu i naszym „nieszczęściu”, o tym, że powinniśmy wkroczyć na prostą drogę. Grupą opiekowała się wychowawczyni (także zakonnica), która tymi rozmowami kierowała. Mówiła na przykład, że dwie kobiety nie mogą być ze sobą szczęśliwe, założyć normalnego domu, mieć dzieci, że zawsze będzie się to odbywało w ukryciu. Krótko mówiąc: taki związek zawsze będzie gorszy i można podjąć próbę lepszego życia. Nikt mnie wtedy nie namawiał wprost do związku z mężczyzną, o „leczeniu” słyszałam raczej tylko tyle, że można próbować, a po spotkaniu grupowym same-mu dochodzić, czy chce się kontynuacji. Wszystko głównie polegało na opowiadaniu o sobie i słuchaniu innych. To było zresztą strasznie męczące, tym bardziej że po kolacji szłyśmy do swoich pokoi (trzy-, czteroosobowych) i przez większość nocy znowu rozmawiałyśmy o swoich przeżyciach, związkach, różnych sprawach.

Zdarzało się, że dziewczyny podczas takiego wyjazdu zakochiwały się w sobie i potem przez cały miesiąc wysyłały do siebie SMS-y, a na następnym zjeździe leciały do wychowawczyni wypowiadać się z tego. Ona udzielała rad typu: to nie jest dobra droga, lepiej się nie kontaktujcie, miejcie dystans do siebie. I dziewczyny najczęściej zrywały kontakt, a czasami na kolejnym grupowym spotkaniu zakochiwały się w następnej kobiecie z grupy. Trudno, żeby tak nie było, jeżeli spędzałyśmy ze sobą 24 godziny - na zajęciach, podczas posiłków, a potem w kilkuosobowym pokoju. Mnie to wszystko strasznie zmęczyło. Po tamtym zjeździe straciłam kontakt z dziewczynami.

Jak już przyjechałam do domu, zadzwoniła do mnie Grażyna i spytała, jak się czuję. Powiedziałam jej, że źle. Nie miałam siły nawet z nią rozmawiać, sama byłam aż zaszokowana swoim poczuciem zamknięcia w sobie. Inne dziewczyny były tam po to, żeby się wyleczyć, a ja widzę swoje życie takie, jakie jest. Nie chciałam żadnego leczenia, naprawdę pojechałam tam dla mamy. Jakiś czas potem Grażyna podziękowała mi za udział w grupie, to znaczy dała do zrozumienia, że dla mnie nie nadszedł jeszcze czas. Na pewno miała informację od wychowawczyni, że nie wykazałam zapału do zmiany. Zresztą po jakimś czasie mój kontakt z Grażyną też się urwał.

Jeden z moich kolegów trafił do „Odwagi”. Wychowawczynie namó-

wiły go, żeby odciął się od osób homoseksualnych, które zna. Kiedy go ostatnio spotkałam, opowiadał, że zerwał ponad dziesięcioletnią przyjaźń z dziewczyną (ona oczywiście jest lesbijką). To jedna z metod „leczenia” - żadnych homoseksualnych znajomości.

W „Odwadze” zaprzyjaźniłam się z pewnym chłopakiem. Grażyna żywo na to zareagowała, cały czas powtarzała: „Coś z tego będzie!” Chciała wiedzieć, co o nim myślę; namawiała, żebym do niego dzwoniła, poszła z nim do kina czy zaprosiła go do siebie na weekend. Wmieszały się w to także nasze matki, próbowały aranżować jakieś swaty. Skończyło się tak, że nie mam z nim żadnego kontaktu, przede wszystkim zakochał się w chłopaku ze swojej grupy, a poza tym zmienił numer telefonu.

W sumie nie wspominam źle spotkań z Grażyną. Dla niej też ta grupa była ważna - zapraszała niektóre osoby na wakacje, na wspólne wędkowanie, rozmowy o życiu. Kiedy poważnie zachorowała, wszyscy bardzo się tym przejmowali, bo czuli się z nią autentycznie zaprzyjaźnieni, każdy się za nią modlił. Na szczęście wyzdrowiała.

Ona się naprawdę o mnie martwiła. Zawsze pytała, co u mnie słychać, jak z pracą (swego czasu byłam w szpitalu i straciłam pracę). Na temat mojej orientacji twierdziła, że to nie jest właściwa droga dla mnie, że jestem zaślepiona. Czasem wychodziłam od niej zdołowana, a czasem podbudowana, silniejsza. Tak czy inaczej, możliwość szczerzej rozmowy z kimś była dla mnie bardzo ważną rzeczą. Nie przekreślałam tego.

Czy nadal jestem lesbijką? Jasne, że tak.

Co ja w ogóle mam robić?

„Zajmij zawsze grzecznie swoje miejsce i spełniaj to, czego od ciebie żądają”.

Pellegrino Ceccarelli, *Savoir vivre siostry zakonnej*¹

Justyna (27 lat) niedawno zrezygnowała z życia w zakonie. Mieszka w Zamościu, studiuje informatykę. Powoli przyzwyczajają się do świeckiego życia, próbując na nowo zaplanować sobie przyszłość.

Anna Laszuk: Kiedy po raz pierwszy pomyślałaś o tym, żeby wstąpić do zakonu?

Justyna: W liceum miałam bardzo dużo pomysłów na przyszłość, dość długo na przykład chciałam zajmować się sportem, ale nic z tego nie wyszło. Grałam w koszykówkę, chciałam należeć do zespołu w liceum sportowym, ale ojciec się na to nie zgodził. Przede wszystkim jednak zawsze byłam związana z Kościołem i bardzo chciałam wyjechać na misję, świat codzienny mnie nie interesował. Pracowałam (oczywiście jako wolontariuszka) w fundacji charytatywnej, gdzie robiliśmy paczki do Indii, dla matki Teresy z Kalkuty. Miałam przyjemność pracować z ludźmi, którzy jeździli do Indii. Czasami dostawaliśmy listy z podziękowaniami albo z informacją, że paczki nie dotarły, bo to były takie czasy, że przesyłki często ginęły po drodze. Pamiętam, że przez całe liceum udzielałam się w tej fundacji, spotkania były dwa razy w tygodniu i nie przypominam sobie, żebym jakieś opuściła. Przewijało się tam mnóstwo osób, między innymi misjonarzy. Zastanawiałam się, jak oni mogą tak po prostu zostawić wszystko i wyjechać daleko. Dla mnie ciekawe było to, dlaczego oni to robią, czym się kierują, dlaczego zostali misjonarzami?

Zawsze zastanawiałam się dużo, jaki jest cel mojego życia, kim jestem, dokąd zmierzam. Wcześniej zaczęłam czytać książki z dziedziny filozofii i psychologii. Poznałam osoby, które były w zakonie albo w seminarium. Do zakonu wstąpiłam od razu po liceum, natomiast wcześniej zrobiłam jedną rzecz, żeby zadowolić rodziców, mianowicie próbowałam dostać się na Katolicki Uniwersytet Lubelski, na anglistykę. Koniecznie chciałam nie zdać tego egzaminu, no i nie zdałam. Strasznie się cieszyłam, że mam wolną drogę.

1. Pellegrino Ceccarelli, *Savoir vivre siostry zakonnej*, Kraków 1985. Tę niewielką książeczkę Justyna zna prawie na pamięć: studiowała ją od chwili przybycia do swojego pierwszego Zgromadzenia. Po naszym spotkaniu podarowała mi ów swoisty podręcznik w prezencie.

A.L.: *Jaki zakon wybrałaś?*

Justyna: Przejrzałam wszystkie dostępne informacje, jakieś leksykony, adresy. Wybrałam jeden ze starszych zakonów, o bardzo surowej regule, czyli Zgromadzenie Sióstr Karmelitanek w Krakowie. Nie chciałam, żeby było mi za łatwo. Niektórzy sugerują się habitem: jak im się podoba, wstępują do danego zakonu. Dla mnie to nie miało znaczenia.

A.L.: *Od razu zostałaś przyjęta?*

Justyna: Siostry kazały mi przyjechać na rozmowę. Tata stwierdził, że nie ma co jeździć dwa razy, i spakował mi od razu walizkę. Mama strasznie przeżywała moją decyzję i chyba nigdy jej nie zaakceptowała. Tata był raczej na „tak”, natomiast kiedy już wróciłam do świeckiego życia, to oczywiście były rozmowy na ten temat, że zmarnowałam kilka lat. Czasami jeszcze mi to wypomina.

A.L.: *Jak wyglądała ta pierwsza rozmowa, podczas której starałaś się o przyjęcie do zakonu?*

Justyna: Trudno mi sobie dokładnie ją przypomnieć. Na początku przyszła Przełożona, którą nazywa się Mistrzynią. Pamiętam tylko jedno pytanie: czy byłam kiedyś sama na wakacjach. Chodziło pewnie o to, jak zniosę rozstanie z rodziną. Odpowiedziałam „nie”, bo taka była prawda. Zawsze byłam w domu i nigdy nie wyjeżdżałam. To była moja pierwsza wyprawa. Pamiętam jeszcze, że przed wyjazdem dostałam listę, co mam ze sobą zabrać na pobyt w zakonie, szczególnie rozbawił mnie punkt „reformy - 5 sztuk”.

Pojechałam więc, do zakonu odwiózł mnie brat. On wrócił do domu, a ja zostałam. Mieszkałam wtedy w części przeznaczony dla gości, do innych pomieszczeń zakonnych nie miałam wstępu do momentu oficjalnego przyjęcia. Trzeba wtedy przejść przez cały rytuał, dostaje się strój i klęka przed ołtarzem w obecności całej wspólnoty, i czyta się modlitwę (chyba „Wezwanie Samuela” z Pisma Świętego). I tak weszłam w postulat.

„Bądź posłuszna we wszystkim. Niech twoje posłuszeństwo wypływa z pogodnego serca, a czoło niech nigdy nie będzie pokryte zmarszczkami gniewu. Niech oczy twoje promieniają radością”.

Pellegrino Ceccarelli, *Savoir vivre siostry zakonnej*

A.L.: *Jak zmienił się wtedy Twój świat, codzienne życie?*

Justyna: Przede wszystkim zmieniło się to, że nie miałam wolnego czasu. U karmelitanek nie można sobie po prostu poleżeć i odpocząć. Jest ścisły plan. Wszystko na dzwonek, w ustalonym rytmie. Modlitwa i praca. Wstawałyśmy o 5.00 albo 5.25, już nie pamiętam dokładnie. Rano zawsze nas budziła kołatka, nie można było wcześniej wstać ani później się położyć, światło było gaszone o stałej porze. W ciągu dnia były lekcje, a w poniedziałki - spotkanie, na którym mówiło się o swoich błędach, w formie rachunku sumienia. I później całowało się ziemię i klęczało. W tym zakonie jest to bardzo popularny znak uniżenia i pokory. Kiedy któraś z nas przychodziła do kaplicy wcześniej rano i nikogo jeszcze nie było, też mogła taki znak wykonać.

Była jedna łazienka, ale każda z nas miała w celi wiadro z wodą. Cele były bez drzwi, zamiast nich w futrynie wisały zasłony. Dom zakonny, w którym mieszkałam, był stary, remontowałyśmy go. Pamiętam zrzucanie cegieł, wywożenie gruzu, takie ciężkie prace, które trochę zniszczyły mi kręgosłup.

A.L.: *W celi byłaś sama?*

Justyna: Tak, nikt nie mógł tam wchodzić, poza Mistrznią. Było tam łóżko i biurko, chyba tyle. No i książki religijne. Oczywiście żadnego radia, telewizji, telefonów.

W ciągu dnia była godzina wolnego czasu, bodajże między 14.00 a 15.00. Ale jak człowiek zaczął sobie robić pranie, to trzeba było już iść na modlitwę.

Wieczorem brałam sobie wodę do wiadra, żeby rano uwinąć się szybko z poranną toaletą i nie spóźnić się na modlitwę. Była godzina czytań, jutrznia, brewiarz (często na tym przysypiałam, to był czasami środek nocy). Po modlitwach brewiarzowych schodził na dół kapelan i prowadził mszę. Po mszy wychodziło się na śniadanie do refektarza. Posiłek rozpoczynał się modlitwą. W czasie śniadania nie można było rozmawiać i kiedy czasami trzeba było o coś się zapytać, to porozumiewałyśmy się na migi. Po śniadaniu były lekcje z mistrznią, np. historia Kościoła albo tzw. lekcje wychowania. O tym, jak mamy się zachować, kiedy przyjadą goście, gdzie co ma stać, jak mamy trzymać kanapkę, takie śmieszne rzeczy. Włosy musiały być obowiązkowo związane czarną gumką albo aksamitką, obowiązuje długość spódnicy, białe bluzki i kamizelka, wszystko w brązie.

Po lekcjach był czas na pracę fizyczną. Na początku trafiłam do sióstr, które haftowały ornaty, ale potem wykonywałam różne zadania - koszenie trawy, rozrzucanie gnoju, malowanie ścian, remontowanie

budynku. Po pracy były obiad i modlitwa, a później właśnie ta godzina wolna. Jeśli na przykład chciałam zrobić pranie albo umyć głowę, to musiałam mieć pozwolenie Siostry Przełożonej.

A.L.: W naszej korespondencji wspomniałaś, że postulantkom oraz siostronom nie wolno było rozmawiać między sobą.

Justyna: No tak, tam nie można było wyjść i sobie tak po prostu z kimś porozmawiać. Na korytarzu panowała absolutna cisza, co miało pomagać w skupieniu się i modlitwie. Ale w niektóre dni można było rozmawiać, np. podczas świąt. Tam Boże Narodzenie trwało aż 8 dni, w tym czasie był trochę inny rytm.

A.L.: Zachowałaś w postulacie swoje imię?

Justyna: Tam tak, w drugim zakonie przyjąłam imię Ave.

A.L.: Jak reagowałaś na te wszystkie zasady obowiązujące w zgromadzeniu?

Justyna: Denerwowały mnie. Przeważnie robiłam różne uniki, żeby nie musieć pytać, czy mogę coś zrobić. W każdą niedzielę o 10.00 byłam wzywana na dywanik do Mistrzyni, nie wiem dlaczego. Miała mnie po prostu na oku.

A.L.: Myślisz, że miała jakiś powód, żeby mieć cię na oku?

Justyna: Nie wiem, może taki, że bywałam nieposłuszna... jeśli w czasie wolnej godziny wywoziłam gruz, zamiast odpoczywać, to też było nieposłuszeństwo.

A.L.: Z własnej woli wywoziłaś gruz?

Justyna: Czasami przedłużałam pracę, żeby nie iść na modlitwę, od której bolały mnie kolana. Miałyśmy klęczniki, na których się niby siedziało, ale jednak klęczało. Do tej pory mam odciski na kolanach. Każdego dnia klęczało się w sumie 5 godzin.

O 15.00 była koronka, czyli piętnastominutowa modlitwa. A potem znowu praca, mniej więcej do 17.30. Później nieszpory, kolacja, jeszcze około pół godziny czasu wolnego, potem tak zwana kompleta, a na koniec dnia wszystkie rozchodziłyśmy się do cel. O 21.00 trzeba było być już w łóżku. Zresztą zasypiało się praktycznie od razu.

A.L.: Jak się czułaś w zakonie? Odpowiadał twoim wcześniejszym wyobrażeniom?

Justyna: Przede wszystkim nigdy nie czułam się swobodnie, ciągle

byłam skrupowana, bo nie mogłam robić tego, co bym chciała. Czegokolwiek. Czułam, że jestem cały czas obserwowana, że każdego dnia mogę wylecieć z powodu, którego nigdy bym nie poznała. Wiele osób przede mną zostało wykluczonych, i właściwie nikt nie wiedział dlaczego. Czułam duże wewnętrzne napięcie i po około pół roku zaczął mnie boleć żołądek. Wszystkie nerwy puściły.

„Unikaj komentowania przenosin swoich współsióstr (...). Jeśli sama otrzymasz nakaz przeniesienia się do innego domu, przyjmij go ochotnie i bez oporów”

Pellegrino Ceccarelli, *Savoir vivre siostry zakonnej*

A.L.: *Kontaktowałaś się z rodziną?*

Justyna: Pamiętam, że mogłam pisać listy, natomiast nikt z domu do mnie nie dzwonił. Odwiedziła mnie koleżanka z liceum, raz przyjechała mama i kilka razy brat, który mieszkał w Krakowie.

A.L.: *Kiedy ostatecznie odeszłaś i dlaczego?*

Justyna: Miałam iść do nowicjatu, aż tu naraz zawołała mnie Mistrzynie i kazała usiąść. Już wiedziałam, że coś jest nie w porządku, bo kiedy sprzątałam, byłam świadkiem rozmowy telefonicznej z kimś z tak zwanej wyższej władzy i pytano o mnie. Zadałam pytanie Mistrzynie, dlaczego mnie wyrzucają? Powiedziała, że sama powinnam wiedzieć. A ja do tej pory nie wiem czemu, chociaż...

W zakonie miałam relacje kumpelskie z niektórymi siostrami. Miałam nawet jedną głębszą relację z jedną starszą siostrą. „Starszą”, czyli po ślubach wieczystych.

„Szukanie zawsze i wyłącznie towarzystwa i pociechy u jednej tylko, umiłowanej siostry jest okazywaniem obojętności innym. Dlatego jakiegokolwiek faworyzowanie jest w zakonie artykułem mocno podejrzanym”.

Pellegrino Ceccarelli, *Savoir vivre siostry zakonnej*

A.L.: *Na czym polegała ta głębsza relacja? Nie wolno wam było przecież rozmawiać?*

Justyna: Ta siostra pracowała w kuchni, gotowała. Kiedy wiedziałam, że nikogo nie ma w pobliżu, to przychodziłam pod byle pretekstem, np. po mleko. I wtedy zaczynałyśmy ze sobą gadać. Oczywiście jej nie wolno było rozmawiać z dziewczynami z postulatu i wiedziała, że mogą ją za to wyrzucić. Później sama do mnie podchodziła, czasami chwytła mnie za rękę. Spotykałyśmy się kilka razy, chociaż nie wiem, czy nas nikt nie widział.

Pamiętam taką sytuację, że miałam pomóc w ogrodzie, w innej siedzibie zakonu, pod Przemyślem. Ona też tam była, przejazdem. Siedziałyśmy w kościele, i tym razem ja wzięłam ją za rękę...

Przed moim odejściem przenieśli ją w góry, a mnie później wyrzucili. Tydzień później pojechałam do niej w odwiedzinach. To był ostatni raz, kiedy się widziałyśmy. Pamiętam, że kiedy mnie odprowadzała, zaczął padać deszcz. A ona płakała.

Potem napisałam do niej jeszcze ze dwa razy i przestałam. Ostatnio się zastanawiałam nad listem do niej, ale nie wiem, gdzie ona jest i czy w ogóle jeszcze jest.

A.L.: Jak przeżyłaś nakaz opuszczenia zakonu?

Justyna: Ciężko. Bycie tam było moim marzeniem, i nie wyszło. Potem było kilka różnych przykrych rzeczy. Pamiętam, że nikt mnie nie odprowadził, brama była zamknięta i musiałam przechodzić nad zamkniętą furtką z walizką. Nikt mnie również nie pożegnał. To było przykre. Mistrzynie powiedziała, że jak skończę jakąś szkołę, mogę spróbować wrócić. Kiedy jeszcze tam byłam, Mistrzynie wysłała mnie do Studium Teologicznego Karmelitów. Pracowałam również w wydawnictwie karmelitów, może dlatego, że znałam się trochę na komputerze. Zastępowałam tam czasem mistrzynię. To było fajne, dostałam bilet miesięczny, mogłam jeździć po całym Krakowie. Miałam dość dużą swobodę. Chodziłam sobie na małe wycieczki, na Wawel albo w góry. Krat wokół mnie nie było, ale i tak cały czas czułam się jak w zamknięciu. Raz nawet chciałam raz na zawsze uciec, ale nie miałam pieniędzy.

A.L.: I co się stało, jak już przerzuciłaś tę walizkę przez płot i przeszłaś na drugą stronę?

Justyna: Wsiadłam w autobus. Dostałam pieniądze na bilet do domu. W Zamościu wyszedł po mnie tata, zadzwoniłam do niego wcześniej. Przespałam wtedy pół dnia i czułam się, jakbym wróciła z innego świata, to było bardzo dziwne uczucie. Musiałam się na nowo przyzwyczajać - do kupowania rzeczy w sklepach, do spotykania się z ludźmi.

A.L.: Kiedy wstępowałaś do zakonu, zastanawiałaś się nad tym, czego w życiu chcesz, a czego nie chcesz?

Justyna: Wiedziałam, że nie chcę wyjść za mąż, nigdy mnie to nie pociągało. Ale nie zastanawiałam się głębiej nad tym, jak będzie w zakonie. Właściwie nie miałam żadnych konkretnych wyobrażeń, niczego się nie spodziewałam.

A.L.: Wróciłaś do domu i co dalej? Miałaś taką myśl, że chcesz wstąpić do kolejnego zakonu?

Justyna: Wiedziałam, że to jeszcze nie jest zamknięty rozdział, ale musiałam dać sobie czas, żeby zastanowić się nad tym, co ja w ogóle mam robić. Myślałam, że może rzeczywiście zacznę jakąś szkołę i potem wrócę, że wszystko się bardziej wyklaruje. Zaczęłam studium policealne i po roku zetknęłam się z misyjną wspólnotą w naszych stronach, tam poznałam założyciela drugiego Zgromadzenia, ojca Winfrieda. Przyjechał z daleka odwiedzić domy misyjne, i stwierdził, że powinnam do nich przyjechać. Mówił, że będę mogła pracować w wydawnictwie. I chociaż właściwie nie zamierzałam od razu tam wstępować (jednego zakonu miałam tymczasem dosyć), pod wpływem impulsu przerwałam szkołę i pojechałam do Częstochowy. Zgromadzenie nazywało się Misjonarki Krwi Chrystusa.

Męskie zgromadzenie powstało już na początku XIX wieku. Założył je św. Kacper we Włoszech. Ojciec Winfried chciał, żeby ten zakon miał również w Polsce formę żeńską. Dom w Częstochowie był całkiem inny od tego w Krakowie, przede wszystkim bracia mieszkali tam razem z siostrami. Dla mnie to był fenomen: kobiety i mężczyźni w jednym domu, w zakonie. Można było zapukać i pogadać z kimś. Można było mieć radio i śmiać się w kuchni. Nie mieszkałam w samotniczej celi, tylko w czteroosobowym pokoju z piętrowymi łóżkami. Oczywiście czasu wolnego też było niewiele. Ja zazwyczaj przebywałam w kuchni, w żadnym wydawnictwie nie pracowałam, pomagałam tylko w robocie papierkowej. Po dwóch miesiącach pobytu zostałam przeniesiona do Ożarowa, pod Warszawę. I tam byłam pół roku.

A.L.: Mam wrażenie, że jesteś niemal szczęśliwa, kiedy opowiadasz o tym zgromadzeniu. Chyba było Ci tam dobrze?

Justyna: Pewnie, że było mi dobrze. Ciężkie prace fizyczne należały głównie do braci. Siostry miały lżej, zajmowały się sprzątaniami. To był dom misyjny, gdzie przyjeżdżały różne wycieczki, trzeba było posprzątać 60 pokoi, zmienić pościel, posprzątać łazienki. Ubierałyśmy się tam luźniej: spódnice, bluzki, czarne kamizelki, włosy były odkryte, nie było formalnych strojów. No i zapomniałam jeszcze o jednej rzeczy: w Karmelu nie wolno było pić kawy, zakradałam się po nią czasem. Tu tego nie zabraniano.

Natomiast pomimo, że można było rozmawiać, nie zaprzyjaźniłam się z nikim głębiej. Zdarzały się kilkugodzinne rozmowy do późnej nocy, ale w sumie o wszystkim i o niczym.

A.L.: *Rozmawialiście czasem o życiu prywatnym, o związkach lub ich braku?*

Justyna: Zdarzały się takie rozmowy, ale rzadko. Siostry opowiadały, czy miały przed wstąpieniem chłopaka, czy nie. Dla mnie na pewno zbliżenie z siostrą z Karmelu było czymś głębszym niż pozostałe rzeczy. Było mi w jej towarzystwie tak po prostu dobrze, każdą chwilę chciałam spędzić z nią. Zresztą ona sama się przed tym nie broniła. Kiedyś, już pod koniec, zapytałam ją, czy jest szczęśliwa. Odpowiedziała, że nie. Nie wiedziałam, czy ma na myśli to, że jest w zakonie. A ponieważ była już po ślubach wieczystych, o jej ewentualnym odejściu musiałby zdecydować biskup. Po ślubach wieczystych nie można opuścić zakonu samowolnie.

„A zresztą, jak można poddawać się melancholii w domu i w służbie Bożej? Czy nie wydaje ci się to absurdalne?”

Pellegrino Ceccarelli, *Savoir vivre siostry zakonnej*

A.L.: *Jak długo byłaś w tym drugim zgromadzeniu?*

Justyna: Trudno mi teraz dokładnie policzyć... w każdym razie będąc tam, zapisałam się do Studium Organistów i zaczęłam II rok Studium Informatycznego, w związku z czym stałam się siostrą świecką - byłam nadal w Zgromadzeniu, ale mieszkałam w domu rodzinnym. Tylko kilka razy w tygodniu jeździłam do domu zakonnego. Kiedy skończyłam szkołę, Zgromadzenie odesłało mnie do Rawy Mazowieckiej. Tam jest ośrodek pomocy, w którym siostry opiekują się dziećmi zabranymi rodzicom przez sąd. Ja mieszkałam w pokoju z dwójką czy trójką około dwuletnich dzieci, w domku. To była ciężka praca. I mnóstwo sprzątan.

A.L.: *Co cię w tym wszystkim pociągało? Religia czy działanie na rzecz innych ludzi?*

Justyna: Kiedyś ktoś mi powiedział, że jestem idealistką, że wierzę w jakąś ideę. Może chodzi jednak o powołanie, o Boga. To jest po prostu wielka tajemnica, bo - tak po ludzku patrząc - wychodzi na to, że człowiek jest naiwny, pchając się w coś, co może z zewnątrz nie ma większego sensu.

Tak czy inaczej po 14 miesiącach pobytu w Rawie dostałam telefon, że moja mama jest bardzo chora, i wróciłam do domu. To był właściwie koniec historii z zakonem.

A.L.: *Kiedy mama zachorowała, musiałaś się nią zająć?*

Justyna: Mama zachorowała na ostrą białaczkę szpikową. Wcześniej opiekowała się babcią, więc ja po powrocie zajęłam się babcią, a mama trafiła do szpitala. Była tam mniej więcej 2 lata. Właściwie nigdy nie było wiadomo, czy stamtąd wróci czy nie. Ale wyzdrowiała.

A.L.: *Potem już nie czułaś potrzeby powrotu do zakonu?*

Justyna: Chciałam wrócić wiele razy. Ale odeszłam już 3 lata temu i nie miałam siły wchodzić w to wszystko od nowa. To jest za każdym razem przekraczanie siebie, własnego myślenia, tego, w co wierzę, jakie mam przyzwyczajenia. Dlatego na przykład w niektórych zakonach nie przyjmuje się osób po 30. roku życia, bo człowiek jest już ukształtowany i nie potrafi się przestawić na tamten system wartościowania, myślenia.

Teraz już nie myślę o powrocie, zwłaszcza że zaczęłam studia, informatykę. Wydaje mi się, że to świetny wybór.

A.L.: *A co z powołaniem, idealizmem? Odeszłaś od tego czy realizujesz to po swojemu w życiu świeckim?*

Justyna: Tak całkowicie nie odeszłam. Jakiś czas temu byłam we wspólnocie religijnej, ale potrzebuję czegoś innego, jakiegoś innego poziomu, nie takich spotkań... sama nie wiem.

A.L.: *Masz jakąś wizję swojego osobistego szczęścia, życia prywatnego?*

Justyna: Próbowалам nawiązywać jakieś znajomości z dziewczynami przez Internet, ale do tej pory nic z tego nie wychodziło. Przeważnie kończyło się na jednym spotkaniu. Może potrzebuję osoby podobnej do siebie, która chociaż trochę by mnie rozumiała. Może właśnie takiej, która była w zakonie? Nie wiem...

A.L.: *Czyli, jak rozumiem, chcesz związać się z kobietą?*

Justyna: Kiedyś nie byłam pewna, teraz dobrze się czuję z decyzją, że to ma być kobieta.

A.L.: *Jak godzisz tę decyzję ze swoim katolicyzmem?*

Justyna: Chyba naturalnie, nie zastanawiam się nad tym zbyt. Tylko raz czułam się dziwnie, będąc ze znajomą na jakiejś manifestacji feministycznej w Warszawie. Sama nie wiedziałam, czy jest mi bliżej do tych kobiet, czy do Młodzieży Wszechpolskiej, która wprowadzie okropnie się zachowuje, ale jest za Kościołem.

A.L.: *Jakie są twoje polityczne preferencje?*

Justyna: Polityka mnie nie interesuje. Właściwie nie orientuję się, jaka partia czego chce. Ale na wybory chodziliśmy zazwyczaj całą rodziną. Głosowałam jak oni, na prawicę.

A.L.: *Czy w tej chwili czujesz się zakorzeniona w świecie świeckim, czy raczej w tamtym, zakonnym?*

Justyna: Nie wiem... zakon na pewno będzie się jeszcze za mną ciągnąć, przez kilka lat.

W dwóch różnych światach

Marta (32 lata) zaraz po ukończeniu szkoły zawodowej postanowiła spróbować życia w zakonie. Była w dwóch zgromadzeniach, każde z nich opuściła z innej przyczyny. Od kilku lat pracuje jako pielęgniarka w jednym z warszawskich szpitali, opiekując się głównie osobami starszymi. To wybór z zamiłowania; po powrocie do świeckiego życia ukończyła liceum medyczne i studia. Mieszka ze swoją dziewczyną.

Anna Laszuk: *Wybrałaś zawód pielęgniarki w czasach, kiedy jest on niemal misjonarstwem, oczywiście w polskich realiach. Nie czujesz się sfrustrowana?*

Marta: Na dwóch etatach można sobie poradzić. W szpitalu pracuję na zmiany, w systemie dyżurów dwunasto- i dwudziestoczworgodzinnych, a poza tym dorabiam, opiekując się starszymi ludźmi w domu. Mieszkanie (kawalerkę) wzięłam na kredyt, spłacam raty, idzie na to co miesiąc pół pensji, ale jakoś daję radę. Wielkich potrzeb nie mam. Komputer jest jedyną zabawką, która mnie interesuje. Nie mam samochodu, ani marzeń o wielkim domu z basenem. Mam za to dziewczynę, to jest najważniejsze.

A.L.: *Cofnijmy się więc do czasów, kiedy postanowiłaś wstąpić do zakonu, to też ciekawy wybór.*

Marta: Do zakonu poszłam zaraz po szkole zawodowej, w 1991 roku. Nie wychowałam się w katolickim domu, moja rodzina jest niereligijna, po części chyba wierząca, ale niepraktykująca. W szkole zawodowej otarłam się o ruch oazowy, co na pewno miało na mnie wpływ, i miałam dwójkę przyjaciół, którzy też wstąpili do zakonu, zaraz po szkole. Przede wszystkim ja szukałam wtedy sensu w życiu. W rodzinie każdy szedł swoją drogą. Mama zapracowana, dużo starszy brat już studiował, małżeństwo rodziców przechodziło różne konflikty. Czułam się na marginesie. Pociągało mnie to, że w zakonie będę miała zorganizowane życie, nie będę musiała podejmować trudnych decyzji. Mój brat wykrzyczał mi nawet kiedyś: „Oni tam wszystko za ciebie zrobią, będziesz jak cielę, posłusznie wykonujące wszystkie obowiązki!” Może właśnie na to liczyłam. W każdym razie kiedy rodzina usłyszała, że chcę zostać zakonnica, wszyscy pukali się w głowę.

Ale kiedy odeszłam z zakonu, było gorzej, oni czuli jakby wstyd, że jednak nie dałam rady.

A.L.: W jaki sposób wybrałaś pierwsze zgromadzenie?

Marta: Zgromadzenia zakonne często prowadzą rekolekcje dla młodych dziewcząt albo chłopców, którzy jeszcze nie wiedzą, co chcieliby robić w życiu. Byłam na czterech czy pięciu takich wyjazdach, a że jedna z sióstr (z tego, konkretnego zgromadzenia) uczyła mnie religii, wybrałam właśnie to. Podczas rekolekcji jeździliśmy do klasztorów na wspólne modlitwy, które robiły na mnie za każdym razem wielkie wrażenie - dużo ludzi, wszyscy się modlą, podniosła atmosfera. A w praktyce, jak się później okazało, to było szare życie.

Na początku przeszłam coś w rodzaju rozmowy kwalifikacyjnej. Siostra zajmująca się kandydatkami pytała o motyw my wyboru, rozmawiała z rodziną. Potem była rozmowa z Matką Prowincjalną. Otrzymałam pozytywną odpowiedź, podano mi konkretny termin przybycia, spakowałam się i pojechałam.

A.L.: Dokąd dokładnie?

Marta: Niedaleko, bo zgromadzenie znajdowało się w Warszawie. Właściwie bliskość domu rodzinnego okazała się dla mnie minusem. Ciągle tęskniłam i kombinowałam, jak wpadać do domu częściej. Miałam zbyt blisko siebie dwa zupełnie różne światy. Wytrwałam w tym zgromadzeniu pół roku, byłam tylko w postulacie, na pierwszym etapie zakonnego życia.

Postulat trwa mniej więcej rok, potem wstępuje się do nowicjatu, który trwa 2 lata, później są pierwsze śluby (składa się je przez 5 lat co roku), a na końcu śluby wieczyste.

A.L.: Jak wygląda życie w postulacie?

Marta: Lata się od kuchni do pralni, od pralni do szwalni, robi się te wszystkie rzeczy, które w klasztorze trzeba zrobić, a które są najmniej sympatyczne: obieranie ziemniaków, pranie bielizny dla starszych sióstr (młodsze piorą sobie same), prasowanie, no i oczywiście modlitwa. Wiele godzin modlitw, co oznacza między innymi obtarte kolana, czasami do krwi. Wstawaliśmy o 4.40 (teraz jako pielęgniarka wstaję o 5.00, więc już nie wydaje mi się to takie straszne, ale wtedy ta 4.40 wydawała mi się koszmarem), pracowałyśmy i modliłyśmy się do wieczora. Od 20.00 do 21.00 był czas tak zwanej rekreacji, kiedy można sobie było razem posiedzieć w pokoju, poczytać, pogadać o życiu. O 21.00 kładłyśmy się spać.

A.L.: Dzieliliś pokój z innymi postulantkami?

Marta: Mieszkałyśmy po kilka dziewczyn w pokoju, podobnie jak starsze siostry. Im jednak przysługiwało coś w rodzaju „miejsca odosobnienia”, które wydzielały sobie przy pomocy firan lub parawanów. Takie minimum intymności. W zgromadzeniach siostry rzadko kiedy mają pokój tylko dla siebie. W pojedynkę zazwyczaj mieszkają tylko te siostry, które są Mistrzyniami lub Matkami Przełożonymi, albo takie, które pełnią jakieś bardzo ważne funkcje. Zdarza się też, że pojedynczy pokój przydziela się dużo starszym osobom albo tym, które chrapią.

A.L.: Nie brakowało ci odrobiny samotności, miejsca tylko dla siebie?

Marta: Na samotność nie było czasu, miałam ją głównie w kaplicy. Czasem, z rzadka, można było pójść samej do ogrodu, ale najczęściej chodziło się wszędzie w kilka osób. Na początku wszystko w klasztorze wydawało mi się dziwne, ale potem zaczęłam się w tym odnajdywać i czuć całkiem dobrze. Z tym, że ja zawsze byłam bardzo żywiołowa, nie lubiłam nakazów i z nimi kompletnie sobie nie radziłam. Zdarzyła mi się tam na przykład zadziwiająca historia w związku z wyborami parlamentarnymi, bo wszystkie oczywiście brałyśmy w nich udział, obowiązywała dyscyplina. Okazało się, że nie można głosować ot tak, na kogo się chce, chyba że darzy się naturalną sympatią partie prawicowe. Miałam w tej sprawie nawet rozmowę z Matką Prowincjalną, bo chciałam głosować na Unię Wolności i, niestety, pochwaliłam się tym na głos. Najpierw wytłumaczono mi, dlaczego wskazany jest inny wybór, a potem dostałam obstawę, czyli siostrę zakonną, której zadaniem było dopilnować w dniu wyborów, żebym postawiła krzyżyk, gdzie trzeba.

A.L.: Ta siostra dosłownie, fizycznie ci towarzyszyła podczas zakreślania odpowiedniego kwadracika?

Marta: Tak, dosłownie i fizycznie.

A.L.: Wydaje mi się, że to niezgodne z prawem. A czy dyskutowałyście między sobą tam, w zgromadzeniach, na tematy polityczne?

Marta: Nie, to są miejsca odcięte od świata, nawet nie miałyśmy dostępu do gazet. Dopiero w tym drugim klasztorze starsze siostry dawały nam czasem jakąś prasę, głównie „Tygodnik Powszechny”. Na co dzień rozmawiało się o życiu, plotkowało, toczyło małe wojny podjazdowe. Normalnie, jak w życiu świeckim.

A.L.: Jakie dziewczyny trafiają do zakonu, kogo tam spotkałaś?

Marta: Myślę, że większość dziewczyn stamtąd rzeczywiście nada-

wała się do klasztoru. Czasem trafiały tam z powodów religijnych, czasem przez przypadek, było dużo dziewczyn, którym coś się w życiu nie udało, pokręciło. Dziewczynom z małych miejscowości zakon wydawał się jedyną szansą jakiegoś sensownego życia, niektóre miały na przykład po siedmioro rodzeństwa, a w rodzinie była bieda. Różnice wieku między nami były duże, od 16 lat do trzydziestu kilku (do zgromadzeń przyjmuje się kobiety mniej więcej do 35. roku życia). Być siostrą zakonną to znaczy mieć wikt i opierunek, poważanie. Prawdziwą karierę w zakonie też można zrobić. Dziewczyny, które mają lepsze wykształcenie, też na co dzień wykonują wszystkie fizyczne prace, ale wiadomo, że jeśli któraś ma skończone na przykład studia polonistyczne, to w przyszłości może zostać dyrektorką gimnazjum. Ja, niestety, miałam ukończoną tylko zawodówkę.

A.L.: Czy w tamtych czasach byłaś jakkolwiek świadoma własnej seksualności?

Marta: Ja jeszcze zanim wstąpiłam do zgromadzenia, podejrzewałam że „coś ze mną jest nie tak”. Czułam się inna, koledzy niekoniecznie mnie interesowali, panie - jak najbardziej. Nie miałam nikogo znajomego, kto by czuł podobnie, a wtedy nie było Internetu. Podczas pobytu w pierwszym zgromadzeniu właściwie w ogóle nie myślałam o seksualności, chociaż nie! Myślałam, to były myśli w rodzaju „kiedyś mi przejdzie”.

W klasztorze nie rozmawiało się w zasadzie na tematy osobiste, sporadycznie takie rozmowy się odbywały między młodymi dziewczynami, ale ze starszymi siostrami nigdy. Temat był uznawany za nie stosowny. Funkcjonowała nawet tak niepisana reguła, że oznacza on „niezdrowe zainteresowanie”. Jedyne, co zaobserwowałam, to sprawa siostry Rybki.

A.L.: Siostry Rybki? To chyba nie było jej oficjalne imię?

Marta: Oczywiście, że nie! Tak na nią mówiłyśmy, podobnie jak starsze siostry.

Jako postulanki z domu prowincjonalnego jeździłyśmy czasem do domu generalnego w innej dzielnicy miasta, na taką wyjątkowo uroczystą mszę. Siostra Rybka zajmowała się chórem, grała na organach, skończyła chyba nawet studia muzyczne. Ona każdą młodą postulantkę, na powitanie, całowała prosto w usta, to było naprawdę wyraziste „CMOK!” Była taka wylewna, przytulna, co - szczerze mówiąc - aż odrzucało. Nikt wprost nie dopowiadał, o co chodzi, ale nowicjuszki sta-

rały się nie przebywać z nią za bardzo sam na sam. Ta siostra pewnie teraz jest już po sześćdziesiątce.

Ja dopiero w tym drugim zgromadzeniu dowiedziałam się, kim jestem i czego naprawdę chcę. Tam przeżyłam swój pierwszy związek z dziewczyną. I wtedy pojawiło się we mnie rozgraniczenie: Bóg to jedno, a moja tożsamość to drugie. W rezultacie wybrałam to drugie, i nie żałuję.

A.L.: W jakich okolicznościach opuściłaś tamten pierwszy klasztor?

Marta: Pamiętam, że była zima, styczeń albo luty. Trzeba było chodzić do takiej komórki-ziemianki, gdzie przechowywało się warzywa, między innymi kapustę w beczkach. Akurat dostałam takie zadanie, żeby wydobyć z beczki tę kapustę skutą lodem, i właśnie wtedy, przerzucając gołymi rękami tę lodowatą kapustę, pomyślałam: „Co ja tutaj robię? Ja chcę do domu!” Zadzwoiłam do mamy, że chcę wracać. Zachowałam się jak duże dziecko.

A.L.: Utrzymywałaś przez cały ten czas stały kontakt z rodzicami?

Marta: Dość intensywny, jak na tamte warunki. Czasami wymykałam się z klasztoru do domu (w drodze do lekarza na przykład), nie mówiąc o tym nikomu. Źle się czułam z tym wymykaniem, bo w zgromadzeniu kładziono duży nacisk na prawdomówność w każdej sprawie. Jeśli, dajmy na to, ktoś chciał się kontaktować z osobami innymi niż rodzina, musiał powiedzieć z kim, po co i dlaczego. Zresztą, ze znajomymi w pewnym momencie nie było już sensu się spotykać, żyliśmy w dwóch różnych światach. O czym ja im mogłam właściwie opowiedzieć? Coś o świętym Tomaszu? O praniu, o kapuście? A koleżanki nadawały o swoich chłopakach i o liceum. Tak więc kontakt się urwał. W domu byłam od lutego do września. W tym czasie postanowiłam iść do liceum, uczyć się zaocznie, zaczęłam też pracować jako salowa w szpitalu.

A.L.: Łatwo było przejść z jednego świata do drugiego?

Marta: Bardzo trudno, nie umiałam się pozbierać. Nie byłam też pewna, czy dobrze zrobiłam odchodząc. Tęskniłam za dyscypliną, za tym, że wszystko było na czas, że nie musiałam podejmować decyzji, nie musiałam zastanawiać się, co robić. Po powrocie do zwykłego życia wszystko mnie przerażało. Wychodziłam do sklepu i nie umiałam się odnaleźć, autentycznie nie wiedziałam, jak kupuje się w sklepie. W zakonie człowiek robi się taki wyciszony, inny, tam przecież nie było nawet radia i telewizji. A tu wchodzę do marketu i słyszę huk, widzę

masę ludzi, łapię się za głowę: po co to wszystko?!

Miotalam się strasznie. W domu nie bardzo mi się układało, ze znajomymi kontakt się urwał, ciężko mi było nawiązać nowe znajomości. Stwierdziłam, że jednak zakon był dobrym wyborem i trzeba spróbować jeszcze raz. Wzięłam książkę telefoniczną, zaczęłam przeglądać listę zgromadzeń. Tym razem wybierałam te najdalej położone od Warszawy. Padło na Kraków.

A.L.: Powszechne mniemanie jest takie, że zakonne życie wybiera się z powołania, a ty chyba działałaś trochę ze strachu przed zwykłym życiem?

Marta: Powołanie to jest coś, co można nabyć przy okazji. Do powołania można się przekonać, można je też sobie wymyślić albo wymodlić. Modlitwa jest rodzajem transu. To jak na spotkaniach papieża z młodzieżą, czujesz się częścią jakiejś grupy, czujesz się ważna. Ja czułam się na przykład ważna, jak chodziliśmy w postulacie w mundurkach, całą grupą po mieście. Czułam się czyjaś.

Z przyjęciem do drugiego zgromadzenia nie miałam żadnego problemu.

A.L.: I poczułaś, że tym razem to jest to?

Marta: Od razu poczułam się jak u siebie. Byłam już doświadczoną postulantką. No, ale tam właśnie dała o sobie znać moja seksualność. W październiku przyjechała do klasztoru dziewczyna, rok starsza ode mnie, która bardzo mi się spodobała. Dobrze mi się z nią gadało, a jakiś czas później uświadomiłam sobie, że ją kocham. Wszystko działo się w tak zwanym międzyczasie: spojrzenia, drobne gesty podczas obierania ziemniaków, a nawet w trakcie odmawiania różańca. To było odwzajemnione uczucie. Czułam się uskrzydłona, czułam się jak wariat. Paradoksalnie to dzięki tej dziewczynie wytrzymałam w drugim zgromadzeniu tak długo - 10 miesięcy. Kiedy nasz związek się bardziej rozwinął, także w sferze fizycznej, próbowałyśmy sobie wykroić więcej czasu. Na przykład spotykając się na strychu. Albo wrywałyśmy się na krótki spacer, dopóki Mistrzynie się w tym wszystkim nie zorientowała. Trzeba przyznać, że bardzo długo nikt niczego nie zauważył.

A.L.: Czy z powodu tej historii wyrzucono was ze zgromadzenia, lub, mówiąc delikatniej, zaproponowano odejście?

Marta: Nie, każda z nas sama podjęła oddzielną decyzję. Miałyśmy wkrótce przejść do nowicjatu, ale ja postanowiłam odejść. Nasze inten-

sywne uczucie stało się już chyba widoczne, poważnie zaczęłam się zastanawiać, co z tym zrobić. Długo zastanawialiśmy się nad tym obie. Ja mówiłam: „Odejdźmy stąd, zamieszkajmy razem, przecież możemy prowadzić normalne życie”, ale ona odejść nie chciała. Po prostu pragnęła być zakonnica i do dziś chyba nią jest. Stałam przed wyborem między własną tożsamością (czułam, że to nie jest nic straszego, żaden grzech) a życiem w zakonie, z nią.

A.L.: To był trudny dla ciebie wybór?

Marta: Wszystko wyglądało jak w telenoweli brazylijskiej. Siostry zakonne są na ogół bardzo egzaltowane, płacziwe, i my też takie byłyśmy. Wylałyśmy morze łez. Rodzice przyjechali po mnie do klasztoru, oboje. Na dole, przed budynkiem, pożegnałam się z siostrami. Z moją przyjaciółką dosłownie rzuciłyśmy się na siebie, była rozpacz, płacz, nie mogłyśmy się od siebie oderwać. Już sama nie wiedziałam, czy dobrze robię.

Moja mama też strasznie to przeżyła, dziś się śmieje, że od tamtej pory ma więcej siwych włosów. A wersja mojego ojca jest taka, że przez zakonnice zostałam lesbijką. Prawdę mówiąc, gdybym była silniejsza czy sprytniejsza, zostałabym w klasztorze jeszcze dłużej, może na zawsze.

A.L.: Czując się jednocześnie lesbijką?

Marta: Wcale nie musiałabym rezygnować z życia intymnego. Ludzie sobie wyobrażają, że białe jest białe, a czarne jest czarne. To nieprawda, tak nie jest. Życie intymne w zakonie można sobie umiejętnie zorganizować. Nasz błąd, mój i mojej dziewczyny, polegał na tym, że zaczęłyśmy robić rzeczy zakazane nie na tym etapie życia klasztornego, na którym przymyka się na nie oko. Na pewne rzeczy można sobie pozwolić, mając lepszą pozycję, na pewno nie w postulacie.

A.L.: Skąd wiesz, że tak jest?

Marta: Jeśli ma się oczy szeroko otwarte, wiele można zauważyć. Były tam na przykład dwie takie siostry, już po pięćdziesiątce... To, jak się zwracały do siebie, jak wyglądały ich wzajemne stosunki, ewidentnie świadczyło o tym, że są po prostu w związku. O tym się nie mówiło, ale wszyscy wiedzieli. Pomijam już takie romantyczne zachowania wśród młodych dziewczyn, jak zrywanie dla siebie kwiatków i kładzenie ich na poduszce, czy opowieści o tym, „jak ja ją kocham!”

A.L.: Za drugim razem było ci łatwiej wrócić do świeckiego życia?

Marta: Było tak samo okropnie jak wcześniej, a nawet gorzej, mama mówiła do mnie: „Dzieciaku, jesteś niby tutaj, ale żyjesz tym, co jest tam”. Ciągle przeżywałam rozstanie z moją przyjaciółką, pisałam do niej rozpaczliwe listy. Byłam szalona, nawet nie pomyślałam, że ona musiała je na głos czytać przy Mistrzynie. Taka jest normalna praktyka w postulacie, jeśli chodzi o korespondencję. I ona, biedactwo, czytała przy kimś te wszystkie moje „kocham cię, nie mogę bez ciebie żyć”. Dziwiłam się, że jej stamtąd nie wyrzucili, pewnie wyraziła żal i skruczę, obiecała poprawę i tyle. Dostałam od niej dwa listy, przesłane w tajemnicy przez znajomą zakonnicę, a później jeden oficjalny, w stylu „przerwijmy kontakt, jest mi tu dobrze”. I tak się to skończyło.

Było mi bardzo ciężko, ale przynajmniej wiedziałam już, kim jestem, i uświadomiłam sobie, że muszę zdobyć porządne wykształcenie. Wróciłam do liceum medycznego i znowu znalazłam pracę jako salowa. Po jakimś czasie poznałam również, przez ogłoszenie, swoją drugą partnerkę, z którą zamieszkałam.

A.L.: Mówisz o swojej obecnej dziewczynie?

Marta: Nie, Maria była 20 lat starszą ode mnie, dojrzałą kobietą. Teraz, niestety, już nie żyje. Wiele jej zawdzięczam, na przykład to, że skończyłam szkołę (wcale nie było to wtedy dla mnie łatwe). Moja mama początkowo była zaszokowana różnicą wieku w naszym związku, ale w końcu go zaakceptowała, ojciec również. Moi rodzice naprawdę są w porządku, nieraz się przekonałam, że mogę na nich liczyć.

Przechodziłam później jeszcze różne zawirowania, ale moje życie się pomału stabilizowało. Skończyłam studia (edukację zdrowotną w ramach pedagogiki), związałam się ze wspaniałą dziewczyną, mam własne mieszkanie.

A.L.: Czujesz się wreszcie na właściwym miejscu?

Marta: Jak najbardziej. Lubię swoją pracę, swoje życie. I jestem zdeklarowaną lesbijką, nie ukrywam się z tym przed światem.

A.L.: Pozostałaś katoliczką?

Marta: Nie powiedziałabym. Nie uważam się za ateistkę, ale jestem niepraktykująca. To nie znaczy, że przekreślam swoje doświadczenia z zakonu, wręcz przeciwnie. Klasztor nauczył mnie życia i ciężkiej pracy.

Kobiety, Bóg i rodzina

Basia (34 lata) żyje w małym miasteczku na północnym wschodzie Polski, mówi o sobie: „Jestem kobietą samodzielną i niezależną”. Działa w lokalnym stowarzyszeniu kobiecym, przemycając do grona starszych od siebie i raczej konserwatywnych kobiet swoje feministyczne spojrzenie na świat. W okolicach 8 marca regularnie uczestniczy w warszawskich Manifach. I jest osobą głęboko wierzącą.

Miejsce, w którym żyję, jest jak biała plama - nie tylko to miasteczko, można tak powiedzieć o całym regionie. Jeśli spotkam kogoś, z kim chciałabym się związać, właściwie powinnam stąd wyjechać. Ale dużo ważnych spraw mnie tu trzyma. Mam dobrą pracę, zakorzeniłam się tutaj, moje relacje z ludźmi są dobre. Pochodzę z dużej rodziny, jesteśmy bardzo ze sobą związani (mam sześcioro rodzeństwa). Widzimy się prawie codziennie, pomagamy sobie we wszystkim. Nie zmienia to faktu, że w rodzinie z tolerancją bywa różnie, więc nie ujawniam przed nimi, że jestem lesbijką. Od ponad 16 lat należę do Kościoła Zielonoświątkowego - zdecydowanie z przekonania, nie wynika to z rodzinnych tradycji, wręcz przeciwnie.

Konflikt między religią a orientacją pochłania bardzo dużo moich myśli i energii.

Kościół Zielonoświątkowy jest małym kościołem protestanckim, ludzie niewiele o nim wiedzą. Trafiłam tam przez koleżankę mojej starszej siostry, która zresztą była moja pierwszą miłością, a w tej chwili jest jedną z nielicznych osób, które wiedzą o mojej orientacji. Wtedy, przed laty, jako gorliwa katoliczka zareagowałam bardzo ostro i negatywnie na wiadomość, że ona przystąpiła do Kościoła Zielonoświątkowego. Kiedy powiedziała mi, że chciała być bliżej Boga, odpowiedziałam, że w takim razie powinna iść do zakonu, a nie zmieniać wiarę (sama kiedyś chciałam zostać zakonnica, na szczęście zrezygnowałam z tego zamiaru). Mówiła jeszcze inne rzeczy, które mnie zaskoczyły, na przykład, że Bóg jest dla niej kimś bardzo bliskim, kimś, kto jest cały czas obok. Ja nie widziałam Go w ten sposób, byłam oczywiście bardzo gorliwie wierząca, ale chyba bardziej wierzyłam w doktryny Kościoła, niż w Boga jako takiego. Bóg wydawał mi się bardzo daleki i pozazdrościłam jej takiego poczucia. Dużo rozmawiałyśmy na temat Biblii, wróciłam więc do domu i zaczęłam ją czytać. Bardzo mnie to pochłonięło i zafascynowało, chyba po raz pierwszy w tym stopniu. Zobaczyłam Boga inaczej. Stałam przed bardzo poważnym dylematem, bo

nagła rezygnacja z Kościoła katolickiego, w którym byłam przez ileś lat (i o którym byłam przekonana, że jest jedynym zbawczym), decyzja o zmianie wyznania na rzecz Kościoła małego i nieznanego była bardzo trudna. Do tej pory Kościół Zielonoświątkowy jest różnie traktowany, a przystąpienie do niego 16 lat temu było prawdziwą rewolucją.

Po zmianie wyznania wytykano mnie palcami, do moich rodziców przychodziły niemal pielgrzymki, przeżyli horror. Nie powiedziałam im nawet, że zdecydowałam się przyjąć chrzest wodny, a kiedy się dowiedzieli (w tym czasie dostałam się na studia), zakomunikowali mi, że wytrzymają jakoś fakt mojego kilkudniowego pobytu w domu, ale lepiej, żebym nie przyjeżdżała więcej. Pieniądze postanowili wysyłać pocztą, bo nie chcieli mnie karać pozbawieniem środków do życia, ale też nie chcieli mnie widzieć. Minął jakiś czas, nadeszły moje urodziny, postanowiłam pojechać do domu. Bałam się, ale rodzice bali się jeszcze bardziej - tego, że mogłabym naprawdę już nie przyjechać. Ich miłość okazała się znacznie silniejsza niż jakieś tam konwenanse.

Teraz, po latach, często rozmawiamy z mamą o Bogu, o Biblii, i jeśli ona ma jakiegokolwiek duchowe sprawy, zazwyczaj dzwoni z tym do mnie. Dotyczy to również różnych innych problemów. Myślę, że to całkiem dobrze świadczy o naszej więzi. Ale jednocześnie mam tysiące obaw przed powiedzeniem jej o swojej orientacji seksualnej. Mogę tylko mieć tylko nadzieję, że gdyby się dowiedziała, to nie zareagowałaby szokiem.

Chociaż moje myślenie na temat coming outu porównuję właśnie z tym, co wydarzyło się 16 lat temu, kiedy wszem i wobec powiedziałam, że zmieniałam wyznanie. I spodziewam się czegoś podobnego - szoku mojego środowiska.

Kościół Zielonoświątkowy ma dużo ostrzejszy stosunek do homoseksualizmu niż katolicki. Jest nastawiony bardzo negatywnie. Tak naprawdę jest do dla mnie w tej chwili jedna z najtrudniejszych rzeczy, trudniejsza niż kwestia rodziny czy dalszego otoczenia. Jestem tam od 16 lat, współtworzyłam nasz zbor, zawsze się w nim czułam jak w rodzinie, pracowałam dużo i chętnie. Wiele dzieci przy mnie wyrosło, z częścią ich rodziców jestem bardzo blisko. Kiedy słyszę podczas kazania, jak mój pastor, podając najgorsze grzechy, jakie mu przyjdą do głowy, na pierwszym miejscu wymienia homoseksualizm, nie jest mi z tym dobrze i trudno się dziwić. To dla mnie tak naprawdę dramat. Często słyszę: „Jak to godzisz?” Moja odpowiedź brzmi: „W ogóle nie godzę, bo tego się nie da pogodzić!”

Żyję w dwóch światach i nie jest mi z tym dobrze. A od jakiegoś czasu nawet coraz trudniej. Gdybym najpierw uświadomiła sobie, kim naprawdę jestem, przestała uciekać przed swoją tożsamością, to myślę, że nie stałabym się członkiem tego Kościoła. Ale sytuacja wyglądała zupełnie odwrotnie - najpierw był czas mojego nawrócenia (tak to nazywam), dzięki któremu znalazłam miejsce w życiu, ukształtowałam się, zyskałam poczucie własnej wartości. Dopiero potem, po wielu latach, w pełni stanęłam przed kwestią bycia lesbijką, powiedziałam to sobie głośno. Gdyby pastor dowiedział się o wszystkim, zawiesiłby mnie w prawach członka zboru, to bardzo prosta i rygorystyczna procedura. Dałby mi szansę na opamiętanie się, czego oczywiście bym nie zrobiła (bo jak mam się opamiętać z tego, kim jestem?) i w efekcie zostałabym wykluczona. Prawdopodobnie byłoby to także trudne dla pastora, który mnie lubi, uważa za osobę inteligentną i niemal filar naszego Kościoła. Może to jest mocno powiedziane, ale tak wygląda rzeczywistość. Były różne zawirowania, ludzie odchodzili, rezygnowali, a ja byłam zawsze.

Odczuwam swoją relację z Bogiem jako coś, co jest ponad moją relacją z Kościołem. Ona jest ważniejsza, może dlatego jakoś sobie radzę z tym konfliktem. I dlatego przystępuję do wieczerzy - mogą to robić ci, którzy są w zgodzie z Bogiem i ludźmi. Czuję się z Nim w zgodzie, bo zawsze byłam z Nim szczerą. Z ludźmi też pozostaję w zgodzie, przynajmniej z tymi, z którymi mogę.

Próbuje we mnie współistnieć kilka, czasem trudnych do pogodzenia, tożsamości - po pierwsze jestem kobietą, po drugie lesbijką, po trzecie chrześcijanką, po czwarte feministką. Może zresztą one wszystkie są równorzędne...

*

Spotkałam się z Basią dwukrotnie. Pierwszy raz, kiedy wracała do domu z Krakowa - uczestniczyła tam w teleturnieju „Najsłabsze ogniwo”. Nie marzyła o wielkiej wygranej, chciała się sprawdzić i zobaczyć, czy Kazimiera Szczuka jest groźna - podobno nie była.

Rozmawialiśmy wtedy o życiu w małym miasteczku i Kościele Zielonoświątkowym, który w życiu Basi zajmuje bardzo ważne miejsce. Kilka miesięcy później przydarzyła jej się historia, która mogłaby posłużyć za scenariusz kryminału, ale - niestety - była prawdziwa. Spotkałyśmy się więc po raz drugi.

Made in Internet

Zdarzyło się to w czasie, kiedy po różnych swoich perypetiach emo-

cjonalno-miłosnych stwierdziłam, że chociaż nikogo nie szukam i na nikogo nie czekam, to może warto byłoby otworzyć się na nowy związek, dać losowi szansę. Na internetowej stronie www.kobiety-kobietom.com znalazłam ogłoszenie, które zamieściła kobieta najwyraźniej potrafiąca ładnie dobierać słowa. Nie pamiętam dokładnie jego treści, ale zaczynało się mniej więcej tak: „Dziesięć minut wcześniej... Lubię małe dworce kolejowe, na których czas się zatrzymał”, a potem: „Dziesięć minut później... Odważni nie żyją wiecznie, ale tchórzliwi nie żyją wcale, jednak rozpalając ogień zastanów się, czy będziesz w stanie go okiełznać”.

Napisałam, że zdecydowanie wolę podsycać ogień niż go gasić, i jeszcze coś, czego nie pamiętam. Dostałam odpowiedź dość szybko, zawierała wiele pięknych słów. Mam do nich słabość, lubię ich używać i lubię je słyszeć.

Wymieniłyśmy kilka maili, nie minęło dużo czasu, jak zaczęłyśmy pisać je codziennie, a po dwóch tygodniach spotkałyśmy się na gadu-gadu. Poprosiła o mój numer telefonu, żebyśmy mogły bezpośrednio porozmawiać - zwykła kolej rzeczy. Podałam jej więc numer swojej komórki, zadzwoniła od razu. Miała bardzo ładny głos, niski i charakterystyczny. Pewnie wiele kobiet potwierdzi, że potrafi go „odpowiednio” wykorzystać.

Rozmawiałyśmy jeszcze kilka razy. Później wyjechałam na trzytygodniowy urlop, a ona pisała do mnie przepiękne SMS-y i oczekiwała, że ja będę pisać podobne. Bardzo szybko też zaczęła zwracać się do mnie *per* „kochanie”, co było trochę zaskakujące - nie wydarzyło się między nami nic szczególnego. A jednak zdążyłam się zaangażować emocjonalnie, jestem osobą bardzo ufną i otwartą.

Mówiła dużo o sobie, między innymi o tym, że jest artystką - gra na fortepianie i gitarze, pisze, komponuje. Zapraszała na swoją stronę internetową, która wyglądała bardzo wiarygodnie. Można tam było przeczytać, że pracuje ze znanymi grupami, tj. Bohema czy Karawana. I wysyłała coraz bardziej kwieciste i wymowne SMS-y. Zdziwiłam się, kiedy nagle przyszedł jeden bardzo chłodny, ale ponieważ następny znów był piękny, odłożyłam to na bok. Potem zlekceważyłam drugi sygnał: miałam wpaść do niej w odwiedziny, wracając z urlopu, a tu nagle otrzymałam wiadomość, że się rozchorowała. Przyszło mi do głowy, że gra na moich emocjach, ale odpuściłam i spokojnie pojechałam do domu. Nigdy się nie spotkałyśmy.

W każdym razie wtedy rozmawiałam z nią dużo przez telefon, oka-

zywała mi wiele ciepła i autentycznego - wydawało się - zainteresowania. Zaskakiwała mnie tylko jej nadzwyczajna pamięć, bo zawsze pamiętała, o czym rozmawiałyśmy. Nie wiedziałam wtedy, że zapisuje sobie dane kobiet, z którymi rozmawia, żeby uniknąć pomyłki. I celowo pyta o rzeczy bardzo osobiste. Mnie zapytała o sytuację w Kościele. I oczywiście dowiedziała się, że nie przeszłam coming outu, praktycznie nigdzie.

Kilka dni po urlopie otrzymałam od niej SMS-a, w którym donosiła, że ma bardzo trudny dzień. Zadzwoiłam więc i usłyszałam, że ma poważny problem - twierdziła, że właśnie sprowadza z Moskwy fortepian, który przyjechał wcześniej, niż się spodziewała (o całe dwa dni), i wiąza się z tym kłopoty finansowe oraz cała skomplikowana historia.

Tak więc pani Beata J. chciała ode mnie pieniędzy na fortepian. Mówiła, że potrzebuje 10 tysięcy złotych (chodziło o opłaty lotniskowe i tym podobne koszty), ale nie poprosiła mnie o całą sumę, brakowało jej „tylko” 3,5 tysiąca. Fortepian rzekomo wylądował już w Krakowie, nie było czasu do stracenia, a ja czułam się osaczona tempem akcji. I chociaż nie miałam tych pieniędzy, powiedziałam, że może uda mi się wziąć kredyt z banku. Oczywiście okazało się to nierealne, ale przez ten czas pożądana kwota spadła do 2,5 tysiąca złotych. Pomyślałam, że nie jest to już taka ogromna suma, czemu więc nie pomóc? Poprosiłam o pożyczkę moją przyjaciółkę, na którą zawsze mogłam liczyć. Zgodziła się. I powiedziała dokładnie tak: „Wiesz, Basiu, mnie jest wszystko jedno, ponieważ pożyczam te pieniądze tobie. Ale dobrze się zastanów, bo coś mi się zdaje, że ty nie dostaniesz ich z powrotem”.

Beata J. obiecała, że zwróci mi całą kwotę za kilka dni, przy okazji koncertów na Mazurach. Oczywiście żadnych koncertów nie było - ani na Mazurach, ani gdzie indziej. Po tym, jak moja przyjaciółka przesłała Beacie przelewem 2,5 tysiąca, dostałam SMS-a, że przydałoby się jeszcze 500 złotych. Bardzo pilnie. Poczułam złość, ale jeszcze nie otrzeźwiałam - pojechałam do banku i przelałam jej na konto moje ostatnie pieniądze, z których miałam żyć do końca miesiąca (a było to 2 sierpnia).

Owszem, miałam niewielki przebłysk świadomości, kiedy podała mi numer konta i adres.

Zawsze twierdziła, że mieszka w domku, w podmiejskiej dzielnicy Krakowa. A tu naraz zobaczyłam, że w adresie jest ulica w centrum miasta, koło dworca. Jak się potem okazało, znajduje się tam poczta. Trudno, mój błąd. Co gorsza, ze złości skasowałam SMS-a, w którym

prosiła o pieniądze.

Nastał dla mnie trudny czas, finansowo i psychicznie. Do dziś spłacam długi, a moi rodzice myślą, że zaciągnęłam je, żeby pojechać na urlop. Na szczęście nie zdążyłam się w niej zakochać. Te kobiety, które zdążyły, przeżyły horror.

Kiedy Beata J. otrzymała to, co chciała, zadzwoniła z podziękowaniami dla mnie i mojej przyjaciółki. Następnego dnia chciałam z nią porozmawiać, ale nie odbierała telefonu. Wysłałam SMS-a, że się martwię, pytałam czy wszystko w porządku. Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że u niej jak najbardziej wszystko jest w porządku, tylko u mnie już nie.

Kolejnego dnia było podobnie: milczenie. Przeżyłam to okropnie. Dotarło do mnie wreszcie, że padłam ofiarą oszustwa. To był straszny dzień i nawet nie chodziło o pieniądze - pracuję i jestem w stanie spłacić dług, tylko o świadomość tego, że ktoś wykorzystał moją chęć pomocy, otwartość, życzliwość. Zakpił ze mnie. Musiałam przyjąć wreszcie do wiadomości, że pieniądze do mnie nie wrócą, a ta kobieta prawdopodobnie już nigdy nie odbierze mojego telefonu.

Przed wszystkim doszłam do wniosku, że nie odpuszczę tej sprawy tak po prostu i na portalu internetowym, od którego wszystko się zaczęło, dałam ogłoszenie pt. „Uwaga, Beata J.!” W ciągu dwóch dni dostałam odpowiedź od ośmiu kobiet. Od ośmiu oszukanych kobiet. Byłam w szoku, myślałam, że jestem jedyna, że zgłosi się najwyżej jedna osoba. Większość kobiet, które posłały jej pieniądze, w ogóle jej nie widziały, a nawet nie rozmawiały z nią przez telefon. Do żadnej z nas nie mówiła po imieniu, uniwersalne „kochanie” eliminowało prawdopodobieństwo błędu, bo często rozmawiała (przez maila lub telefon) z dwiema czy trzema jednocześnie. Niedługo obok mojego ogłoszenia pojawiły się podobne, od innych kobiet. Miałyśmy teraz ze sobą kontakt, mogłyśmy wymienić informacje. I razem poczułyśmy się silniejsze. Dowiedziałam się także, że wcześniej pojawiło się już ostrzegawcze ogłoszenie, podobne do mojego, ale jego autorka dała się Beacie zastraszyć i je wycofała.

Tymczasem pewnego dnia, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, udało mi się dodzwonić do Beaty J. Tyle, że telefon odebrała obca kobieta. Poinformowała mnie, że „pani Beata” nie będzie odbierać tego telefonu przez kilka dni i dodała, że jeśli dzwonię w sprawach muzycznych, to mogę zwracać się bezpośrednio do niej - podała się za menedżerkę. Podziękowałam za informację, a po chwili oświeciło mnie, że mogłam

zapytać o niedoszłe koncerty na Mazurach. Kiedy zadzwoniłam ponownie, „menedżerka” odpowiedziała, że jakieś koncerty wypadły, ale za kilka dni poda mi informacje na temat aktualnej trasy koncertowej. Przyszło mi do głowy, że Beata nie działa w pojedynkę.

Któregoś dnia, późnym wieczorem, dostałam SMS-a mniej więcej takiej treści: „Przepraszam, miałam poważne kłopoty, czy możesz zdjąć ogłoszenie, to godzi w moje dobre imię”.

Zatrzęsło mną ze złości, ta kobieta chyba nie zdawała sobie sprawy, że wiem o innych oszukanych dziewczynach. Odpisałam, że zdejmę ogłoszenie, jak tylko pieniądze wpłyną na moje konto. Po chwili Beata zadzwoniła. Była wściekła i oskarżycielska: „Jak możesz mnie szkalować, kiedy mam takie problemy?!” Spytałam, jakie? Oburzona, zaczęła krzyżeć: „Teraz pytasz?!” Odparłam, że sobie nie życzę takiego tonu. Myślałam, że uda mi się z nią rozsądnie porozmawiać. Ustaliliśmy, że zdejmę ogłoszenie, jeżeli w poniedziałek pieniądze wrócą na moje konto.

Przyznam, że nie byłam zdziwiona, kiedy żadnych pieniędzy nie otrzymałam, ani w poniedziałek, ani we wtorek. Natomiast Beata J. zaczęła mnie szantażować. Najpierw dostałam SMS-a: „Jak myślisz, czy mogę wykonać telefon do Zgromadzenia Zielonoświątkowego?” Wprawdzie mieliśmy akurat w kościele zepsuty telefon, więc nie dozwoniłaby się zbyt szybko, ale szłam na spotkanie zboru z duszą na ramieniu.

Potem zadzwoniła do mojego miejsca pracy. Powiedziała, że daje mi czas do południa i jeśli ogłoszenia nie znikną (pojawiło się ich kilka), to nie ręczy za siebie. Powtórzyłam, że chcę tylko odzyskać moje pieniądze, ale usłyszałam: „Nie wiem, o czym mówisz”.

Telefonów do pracy było więcej, sekretarka zapytała mnie na przykład: „Dlaczego pani, która przekazała informację o spotkaniu w południe, mówiła że to spotkanie lesbijek?” Beata J. groziła, że podobny telefon odbierze moja mama. Zatem nie miałam już nic do stracenia. Byłam pewna: ta kobieta nie ma żadnych skrupułów.

Sekretarce wytłumaczyłam, że pożyczyłam tej pani pieniądze, a ona zrobi wszystko, żebym z nich zrezygnowała. Zdecydowałam się też na rozmowę z moim szefem, zareagował wspaniale: „Proszę się nie przejmować, spróbujemy umówić się z komendantem policji i ustalimy, jak w tej sytuacji najskuteczniej zadziałać”. Kwestii mojej orientacji nie poruszaliśmy. On nie pytał, ja nie mówiłam. Zdecydowałam, że bez względu na wszystko nie pozwolę się zastraszyć.

W tym czasie skontaktowała się ze mną pewna dziewczyna, która przesała Beacie J. swoje ostatnie pieniądze. Straciła dom - sprzedała go, żeby spłacić długi. Zamknęła się kompletnie w sobie, przesała pracować. Niektóre dziewczyny straciły 8, 11, nawet 16 tysięcy złotych. Beata mówiła im: „Owszem, były przelewy, ale przecież to wy oddawałyście mi pożyczone pieniądze!”

Ona nie zostawia śladów. Omija w SMS-ach sformułowania: „Pożycz mi pieniądze”, „Oddam ci dług”. A żadna z nas (z tego co wiem) nie napisała na przelewie ani słowa o pożyczce. Ustaliliśmy z dziewczynami, że złożymy na policji doniesienie o popełnieniu przestępstwa. Moja koleżanka złożyła pozew i podała nazwiska tych, które zgodziły się oficjalnie zeznawać. Niektóre za bardzo się boją. Są wśród nich mężatki, w okolicach trzydziestki, które pragną za wszelką cenę uniknąć skandalu.

Te, które widziały Beatę J. osobiście, twierdzą, że wizualnie nie przedstawia sobą niczego nadzwyczajnego. Jej fenomen tkwi w głosie, wyjątkowym, przenoszącym w inny świat. I w sztuce manipulacji. Z tym, że Beata J. ma już jeden wyrok w zawieszeniu, za zastraszanie. Jak się dowiedziałyśmy, sprawa ciągnęła się 3 lata.

Obawiam się, że nasza sprawa będzie się rozstrzygać bardzo blisko mnie, w miasteczku obok. Mogę przejść przymusowy coming out, czego bardzo bym nie chciała. W dodatku martwię się o moją rodzinę. Kiedy zmieniłam wyznanie, moich rodziców spotkało wiele przykrości, chyba więcej niż mnie. Teraz może być tak samo. Niewykluczone, że będę zmuszona stąd wyjechać - nie oszukujmy się, to małomiasteczkowa społeczność. Z pracy pewnie nie zostanę zwolniona, chociaż ręki za to nie dałabym sobie uciąć. Ale wiem jedno: nie chcę, żeby ona działała dalej tak, jak działa. Ciągłe się boję, że znowu spotkam na którejś z kobiecych stron ogłoszenie: „Uwaga, zostałam oszukana”. Nie mogę pojąć fenomenu psychologiczno-socjologicznego, jakim jest ta kobieta.

Może wyda się to dziwne, ale do samego Internetu, jako drogi poszukiwania znajomości, nie mam urazu. Poznałam w ten sposób wiele wspaniałych kobiet. Paradoksalnie, znajomości z dziewczynami oszukanymi przez Beatę J. są chyba najbardziej wartościowymi znajomościami, jakie przydarzyły mi się od lat. To po prostu bardzo dobre, życiowe i otwarte osoby. Ja sama ciągle nie mogę uwierzyć, że tak dałam się nabrać.

PS.

Latem 2006 roku zapadł wyrok w sprawie przeciwko Beacie J.: rok i 6 miesięcy bez zawieszenia oraz nakaz naprawienia wyrządzonych szkód. Beata J. nie stawiała się na rozprawie, jej miejsce pobytu pozostaje nieznane. Wyrok nie jest jeszcze prawomocny.

Basia, jako jedna z osób, które proces wytoczyły, nie spotkała się już z żadnymi przykrymi konsekwencjami tej sprawy.

Mój ojciec już nie rządzi

Daria (lat 26) mieszka w Warszawie razem ze swoją partnerką, Renatą. Niedługo skończy studia, pracuje dorywczo i na razie wybiera „tradycyjnie kobiece” bycie w domu. Rozmawiamy w kuchni, która jednocześnie jest salonem (Daria naprawdę lubi gotować!).

Anna Laszuk: *Muszę przyznać, że ta pizza jest fantastyczna! W jednym ze swoich felietonów Kinga Dunin napisała, że chciałaby mieć żonę. Taką, co i obiadek poda, i posprząta, i zatroszczy się. To było, o ile pamiętam, ironiczne, ale ja całkiem poważnie spytam: czy ty jesteś żoną?*

Daria: *Na to wygląda. W moim związku z Renatą role podzieliły się spontanicznie. Ona się spełnia w zdobywaniu pieniędzy i innych funkcjach myśliwskich, czyli walczy ze światem. Mnie uszczęśliwia zarządzanie gospodarstwem domowym, pod warunkiem, że mam Internet pod ręką. Piorę, gotuję, sprzątam, a w międzyczasie piszę maile i surfuję w sieci w poszukiwaniu różnych ciekawych rzeczy.*

A.L.: *I to jest pełnia szczęścia?*

Daria: *Byłaby. Tylko, że ja powinnam być niezależna, chociaż wcale się do tego nie palę. Zajmowanie się domem i wychowywanie dziecka byłoby tym, co tygrysy lubią najbardziej. Ale dziecko to pieśń przyszłości, póki co nie mam pojęcia, jak długo z Renatą będziemy razem. Przechodzimy właśnie coś w rodzaju kryzysu. Trochę niezależności przydałoby mi się w tym świecie. Nie jestem zaradna finansowo, mieszkanie kupili dla mnie rodzice, Renata zarabia więcej niż ja. Do tego widzę, jaka jestem uległa, nie potrafię bronić swoich racji. Zupełnie jak moja mama.*

A.L.: *W waszym domu rządził ojciec?*

Daria: *Tak, mimo, że przez długie lata był na utrzymaniu mamy. Ona wykonuje specyficzny zawód, w ciężkich czasach PRL-u miała za granicą dostęp do wszystkiego, czego tu brakowało, dzięki niej dobrze nam się powodziło. Ojciec także ma wyższe wykształcenie, ale nie pracował nigdy w swoim zawodzie. To, że mama go utrzymywała, zupełnie mu nie przeszkadzało czuć się panem świata. Po transformacji ustrojowej nasza sytuacja materialna nie była już taka dobra, ojciec musiał zacząć zarabiać. Stał się sfrustrowany, skończyło się bez troskie, wygodne bytowanie na wysokim poziomie. Poczul się pozbawiony przewagi, bo*

ludzie, z którymi ma do czynienia, mają wyższy niż on status materialny. Zawsze był zdania, że na świecie są lepsi i gorsi, a on należy do tych pierwszych, w związku z czym nie znosił najmniejszego sprzeciwu, wszyscy musieli grać według jego reguł.

A.L.: A jeśli nie grali?

Daria: Jeśli nie grali, robił się agresywny. Ustępował tylko silniejszemu od siebie, a w naszej rodzinie z pewnością to on był najsilniejszy. W domu nikt nie ośmielił mu się przeciwstawić. Do czasu... ale to już ma związek z Renatą.

A.L.: Kiedy poznałaś Renatę, mieszkałaś z rodzicami?

Daria: Owszem. Przez długi czas oni nie wiedzieli o mojej orientacji. Zresztą sama przed sobą nie określałam się jakoś zdecydowanie.

A.L.: Jako lesbijka?

Daria: Nie tylko. We własnym odczuciu bardzo długo nie mieściłam się ani w kobiecości, ani w męskości, czułam się jakby poza płciami. Podobali mi się i mężczyźni, i kobiety, ale w związki wchodziłam tylko z kobietami. Najbardziej odpowiadały mi sytuacja, gdyby na świecie było więcej kategorii płciowych niż „mężczyzna” i „kobieta”, to byłoby prawdziwsze. I ciekawsze. Przez pewien czas manifestowałam swoje niedopasowanie, korzystając na przykład z toalet dla niepełnosprawnych. Rozumiesz, omijałam zdeklarowanie „żeńskie” i „męskie”, ale, szczerze mówiąc, w miejscu dla niepełnosprawnych też nie czułam się u siebie. W końcu bycie „pomiędzy” stało się dla mnie zbyt niekomfortowe, więc postanowiłam dostosować się do społeczeństwa. Zaczęłam się na przykład malować, stawać bardziej „kobieca”. I zrobiło mi się wygodniej. W taki sam sposób przywykłam do homofobii w świecie: świetnie wiem, jak się skutecznie maskować, ukrywać, co i komu mówić. Tyle, że przed społeczeństwem łatwiej się ukryć niż przed rodziną.

A.L.: Rodzina sama odkryła, że jesteś lesbijką?

Daria: Zauważyli, że spotykam się tylko z kobietami: odwiedzały mnie, czasem nocowały. Niedomówienia rosły, atmosfera robiła się coraz gęstsza, ja sama nie czułam się z tym dobrze. Pewnego dnia rodzice zapytali wprost, a ja odpowiedziałam: „Tak, jestem lesbijką”. Matka nie zachwyciła się, oględnie mówiąc, ale można powiedzieć, że się z tym pogodziła. Jacek, mój brat, zaakceptował to od razu. A ojciec strasznie się wściekł, co było dla mnie dużym zaskoczeniem. Zawsze wydawał się libertynem i erotomanem-gawędziarzem, myślałam

że jego własna swoboda związana z seksem oznacza szeroko pojętą tolerancję. Pomyliłam się.

Renata bywała wtedy u nas, nie wzbudzało to w nim większych emocji, ale od momentu mojego coming outu została wrogiem numer jeden. Ojciec po prostu uznał, że ona „bezczelnie mnie uwiodła”, zaczął ją obrażać na każdym kroku. Któregoś ranka (nocowała wtedy u mnie) wtargnął do mojego pokoju i prawie wrzasnął: „Co ONA tutaj robi?!”, a chwilę później już bezpośrednio do niej zaczął wykrzykiwać: „Kim ty jesteś, żeby ciągle przebywać w tym domu? Zabraniam!”

A.L.: To się zdarzyło chyba niedawno? Byłaś już pełnoletnia?

Daria: Tak, tak, miałam jakieś 22 lata. Dla mojego ojca to nie miało znaczenia. Zawsze czuł się naszym panem i władcą.

A.L.: Mhm. I co było dalej?

Daria: Kiedy Renata spokojnie odpowiedziała, że właścicielka mieszkania udzieliła jej pozwolenia na przebywanie tutaj (co w pełni odpowiadało prawdzie, bo właścicielką mieszkania była moja mama), wpadł w szal. Zaczął ją wyzywać od beczelnych suk i kurew, grozić, że załatwi ją na amen, a Renata ciągle spokojnie i stanowczo odpowiadała, że nie życzy sobie obraźliwych komentarzy ani gróźb i w ten sposób nie będzie z nim rozmawiać. Była pierwszą osobą na świecie, która wobec ojca nie położyła uszu po sobie, co doprowadziło go do amoku. Zaczął ją szarpać, wreszcie chwycił za szyję, jakby chciał ją udusić, uderzył. Ja byłam tak zaszokowana, że tylko oczy wyszły mi na wierzch i powtarzałam w kółko: „Przestań, uspokój się!” Mój brat, słysząc, co się dzieje, wypadł ze swojego pokoju i odciągnął ojca na bok.

Wtedy Renata zakomunikowała, że dzwoni na policję. Reakcja mojego ojca była szokująco beztroska: „Dzwoń, dzwoń! Jak tego nie zrobisz, sam ich wezwę. Chętnie im powiem, kim jesteś!” Był przekonany, że żadnego telefonu na policję nie będzie. A gdyby nawet, to nie szkodzi, bo pewnie policjanci są, tak samo jak on, homofobami i nie kiwną palcem w naszej obronie. Jego wizja była taka: przyjdzie facio podobny do niego samego, wbije Renatę w podłogę i to ona będzie miała problemy. Ale Renata na policję zadzwoniła, chwilę później wszyscy czekaliśmy na ich przyjazd. My zdenerwowane, ojciec zadowolony.

Kiedy przyjechali panowie z policji, Renata zrelacjonowała, co się stało, a ojciec niczemu nie zaprzeczał. Potwierdził, bardzo pewny siebie, że owszem: wyzywał, obrażał i posunął się do rękoczynów. Jeszcze potakiwał sam sobie: „No właśnie, panowie chyba tak samo by zrobili?”

Przychodzi taka mała i mówi mi, kto tu jest właścicielem mieszkania. Do tego ta lesba uwiodła moją córkę”. Tyle, że policjanci bynajmniej nie zareagowali tak, jak się spodziewał. Po ustaleniu faktów (rzeczywiście, ojciec nie był właścicielem mieszkania, a ja, „uwiedziona córka”, od dawna byłam pełnoletnia) powiedzieli mu, że będzie miał problemy w związku ze złamaniem trzech artykułów: o nietykalności osobistej, naruszeniu cudzej godności i groźbach karalnych.

A.L.: *Przyznam, że jeśli chodzi o reakcję policji, to budujący przykład. Co było dalej?*

Daria: Ojciec przeżył szok. Błyskawicznie przeszedł do ofensywy, na zmianę to atakował, to próbował wziąć policjantów na litość. A oni rzeczowo powtarzali, że nie interesuje ich orientacja seksualna moja i Renaty. I że ojciec, używając wyzwisk i przemocy, złamał trzy paragrafy. Do tego ostrzegli go, że jeśli nadal będzie agresywny, zakują go w kajdanki. To było niesamowite: wreszcie ktoś go usadził.

Wszyscy złożyliśmy oficjalne zeznania, a później przyszło pismo z prokuratury, potwierdzające, że Renata może wszcząć wobec ojca postępowanie sądowe.

A.L.: *Wytoczyła sprawę twojemu ojcu?*

Daria: Nie. Wystarczyła nam świadomość, że może to zrobić.

W naszym domu doszło do rewolucji. Matka nieoczekiwanie stanęła po stronie policji, podobnie jak mój brat, co ojciec odebrał jako skrajną nielojalność. W ogóle nie uznał swojej winy, ale przynajmniej pojął, że świat nie stanął po jego stronie. Na mnie śmiertelnie się obraził, od tamtej pory - czyli od 4 lat - nie rozmawiamy ze sobą.

To oczywiście nie była pierwsza awantura w naszym domu, ale wcześniej nikt z nas nie ośmielił się powiedzieć ojcu „stop”. Kiedy był agresywny, kładliśmy uszy po sobie. A potem tłumaczyliśmy mu, że nas niszczy, i prosiliśmy, żeby się zmienił. A już na pewno nikomu nie przyszło do głowy, że można wezwać policję. I że policja może być skuteczna.

A.L.: *Czy po tamtej awanturze twój ojciec atakował Renatę lub ciebie?*

Daria: Jakiś czas później spotkał Renatę na ulicy. Tym razem nie doszło do rękoczynów, były „tylko” wyzwiska. Kiedy spotykał mnie, groził, że ją zabije, jak tylko ją zobaczy, życzył sobie, żebym to jej przekazała. Znowu dowiedział się, że to karalne, a co więcej - że w razie postępo-

wania sądowego poniesie jego koszty, więc się uspokoił.

W wyniku tej pierwszej awantury, zakończonej interwencją policji, wyprowadziłam się z domu, zapadła decyzja, że nie będziemy wszyscy mieszkać razem. Oboje z bratem prawie skończyliśmy już studia, każde z nas ma osobne lokum. Ja mieszkam z Renatą - w tej samej kamienicy, co rodzice (wcześniej wynajmowaliśmy inne mieszkanie). Kiedy odwiedzam mamę, ojciec siedzi w swoim pokoju i nie wychyla z niego nosa. Jak się na siebie natkniemy, nie mówimy sobie nawet „dzień dobry”. Trudno mi się pogodzić z tym, że nasze stosunki tak wyglądają. Dawno temu byłam jego ukochaną córeczką, teraz mnie nie akceptuje. Mama chciała, żebym się z nim pogodziła, pierwsza wyciągnęła rękę, ale ja mam już dosyć. Nie mam go za co przepraszać, nie będę żebrać o jego miłość.

A.L.: Myślisz, że on może się zmienić?

Daria: Nie sędzę. Jest sfrustrowany i smętny, bo jego władza się skończyła. Ale to nie znaczy, że przeszedł jakąś przemianę, jest raczej jak zły pies, któremu założono kaganiec. Moja mama, niestety, przyzwyczała się do tego chorego porządku, w którym ojciec rządzi, a ona wiele przemilcza i znosi. Dla mnie to niepojęte, jak wiele. Pytałam, dlaczego się z nim nie rozstanie, nie znajdzie sobie kogoś normalnego. Odpowiadała, że innego mężczyzny musiałaby uczyć się od nowa, a ojca przynajmniej zna na wylot. Oni już będą ze sobą do śmierci.

Widzę, że czasem zachowuję się jak ona. Nie umiem stanowczo powiedzieć „nie”, łatwo mnie zdominować. Ale przynajmniej jestem tego świadoma.

A.L.: Czujesz się zdominowana przez Renatę?

Daria: O, tak. Mam tylko nadzieję, że tak nie będzie zawsze.

PS.

Kilka miesięcy później Daria powiedziała mi: „Niestety, wybrałam partnerkę podobną kubek w kubek do mojego ojca. Tak, jak robi to nieświadomie wiele heteroseksualnych kobiet”. Związek dziewczyn rozpadł się w burzliwych okolicznościach. Nie mieszkają już razem, trwa między nimi walka o pokaźną sumę pieniędzy, których status własności nie był udokumentowany. Zdaniem Darii, Renata zawłaszczyła je, żeby zademonstrować swoją władzę nad - była już - partnerką. Ale ta władza jest tylko mirażem, bo Daria mówi: „Moja dziewczyna też już nie rządzi”.

Jestem łajdakiem

Nie szukałam kobiet, które prowadzą tak zwane podwójne życie. Martę poznałam przypadkiem, w przeddzień jej 40. urodzin. Tego dnia umówiłam się na wywiad z jej znajomą. Poszłyśmy z Martą pogadać do pubu na lubelskiej starówce.

Marta ma męża i dorosłego już syna. Nie pracuje, odkąd mąż został ważną i dobrze zarabiającą osobą, ale w pierwszych latach małżeństwa przeszła etap „uciemiężonej Matki Polki”. Etap kolejek i ciasnego pokoju w akademiku. Jak mówi, jej małżeństwo jest udane, syn ma dobrze poukładane w głowie, rodzina jest rozległa i lubią swoje towarzystwo. Śluby, chrzciny, imieniny, jak wszędzie. O tym, że czasem Marta miewa dziewczynę (jest z nią? spotyka się? coś innego?), może wiedzą, a może nie. O tym się nie rozmawia.

Marta jest szczęśliwa, to znaczy mówi: „Jest mi bardzo dobrze”. Warunkiem tego „dobrze” jest zachowanie pewnych reguł. I bycie szczerą. Wobec siebie do bólu, wobec innych - wystarczająco. Marta nie polubiła mojego dyktafonu, poniższy wywiad jest wycinkiem dłuższej rozmowy.

A.L.: *Jak wyobrażałaś sobie przyszłość, swoje życie osobiste, kiedy byłaś młodą dziewczyną?*

Marta: *Nie miałam wyobrażeń, zupełnie. Ja wiedziałam o sobie od dawna, ale to były inne czasy, pewne normy były oczywiste. Człowiek niby wiedział, że nie wszyscy żyją jednakowo, ale nie zdawał sobie sprawy, że sam może inaczej żyć. Wyszło, jak wyszło.*

A.L.: *Ale najpierw pojawiali się w twoim życiu mężczyźni?*

Marta: *Tak, a w zasadzie jeden. Mój mąż.*

A.L.: *Pomyślałam, że skoro mówiłaś o płynięciu przez życie, poddawaniu się...*

Marta: *Nie możemy określać płynięcia jako nie kończącej się zabawy, balang, imprez, seksu. Kiedy byłam młodą dziewczyną, owszem, były wyjazdy, zabawy, węgry, ucieczka z domu. Brat znalazł mnie po kilku dniach, a rodzice nawet słowa nie szepnęli, jak już wróciłam do domu. Jakby szepnęli, to by mnie nie było za dwie godziny.*

A.L.: *Wiedzieli dobrze, że masz naturę buntowniczką?*

Marta: *Tak. Ale teraz jestem grzeczna, czyli unikam niezręcznych sytuacji. Wszystko można załatwić ugodowo. Jak byłam 20 lat młodsza,*

różnie się zdarzało.

A.L.: *Twoja rodzina nie wyznaczała sztywnych zasad?*

Marta: Wyznaczała, tylko ja praktycznie te zasady ominęłam. To była normalna, klasyczna rodzina. Dwoje dzieci (ja i mój brat), do kościoła raczej nie chodziłam, bo mama pracowała w firmie „czerwonej” i gdy chodziłam na religię, robiłam to trochę cichaczem. Ale i teraz bardzo lubię rozmawiać z księdzem, mówię o sobie wprost.

A.L.: *I co słyszysz w odpowiedzi?*

Marta: „Dobrze, córko... wiesz, że grzeszysz?” Ja mówię: „Wiem, że grzeszę. Ale, proszę księdza, to jest bardzo miły grzech”. Zawsze dostaję rozgrzeszenie, tylko raz odeszłam bez. Odczuwam potrzebę wygadania się, ale moje spowiedzi wynikają też z tego, że mam trzynastoro chrześniaków, więc chrzciny, komunie i wesela zmuszają mnie do tego. Jak już idę i ksiądz mnie pyta, to odpowiadam. Można powiedzieć, że jestem ze względów formalnych zmuszona do spowiedzi, a żal za popełnione uczynki niekoniecznie muszę wyrażać. Bo sama, z potrzeby ducha, nigdy tego nie robię.

A.L.: *Jak poznałaś swojego męża?*

Marta: W liceum. To był mezalians, bo przyszły mąż miał na świadectwie czerwony pasek od góry do dołu, a ja byłam strasznym nygusem. Przechodziliśmy w parze przez szkołę i poczuliśmy do siebie to, co poczuliśmy. Moja ciąża przyspieszyła nasz ślub. Nie sądzę, że to jest miłość. Wytłumacz mi teorię miłości. Kiedy ktoś mnie pyta: „Kochacie się?”, to ja również pytam: „No, ale co to jest miłość?” Po co ktoś wymaga ode mnie wielkich słów?

A.L.: *Nigdy ich nie wypowiadasz?*

Marta: Nie. Mogę powiedzieć ewentualnie o szczypcie uczucia. To jest zauroczenie z domieszką przyzwyczajenia, no i pewne poglądy muszą się zgadzać. Ja lubię muzykę i lubię jeździć w góry. I jak sobie siedzimy z mężem, na przykład przez godzinę czy dwie, to jest miło. Ale miłość to za duże słowo. Dlatego mówię ci, jestem bezstresowcem i dlatego czerpię z życia garściami.

A.L.: *A kiedy po raz pierwszy zdarzyło ci się przeżyć, nazwijmy to: zauroczenie kobietą?*

Marta: Zauroczenie jedną kobietą przeżywałam przez dłuższy czas. Tylko to była bardzo duża przyjaźń i ona się czasami kończy przez takie

sprawy. Mnie bardzo zależało na tej osobie i nie chciałam tego popsuć. A pierwszy kontakt organoleptyczny, że tak powiem, przeżyłam jakieś 5 lat temu.

A.L.: Dopiero 5 lat temu?

Marta: Mhm. Ale to nie jest głupie, wiesz? Człowiek jest dojrzały i wie, co robi. Chodzi mi o to, że nawiązać kontakt nie jest trudno, tylko jak się budzisz, to chciałabyś o czymś porozmawiać, prawda? Albo jak się idzie do kuchni, robić tę jajecznicę czy coś innego, dobrze by było parę sensownych słów zamienić. Wiesz, o czym mówię?

A.L.: Wiem.

Marta: Zbyt duża różnica wieku trochę przeszkadza. Tak więc unikam dużo młodszych kobiet. Znam takie, owszem. Na przykład z knajp „tematycznych”. Nie używam słowa „branżowych”, bo bardzo go nie lubię. Branża to może być obuwnicza na przykład, prawda?

No więc „organoleptycznie” poznałam wiele kobiet. Zawsze jest miło i uroczo, tylko kiedy jakaś osoba bardziej się zaangażuje, ja uciekam. Nie chcę, żeby się angażowała i wierzyła w wielką miłość. Może jestem łajdakiem, ale stawiam sprawę jasno.

A.L.: Jakie były te dziewczyny?

Marta: Do tej pory znam taką kobietę: 24 lata, bardzo atrakcyjna. Ale wizualność nie jest dla mnie najważniejsza. Ja wolę wymienić się książką albo filmem, i to jest naprawdę ważniejsze. Albo siedzieć na pomoście, jak sobie siedziałyśmy z inną dziewczyną, i karmić kaczki. A dziewczyna brzydka. Noc listopadowa to za mało powiedziane. Rozbawiam cię?

A.L.: Niewiele poznałam kobiet czy mężczyzn, dla których wygląd byłby w ogóle nieważny.

Marta: Ależ nie, oczywiście. Człowiek jest wzrokowcem, nie ma o czym mówić, to normalne. No dobrze: jest ładna blondynka z dużymi niebieskimi oczami, włosy do pasa. I co z tego? Nic. Ja lubię rozmawiać. Nie przeczę - uwielbiam seks z kobietą, ale niewiele ma to wspólnego z wyglądem.

A.L.: To są spotkania wyłącznie na wyjazdach, czy też jakieś inne?

Marta: Nie, niekoniecznie na wyjazdach. Dajmy na to: dziewczyna przyjeżdża z daleka, zapraszam ją do siebie do domu. Tłumaczę synowi, że przejechała kawał drogi, i pytam, czy on może pójść spać do

dziadków. Syn trochę pomarudzi, ale się zgodzi. Zatem dziewczyna śpi sobie w pokoju, potem mój mąż nas wiezie na Stare Miasto, bo ona chce zobaczyć na przykład zamek. I nie ma na ten temat rozmowy między mną a mężem.

A.L.: Nigdy cię o nic nie zapytał?

Marta: Nie, a ja mu nigdy nie powiedziałam. Po co? On jest bardzo wyrozumiały i ciepły, albo mnie kocha, albo się przyzwyczaił. Kochanie to duże słowo i nie lubię go używać. Jesteśmy razem, po prostu.

A.L.: Co jest według ciebie najważniejsze w związku?

Marta: Powiedziałabym, że zaufanie. Ale jest też tak, że kiedy wyjeżdżam w Polskę na kilka dni lub nie wracam na noc, mąż zawsze musi coś powiedzieć, zrobić przytyk. Ja mu na to mówię: „Kochanie, przecież ja cię z facetem nigdy nie zdradzę, nie ma mowy po prostu”. I to mu wystarczy. Nie sędzę, żeby on z kolei był święty. Nie rozmawiamy o kobietach, to jest temat tabu.

A.L.: A on wie, o co w tym wszystkim chodzi?

Marta: Jest dorosły, więc chyba się domyśla.

A.L.: Zakochałaś się kiedykolwiek w którejś z tych dziewczyn?

Marta: Nie. I gdyby coś takiego mi się przydarzyło, ucięłabym to na starcie. Stawiam sprawę jasno od początku. Nie wywrócę swojego życia do góry nogami.

Moje dwie matki

Kiedy się poznałyśmy, Aśka powiedziała: „Wiesz, mam dwie matki”. Matka biologiczna to po prostu „mama”. Jej partnerka, zanim stała się drugą matką, najpierw była „tą kobietą”, potem „ciotką”. Obie matki Aśki przekroczyły niedawno czterdziestkę, są różne jak ogień i woda. Ona sama studiuje psychologię w Gdańsku, działa w Kampanii Przeciw Homofobii, ma 20 lat.

Między moimi dwiema matkami nie było tak, że najpierw zbudowały związek, a później pojawiła się chęć posiadania dziecka.

Kiedy moja biologiczna matka miała lat 20 (czyli tyle, co ja teraz), zaszła w ciążę z moim ojcem i postanowili wziąć ślub. Ich małżeństwo trwało bardzo krótko, rozstali się, jak miałam mniej więcej roczek. Od tamtej pory mój ojciec był już tylko ojcem weekendowym. Średnio go lubiłam, nie umiałam z nim rozmawiać. Do dzisiaj nie mamy dobrego kontaktu, wszystko między nami jest sztuczne, jakby był kimś zupełnie obcym. W czasach, gdy moja mama studiowała (i kiedy zaczęła pracować), wychowywali mnie głównie dziadkowie.

Któregoś pięknego dnia (miałam wtedy 8 czy 9 lat) mama powyciągała torby, przygotowane wcześniej, i zaczęła się pakować. Spytałam, o co chodzi, i czy gdzieś wyjeżdżamy. Była bardzo zdenerwowana, krzyczała i kazała mi spakować moje zabawki. Dziadek z babcią pojechali tego dnia do lekarza, nie było ich w domu.

Pamiętam, że taszczyłyśmy się z tymi torbami spory kawałek, do miejsca, w którym czekał na nas biały maluch. A w nim siedziała jakaś kobieta. Z moich wspomnień wynika, że już wcześniej moja mama próbowała mnie z nią poznać - pamiętam, jak we trójkę szliśmy do zoo. W każdym razie wtedy, podczas wyprowadzki od dziadków, usiadłam z tyłu, w samochodzie śmierdziało nagrzaną skórą i papierosami, do tej pory nie lubię tego zapachu. Obserwowałam tę kobietę z tylnego siedzenia - miała słoneczne okulary, tajemnicze spojrzenie, czarne rękawiczki z wyciętymi otworkami (było lato), szopę włosów na głowie, papierosa w ustach. Nie wiedziałam, co się dzieje, one mruzczały coś do siebie, a mnie nikt niczego nie tłumaczył. Pojechałyśmy na drugi koniec miasta w zupełnie obce miejsce, które okazało się wynajętym przez nie mieszkaniem. Nadal nie wiedziałam o co chodzi, a kiedy pytałam, matka reagowała histerycznie, więc w pewnym momencie po prostu przestałam pytać. Szczerze mówiąc, to wszystko mnie przerażało, było trochę jak porwanie.

Kontakt z dziadkami początkowo zerwałyśmy. Spędzałam wakacje w nowym miejscu, odcięta od znajomych. Potem wróciłam do starej szkoły, która mieściła się kawał drogi od nas. Odwoziła mnie tam „ta kobieta” (dla mnie wtedy była po prostu obca) - prawie wcale nie rozmawiałyśmy, snułam różne fantastyczne domysły na temat „kim też ona może być?” Teraz myślę, że ona się bardziej bała mnie, niż ja jej. W swoim białym maluchu woziła dużą strzykawkę, której - jak się okazało - używała do oliwienia czegoś w samochodzie, ja natomiast ze strachu ubzdurałam sobie, że pewnie jest narkomanką. Teraz mnie to śmieszy, ale wtedy było przerażające. Moja matka próbowała organizować nam jakieś wspólne wyjazdy, weekendy, wyjścia do parku, żebyśmy się poznały. Ale absolutnie nie tłumaczyła mi, o co w tym wszystkim chodzi. W naszym nowym mieszkaniu były dwa pokoje. Ja spałam z mamą w jednym, a „ta kobieta” (czyli Magda) dostała drugi, do którego ja w ogóle nie wchodziłam.

Z czasem przyzwyczaiałam się do tej sytuacji. Nie wiem, czy to ja wpoilałam sobie oficjalną wersję wydarzeń, czy została mi wpojona, w każdym razie brzmiała tak: mieszkam z dwiema kobietami, ponieważ moja mama chciała zacząć swoje życie, wynieść się od dziadków (zawsze kłóciła się z babcią), a że nie było jej stać na samodzielne utrzymanie (niska pensja, jeszcze niższe alimenty), postanowiła zamieszkać z przyjaciółką. Taka historyjka. Bardzo chciałam w nią wierzyć i naprawdę uwierzyłam.

Jakiś czas później przeprowadziłyśmy się do mieszkania, które moi dziadkowie kupili dla matki. Dopiero dużo później dowiedziałam się, że nasza ucieczka od dziadków nastąpiła w czasie, kiedy to mieszkanie było w trakcie budowy. Mama ogłosiła im wówczas, że chce się tam wprowadzić z kobietą, w dodatku babcia znalazła jakieś listy, które one między sobą wymieniały, i doszło do potwornej awantury. To właśnie spowodowało, że nie czekałyśmy kolejne pół roku czy rok (aż nowe mieszkanie będzie wykończone), tylko nastąpiła gwałtowna akcja desantowa.

Dziadkowie nigdy nie zaakceptowali tej sytuacji. Byli nią bardzo obrażeni i kiedy na przykład kupili nam kuchenkę, to „ta kobieta” nie mogła być obecna przy montażu, tylko musiała cały czas przemykać po kątach, żeby nie doszło do spotkania. Jak byłam odwożona na weekend do dziadków, nigdy mnie o nią nie pytali. To był temat tabu. Czułam się bardzo dziwnie: z jednej strony dziadkowie, którzy udają, że nic nie wiedzą, z drugiej strony dwie kobiety w domu, z których jedna (moja matka) często się denerwowała i niczego mi nie tłumaczyła, a druga

prawie ze mną nie rozmawiała.

Potem wyrosłam, w wieku 11-12 lat zaakceptowałam nowy dom, zmieniłam szkołę, zaczęłam wszystko od nowa. I przestałam się zastanawiać. Podejrzewam, że zepchnęłam wszystkie niewiadome gdzieś głęboko, żeby przestały mnie dręczyć. Z czasem polubiłam ciotkę (czyli moją drugą matkę), natomiast absolutnie nie zdawałam sobie sprawy, kim jest naprawdę dla mojej matki rodzonej. Nigdy nie byłam świadkiem tego, żeby one się pocałowały czy przytuliły. Przerazające - ja nie umiałabym przez 10 lat ukrywać się we własnym domu, dla mnie to jest chore. Podobno to Magda nalegała, aby utrzymać taki stan rzeczy. Nie chciała, żebym ja wiedziała o ich związku. Ale ja - w momencie, kiedy zaakceptowałam sytuację w domu - ani ich nie szpiegowałam, ani za nimi nie chodziłam. Nawet nie interesował mnie rodzaj ich relacji, może raz przemknęło mi przez myśl, że są parą.

Najciekawszy moment nastąpił, gdy w wieku około 14 lat zakochałam się... w dziewczynie. Najpierw czułam, że mój stosunek do tej koleżanki jest szczególny, a po głębszej analizie swoich uczuć po prostu się załamalam. Dla mnie wtedy to nie było normalne. Słowo, którego nie nawidzę: norma. Wtedy właśnie poczułam się błyskawicznie umieszczona poza normą. Mimo, że w podstawówce miałam jakichś tam chłopaków.

Borykałam się z tym samotnie mniej więcej rok. Aż któregoś dnia obudziłam się i stwierdziłam: taka właśnie jestem i koniec. Akceptuję to. A jeśli inni nie akceptują - trudno.

To było jeszcze dość dziecinne i naiwne, ale naprawdę poczułam, że taka jestem, że nie mam się w związku z tym czego wyrzekać ani czym martwić. Mamie nie chciałam o niczym mówić. Niewiele wiedziała, ale czuła, że coś jest nie tak. Odkryłam, że przeszukuje moje rzeczy. Spodziewała się chyba, że ja mam większe tajemnice niż te, które one usiłują przede mną ukryć. Przeniosłam się ze swoimi pamiętnikami z papieru na komputer, ale nie uchroniło mnie to przed jej ciekawością.

W tym czasie nie tylko moja matka zaczęła coś podejrzewać, ale, co ciekawe, ja zaczęłam myśleć o mojej ciotce, że jest lesbijką. Chyba głównie na podstawie uważnego przeglądania jej książek - zawsze byłam książkożadem, a ona dużo czytała. Nasze stosunki, od czasów fantazji na temat strzykawki, całkowicie się zmieniły, oczywiście na lepsze. Najpierw przeszłam fazę obojętności, a potem zaczęłyśmy gadać, bo okazało się, że mamy podobne zainteresowania. Zaczęło się właśnie od książek. W wieku dziecięcym nie interesowały mnie lektury

typu *Ania z Zielonego Wzgórza* czy podobne rzeczy, uznawałam je za nudne i żalosne. A Magda podsunęła mi horrory. Po paru latach te horrory zmieniły się w książki feministyczne, jak też inne - z wątkami lesbijskimi. Tak więc czytałam sobie i te właśnie wątki zwracały moją szczególną uwagę. Po jakimś czasie byłam prawie pewna: Magda musi być lesbijką. Natomiast absolutnie nie myślałam w ten sposób o mojej matce! Do tej pory trudno tak o niej myśleć patrząc na jej zachowanie, na to co mówi, jak się wystawia, co myśli. Wygląda na typowo heteroseksualną kobietę.

W każdym razie wtedy zaczęłam powoli szukać kontaktów z lesbijkami. Przede wszystkim przez Internet (było to w czasach, kiedy moja mama na hasło „Internet” robiła wielkie oczy, mówiąc, że nie będziemy miały czegoś podobnego, bo to niepotrzebne). Obok naszego bloku była kafejka internetowa, zaczęłam tam chodzić. Zobaczyłam, że koledzy wchodzą na czat, i robiłam to samo. I tak zaczęłam poznawać różne osoby, chociaż czat zdecydowanie nie jest dobrym miejscem dla młodych ludzi, uświadomiłam to sobie dość szybko. Wyłowienie pośród całej tej anonimowej bandy jednej normalnej osoby graniczy z cudem.

Udało mi się jednak na czacie poznać fajną dziewczynę w moim wieku, zaczęłyśmy sobie rozmawiać, wysyłać swoje zdjęcia i jakoś nawiązałyśmy nić porozumienia. Miałam wtedy jakieś 16-17 lat.

Którejś nocy siedziałam i stukałam w domu maile, które następnego dnia miałam wysłać z kafejki. I właśnie dyskietka, na której je zapisałam, zdradziła mnie. Zawsze leżała między innymi dyskietkami, aż któregoś dnia, spiesząc się gdzieś, zostawiłam ją na środku biurka. Kiedy wróciłam, wydawało mi się że zmieniła położenie, ale uznałam, że mam paranoję. Następnego dnia mama usiadła na moim łóżku i zaczęła się na mnie przenikliwie patrzeć. Zapytała: „Czy chcesz ze mną o czymś porozmawiać?” Zaprzeczyłam, ale ona nie dała za wygraną. W końcu usłyszałam: „Czy wiesz, że my z Magdą jesteśmy razem?”

Najpierw pomyślałam: „To jakiś żart!”, dopiero potem: „Wiedziałam przez cały czas”. Po drodze jakoś pokrętnie to sobie wywracałam, w stylu: „Magda jest lesbijką, moja matka nie”. Tak, kiedy mi to powiedziała, czułam że wiedziałam zawsze. Mimo, że nie miałam żadnych namacalnych „dowodów”, nie widziałam jakichkolwiek objawów czułości między nimi, mimo, że spały w osobnych łóżkach. Odpowiedziałam jej więc: „Oczywiście, że wiedziałam”. Wtedy dopiero zapytała: „Czy ty też...?” Musiałam wyznać prawdę.

Nie oberwało mi się za to, nic z tych rzeczy, natomiast mama była

szczerze załamana. Rzeczą, jakiej nie potrafię jej wybaczyć, jest to, że ONA nie może wybaczyć sobie. Cały czas bierze na siebie winę za to, że i ja jestem homoseksualna. Nie dociera do niej, że jedna osoba na ileś przypadków taka się rodzi, i już. Ani to, że nie ma w tym niczego złego. Ona jest przekonana, że to jej WINA. I żadne badania naukowe, żadne moje zapewnienia nic nie dają.

Odkąd zaczęłam być świadoma tego, co się dzieje w naszym życiu, zawsze drażniła mnie obłuda. Irytowało mnie nie tylko to, że matka wymyślała historyjki, ale że i ja musiałam bajerować. Niby drobne rzeczy, a uzbierała się we mnie góra goryczy. W miarę, jak dorastałam i buntowałam się, zaczęło mnie to potwornie złościć. Trudno mi było szanować moją mamę, bo widziałam, jak ona cały czas się prześlizguje, kłamie, wykręca. Kiedy zapraszałam bliższe koleżanki ze szkoły do domu, w powietrzu zwykle wisiło pytanie: gdzie jest mój ojciec? Fakt, że mieszkała ze mną i z matką jakaś druga kobieta, wydawał się im trochę dziwny i oczywiście pytały, kto to jest. Wyjaśnienia ograniczałam do minimum, mówiąc, że jest moją ciotką. Czułam, że muszę się jakoś tłumaczyć. Było we mnie irracjonalne poczucie winy, cały czas musiałam kręcić, chociaż właściwie nie kłamałam.

Nie wiem, czy byłoby prościej, gdybym znała prawdę dużo wcześniej. I tak byłabym uwikłana w obłudę, którą zbudowała w dobrej wierze moja mama, może czułabym się jeszcze podlej. Okłamywanie na pewno nie jest dobrym pomysłem. Wiem, że gdybym w przyszłości miała dziecko ze swoją partnerką, żyłabym otwarcie.

Dla otoczenia związek mamy z Magdą jest tajemnicą poliszynela - wszyscy wiedzą, ale oficjalnie to nie jest potwierdzone. Raz są postrzegane jako siostry, innym razem jako przyjaciółki. Kiedyś chodziły do klubów, na dyskoteki, miały znajomych z tak zwanej „branży”. Teraz już nie bardzo. Żyją sobie w bezpiecznej szafie. Nadal śpią w oddzielnych łóżkach, może z taką różnicą, że całują się po powrocie z pracy, powiedzą sobie czasami „kocham cię”, obejmą się. Zachowują się trochę jak nastolatki przyłapane przez dorosłego. Odkąd moja matka wyjawiała mi prawdę, między nimi niewiele się zmieniło, natomiast moje stosunki z Magdą są teraz bardzo koleżeńskie. Gdyby patrzeć bardziej stereotypowo, ona pełniła jakby rolę ojca w naszym domu. Jest spokojna, opanowana, wystarczy jedno słowo i jej słucham. Mama jest zupełnym przeciwieństwem Magdy, na wszystko reaguje bardzo emocjonalnie. Ogień i woda. Magdę zawsze bardzo szanowałam. Jeśli coś mówiła, odbierałam to znacznie bardziej pozytywnie, niż te same słowa wypowiedziane przez moją matkę. Jest feministką, interesują ją

różne sprawy genderowe, imponuje mi. Ja sama zaangażowałam się w działalność Kampanii Przeciw Homofobii, często słyszę od swoich znajomych stamtąd, którzy znają moją domową sytuację: „Ale ty musisz mieć fajnie!” A właśnie wcale nie jest cukierkowo. Moja mama, nie akceptując siebie, jest przeciwna wszelkim formom „afiszowania się”, w tym działaniu w różnych organizacjach na rzecz praw osób homoseksualnych. Ja rozumiem, że chce mnie chronić, i nawet wiem, przed czym, bo świat nie jest przyjazny dla ludzi takich jak ja, a zwłaszcza takich, którzy nie siedzą biernie i próbują coś robić. Ale z drugiej strony powinna mi pozwolić na robienie tego, co uważam za słuszne. Boli mnie jej brak zrozumienia dla faktu, że KPH jest moją pasją, że się w tym odnalazłam. Tymczasem ona twierdzi, że zajmuję się pierdołami i nie mam w związku z tym czasu na spotkania z rodziną. Jest osobą, z którą dyskutować się nie da. Kiedy brakuje jej argumentów, mówi: „Bo tak”, „Bo jestem twoją matką”. Czasami mam ochotę podejść i spytać wprost: „Czy dlatego, że się boisz i jesteś bierna, ja też mam taka być?”

Teraz są inne czasy, mój styl życia nigdy nie będzie taki jak jej. Ale niezależnie od tego, że inaczej sama bym to wszystko poukładała, ogromnie ją kocham i chcę, żeby wiedziała, jak wiele dla mnie znaczy.

Nasze dzieci

Ewelina ma 29 lat, Ewa 40. Mieszkają razem, wychowują wspólnie dwójkę nastoletnich dzieci, których biologiczną mamą jest Ewa. Ale nie tylko we własnym domu pełnią rolę rodziców. Prowadzą w Łodzi knajpę dla lesbijek, która dla wielu młodych dziewczyn stała się najbezpieczniejszym miejscem na ziemi. Miejscem, w którym można znaleźć pomoc w krytycznej sytuacji.

Anna Laszuk: *Mijają 2 lata od momentu, kiedy założyłyście knajpę. Myślałyście o tym, że stanie się ona azylem dla wielu kobiet, a wy - niemal rodziną zastępczą?*

Ewa: Nie myślałyśmy, ale to jest bardzo fajne!

Ewelina: Początek był taki, że nie chciało nam się chodzić do innych klubów, na przykład typowo gejowskich, gdzie dziewczyny bywają gorzej traktowane. A w Łodzi nie było knajpy przeznaczonej tylko dla kobiet, doszłyśmy więc do wniosku, że wypadałoby taką otworzyć.

Ewa: Jedyne knajpy „branżowe” w Łodzi to praktycznie dyskoteki, nie bardzo można tam porozmawiać. Nasza jest bardziej klubowa.

A.L.: *Otworzenie lokalu było trudne pod względem finansowym, formalnym?*

Ewa: Cały klub zrobiłyśmy same, łącznie z malowaniem i wylewaniem podłóg. Zajęło nam to trzy miesiące. Ten lokal był piwnicą po starej pralni, kompletną ruiną. Burzyłyśmy ściany, dostawiałyśmy nowe, zrobiłyśmy barek. Jest tu bilard, Internet.

Ewelina: Nawet nie potrzebowałyśmy tak strasznie dużo pieniędzy. Byłam kiedyś barmanką i pamiętam, ile pieniędzy mój szef wydawał na lokal. Chciałam wziąć kredyt, ale argumentem przeciwko przyznaniu mi go okazał się fakt, iż nie mam męża. Pani w banku zasugerowała, że powinnam wyjść za mąż, bo wtedy wiarygodność człowieka wzrasta.

A.L.: *Wydawało mi się, że jeśli człowiek ma zdolność kredytową, to niepotrzebny mu dodatkowo mąż?*

Ewelina: Zdolność miałam, ale brakowało tak zwanej wiarygodności pod tytułem mąż, ustatkowanie, a w ogóle - zdaniem tej pani - powinnam jeszcze mieć dzieci. Poradziłyśmy sobie bez kredytu.

A.L.: *Podobno kobiety są dużo mniej opłacalną klientelą knajp niż mężczyźni, nie kupują tyle alkoholu. Liczyłyście, że lokal stanie się wa-*

szym podstawowym źródłem zarobku?

Ewelina: No, raczej nie myślałyśmy o nim w kategoriach działalności charytatywnej.

A.L.: *Ale po części uprawiacie taką działalność, bo dużo dziewczyn przychodzi tu, żeby znaleźć wsparcie, pogadać.*

Ewa: Chłopaki też do nas przychodzą, bo tutaj właśnie mogą porozmawiać. Ale nie musi to się odbywać przy pustym stoliku. Na początku, jak już się trochę rozniosło, że powstała ta knajpa, odprawialiśmy gejów czy przypadkowych gości, bo miał to być lokal wyłącznie dla lesbijek. Chciałyśmy, żeby dziewczyny się komfortowo poczuły, żeby miały swoje miejsce.

Ewelina: Lesbijek w Łodzi jest dużo, gdyby one wszystkie przychodziły tylko do nas, to pewnie by się nawet nie pomieściły. Ale jest mnóstwo przyczyn, dla których dziewczyny rzadziej bywają w knajpach. Między innymi brak integracji, zamykanie się we własnych czterech ścianach. Dziewczyny, jak już znajdują sobie tę wymarzoną partnerkę, często żyją jak kury domowe, nie wychodząc w ogóle do świata. Szczególnie widać to wśród starszych kobiet. Teraz jesteśmy więc otwarte na wszystkich, z tym, że się nie reklamujemy, czyli unikamy przypadkowych osób. Mamy też założony dzwonek. Przychodzą po prostu ci, którzy o knajpie wiedzą.

Ewa: Nie widać jej z ulicy, jest położona w podwórku. Z reguły stali bywalcy przyprowadzają nową osobę, i tak ludzie się o nas dowiadują. Zaczęli też do nas przychodzić aktorzy z pobliskiego teatru.

Ewelina: Przez długi czas nie chcieli się narzucać, bo wiedzieli, że to jest knajpa dla lesbijek, szanowali to. Teraz jesteśmy zaprzyjaźnieni.

Ewa: Zdarzały się i takie epizody, jak ten: zadzwoniła pewna pani, powiedziała, że jest biseksualna, ma męża i zapytała, czy może przyjść. Powiedziałam, że chyba niekoniecznie.

Ewelina: To już zupełnie inny problem, z serii „heteroseksualne pary szukają dziewczyn”. W rozmaitych dyskotekach na przykład to jest nagminne zjawisko: wyrywanie dziewczyn do trójkąta. U nas tego nie ma i nie będzie. Nie ma u nas ćpania, nie ma wnoszenia alkoholu. Po prostu nie ma tego tematu.

A.L.: *To wasza knajpa zaprzecza stereotypowi mrocznego, podejrzanego miejsca, gdzie się dzieją dziwne, szemrane rzeczy. W niektórych środowiskach funkcjonuje taki stereotyp.*

Ewa: Na pewno zaprzecza. Zresztą, ta kwestia „dziwnych rzeczy, które się dzieją”, nie ma związku z orientacją seksualną ludzi, którzy przychodzą do lokalu, bo pewnie miałaś na myśli stereotyp „branżowej” knajpy.

Ewelina: Pamiętam, jak sama poszłam pierwszy raz do takiej dyskoteki, będąc jeszcze „hetero”. Zaprowadziła mnie tam koleżanka ze studiów. W pierwszym momencie myślałam, że to jakieś prywatne mieszkanie, bo kiedy podeszliśmy pod drzwi, nacisnęła dzwonek. Nawet nie wiedziałam, jakiego rodzaju to jest lokal. Dopiero jak poszła po piwo, a ja zostałam sama przy stoliku, zaczęłam się rozglądać i domyśliłam się, gdzie jestem. I było w porządku, chyba nigdy w życiu się tak dobrze nie bawiłam. Przede wszystkim nigdy wcześniej nie byłam na imprezie, na której żaden facet by się do mnie nie przystawiał, nie ciągnąłby mnie za rękę na parkiet. Poprosiła mnie do tańca jedna dziewczyna, powiedziałam OK. Ja akurat pochodzę z takich stron, gdzie nikt się nie dziwi, kiedy dziewczyny sobie razem tańczą. Ona wprawdzie chciała czegoś więcej, ale wytłumaczyłam jej, że przyszłam na dyskotekę po prostu się pobawić, i nie było żadnego problemu. Gdybym powiedziała facetowi: „Sorry, ale nie”, tak łatwo by nie zrozumiał.

A.L.: *W jakim wieku są kobiety, które stale u was bywają?*

Ewa: Różnie, ale w większości to młode dziewczyny. Jest grupa takich, którym dosłownie matkujemy, do Eweliny mówią „mamo”, a do mnie „tato”. Takim pierwszym naszym dzieckiem była Agnieszka. Mieszka teraz w hostelu, chodzi do szkoły, ale wcześniej to był dramat - mama wysłała ją do szpitala psychiatrycznego właśnie ze względu na orientację seksualną, przebywała tam jakiś czas. Szczerze mówiąc, jak ja ją poznałam 3 czy 4 lata temu, to nie powiedziałabym, że dziewczyna wymaga leczenia. To jest najnormalniejsze dziecko na świecie. Dopiero jak zaczyna o sobie opowiadać, to nie ma się co dziwić, że bzikowała.

Ewelina: Przez jakiś nie wiedziałyśmy, co się z nią dzieje. Potem okazało się, że była ponad pół roku w tym szpitalu, miała kilka prób samobójczych, które zresztą były efektem nieszczęsnego „leczenia”, a nie odwrotnie. Teraz, w hostelu, jest jej bardzo dobrze, wcale nie chce wracać do mamy. Odwiedza ją tylko do czasu do czasu. I to było nasze pierwsze dziecko. Agnieszka w ogóle nie chodziła do szkoły, o czym wiedziałyśmy dzięki naszej koleżance, która jest tam sekretarką. Ale i tak za każdym razem, kiedy wagarowała, to nam o tym mówiła. Traktowała nas jak swoich rodziców. Od tamtej pory grono „naszych dzieci” się powiększyło.

Ewa: W końcu założyliśmy stowarzyszenie, żeby ta pomoc miała formalnie ręce i nogi. Wiadomo, grupa zorganizowana stwarza więcej możliwości. Poza tym to nie jest takie hop-siup, że zbuntowana nastolatka przychodzi do nas, a my jej mówimy: „O, jak fajnie, że jesteś lesbijką i chcesz uciec z domu”. Ja rozumiem przypadki tragiczne, natomiast nasze działania nie polegają na prowokowaniu przypadków.

Ewa: Zdarzyło się, że jedna szesnastoletnia dziewczynka nas okradła, więc wszystkie pozostałe wszczęły akcję szukania jej po całym mieście, bo przecież okradła „rodziców”! Początek historii był taki, że ona chciała do tej grupy przynależeć. Któregoś pięknego dnia pojawiła się tu o 24.00 i zameldowała, że uciekła z domu. A ja się spytałam: „I co, medal za to chcesz?” Dziecko miało rodziców dość normalnych i uznaliśmy, że jej miejsce jest w domu. I w szkole. Jak zobaczyła, że u nas nic nie wskóra, to sięgnęła sobie za bar, do kasetki, i poszła.

Ewelina: Jak już się odnalazła (byłyśmy w stałym kontakcie z jej rodzicami, do których wróciła na jakiś czas, bo pieniądze szybko się skończyły), poszła do innego lokalu. Niestety, dziewczyna do dzisiaj jest na ucieczkach, nierzadko znajdowałyśmy ją szybciej niż policja.

Ewa: Kiedy oznajmiła rodzicom, że jest lesbijką, poszli razem z nią do psychologa. Nie po to, żeby ją leczyć, tylko żeby się zorientować, o co w tym chodzi, czym jest homoseksualizm. Matka powiedziała, że tego nie zaakceptuje, ojciec starał się zrozumieć, i chodzili tam razem przez jakiś czas, jako rodzina. Tłumaczyłam rodzicom, że jej wyczyny nie są kwestią tego, że ona jest lesbijką. Różne dzieci uciekają z domu, różne dzieci kradną. Oni akurat wszystko, co ona wyprawia, tłumaczą sobie lesbijstwem i środowiskiem. Tym niemniej dziewczynka przez środowisko też jest odrzucana, bo w tej chwili prowadzi się z dwoma chłopakami, jeżdżą po Polsce i po prostu okradają ludzi w knajpach.

Ewelina: Poznałyśmy rodziców wielu naszych dzieci. Jednej mamie na przykład obiecałyśmy, że jej córka nie wypije tu na sylwestra więcej niż lampkę szampana. Mamę innej dziewczyny, która wyjechała do Danii zarobić pieniądze, nawet odwiedzałyśmy w szpitalu, bo nas o to prosiła. Rodzice są spokojni, jeśli wiedzą, że ich dzieci nie włóczą się po mieście, że są pod jakąś opieką, bo na przykład nikt się tutaj nie upija. Nie szkodzi, że często te „dzieci” są pełnoletnie.

Ewa: Nawet jeżeli dopiero co stały się pełnoletnie, potrzebują kogoś, kto im powie: tak masz robić, a tak masz nie robić. Przychodzą na przykład do Eweliny i mówią: „Mama, nakrzyycz na mnie”. Czasami potrzebują tego. U nas działa jedna podstawowa zasada, taka mianowicie, że

błąd nie przekreśla. Im się wydawało, że jeśli zrobiły coś złego, to już są skreślone. Musiałyśmy im długo tłumaczyć, że każdy ma prawo do błędu, pytanie tylko, co robi dalej.

A.L.: Często się zdarza, że „dalej” wcale nie jest lepiej?

Ewelina: Nieczęsto, ale zdarza się. Mieszkały u nas przez pół roku dwie dziewczyny, oczywiście nie ponosząc żadnych kosztów. Przez te 6 miesięcy nawet nie znalazły sobie pracy. Jedna z nich miała możliwość powrotu do domu, druga niestety nie. Ta druga właśnie nie rozumiała tego, że te pół roku jest dla niej szansą, że może odłożyć jakieś pieniądze i normalnie żyć. Ale ona tego nie rozumiała, więc któregoś dnia powiedziałyśmy, że muszą się wyprowadzić, po prostu. Mieszkała potem kątem w różnych miejscach, kiedyś przyszła do mnie i zapytała, czy dam jej 5 zł. Spytałam, co robi z tak zawrotną sumą. Powiedziała, że potrzebuje na papierosy. Wiemy, że usłyszała od dziewczyn parę słów, po których ją olśniło, i rozumiała, że coś z tym życiem trzeba zrobić. Ona miała w domu duże problemy z rodzicami, którzy są po rozwodzie, do tego walczyła z nimi w sądzie o alimenty, i chyba nie tylko o to. Zbliżały się na przykład święta Bożego Narodzenia. Ona strasznie nie lubiła Świąt, więc zapytałam, czy miała jakieś święta kiedykolwiek. I wtedy się poryczała. Żal mi jej, nie była rozpieszczana przez życie, ale nie jest tak, że my ją nagle uratujemy bez żadnego wysiłku z jej strony.

Ewa: Podejmujemy różne działania, żeby dziewczyny nauczyły się normalnego życia, wychodzenia do ludzi. Jednym to przychodzi łatwiej, innym trudniej.

A.L.: Z tego, co mówicie wynika, że najtrudniej jest tym, które nie są akceptowane przez rodziców.

Ewelina: Pewnie, że podstawą jest dom. Kiedy zamykają się w sobie, bo nie mają akceptacji w domu, wtedy przestają sobie radzić w szkole. Jak przestają chodzić do szkoły, zwykle uciekają z domu i w końcu zostają bez środków do życia. Gdyby rodzice nie robili afery słysząc od córki: „Jestem lesbijką”, w niejednym przypadku można by uniknąć dramatów. Młoda jest, poznała koleżankę, coś tam się między nimi zadziało, można podejść do tego spokojnie: poczekamy - zobaczymy. W ich wieku wszystko się może zdarzyć, nawet wcale nie jest pewne, czy zawsze będzie czuła się lesbijką, życie różnie się przecież układa. Robienie jej piekła w domu, w miejscu, w którym powinno być najbezpieczniej, powoduje jak najgorsze skutki.

A.L.: *Wy w ich wieku czułyście się lesbijkami?*

Ewa: Jak wiesz, jestem po rozwodzie, mam dwoje dzieci, więc nie bardzo.

Ewelina: Ja wcześniej uważałam się za heteroseksualną. Ale pod koniec studiów zorientowałam się, że kobiety nie są mi obojętne, co przyjąłam zupełnie naturalnie. Nie czułam potrzeby dzielenia się tym na przykład z rodzicami. No, ale jak zaczęliśmy z Ewą żyć razem, przyszedł czas, że trzeba było im coś powiedzieć. Najpierw wymyśliłam wersję oficjalną, że wynajmuję pokój w Łodzi u takiej kobitki, która ma dwoje dzieci. Po roku poznali Ewę na wakacjach, pojechaliśmy też razem do moich dziadków, i wszyscy ją bardzo polubili.

Ewa: I pytali, czy żaden kandydat na męża się przy tobie nie kręci. Wiedzieli również, że zakładamy razem knajpę, ale widać było, że niczego się nie domyślają.

Ewelina: Ostatecznie powiedziałam mamie w czym rzecz przez telefon. Akurat miałyśmy się przeprowadzić do domku jednorodzinnego (co zresztą nie doszło do skutku) i mówię: „Wiesz, jest taki fajny domek, przeprowadzamy się tam z Ewą i z dziećmi”. Na to mama: „Jak to z Ewą i z dziećmi?” Mówię więc: „No tak, chyba wiesz o co mi chodzi?” Nie wiedziała. Kiedy do niej dotarło, że jesteśmy razem, nie mogła się nadziwić jak to się stało, skoro miałam kiedyś chłopaków i, jak to wyraziła, „byłam normalna”. Opowiedziałam jej, że zawsze czegoś mi z tymi facetami brakowało, związki z nimi były przelotne, krótkie, że dopiero teraz czuję się na właściwym miejscu. Ale mama nie od razu to zrozumiała i nie od razu zaakceptowała. Na początku chciała, żebym przyjeżdżała do domu tylko sama. Nie mogłam się zgodzić na taki warunek. Powiedziałam, że dla mnie moje życie nie jest problemem, więc albo będę przyjeżdżała z Ewą, albo wcale. Kiedy otworzyliśmy knajpę, rodzice pytali zawsze tylko o moje sprawy, nie o nasze. Ale później poznali mamę Ewy, naszych znajomych. Łatwiej im przyszło zaakceptować nasz związek ze świadomością, że inni go akceptują.

A.L.: *Ewa, a jak twoje własne dzieci przyjęły, że mama jest lesbijką?*

Ewa: Dla nich problemem było to, że rodzice się rozwodzą. To przeżyły mocno. Jak również wszystko, co wyprawiał ich tatuś. Swego czasu naopowiadał im niestworzonych historii, kim to są homoseksualiści. Ta agresja w pewnym momencie wydawała mi się naprawdę groźna, przeszłam przez to z dziećmi dzięki naszemu wzajemnemu zaufaniu. Moja

i ich miłość była silniejsza niż to, co on i jego rodzina próbowali wbić im w głowę, używając przy tym niewybrednych słów. Założył mi sprawę w sądzie o pozbawienie praw rodzicielskich ze względu na orientację seksualną. I sąd przyjął pozew, chociaż kodeks tego nie przewiduje, bo homoseksualizm nie jest dewiacją. Mój ówczesny mąż miał znajomą panią adwokat i to się odbywało taką drogą, o której ja nawet nie chcę mówić. W każdym razie nie chodziło o homofobię sądu, tylko o pieniądze. Byłam z dziećmiakami trzy razy na badaniach w ośrodku przysądowym, za każdym razem stwierdzano, że jestem normalną mamusią, dzieci są normalnymi dziećmi, a moja orientacja seksualna nie wpływa negatywnie na ich rozwój. To się ciągnęło ładne parę lat.

A.L.: *Dzieci mają teraz 12-13 lat. Nie dziwią się, że prowadzicie taką knajpę, że jakieś dziewczyny mówią do ciebie „tato”?*

Ewa: Kiedyś się dziwiły. Przyznaję, to dość nietypowe, że tyle osób mówi do mnie „tato”, zwłaszcza kiedy jestem mamą! Tym niemniej teraz świetnie się w tym odnajdują. A jeżeli cokolwiek je dziwi, pytają. Na przykład znają Beatrycze, który jest drag queen i występuje na scenie w damskich ciuszkach, więc zapytały go: „A dlaczego się przebierasz?” Opowiedział im dlaczego, chciały potem zobaczyć go na scenie.

Moim zdaniem, jeśli żyjesz normalnie, masz dobre kontakty z ludźmi, to jesteś traktowana normalnie. Przynajmniej takie są moje doświadczenia. Poza moim byłym mężem i jego rodziną nikt nie atakował mnie z powodu mojej orientacji. W szkole działałam w Komitecie Rodzicielskim, wszyscy tam wiedzieli, kim jestem, z kim mieszkam. Począwszy od pań woźnych, które mnie lubiły z wzajemnością, skończywszy na dyrektorze czy rodzicach. Dzieci dorastają, mają swój świat, swoje sprawy, nie absorbują ich tak bardzo nasze, dorosłe. Ani nasza knajpa, chyba że chcą sobie w niej wyprawić urodziny. Mój trzynastoletni syn ma już dziewczynę, podrywa panienki, należy do grupy sportowej, ma kumpli, rośnie na typowego faceta.

Ewelina: A Dzidka zaczyna już ode mnie pożyczać ciuchy, chociaż jest wyższa i szczuplejsza. Dzieci przyprowadzają do domu koleżanki, kolegów, nie ma żadnego problemu.

A.L.: *Co was najbardziej boli w stereotypowym myśleniu o lesbijkach?*

Ewa: Takie myślenie, że nie jesteśmy ludźmi, którzy pracują, którzy muszą wyrzucić śmieci czy ugotować obiad, opłacić mieszkanie, którzy normalnie żyją, którzy z powodzeniem wychowują razem dzieci.

Ewelina: Sam termin „homoseksualizm” sugeruje, że patrzy się na osobę przez pryzmat seksu, pojawia się w głowie egzotyczny obrazek homoseksualistów, którzy nic innego nie robią, tylko leżą sobie w łóżeczkach i wyprawiają tam cuda. Ale ja myślę tak samo, jak Ewa: jeżeli ludzie naokoło wiedzą kim jesteś, znają cię, widzą, że prowadzisz normalne życie, to stereotypy się kruszą, przynajmniej w najbliższym otoczeniu.

Rodzina też polska

Marta (29 lat) i Ania (34 lata) są parą od 6 lat, matkami - od ponad roku. Jaś (14 miesięcy) przechodzi etap warzywnych papek i raczkowania, szczegóły jego rozwoju oglądam w barwnym albumie pt. Wielka Księga Maleństwa. Podczas naszej rozmowy bawi się na dywanie swoimi pluszakami (usiłując co jakiś czas dosięgnąć talerza z ciastkami w czekoladzie i mojego dyktafonu).

Niedługo dziewczyny przeniosą się z wielkowiejskiego blokowiska do własnego domu na wsi, gdzie wszyscy (z kotami - Cipasem i Babusiem - na czele) zyskają więcej życiowej przestrzeni. Przeprowadzka wywołuje tremę, bo nie wiadomo, na ile polska wieś okaże się tolerancyjna dla również polskiej, ale nietypowej rodziny.

Anna Laszuk: *Która z was jest biologiczną mamą Jasia?*

Ania: Marta. Ma bardzo silny instynkt macierzyński, chyba silniejszy niż ja, a poza tym jest młodsza. Byłyśmy parą 4-5 lat, zanim pomyślałyśmy o dziecku. Jak już przeszłyśmy pomyślnie pierwsze burze i kłótnie, ustatkowałyśmy się i poczułyśmy, że to związek na zawsze, dopiero wtedy przyszła myśl o rodzinie.

Marta: Zanim Jaś pojawił się na świecie, zastanawiałyśmy się, czy powinien mieć kontakt z biologicznym ojcem. Znamy dwie takie pary kobiet, które wybrały na ojca dziecka zaprzyjaźnionego geja. Jednak stwierdziłyśmy, że to może być w przyszłości bardzo skomplikowane pod względem wzajemnych relacji. Nie chciałyśmy, żeby potem cały tłum ludzi podejmował ważne dla nas decyzje, bo przyjaciel-gej i jego partner pewnie by chcieli z nami i dzieckiem tworzyć rodzinę.

Ania: Bałyśmy się takiego zbyt skomplikowanego układu. Gdyby pary homoseksualne mogły w naszym kraju adoptować dzieci, wszystko byłoby prostsze.

Marta: Ale nie mogą i szybko się to nie zmienia. Pomyślałyśmy więc o sztucznym zapłodnieniu i klinice. To jest rozwiązanie dostępne dla samotnych kobiet, nikt nie wnikał, jaka jest nasza orientacja seksualna.

A.L.: *Jak wygląda taka procedura w klinice?*

Marta: Właściwie bardzo prosto. Wiesz, my nie bardzo lubimy rozmawiać na ten temat, bo te wszystkie rozmowy, planowanie, wybieranie dawcy nasienia, brzmi tak okropnie sztucznie i bezdusznie. A my przede wszystkim bardzo pragnęłyśmy dziecka, jako para. Pewnie jak

większość par. To jest ważniejsze niż wszystkie procedury razem wzięte.

A.L.: *Powiedzcie w takim razie, czy taki zabieg jest kosztowny? Czy przeciętna para może sobie na niego pozwolić?*

Ania: To zależy od konkretnego przypadku, ale powiedzmy, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, to 4 czy 5 tysięcy złotych wystarczy.

A.L.: *Hmm, pewnie dla jednych to stosunkowo mało, dla innych dużo. W każdym razie, z tego, co mówicie, wynika, że wszystko razem wydaje się technicznie, że tak powiem, dość proste.*

Ania: Nie zawsze jest takie proste. Znamy parę dziewczyn, które ujawniły w klinice, że są lesbijkami i miały przez to kłopoty. Lekarz zmienił zdanie dopiero wtedy, gdy jedna z dziewczyn (bardzo zależało im obu na dziecku) powiedziała: „Co mam zrobić? Przespać się z przypadkowym facetem, który zarazi mnie HIV-em?!”

Marta: Bywa różnie, ale prawda jest taka, że pieniądze pomagają pokonać bariery. W ostateczności można wyjechać za granicę. A w Polsce warto najpierw zrobić wywiad wśród znajomych par.

Ania: Poza tym, zanim Jaś się urodził, czytałyśmy dużo literatury amerykańskiej. Nie tyle o tym, jak zrobić dziecko, ale o tym, co potem. Jak postępować z otoczeniem, jak sobie radzić z informowaniem dziecka o naszej sytuacji. W cytowanych tam badaniach nad rodzinami homoseksualnymi nie było żadnych ostrzeżeń, że na przykład homoseksualni rodzice stanowią problem dla własnych dzieci. Uspokoilo nas to.

A.L.: *Istnieje jakakolwiek polska literatura na ten temat?*

Ania: Skąd! Można najwyżej skorzystać ze strony internetowej dla przyszłych rodziców o orientacji homoseksualnej, albo takich, które (albo którzy) mają już dzieci. Można na tym forum otrzymać naprawdę duże wsparcie.

Marta: Wiele tych par poznałyśmy osobiście. Chciałyśmy mieć kontakt z osobami, które są w podobnej sytuacji. Też ze względu na Jasia, żeby kiedyś nie myślał: „Jestem jedyny taki na świecie”. Nasze znajome lesbijki-matki mają dzieci są w różnym wieku. Całkiem malutkie, kilkuletnie, i już dorastające. Zresztą to nie jest jedyna strona dla matek, z której korzystamy. Ja ciągle przesiaduję na forum www.niemowlak.pl! Tam oczywiście nie dzielę się opowieściami o moim życiu, nikt zresztą mnie nie spytał, czy mam na przykład męża. Gadamy o tym, jak rozwi-

jają się nasze dzieciaki, jakie pieluchy kupować, wymieniamy się ciuszkami, z których jedne dzieci wyrastają, a inne do nich dorastają.

Ania: I Marta namiętnie lata z paczkami na pocztę... [śmiech]

Marta: A ty się z tego, nie wiem czemu, śmiejesz! [śmieje się również]

A.L.: *Aniu, byłaś z Martą przy porodzie?*

Ania: Oczywiście! Co chwila mnie strofowała: „Misiu, teraz nie dotykaj! Misiu, uważaj! Misiu to, Misiu tamto”.

Marta: Byłam zdenerwowana, że jest takie zbiegowisko! W szpitalu chyba wszyscy wiedzieli, że jesteśmy parą.

A.L.: *Stałyście się sensacją?*

Marta: To może za mocno powiedziane. Ludzie są po prostu ciekawi. Kiedy nie znają takich par jak nasza, wyobrażają sobie niewiadomo co. Jak już zobaczą i poznają, problem znika.

A.L.: *Polacy o konserwatywnych poglądach są zdania, że kiedy homoseksualiści (czyli także lesbijki) zaczną wspólnie wychowywać dzieci, runą fundamenty naszego społeczeństwa.*

Marta: I wyobrażają sobie, że my siedzimy nieruchomo na kanapie, czekając na ich pozwolenie w sprawie własnej ciąży. Kiedy zadzwonił do nas pan z telewizji (pominę, jaka to była stacja) i zapytał, czy weźmiemy udział w programie pod tytułem „Czy lesbijki powinny mieć prawo do posiadania dzieci” (mniej więcej tak to ujął), aż zatrzęśło mną ze złości. Oczywiście tam nie poszłam.

A.L.: *Dlaczego?*

Marta: Bo założenie ogółu, że powinniśmy czekać na czyjeś tam pozwolenie w sprawie własnej ciąży, jest straszliwie głupie. Zresztą wcześniej wzięłam udział w podobnym występie (w innej stacji telewizyjnej) i wiem, jak to wygląda.

A.L.: *Jak?*

Ania: Z macierzyństwa lesbijek robi się publicznie taką sensacją, że tytuł tego programu (i jemu podobnych) powinien brzmieć: „Olaboga, co się dzieje?!” Z kolei brak tego problemu w mediach (na co dzień, nie tylko w talk show) przyczynia się do tego, że ludzie wyrastają na ignorantów, niczego nie wiedzą, nie mają z takimi rodzinami żadnego kontaktu.

Marta: Program, w którym uczestniczyłam (razem z kilkoma innymi lesbijkami-matkami), miał oczywiście formułę talk show. Mimo to (i mimo mało entuzjastycznego nastawienia społeczeństwa do sprawy) oczekiwałam głębszej rozmowy. Niestety, głównie kwestionowano nasze prawo do bycia lesbijkami i martwiono się o to, do kogo dziecko będzie mówiło „tata”.

A.L.: *Najbardziej fundamentalne w naszej kulturze wydaje się być przekonanie, że gwarantem prawidłowego wychowania, czy nawet rozwoju dziecka, jest para heteroseksualna.*

Marta: Chociaż mnóstwo dzieci faktycznie wychowuje się bez ojca, z czego na co dzień nie robi się problemu. Do momentu, kiedy zaczyna się rozmowa o lesbijskach.

Ania: W tym programie padały też rady, że lesbijki powinny próbować seksu z facetami wielokrotnie, aż do skutku. Raz, drugi, dziesiąty, aż wreszcie przestaną czuć się lesbijskami. Miałam wrażenie, że ci zacietrzewieni ludzie sami nie wiedzą, co mówią.

Marta: Naprawdę, miałam potem mocno ambiwalentne odczucia.

Ania: Jeden z niewielu plusów tego programu był taki, że oglądał go mój tato (zresztą zupełnie przypadkiem) i stwierdził: „Martusia to naprawdę cię kocha. Jak ona tam ładnie o tobie mówiła!”

A.L.: *Wasze rodziny wspierają wasz związek?*

Ania: Moja rodzina bardzo, zwłaszcza tato, czym mnie niesamowicie zadziwił, bo on ma twarde, prawicowe poglądy. Nie wiem, co on tak naprawdę, w głębi duszy sobie myśli, ale akceptuje nas. Mamy ze sobą bardzo dobry kontakt i on na pewno nie chce tego stracić. Raz powiedział: „Nie wygłupiajcie się, dziewczyny, znajdźcie sobie wreszcie mężów”, ale to było dawno temu, w nerwach (tata ma nadciśnienie i wtedy wybucha).

Marta: No tak, nie dość że dwie baby żyją razem, to jeszcze mają dziecko! [śmiech]

Moja mama jeszcze się nie przyzwyczaiła do mnie jako lesbijki, nie mówiąc o naszym związku, ale wnuczek jest wnuczkiem. Tak więc też nas wspiera.

A.L.: *Co jest przedmiotem waszych macierzyńskich zmartwień?*

Marta: Jak się dowiedziałam (podczas USG, więc jeszcze w ciąży) że dziecko będzie chłopcem, zareagowałam: „O matko, co to będzie?” Pomyślałam, że chłopca będzie nam trudniej wychować. Ale teraz nie

mamy takiej obawy, a poza tym za żadne skarby świata nie zamieniłybyśmy Jasia ani na dziewczynkę, ani na kogokolwiek innego! On jest po prostu nasz.

Ania: Zdajemy sobie sprawę, że kontakt z fajnymi męskimi wzorcami będzie dobry dla Jasia, zamierzamy dbać o to. A jeśli pojawią się problemy, będziemy je po prostu rozwiązywać, jak do tej pory.

A.L.: *Są chyba problemy, których nie da się rozwiązać bez zmiany ustawodawstwa w naszym kraju. Mam na myśli na przykład to, że tylko Marta, jako biologiczna matka Jasia, ma prawo do opieki nad nim.*

Marta: No tak, o tym też dyskutujemy z dziewczynami na forum, sprawa jest dość beznadziejna. Właściwie poza kwestiami majątkowymi (co wymaga wizyty u notariusza), nie możemy sobie niczego zabezpieczyć. W świetle prawa Ania jest dla Jasia obcą osobą.

Ania: Na razie nie mamy żadnego pomysłu, co można by z tym zrobić.

Marta: Większość lesbijek-matek, z którymi rozmawialiśmy, martwi się przede wszystkim tym, co może spotkać ich dzieci w szkole czy dalszym otoczeniu. Z powodu takich obaw postanowiłyśmy Jasia ochrzcić, żeby od początku był włączony w tak zwane życie rodzinne. Zamierzamy go też posłać na religię. Nie wiem tak do końca, czy dobrze robimy. Niedawno jedna z dziewczyn opowiadała, że jej dziecko wróciło do domu z lekcji religii i oświadczyło: „Tacy ludzie pójdą do piekła i piorun ich strzeli!” Ksiądz w ten sposób mówił dzieciom o ludziach, którzy żyją razem bez ślubu. Ja bym nie chciała, żeby Jaś przyswajał takie przekonania. Jeżeli kiedykolwiek coś podobnego przyniesie z lekcji religii, po prostu przestaniemy go tam posyłać.

Ania: Postanowiłyśmy wychować Jasia w religii katolickiej nie tylko ze względu na otoczenie. Myślę, że wychowanie w wierze da mu jakiś kod moralny. Chrześcijaństwo samo w sobie uważamy za dobre. Martwi nas raczej typowy, polski katolicyzm.

Marta: No właśnie. Kiedy postanowiłyśmy, że chcemy Jasia ochrzcić, poszłam do pobliskiego kościoła. Ksiądz zapytał, co z ojcem dziecka, więc odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że nie mam z nim kontaktu. Wszystko wydawało się w porządku, ale ostatnie formalności załatwiałam już z innym księdzem, który zgodził się łaskawie na ten chrzest, ale pod warunkiem, że nie odbędzie się on w niedzielę, i nie podczas mszy.

A.L.: *Dlaczego?*

Marta: Żeby nikt nie oglądał chrztu dziecka samotnej matki (w najlepszym razie samotnej, bo lesbijki, to już w ogóle szkoda gadać!). Aż łzy mi się zakręciły w oczach, poczułam, że Jaś już na starcie ma kłopoty. Bardzo mnie to zabolowało. Opowiadałam zresztą o tym w telewizyjnym programie, w którym również uczestniczył ksiądz. Oburzał się, że w ogóle przyszło nam do głowy, żeby Jasia ochrzcić!

Ania: Ciekawe, co by powiedział na to, że ojcem chrzestnym Jasia został nasz przyjaciel gej, który w dodatku sam był kiedyś księdzem. Dzięki jego znajomościom pokonałyśmy różne problemy wokół całej tej uroczystości.

A.L.: *Z tego co wiem, chrzest może się odbyć poza kościołem i ksiądz wcale nie jest do tego niezbędny.*

Marta: To prawda. Ale ja nie chcę uciekać się do takiego rozwiązania pod presją. To powinna być kwestia wyboru, a nie ulegania dyskryminacji.

Ania: Na stronie internetowej dla homoseksualnych rodziców większość pisze, że kryje się ze swoją orientacją przed dziećmi. Nie mówią im na przykład: „To jest partnerka mamy”, mówią że to ciocia lub ktoś taki. Nie okazują wzajemnych uczuć przy dziecku. Moim zdaniem nie jest dobrze, kiedy dziecko dorasta w poczuciu dziwnej tajemnicy, niejasności, która dotyczy czegoś ważnego w jego życiu. Może mieć nawet z tego powodu psychiczny kryzys (znamy taką historię).

Marta: My chcemy Jasia wychowywać w jawności. Nie mamy zamiaru ukrywać przed nim, że jesteśmy razem.

Ania: Zamierzamy go też w przyszłości posłać do przedszkola integracyjnego (a potem do podobnej szkoły), gdzie spotka dzieciaki pochodzące z różnych kultur i nietypowych rodzin (na przykład pod względem wyznania), o różnym kolorze skóry. W takich miejscach jest inna atmosfera.

A.L.: *Co powiecie Jasiowi, jeżeli któregoś razu, po powrocie z przedszkola, zapyta o tatę?*

Marta: Powiemy mu prawdę. Oczywiście w taki sposób, żeby był w stanie ją zrozumieć.

Ania: W tych amerykańskich podręcznikach jest dział porad na ten temat, podobnie jak w polskich są rady, jak mówić dziecku o seksie. To mniej więcej ten sam poziom trudności.

Marta: Bardzo możliwe, że w tym przedszkolu Jaś nie będzie jedy-

nym dzieckiem, które ma dwie mamy! Rozmawialiśmy już na ten temat z kilkoma dziewczynami. Ale oczywiście nie zamierzamy zamykać siebie i jego w kręgu rodzin homoseksualnych, to nie miałoby sensu.

Ania: Dążymy do otwartości. Jak na razie nie spotkałyśmy się z negatywnymi reakcjami. Raczej z troską, że nam będzie trudniej niż typowym rodzicom, albo ze zdziwieniem: „Po raz pierwszy poznałem jakąś lesbijkę!”

A.L.: *Wasze najbliższe otoczenie (sąsiedzi, znajomi z pracy) wie, że jesteście parą? A Jaś waszym synem?*

Marta: O, z sąsiadami mamy bardzo pozytywne doświadczenia!

Ania: Spotkałam kiedyś w windzie sąsiadkę z mężem, trzymała w ręku ciasto. Zagaiła niewinnie: „A wie pani, to ciasto wieziemy dla zaprzyjaźnionego małżeństwa, takiego męskiego małżeństwa”. Pewnie chciała mnie ośmielić czy dać znać, że dla niej homoseksualna para nie jest dziwowiskiem. Ciekawy był też coming out Marty w miejscu pracy.

Marta: Właściwie to był coming out tylko wobec jednej koleżanki, ale takie wieści roznoszą się z prędkością światła!

A.L.: *A co znaczy „ciekawym coming out”?*

Ania: Krysia (z którą Marta się przyjaźni) myślała, że jesteśmy siostrami (często sprzedajemy taką wersję różnym ludziom) i że Marta będzie wychowywać dziecko bez faceta, bo na przykład została porzuciona. Taki scenariusz, jako najbardziej typowy, przyszedł jej do głowy.

Marta: Niepokoiliła się, że będę nieszczęśliwą samotną matką, pozabawioną jakiegokolwiek wsparcia, w tym finansowego.

Ania: Kiedy Krysia po raz kolejny zapytała: „No i co z tym ojcem? Czy on się w ogóle Martusią interesuje?”, już nie wytrzymałam i wyпалиłam: „Krysia, a ty się niczego nie domyślasz? Tyle razy mówiłaś, że widać, jak bardzo się z Martą kochamy, jak bardzo nam na sobie zależy”. Ale ponieważ Krysia ani trochę się nie domyślała, w końcu powiedziałam wprost, że jesteśmy parą, a Jaś nie ma ojca, bo do jego przyścia na świat przyczyniły się same plemniki.

Marta: Chyba była zaszokowana, ale nie dała tego po sobie poznać, bo bardzo nas lubi.

Ania: U mnie w pracy też było zabawnie. Mój szef jest strasznym homofobem, w zeszłym roku poszedł nawet na Paradę Normalności, którą Młodzież Wszechpolska wspólnie z Ligą Polskich Rodzin zorganizowały w proteście wobec naszej Parady Równości. Słyszałam potem,

jak mówił do księgowej, że zawsze będzie protestował, bo nienawidzi „tych pedałów” i: „Co to w ogóle jest, że oni wychodzą na ulicę?!” Nie wytrzymałam nerwowo i zaczęliśmy się ostro kłócić, prawie doszło do wymiany wyzwisk, zrobiła się okropnie nerwowa atmosfera. Szef wyszedł z pokoju strasznie nabuzowany, po czym wrócił i mówi do mnie: „Ania, jeżeli cię czymś uraziłem, to bardzo cię przepraszam”. Odpowiedziałam: „Owszem, uraziłeś, ale nie chcę już o tym rozmawiać”. Po jakimś czasie spotkaliśmy się na imprezie, nawet tańczyliśmy razem, i wtedy uświadomiłam mu (już zupełnie spokojnym tonem), że żyję z dziewczyną, do tego mamy dziecko, a na fotografii, która stoi na moim biurku, jest nasza szczęśliwa trójka. Powiedział tylko: „Aha...”, ale od tamtej pory jego stosunek do mnie totalnie się zmienił. Inaczej niż „Aneczko” się do mnie nie zwraca, w dodatku sam bardzo się otworzył, do tego stopnia, że opowiadał mi o swoich problemach z żoną. Okazuje się więc, że niektórzy ludzie są jednak reformowalni i potrafią w pewnym momencie zacząć samodzielnie myśleć.

Marta: Ale niedługo przeprowadzamy się na wieś, tam już może nie być tak różowo. Trochę się boimy homofobii małego, konserwatywnego środowiska. Zwłaszcza, że Jaś mógłby ją odczuć.

Ania: Bardzo byśmy nie chciały, żeby był w jakiś sposób szykanowany. Chociaż prawdą jest, że obiektem szykan stają się różne dzieci, z rozmaitych powodów - ktoś jest otyły, inny jest rudy albo płacziwy. Trudno na zapas ochronić dziecko przed wszystkim, bez sensu byłoby też wszystkiego się na zapas bać. Najważniejsze jest to, że bardzo mocno kochamy Jasia. Jest naszym największym szczęściem.

Stań po swojej stronie

Dagmara (33 lata) jest psycholożką i psychoterapeutką. Kilkanaście lat temu była przekonana, że wyjdzie za męża, urodzi dzieci. Wybrała jednak życie z kobietą, ich związek trwał 10 lat. Teraz, razem z drugą partnerką, wychowuje małego Maćka.

Anna Laszuk: *Kiedy człowiek idzie do psychologa, to często sobie wyobraża, że zasiądzie przed kimś nie tylko mądrym, ale i „normalnym”, cokolwiek to znaczy. Lesbijka jest na ogół postrzegana jako ktoś poza normą. Bałaś się kiedyś sytuacji, w której informacja o tym, że jesteś lesbijką, zdyskredytuje cię w oczach pacjentki/pacjenta?*

Dagmara: Owszem, kiedyś się bałam... zwłaszcza, że ja pracuję głównie z kobietami, od dawna prowadzę warsztaty dla kobiet.

A.L.: *Czego dokładnie się bałaś?*

Dagmara: Tego, że może paść taki zarzut: „Ale pani jest lesbijką!”

A.L.: *Zarzut?*

Dagmara: No tak, chociaż on jest przejawem czystej homofobii. Bo na przykład: jak heteroseksualny facet-psycholog prowadzi warsztaty z kobietami, to co ma z tego wynikać? Że potencjalnie może je uwieść i w związku z tym trzeba te kobiety ostrzec przed jego heteroseksualnością?

Mój lęk wynikał więc z homofobii, mojej własnej, uwewnętrznionej, skoro traktowałam sprawę własnej orientacji tak wyjątkowo. Z jednej strony myślałam, że powinnam się ujawniać przed grupą, z którą pracuję, a z drugiej nie bardzo sobie wyobrażałam, jak mam to zrobić. Na ulotkach? To byłoby absurdalne, moja orientacja nie ma nic wspólnego z treścią tych warsztatów (nie mówię w tym momencie o grupach wsparcia przeznaczonych dla lesbijek, bo i takie prowadziłam).

Był też inny dylemat: czy taka informacja dla kogoś z grupy będzie miała szczególne znaczenie, czy w kimś „zagra”. Ale prawda jest taka, że ludzie mogą nadawać znaczenie bardzo różnym informacjom na temat życia i poglądów terapeuty. Potem, kiedy odczułam jednak, że czasem chcę ujawnić swoją orientację, zastanawiałam się, w którym momencie powinnam to zrobić? I w końcu okazało się, że taki moment (dla grupy i dla mnie) przychodził naturalnie. Nie robię coming outu z obowiązku ani pod presją. I nie dzieje się w związku z tym nic straszego.

Ale musiałam wykonać niemałą pracę wewnętrzną, żeby tak było. Przede wszystkim konfrontując się z własną homofobią. Ze swoim lękiem. I przyglądając się uczciwie własnym intencjom.

A.L.: *Intencjom wobec ludzi, z którymi pracujesz?*

Dagmara: Tak. Jeśli one miałyby podłoże seksualne, byłby kłopot. Ale nie mają, ja to wiem. Jestem świadoma swojej seksualności, to ja nią kieruję, a nie ona mną. Nie muszę się więc bać, że mi to wyjdzie bokiem, jak demon spod kołderki. Z tym, że orientacja nie ma tu nic do rzeczy. Psycholog-terapeuta powinien być świadomy swojej seksualności. Tego, czy ona wpływa (i jak wpływa) na relacje z klientami, pacjentami.

A.L.: *Pracujesz także z dziećmi, z młodzieżą. Rozmawiacie o różnych rzeczach, pojawia się w tych rozmowach temat homoseksualizmu?*

Dagmara: O tak, jak najbardziej. Często obarczony już silnymi stereotypami, którymi dzieciaki nasiąkają zupełnie nieświadomie. Mają w głowach zasłyszaną „wiedzę” na ten temat - kim mianowicie jest „homo”.

A.L.: *Czyli kim?*

Dagmara: Przede wszystkim kimś nienormalnym i chorym.

Stereotyp daje ludziom iluzoryczne przekonanie, że posiadli prawdę, prostą i jedyną. „Cudowną” pewność siebie, poczucie, że sami są kimś lepszym w jakiejś ludzkiej hierarchii. Zyskują poczucie bezpieczeństwa wobec chaosu świata. Ja rozumiem taką potrzebę. Co nie znaczy, że akceptuję stereotypy czy posługiwanie się nimi w celu osiągnięcia dobrego samopoczucia.

Pracowałam niedawno, jako terapeutka, z trzydziestokilkuletnią kobietą, która zakochała się w innej kobiecie, będąc już po rozstaniu z mężem. Miała piętnastoletnią córkę. Cała sytuacja, i tak trudna, była jeszcze trudniejsza przez to, że ta dziewczynka miała w głowie same kalki na temat homoseksualizmu: „To jest chore”, „To nienormalne”. Nie dlatego, że matka jej wcześniej wpoila taki światopogląd. Tak myślało jej otoczenie - koledzy, koleżanki, może dziadkowie. Nikomu nie mogła opowiedzieć o sytuacji w rodzinie, o tym co przeżywa, bo naraziłaby się na odrzucenie i inne kłopoty. Dla czternasto-, piętnastolatków wiedza o tym, co świat akceptuje, a czego nie, jest bardzo ważna. I potrzeba dopasowania się do świata. Dobrze, że ona mogła przynajmniej porozma-

wiać ze mną, wyrzucić z siebie wszystkie emocje. Jestem przekonana, że grupy wsparcia dla lesbijek-matek oraz dla ich dorastających dzieci są bardzo potrzebne.

A.L.: Prowadziłaś przez długi czas warsztaty dla lesbijek. Co się na nich działo?

Dagmara: Rozmawialiśmy o wszystkim, co poszczególne osoby wносиły na te zajęcia, o wszystkim, co dla nich było ważne. A zaczynało się zwykle od bardzo podstawowej sprawy: co to znaczy być lesbijką. I co to znaczy stanąć po swojej stronie, także wtedy, kiedy się wypowiada to zdanie: „Jestem lesbijką”. Dla wielu kobiet to trudne.

A.L.: A czym to zdanie jest dla ciebie?

Dagmara: Dla mnie jest deklaracją polityczną, mniej deklaracją tożsamości.

Mówiąc je, świadomie umieszczam się po stronie mniejszości, której nie żyje się tu najlepiej. Nie chodzi o to, żeby zamknąć się w jakiejś definicji, ale żeby mocno stanąć po stronie grupy społecznej, która jest odrzucana. Tym samym po swojej stronie. Nie bać się tego.

A.L.: Nurtuje mnie ciągle homofobia uwewnętrzniona, od której zaczęła się nasza rozmowa, bo teraz mówimy o czymś, co jest jej przeciwieństwem.

Dagmara: Przede wszystkim ona jest głębokim konfliktem wewnętrznym. Może się przejawiać stanem strasznego rozdarcia, skupianiem energii na życiu w tajemnicy, w ukryciu. Długofalowym zmaganiem się z kwestią ujawnienia (znam trzydziestoletnie kobiety, które ciągle absorbują kwestia: „Czy powiedzieć rodzicom?”) Także rozpadem kolejnych związków, mimo, że rodziły się z autentycznego uczucia. Dla mnie było szokiem odkrycie, że z powodu tego konfliktu rozpadają się związki, bo, dajmy na to, jedna osoba nie jest w stanie żyć otwarcie, a druga tego bardzo potrzebuje. Albo powszechność modelu „podziemnego” - ludzie żyją ze sobą latami i nikt o tym nie wie.

Bardzo trudno jest tworzyć satysfakcjonujący związek w ukryciu. Konflikt, który się nosi w środku i hodzi, który jest wpleciony w związek, działa tak, jakbyś jedną ręką coś sobie dawała, a drugą odbierała. Staje się tykającą bombą - jak jej nie rozbroisz, prędzej czy później wybuchnie.

Spotkałam się z historią wielkiej miłości dwóch kobiet, które żyły prawie 10 lat ze sobą, przy czym cały czas udawały przed światem, że tyl-

ko razem wynajmują dom. Pełen kamuflaż - dwa łóżka, wszystko niby osobno. A kiedy zbliżyły się do momentu ujawnienia, nastąpił koniec.

A.L.: Wybrały rozstanie, żeby jednak nie ujawnić swojego związku przed światem?

Dagmara: Tak, zabrakło im do tego siły. Z drugiej strony obie czuły potrzebę stabilizacji, której życie w podziemiu nie daje. I jedna z nich odeszła.

Wewnętrzna homofobia odbiera siłę do budowania tego, czego naprawdę pragniemy. Sprawia, że dokonuje się wyborów przeciwko sobie. Za tym stoi szerszy wymiar społeczny, o którym rozmawialiśmy, te wszystkie stereotypy i nakazy. A one przekładają się, niestety, na wymiar osobisty - codzienne życie, wybory typu: żyć otwarcie z kobietą czy dla świętego spokoju (lub zadowolenia rodziców) wyjść za męża.

A.L.: A co wynika z wyborów „dla świętego spokoju”?

Dagmara: To, że nie pozwalasz sobie być tym, kim jesteś, że ciągle nie akceptujesz siebie. Z tego miejsca niedaleko do rozpacz, depresji, a nawet do samobójstwa, bo ile można zaprzeczać sobie i przeciwko sobie działać? Kiedyś, zanim zaczęłam prowadzić warsztaty dla lesbijek, wydawało mi się, że te dramaty są marginesem. Miałam perspektywę wielkiego miasta i własnego, udanego życia. A okazało się, że jest dokładnie odwrotnie.

A.L.: Czyli, że właśnie otwarte życie i akceptacja siebie jako lesbijki jest marginesem?

Dagmara: Niestety tak. Średnia krajowa jest smutna.

A.L.: Pracowałaś z kobietami, które pochodzą z małych miejscowości, ze wsi?

Dagmara: Owszem, ale nie tylko podczas warsztatów. Przez kilka lat udzielałam porad na jednym z lesbijskich portali internetowych. Pisały tam bardzo różne kobiety, mam na myśli zwłaszcza środowiska, z których pochodziły. W większości wcale nie wielkomiejskie. I wtedy właśnie przeżyłam szok, że tym kobietom jest tak bardzo trudno żyć. Że notorycznie udają kogoś, kim nie są, i próbują - właśnie dla „świętego spokoju” - być mężatkami, i z tego samego powodu rodzić dzieci. Albo udają przed dziećmi i resztą świata, że kobieta, z którą pozostają w związku, to koleżanka.

A.L.: Jak daleka może być droga do tego, co nazywasz umiejętności-

cią opowiedzenia się za samą sobą, bycia po swojej stronie?

Dagmara: No cóż, może być bardzo długa. W każdym indywidualnym przypadku jest oczywiście inaczej, ale na pewno pomaga tworzenie takiego środowiska, gdzie można dostać wsparcie. Móc opowiedzieć o sobie, posłuchać historii innych kobiet o ujawnianiu, związkach, modelach życia razem, dzieciach. Zobaczyć, jak one się zmagają z podobnymi problemami, jak sobie radzą, co myślą. Internet spełnia pod tym względem świetną rolę, ale na pewno potrzeba grup nastawionych na wzajemne wsparcie. Ich jest bardzo mało, z tego, co wiem, kilka w skali całego kraju.

Na pewno warto pomyśleć o skorzystaniu z pomocy psychologa, kiedy sytuacja jest bardzo trudna.

A.L.: Na ile bywa trudna?

Dagmara: Czasem dochodzi do całkowitego zastraszenia, przemocy, życie zostaje zdominowane przez strach (odbiorą mi dziecko, odbiorą dom, mój ojciec ma takie wpływy, że znajdzie mnie w najmniejszej zapadłej dziurze) i ciągłą samokontrolę (co i komu powiedziałam, kto wie, a kto nie wie, i co będzie, jak się dowie).

A.L.: Bardzo mnie ciekawi, co sądzisz o takiej linii politycznej, którą przyjmuje część ruchu LGBT czy część osób homoseksualnych, polegającej na kształtowaniu postaw akceptujących (u tak zwanej większości) przez hasła „homoseksualizm jest wrodzony”, „tacy się rodzimy”, lub innych sformułowań zawierających przekaz „nie mamy wyboru”?

Dagmara: Każde uzasadnianie homoseksualizmu jest elementem homofobii, elementem gry, jaką większość toczy z mniejszością, pt. „Wytłumacz się z tego, kim jesteś!” Naprawdę nie ma znaczenia, dlaczego jestem, kim jestem, chyba że sama jestem tego ciekawa, na przykład ze względów poznawczych. Przywilej większości polega właśnie na tym, że osoby heteroseksualne nie tłumaczą się, dlaczego są heteroseksualne - czy miały to zapisane w genach, czy matka tak je wychowała, czy ktoś je uwiódł, czy cokolwiek innego. Dopóki czujesz presję, że musisz się tłumaczyć, funkcjonujesz na nierównych prawach.

A.L.: „Jestem, kim jestem, i przyzwyczajcie się do tego!” Tak?

Dagmara: Dokładnie.

A.L.: Ty sama umiesz tak powiedzieć?

Dagmara: Tak, ja już stanęłam po swojej stronie. Najtrudniej mi to

przyszło wobec rodziców, a zwłaszcza ojca. Zanim zakochałam się w Majce, mojej pierwszej dziewczynie, uważałam się za osobę w stu procentach heteroseksualną. Kiedy podjęłam decyzję, że jednak podążę za tym uczuciem, bardzo szybko dokonałam coming outu przed rodzicami. Byliśmy zawsze taką fajną, kochającą się rodziną. I nagle przyszło wielkie zaskoczenie - mój wybór okazał się dla nich niebotycznie trudny. Mój ojciec uznał, że ciężko zachorowałam, mama przyjęła to lepiej, ale też bez akceptacji. Oni w ogóle nie chcieli przyjąć do wiadomości, że ja jestem w związku z kobietą. Wiedziałam, że między sobą toczą jakieś rozmowy, ale praktycznie ten temat stał się w naszej rodzinie tabu. Na szczęście nie mieszkaliśmy już razem, studiowałam w innym mieście, więc i tak było łatwiej.

Pewnego razu miałyśmy z Majką poważny wypadek samochodowy. O mało nie zesłam z tego świata - połamane żebra, uszkodzony kręgosłup, koszmar. Moi rodzice przyjechali do szpitala, w którym wylądowałyśmy obie (Maja z pękniętym obojczykiem), i nastąpiło coś niesłychanego. Mój ojciec nie wszedł do szpitala, bo BYŁA TAM MAJA. Jego wizja świata okazała się w takim momencie ważniejsza ode mnie! Nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo mnie to zabolalo.

A.L.: *A mama?*

Dagmara: Przyszła. Opiekowała się mną. Ale jej stosunek do sprawy zmienił się dopiero po tym, jak sama ciężko zachorowała. Kiedy przechodziła pierwszą operację, brałam urlop i jechałam do nich, do Łodzi. Spędzałyśmy ze sobą całe dni, dużo rozmawiałyśmy. Coś w niej odpuściło, jakiś czas później nawet odwiedziła mnie i Majkę, wreszcie zaakceptowała nasz związek (trwał on zresztą 10 lat). Natomiast mój ojciec całkowicie okopał się na swoich pozycjach. Po śmierci mamy spędziłam z nim w domu kilka miesięcy, żeby go wesprzeć. Był załamany. Rozmawialiśmy o wszystkim, także na temat mojego związku z Mają. Na początku te rozmowy były straszne. Po prostu krew mnie zalewała, kiedy słyszałam jak mój tata, *notabene* antyklerykalny ateista, atakował mnie tymi wszystkimi kościelnopochodnymi, homofobicznymi tekstami: „To jest chore”, „Naturalny to jest związek kobiety z mężczyzną”, i tak dalej.

A.L.: *Jakim cudem doszło więc do przelomu?*

Dagmara: Przede wszystkim ja dojrzałam do tego, żeby nie dawać mu już dłużej pola do popisu. Doszłam do kresu, powiedziałam mu coś w tym stylu: „Jeżeli chcesz być, tato, blisko ze mną, musisz zmienić

swoje podejście. Wspieram cię bezgranicznie, jeżdżę do ciebie, wysłuchuję wszystkiego, co masz mi do powiedzenia, jestem z tobą, kiedy jest ci ciężko. Zobacz wreszcie, że ty mnie nie przyjmujesz takiej, jaką jestem! Dłużej się na to nie zgadzam, więc stoisz przed decydującym wyborem - albo bliska relacja ze mną, albo twoje paranoje i samotność”.

Wybrał mnie. Niedługo potem pojechaliśmy z Majką do niego na święta Bożego Narodzenia i od tamtej pory było już coraz lepiej. Tata bardzo się zmienił. Docenił to, że jestem dla niego najbliższą osobą, wydobył z siebie mnóstwo ciepła. A później, już zupełnie zwyczajnie, polubił Beatę, moją drugą partnerkę. Może tym razem poszło łatwiej ze względu na jej cechy osobiste.

A.L.: *Kim jest Beata?*

Dagmara: Kiedy się poznałyśmy była po rozwodzie, miała kilkuletniego synka, Maćka, którego teraz wychowujemy razem. Poza tym jest dojrzałą kobietą, jak to się mówi - mocno stojącą na ziemi.

A.L.: *Ile lat miał Maciek w momencie, kiedy zaczął się wasz związek?*

Dagmara: Miał 9 lat. Nawiązaliśmy ze sobą kontakt bardzo naturalnie. Przede wszystkim dla mnie było jasne, że Beata z Maćkiem to pewnego rodzaju całość. Fakt, że ona jest matką, absolutnie nie stanowił dla mnie problemu, wręcz przeciwnie. Ja sama od dawna myślałam o dziecku, więc nowa rodzina wpisała się jakoś płynnie w moje potrzeby. A Maciek miał mniej więcej taką perspektywę, że oto pojawiła się w domu druga dorosła osoba, która się nim zajmuje, odrabia z nim lekcje, spędza wolny czas - fajnie! A do tego mama jest zadowolona.

A.L.: *A jak ten początek przeżywała Beata?*

Dagmara: W niej było dużo lęku, również dlatego, że nigdy wcześniej nie była związana z kobietą, więc na niepewność matki (jak to wszystko przyjmie Maciek?) nałożyły się pytania o samą siebie.

A.L.: *Wszystko naraz...*

Dagmara: No właśnie. Obie długo się zastanawiałyśmy, co Maćkowi powiedzieć i jak powiedzieć, bo 9 lat to nie jest jeszcze właściwy wiek do podawania różnych informacji wprost, mam na myśli seksualność. Beata bała się tego, jak on przyjmie nową sytuację, czy ich bliskość i zaufanie nie zostaną naruszone, czy go nie skrzywdzi.

Po kilku miesiącach, czterech czy pięciu, siedzieliśmy sobie we trójkę, rozmawiając o różnych rzeczach, i temat wypłynął spontanicznie. Wtedy Beata mu wytłumaczyła, że my jesteśmy parą, kochamy się, nawet zostało jakoś użyte słowo homoseksualizm, sytuacja stała się jasna.

W pierwszym momencie Maciuś bardzo się przejął i w ogóle nie chciał o tym rozmawiać. Powtarzałyśmy mu tylko, że rozumiemy, jak dziwne i trudne to może być dla niego, i że swobodnie może nam mówić o wszystkich rzeczach, jakie sobie pomyśli na ten temat. Jakiś czas później powiedział na przykład: „Wy na parę w ogóle nie wyglądacie, bo się nie całujecie i nie przytulacie”. A my oczywiście ze względu na niego byliśmy takie powściągliwe.

W każdym razie te rozmowy wracały co pewien czas i było coraz łatwiej.

A.L.: Myślisz, że wszystko zrozumiał i zaakceptował?

Dagmara: Ja nie wiem, na ile Maciek sobie uzmysławia istnienie czegoś takiego jak orientacja seksualna. Nie sądzę, żeby mówił: „Moja mama jest lesbijką”, jest na to po prostu za mały, to jeszcze nie są jego kategorie myślenia. Natomiast zaakceptował fakt, że jesteśmy razem, że tworzymy rodzinę. Ja pokochałam jego, a on przyjął mnie, przy czym jest oczywiste, że Beata to mama, a ja jestem drugą dorosłą osobą, która go wychowuje. W którymś momencie dla małego stało się jasne, że ja jestem kimś, kto ma prawo zarówno opiekować się nim, jak od niego wymagać różnych rzeczy. Zzaakceptował mnie, wisi na mojej szyi kiedy tylko może, i mówi do mnie „Daga”. Obie zdajemy sobie sprawę, że jeszcze niejedno przed nami, kiedy Maciek zacznie dorastać.

A.L.: Jak rodzina Beaty odnosi się do waszej nowej rodziny?

Dagmara: Wiesz, jak się ma te trzydzieści parę lat, to wszystko jednak jest prostsze. Jesteśmy niezależne, obie mamy dorosłe rodzeństwo, z którym się kolegujemy, nawet przyjaźnimy. A nasze relacje z rodzicami są już inne, niż, dajmy na to, 10 lat temu. Wiem, że rodzice Beaty nie odczuwają bezwarunkowej akceptacji czy zachwyty w stosunku do naszego związku, ale ja tego od nich nie oczekuję. Oni mają swoje życie, i ograniczony wpływ na nasze. Są w porządku, jeździmy do ich letniego domu, nawet mój tata pojechał tam z nami na wakacje. Ale ja już nie potrzebuję wielkiego, rodzinnego klanu, żeby być szczęśliwa.

Byłam na „Langenorcie”

Ola (23 lata) pochodzi z Białej Podlaskiej. Studiuje resocjalizację, jest anarchofeministką. W czerwcu 2003 roku (razem z innymi kobietami walczącymi o łagodniejsze prawo aborcyjne w Polsce) była na statku „Langenort”, który zawinął do portu we Władysławowie. Działania holenderskiej organizacji „Kobiety na Falach” (Women On Waves)¹ wzbudziły ostre protesty radykalnych przeciwników aborcji i stały się przedmiotem zainteresowania prokuratury². Akcję Holenderek popierała z kolei ta część polskiego społeczeństwa, która liczyła na liberalizację ustawy antyaborcyjnej³.

Anna Laszuk: Biała Podlaska - co to za miasto?

Ola: 70-80 tysięcy mieszkańców, miasteczko raczej niż miasto. Jeżeli chodzi o grupę lesbijek czy homoseksualistów, to jest ich bardzo mało. Kilka dziewczyn, więcej gejów, spotykamy się razem w knajpach. Siadamy przy jednym stoliku i gadamy. Ale ja przede wszystkim bywam w środowisku anarchofeministycznym, w gruncie rzeczy bardziej feministycznym.

A.L.: Czyli same dziewczyny?

Ola: Głównie dziewczyny, ale mężczyźni też, pomagają nam w różnych akcjach.

1. „Kobiety na Falach” (Women On Waves) to organizacja zajmująca się propagowaniem prawa do aborcji w krajach, w których jest ona nielegalna, bądź tam, gdzie obowiązuje restrykcyjne prawo aborcyjne. Należący do niej statek „Langenort”, zarejestrowany pod flagą holenderską (nazywany przez przeciwników „pływającą kliniką aborcyjną”), zawinął także do Polski, w czerwcu 2003 roku. Z portu we Władysławowie wypływał kilkakrotnie na wody eksterytorialne (podobnie jak w przypadku akcji w innych krajach, praktyka ta wzbudza największe emocje. „Kobietom na Falach” stawia się zarzuty, że załoga „Langenorta” zabiera na statek kobiety, które są we wczesnej fazie ciąży, i dokonuje na ich prośbę nielegalnych zabiegów aborcyjnych). Rebecca Gomperts, szefowa holenderskiej fundacji, także w Polsce wyjaśniała, że celem akcji jest propagowanie antykoncepcji i wspieranie kobiet w walce o uzyskanie pełni należnych im praw.

2. W listopadzie 2003 roku Prokuratura Rejonowa w Pucku stwierdziła, że załoga holenderskiego statku „Langenort” nie przeprowadzała nielegalnych zabiegów aborcyjnych. Postępowanie w tej sprawie zostało umorzone.

3. Polskie prawo aborcyjne do dziś nie uległo zmianie (choć środowiska feministyczne oczekiwały, że dokona jej lewicowy wówczas rząd). W Unii Europejskiej podobne regulacje prawne posiadają jedynie Irlandia i Malta, w pozostałych krajach unijnych są one znacznie bardziej liberalne. W 2005 roku, kiedy w polskim parlamencie przewagę zdobyła prawica, Liga Polskich Rodzin wysunęła postulat, żeby obowiązującą ustawę zmienić na jeszcze bardziej restrykcyjną, ale nie doczekał się on poparcia, także ze strony Kościoła.

A.L.: *Skąd wiedziałaś, jak do nich dotrzeć?*

Ola: Przez plakaty, ulotki. Zaczęłam chodzić na różne spotkania. To było w VII klasie podstawówki. Zaczęłam kojarzyć, że coś nie gra około, w szeroko pojętym środowisku. Przemoc, alkoholizm, te sprawy. Nie chciałam żyć w schematach, które narzuca mi społeczeństwo. Powiedziałam: dziękuję, nie przykładam do tego ręki. Anarchofeminizm kojarzył mi się zawsze z walką o równe prawa, z bytowaniem na równym poziomie, bez używania władzy w stosunkach między ludźmi. Na początku przyciągała mnie najbardziej moda, ubranie, teraz już nawet nie wiem, jak to wygląda, na pewno jakieś naszywki „zaangażowane”, no i muzyka.

A.L.: *Jak wyglądały spotkania, o których wspomniałaś?*

Ola: Były rozmaite - prawa kobiet, homofobia, problemy globalne, ekologia. Przychodzili różni ludzie, także starsi, oczywiście też mężczyźni. Potem były wspólne wyjazdy, koncerty, książki, ziny... i tak to się kręci do tej pory, od 10 lat.

A.L.: *Czy wśród anarchofeministek jest więcej lesbijek niż w innych organizacjach feministycznych?*

Ola: Czy ja wiem... to nie tak, po prostu w tym środowisku jest to w pełni akceptowane, nikt ci nie robi jazdy na przykład na koncercie, że siedzisz sobie przy stoliku i całujesz się z dziewczyną. Na pewno dużo lesbijek ciągnie do tego środowiska, bo nie muszą się w nim ukrywać, tam są organizowane imprezy feministyczno-lesbijskie. Ten odłam feminizmu szczególnie dąży do tego, by działać wspólnie i się nie odcinać.

A.L.: *Kiedy pomyślałaś o sobie: jestem lesbijką?*

Ola: W liceum. Nie kręcili mnie chłopcy, więc spróbowałam z dziewczynami. I one zaczęły mnie kręcić. Nie miałam żadnych myśli, że to nie jest OK.

A.L.: *A twoja rodzina też tak myśli?*

Ola: Rodzina nic nie wie. Dopóki jestem od nich zależna, nic im nie powiem. Mogliby mnie wywalić z domu albo robić jakieś chore jazdy. Czekam na moment, kiedy wyprowadzę się z domu, będę zarabiała na własne utrzymanie, wtedy nic już nie będzie mnie obchodziło.

A.L.: *Czy w Białej Podlaskiej dwie dziewczyny mogą przejść ulicą, trzymając się za rękę?*

Ola: W biały dzień? Raczej nie... chyba, że wieczorami, w parku. Atmosfera jest, delikatnie mówiąc, nieco homofobiczna, a grono Młodzieży Wszechpolskiej liczne i prężne.

A.L.: *Jaki jest układ polityczny w mieście?*

Ola: Rządzi prawica, ale gdyby rządziła lewica, niewiele by się zmieniło. Klimat obyczajowy jest, jaki jest.

A.L.: *Byłaś na statku „Langenort”, z „Kobietami na Falach”. Dlaczego ciebie, lesbijkę, obchodzi polskie prawo aborcyjne? Nie myślałaś: „To nie moja sprawa”?*

Ola: Po prostu utożsamiam się z prawami kobiet, obchodzi mnie to, co dzieje się naokoło. Każda kobieta może zostać zgwałcona. Nie chodzi o to, czy ja osobiście będę zmuszona dokonać aborcji, czy będę chciała podjąć taką decyzję, ale w takiej sytuacji mogą znaleźć się moja matka, moja siostra, moja przyjaciółka. Problem jest uniwersalny.

A.L.: *Jak się znalazłaś na „Langenorcie”?*

Ola: Zaproszenie dostałyśmy jako grupa, poprzekładałam egzaminy i powiedziałam: „Mamo, jadę!” Ona na to: „Dobrze, jedź”. Dodała jeszcze, że trzyma kciuki i sama by chętnie pojechała.

A.L.: *Reszta rodziny też wiedziała, dokąd jedziesz?*

Ola: Wszyscy wiedzieli, ale mało mnie obchodziło, co o tym myślą.

Miałam tam być przez tydzień, zostałam 2 tygodnie. Było dosyć trudno - dużo zwolenników, dużo przeciwników, rzucanie jajkami, farbami. I tak dalej.

A.L.: *Nie bałaś się, że was pobiją?*

Ola: W ogóle o tym nie myślałam. Zdarzały się różne sytuacje, owszem, dostałam nawet w szczękę. Ale nie boję się, jestem osobą silną fizycznie, wychowywałam się ze starszym bratem, jego kolegami. Łażenie po drzewach i przepychanki to dla mnie nie nowość. Poza tym spotkałam się już wcześniej z przemocą. Poszłyśmy z dziewczynami się kąpać i jeszcze zanim zdążyłyśmy zdjąć ciuchy, podeszło kilku koleśków, przedstawili się jako policjanci, zażądali od nas dokumentów. Zaczęła się awantura, jedna z dziewczyn dostała w twarz, ja zostałam skopana... We Władysławowie, na szczęście, nic takiego się nie zdarzyło.

A sam „Langenort”? Mały stateczek ze świetnie wyposażoną kliniką.

Bardzo miłe kobiety, wśród nich dwie lekarki, i około 20 wolontariuszy - w tym mężczyźni. Wolontariusze zmieniali się co kilka dni. Była też prawniczka, która pilotowała całe przedsięwzięcie - były przecież problemy z wejściem do portu, potem z wypłynięciem.

Cała ekipa „Kobiet na Falach” mówiła jednak, że ochrona była świetna, duża współpraca z policją. Oceniły akcję jako udaną, mimo historii z prokuraturą.

A.L.: Ty także składałaś wyjaśnienia w prokuraturze?

Ola: Składałam. Jeszcze jak byłam we Władysławowie, policja trzy razy zawitała do naszego domu. Pod furtkę zajechał samochodzik, puk, puk: „Czy jest pani Ola?” Mama odpowiedziała, że jeszcze nie wróciłam. Zostawili wezwanie.

A.L.: O co cię pytano w prokuraturze?

Ola: Czy jestem w ciąży, czy mam zamiar zająć w ciążę, w sumie o nic, co działo się we Władysławowie. Myślałyśmy przed akcją, że uda się zachować anonimowość kobiet, które znalazły się na statku, a w związku z przesłuchaniem raczej nie było o tym mowy, bo podczas ich nieobecności w domu policja mogła już zostawić rodzinie zawiadomienie z prokuratury.

A.L.: Skąd policja miała dane personalne uczestniczek akcji?

Ola: Chyba ze straży granicznej. Wszystkie kobiety wchodzące na statek i wychodzące miały zakryte twarze.

A.L.: Spotkałaś się w swoim mieście z negatywnymi opiniami o sobie jako feministce?

Ola: Zdarzyło się. To wynika z nieświadomości ludzi, większość myśli, że jak jesteś feministką, to nienawidzisz facetów. Bzdura! Kiedy robimy jakąś feministyczną akcję u nas w mieście, pomaga nam więcej mężczyzn niż kobiet.

A.L.: A co sądzisz o kobietach, które są przeciwniczkami feminizmu?

Ola: Moim zdaniem każda kobieta jest na swój sposób feministką, ponieważ musi walczyć o swoje prawa w życiu.

A.L.: Niektóre kobiety uważają, że prawa kobiet i mężczyzn już są równe.

Ola: A zawody, do których kobiety nie są dopuszczane? A niższe

zarobki? A męska większość w sejmie?

A.L.: Bierzesz udział w wyborach?

Ola: Nie. Mam bardzo lewicowe poglądy, ale gdybym chciała głosować, nie miałabym na kogo.

A.L.: Myślałaś o emigracji?

Ola: Przychodzą mi czasami takie myśli do głowy. Ale tu jest za dużo pracy, żeby wyjeżdżać. Trzeba próbować coś zmieniać. Chcę pracować w ośrodkach wychowawczych. Robiłam niedawno warsztaty edukacji seksualnej dla chłopców w schronisku dla nieletnich, którzy siedzą za morderstwa, gwałty, pobicia, kradzieże.

A.L.: Większość dziewczyn w twoim wieku byłaby przerażona takim audytorium, ty nie byłaś?

Ola: Wchodząc do zakładu tego typu, nie możesz myśleć: „To jest gwałciiciel, to jest morderca swojej siostry, ten zakatował w biały dzień gościa na ulicy”. O tym się nie myśli. To, co zrobił, jest za nim, podchodzisz do niego jak do każdego innego człowieka. A warsztaty to nie jest czas na rozmowy o ich przeszłości. Ja mogę sobie poczytać ich akta, będąc na wolontariacie, ale oczywiście to, czego się dowiem, nie może wyjść poza mury schroniska.

A.L.: Jak ci się z nimi pracowało?

Ola: Chłopcy przyjęli temat z większym zainteresowaniem niż dziewczyny z podobnego ośrodka. Mieli bardzo dużo pytań. Jeśli chodzi o edukację seksualną, mają ogromny deficyt wiedzy. Był tam czternastoletni chłopak, który ma już dziecko. Powiedziano mi, że ta grupa jest ułożona, wszystko superładnie, nawet się nie stresowałam, myślałam: co będzie, to będzie. Z wejściem do grupy rzeczywiście nie miałam problemu, dobrze mnie przyjęli, ale okazało się, że w zasadzie ta grupa jest nowa i wychowawcy mają z nimi straszne problemy. Byłam więc w szoku, że są tacy aktywni, komunikatywni. Podobno zazwyczaj wcale tak nie było, a na tym warsztacie tylko jeden z nich się nie odzywał. Jeden na jedenastu.

A.L.: Dlaczego zdecydowałaś się studiować resocjalizację?

Ola: Hmm... sama byłam trudnym dzieckiem, krótko mówiąc, nie byłam grzeczną dziewczynką.

A.L.: Co konkretnie chciałabyś robić w tym zawodzie?

Ola: Chciałabym mieć własny ośrodek, być terapeutką. Wiem, że ta praca jest trudna, ciężka, czasami koszmarnie wypalająca, w dodatku niezbyt dobrze płatna. Ale na kasie mi nie zależy. Moje materialne marzenia są proste: mieć własną chatę, a w niej tylko półki z książkami.

A.L.: *A inne marzenia?*

Ola: Może udany związek.

A.L.: *Co byłoby w nim najważniejsze?*

Ola: Przyjaźń. Nie ma czegoś takiego, jak dobry związek i zły związek. Po prostu poznajesz kogoś i w trakcie wszystko się okazuje. Nie robisz grafiku na starcie: w środę i sobotę chodzimy do kina, a między tą i tamtą godziną do łóżka, najpierw kupimy psa, potem rybki, i tak dalej. Związek układa się w trakcie wzajemnego poznawania. Albo się nie układa. Nie lubię idealizować, lepiej przyjmować rzeczy takimi, jakie są.

Potrzeba rebelii

Ania (30 lat) pracuje na uczelni, mieszka na krakowskim poddaszu z dwiema suczkami. Zanim się poznałyśmy, wiedziałam, że uczestniczyła w akcji „Niech nas zobaczą”, która miała oswajać Polaków z istnieniem lesbijek i gejów. Między innymi właśnie w Krakowie można było obejrzeć fotografie uśmiechniętych par tej samej płci, zarówno na billboardach, jak i na specjalnie zorganizowanej wystawie. Akcja KPH wzbudziła w Polsce wiele kontrowersji, chociaż mało kto miał okazję zobaczyć zdjęcia na własne oczy. Przeciwko kampanii szczególnie ostro protestowała Młodzież Wszechpolska, słynąca z werbalnych i pozawerbalnych ataków na mniejszości seksualne i narodowe. Niedługo potem, podczas krakowskiego Marszu Tolerancji w 2004 roku, doszło do bezpardonowych aktów agresji wobec manifestantów, szeroko komentowanych w polskiej debacie publicznej.

Anna Laszuk: *Decyzja, żeby wziąć udział w kampanii „Niech nas zobaczą” bezspornie wymagała wiele odwagi. Nie obawiałaś się publicznego coming outu? Wiadomo, że niektórzy spośród uczestników akcji mieli w związku z tym kłopoty...*

Ania: Nie mam skłonności do chodzenia z transparentem i z tego powodu towarzyszyły mi mieszane uczucia wobec akcji, ale na szczęście żadne kłopoty mnie nie spotkały.

Przez długi czas nie miałam związków ze środowiskiem lesbijek i gejów. Dom, praca, posprzątać, zarobić, wyjść z psem - to było moje życie. Dopiero kiedy zerwałam z dziewczyną, którą bardzo kochałam, zaczęłam się angażować. Sądzę, że po części z przyczyn kulturowo-społecznych.

O „Niech nas zobaczą” dowiedziałam się z listy dyskusyjnej. Wróciłam z pogrzebu dziewczyny mojej znajomej - Iwka miała 18 lat, niedawno zaczęła studiować w Krakowie i zamieszkała z Dotką. W ciągu kilkunastu godzin umarła na posocznicę - chorobę, która w cywilizowanych krajach jest natychmiast rozpoznawana i leczona. Umarła pomimo tego, że dziewczyny odpowiednio wcześniej poszły na pogotowie. Pogrzeb Iwki był dramatem. Więc kiedy tuż po nim przeczytałam, że do „Niech nas zobaczą” nie ma chętnych, pomyślałam: „No nie, jeżeli w tym kraju nie znajdzie się 60 osób, które dadzą się sfotografować, to lęk się nakręci i nie zmieni się nic”. A zmienić musi się wiele, żeby dziewczyny takie jak Iwka i Dotka mogły się spotkać i żyć szczęśliwie, choćby przez chwilę.

Zgodziłam się na umieszczenie mojego zdjęcia z „Niech nas zobaczą” wyłącznie w galerii, na billboardy nie wyraziłam zgody (przed rozpoczęciem akcji podpisywało się umowę - można było zgodzić się tylko na wystawę, albo na wszystko). Nie zgodziłam się między innymi dlatego, że miałam wątpliwości dotyczące nazwy akcji. Drażnią mnie wszelkie podziały, także na „hetero” i „homo”, a tu w samej nazwie był podział: „Niech (w domyśle - ONI) NAS zobaczą”. W końcu walczymy o to, żeby takiej polaryzacji nie było. Ona jest przekłamaniami i nie ma sensu jej wspierać. Co więcej, uważam, że jeśli się chce zmieniać rzeczywistość, należy używać kategorii pozytywnych, a nie negatywnych, roszczeniowych („niech”). Wysyłałam nawet listy do ludzi, którzy mieli wpływ na nazwę akcji, ale twierdzili, że jest już za późno na zmianę. Rozumiałam, że na ostatnią chwilę trudno jest robić takie rzeczy, ale moim zdaniem było warto, ze względu na ideę akcji.

A.L.: Idea akcji od początku wzbudzała kontrowersje.

Ania: W Krakowie kontrowersje te ujawniły się jako problemy z lokalizacją wystawy. Początkowo zdjęcia miały być w Sukiennicach, w końcu pokazano je w innej galerii, której właściciele mieli później kłopoty - wypowiedziano im lokal. Przed wystawą zaktywizowała się Młodzież Wszechpolska, doszło do afery z niszczeniem billboardów. Niezłe mnie to przeraziło. Na tydzień przed ekspozycją zdjęć w Krakowie wpadłam w prawdziwą panikę. Nieszczerze dbam o takie rzeczy, jak opinia publiczna, a tu nagle dotarło do mnie, że jestem w trakcie studiów doktoranckich, niedługo będę szukać stałej pracy i wystawa może mi się, delikatnie mówiąc, nie przysłużyć. W dodatku przedstawicielka Kampanii Przeciw Homofobii zaproponowała, żebym rozdawała na uczelni (we własnym instytucie) ulotki na temat akcji, co było pewną przesadą. Nie zrobiłam tego, bo dopadły mnie wizje represji w rodzaju „nie jest pani właściwym wzorcem dydaktycznym”. Nad tym wszystkim unosiła się specyficzna atmosfera krakowska, którą w pełni ujawnił późniejszy Marsz nie-Tolerancji w naszym mieście. W każdym razie, w pewnym momencie nie miałam ochoty chwalić się swoim udziałem w akcji.

A.L.: Ale chyba i tak zostałaś rozpoznana na fotografii przez osoby z najbliższego otoczenia?

Ania: Prowadzę na uczelni sekcję genderową i przed przyjazdem wystawy do Krakowa napisałam na liście dyskusyjnej tej sekcji, że jestem na jednej z fotografii. Chciałam trochę wysondować reakcje na bezpiecznym gruncie i one okazały się bardzo pozytywne. Dostałam na przykład list od studenta, który entuzjasmował się moją odwagą.

Pewna studentka, której wizyty na wystawie się nie spodziewałam, powiedziała mi później: „Ślicznie na zdjęciu wyglądałaś!” Mam chyba niezły kontakt ze studentami i spodziewałam się, że zareagują przyjaźnie, jednak nie byłam tego całkiem pewna. Już po wystawie, w trakcie luźniejszych zajęć, jedna ze studentek wyjęła kolorową gazetę z dość głupawym psychotestem i zaczęliśmy go dla zabawy razem rozwiązywać. Jedno z pytań brzmiało: „Twoja przyjaciółka mówi, że jest lesbijką. Jak na to reagujesz?” W tym momencie wszyscy wybuchli śmiechem. Takim śmiechem, który oznaczał, że uznawanie bycia lesbijką za problem jest jakąś kosmiczną bzdurą.

Tak więc po wystawie odebrałam sporo pozytywnych głosów od znajomych, którzy odwiedzili galerię. Jak już mówiłam, pokazanie się na billboardzie byłoby dla mnie nie do przyjęcia, przede wszystkim ze względów zawodowych. Gdybym żyła w kraju, w którym powiedzą mi wprost: „Nie zatrudnimy pani, bo jest pani lesbijką” - mniejsza z tym. Ale to się nie odbywa wprost, tylko pokrętnie, więc później nawet nie ma z czym iść do sądu pracy. Nie zaryzykowałabym. Poza tym okropnie boję się przemocy. Moje bliskie otoczenie to jedno, a ogoleni na tyso faceci to drugie. Nie mam żadnych procedur radzenia sobie z agresją fizyczną. Nie wiem, co się w takiej sytuacji robi - ucieka? Coś innego? W obliczu przemocy po prostu głupieję, o czym w pełni przekonałam się na krakowskim Marszu Tolerancji. Pomimo obaw poszłam na ten Marsz. Poszłam, bo wiedziałam, że będzie tam masa znajomych, homo- i heteroseksualnych, chciałam, żebyśmy byli tam razem. Paradoksalnie, tych drugich spotkałam na marszu więcej. Chyba mniej się bali.

A.L.: *Miałaś za sobą coming out w rodzinie, kiedy zdecydowałaś się na udział w „Niech nas zobaczą”?*

Ania: Najbliższa rodzina dowiedziała się po prostu, kiedy zakochałam się w kobiecie i zaczęłam z nią żyć, nie musiałam robić coming outu. Nikt nie wmawiał mi od dzieciństwa: „Musisz wyjść za męża, wychowywać dzieci” albo „Masz ładnie wyglądać”. Ważne były samodzielność i swoboda. Moja mama pokazywała mi przez całe życie, że należy robić to, co się czuje i uważa za stosowne, i przede wszystkim tym się przejmować. Poza tym w moim domu nie rozmawiało się o sprawach osobistych. Mama, tato, siostra, ja - każdy żył swoim życiem, co nie przeszkadzało i nie przeszkadza nam w bardzo przyjaznych kontaktach. Kiedy zakochałam się w Ani (to była pierwsza osoba, którą naprawdę pokochałam), dość szybko pojechałam z nią do rodzinnego domu. I stało się coś niesamowitego - mama przytuliła ją i powiedziała: „Śniłaś mi się”.

Mama i siostra zorientowały się szybko, że jestem zakochana i w linii prostej połączyły to z osobą Ani. W sposób naturalny i oczywisty, bez komentarza ani żadnych dociekań. Owszem, miałam kłopoty z mamą, ale zupełnie innego rodzaju - powtarzała ciągle: „Nie angażuj się”. To było jej motto. Ostrzegła mnie przed bliskością, ale płęć nie miała dla niej chyba większego znaczenia, bo to samo mówiła mi wcześniej, kiedy miałam chłopaka. Jeżeli chodzi o nieco dalszą rodzinę, to odwiedzałyśmy ją z Anią przy różnych okazjach. Każdy mógł zobaczyć, że nosimy takie same obrączki i mamy wspólnego psa, ale rozmów na ten temat nie było. Czasami tylko dziadzio się śmiał, że „Ania jest jak twój narzeczony”, co i nas bawiło.

Po rozstaniu z Anią, kiedy w moim życiu zaczęły pojawiać się inne dziewczyny, miałam z mamą inny problem. Mama się do Ani przyzwyczaiła, pokochała ją i nie akceptowała naszego rozstania, w związku z czym potrafiła na przykład powiedzieć o innej kobiecie: „Ale ona jest brzydka!” Nie mogła zrozumieć, że te dziewczyny się zmieniają. Ostatnio nawet mi powiedziała: „Jak już NAPRAWDĘ z kimś będziesz, to dopiero wtedy mi powiedz”.

A.L.: Zdarza Ci się mówić wprost: „Jestem lesbijką”?

Ania: Opowiem taką historyjkę: umówiłam się na mieście ze znajomym z pracy, przed spotkaniem z nim byłam w knajpie gay-friendly, o czym niefrasobliwie go poinformowałam. Nawet nie sądziłam, że nazwa tej knajpy tak jednoznacznie mu się skojarzy, w dodatku ja sama byłam w niej pierwszy raz.

Nasz dialog wyglądał mniej więcej tak, że on przyciskał mnie do muru („Ale ty wiesz, że to jest knajpa dla gejów i lesbijek? Ja tam nie chodzę, dlaczego tam byłaś?”), a ja najpierw robiłam bliżej nieokreślone uniki (o czym tu mówić, z czego właściwie miałabym się tłumaczyć?), aż wreszcie powiedziałam: „TAK, JESTEM LESBIJKĄ”. Zdałam sobie sprawę, że dojrzałam do powiedzenia tego. Dotarło do mnie, że właśnie w taki sposób modyfikuje się rzeczywistość - powiesz o sobie znajomemu, jednemu, drugiemu, dziesiątemu. I pomału zmienia się ich świadomość. Zaczynają zdawać sobie sprawę z tego, że geje i lesbijki to nie są jacyś obcy z Marsa, tylko na przykład ty.

Jednak ludzie bronią się przed tą wiedzą na różne sposoby. Znajomy mi nie uwierzył. Jego zdaniem lesbijki nie istnieją. Zabawne, prawda?

A.L.: Śmieszno i straszno. Są różne koncepcje bycia lesbijką. Mam na myśli i te medyczne, i psychologiczne, i feministyczne, i różne inne.

Miałaś kiedykolwiek potrzebę dociekania ich słuszności, jakiegoś teoretycznego uporządkowania?

Ania: Wiesz, ja mam poważniejsze problemy ze sobą niż to, że jestem lesbijką, cha! cha!

Na przykład zastanawiam się czy nie mam zespołu ADHD albo depresji, bo zawsze byłam jakoś melancholijna albo dla odmiany nadpobudliwa. Ale poważnie: dla mnie samej teoretyczne uporządkowanie bycia lesbijką nie jest ważne. Kiedy po raz pierwszy kochałam się z kobietą, w ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Teraz nazywam siebie lesbijką ze względów społecznych, chociaż może powinnam mówić o sobie, że jestem biseksualna. Tylko że osoby biseksualne nie istnieją w przestrzeni publicznej, nie istnieje w ogóle taki podmiot. Mówienie „jestem biseksualna” brzmi asekurancko, niby-neutralnie.

A.L.: Wobec konfliktu światopoglądowego na temat seksualności?

Ania: No tak. Jeżeli mówisz, że jesteś lesbijką, to dajesz jednoznaczny sygnał światu. Tym samym zmuszasz ludzi do myślenia, ich świadomość ma szansę jakoś się poszerzyć. Nie jestem asekurantką, nie boję się życia na marginesie ani bycia spostrzeganą jako ktoś „z marginesu”. Biseksualizm jest w pewnym sensie nijaki, a poza tym dla mnie bycie lesbijką jest czymś więcej niż uprawianiem seksu z kobietami.

A.L.: To znaczy?

Ania: Mogę mieć fantazje erotyczne i z kobietą i z mężczyzną, mogę też mieć udany seks z facetem. Z tym, że na jakimś głębszym poziomie bycie z facetem nie jest dla mnie atrakcyjne, przynajmniej na razie. Wolę tworzyć związek z kobietą. Świat kobiecy bardziej mnie pociąga.

Samookreślenie typu „jestem lesbijką” albo „jestem feministką” jest ważne, bo w różnych sytuacjach ułatwia obronę siebie, swoich przekonań. Nie chodzi jednak o totalny manifest, o to, żeby z założenia odpowiadać jakiemuś ogólnemu pojęciu „bycia lesbijką” i tak, a nie inaczej wyglądać, zachowywać się, myśleć. To samo dotyczy feminizmu.

A.L.: Ale kto tworzy to ogólne pojęcie lub nakaz?

Ania: Po pierwsze stereotypy, wiadomo. Po drugie grupa, w ramach której się określasz, jej *mainstream*. Na przykład w Krakowie miały być organizowane studia genderowe i między innymi pojawił się pomysł, żeby jeden z kursów prowadził ksiądz Obirek. W środowisku tutejszych feministek rozpętała się afera - że Gender Studies to przestrzeń dla

kobiet myślących w kategoriach feministycznych, po co ksiądz?! A ja się pytam: dlaczego nie? Obirek, podobnie jak ksiądz profesor Kłoczowski, jest świetnym, kompetentnym wykładowcą. Jeżeli na Gender Studies ma być mowa o teologii, to dlaczego nie on miałby prowadzić te zajęcia? Nie można dyskryminować kogoś dlatego, że jest księdzem. I robiąc to, domagać się tolerancji.

Z tego samego powodu do szału doprowadza mnie, kiedy z jednej strony słyszę „ci geje i lesbijki”, a z drugiej „ci heterocy”. Jedno i drugie ujawnia logikę myślenia stadnego, grupowego, prowadzącą do walczącej opozycji „my - oni”. A właściwie brak logiki.

A.L.: *Ty się nie wpisujesz w żadne grupy?*

Ania: Ja muszę być rebelem, mam głęboką potrzebę rebelii, co chyba widać i słychać [śmiech]. Pewien przyjaciel powiedział mi niedawno: „Ania, po tobie splywa kultura!” Miał sporo racji. Chociaż nie znaczy to, że mam system kulturowo-społeczny w głębokim poważaniu - uważam się za jego pełnoprawnego uczestnika, na równi z innymi kompetentnego, by go zmieniać. Co, jak sądzę, wymaga zachowania dystansu, poruszania się na marginesie.

A.L.: *Przepraszam za dygresję, ale ona ma ścisły związek z kulturą - czy Frojtka nosi imię po Zygmuncie Freudzie?*

Ania: Oczywiście! Przede wszystkim Frojtka z założenia miała być psem, a nie suką, ale kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, zakochałam się i nie było odwrotu. Moja ówczesna partnerka chciała, żeby pies nosił imię po kimś ważnym, a że Freud ważnym człowiekiem był...

A.L.: *Zwłaszcza dla teorii kultury!*

Ania: ...zwłaszcza dla teorii kultury, no i posiada w środku dźwięczne „r”, więc świetnie pasuje do stworzenia rasy pies [śmiech]. Poza tym jak nie Zygmunt, to Anna, ponoć lesbijka [śmiech].

A.L.: *Hmm... my sobie rozmawiamy już jakiś czas, a Kretka sika, gdzie popadnie.*

Ania: Bo ja nie mam talentu wychowawczego! Chociaż z Frojtką jakoś poszło. Na samym początku, zanim szczepienia zaczęły działać, Frojtka przez jakieś dwa miesiące nie wychodziła z domu, w związku z czym później był problem z nauką sikania na dworze. Optymistycznie zakładałam, że zwierzątko samo zrozumie, o co chodzi, w końcu jednak trzeba było zastosować system nagród i kar. Było ciężko - podniesiony głos nie działał, klaps też nie. Wreszcie wykorzystałam to, że Frojtka

bała się urządzeń mechanicznych - jak nasikała w domu, to sadzałam ją na pralce. To była najokropniejsza rzecz, jaka suczce mogła się zdarzyć! Po trzech razach zadziało.

A.L.: Kretka wygląda na taką, która póki co niczego się nie boi, więc może być trudniej. Ale wracając do kultury: mam wrażenie, że maski - o których pisałaś pracę magisterską, a teraz piszesz doktorat - ściśle się z kulturą łączą. Dlaczego tak bardzo się nimi interesujesz?

Ania: Pod koniec podstawówki, a może na początku liceum, kilkakrotnie miałam taki sen: idę wzdłuż szpaleru ludzi, odwróconych do mnie tyłem. Kiedy zbliżam się do kolejnej pary, osoby stojące po moich obu stronach wykonują półobrót. Zamiast twarzy widzę białe, weneckie maski. Nie boję się, wciąż idę naprzód, z nadzieją, że kiedy odwróci się do mnie któraś z kolejnych osób, zobaczę twarz. Do niedawna nie pamiętałam tego snu, aż znalazłam w domu, u mamy, białą, gipsową maskę, którą zrobiłam w liceum. Kiedy wybierałam temat pracy magisterskiej, byłam przekonana, że dopiero co pojawił się w mojej głowie, a okazało się, że był we mnie od dawna. Wciąż niezupełnie wiem dlaczego. Maski są czymś na styku siebie i świata. Zachowujesz się tak, żeby inni cię zrozumieli, w tym celu coś nakładasz - zachowania, atrybuty, role - i posługujesz się tym. Bycie lesbijką też jest w tym sensie maską, jako fragment tożsamości, jeden z wielu. Maski to coś, co rodzi się w komunikacji. Dzięki ich przyjmowaniu i odrzucaniu (niekoniernie świadomym) dowiadujesz się, kim jesteś. Nie da się żyć bez masek. Pozostają jednocześnie w relacji do siebie, ale też do wzorców kulturowo-społecznych. Ja bym zresztą mogła o tym do rana mówić. Chciałabym napisać o tym książkę.

A.L.: Czego poza tym byś chciała?

Ania: Dostać dobrą pracę i nie martwić się o pieniądze na czynsz. Poznać fajną kobietę, z którą chciałabym żyć. I, jak już będę stara, móc powiedzieć - mogło być lepiej, ale było nieźle!

Kostium, który sama sobie uszyję

Marzena Lizurej (32 lata) mieszka we Wrocławiu razem ze swoją partnerką Magdą. Z wykształcenia polonistka (niedawno obroniła doktorat na Uniwersytecie Wrocławskim), interesuje się teorią i praktyką queer.

Anna Laszuk: *Opowiedz mi o tym, co to jest queer i nienormatywna seksualność, tylko takim językiem „dla ludzi”.*

Marzena: Nie akademickim?

A.L.: *W żadnym razie.*

Marzena: Hmm... akademickim byłoby lepiej, bo to są dość precyzyjnie opisywane problemy filozoficzne, dotyczące istnienia w świecie. Ale „dla ludzi” to by było mniej więcej tak: funkcjonujemy wśród kulturowych norm związanych z płcią i seksualnością, i mamy z tego więcej krzywdy niż pożytku. Zanim się człowiek urodzi, już zostaje wpisany w zewnętrzny, sztywny porządek, do którego będzie się go potem przykrawać. Na przykład do sztucznych kategorii hetero-, bi- i homoseksualności, czy do obowiązującego (jako najlepszy) modelu „prawdziwej kobiecości” i „prawdziwej męskości”, albo modelu życia w heteroseksualnej rodzinie typu „mama, tata plus dzieci”. Z punktu widzenia zdrowia psychicznego jednostek, ich autentyczności i potrzeb, te wszystkie normy są bardzo represyjne i w najlepszym wypadku mogą powodować frustracje. Nie każdy ma dość siły, żeby szukać szczęścia pod prąd, walczyć o swoją indywidualność, zwłaszcza że w kulturze europejskiej dobro indywidualne zaczęło się liczyć dopiero w XIX stuleciu. Wcześniej bezwzględnie najważniejsze były zasady reprezentowane przez grupę społeczną, jej cele, normy i wartości. Jeśli ktoś nie był uprzejmy się do nich dostosować, wyrzucano go na margines. Oczywiście, nadal to się dzieje, ale „ruch oporu” przeciwko normatywnemu myśleniu o seksualności i płci jest już bardzo prężny.

A.L.: *O co walczy „ruch oporu”?*

Marzena: Między innymi o prawo do różnorodności, do wyboru, do zmiany. Weźmy prosty przykład: nie jest tak, że człowiek od urodzenia wie, czy interesują go chłopcy czy dziewczynki, ale otoczenie wie za niego lepiej i popycha go w określoną stronę, jak trzeba, to siłą. Wybór polega na tym, żeby ten człowiek sam się dowiadywał i stawał tym, kim chce.

A.L.: Ty wiedziałaś od razu, kto cię interesuje?

Marzena: Ja nie zakładałam istnienia żadnej określonej seksualności. Jak miałam 15, 16, 18 lat, to mi się wydawało, że świat jest bardzo prosty: ludzie podobają się innym ludziom. Model biseksualny jawił mi się jako oczywisty, wpisywał się w moje przekonanie, że ważna jest osoba, a nie jej płeć. Nie chodziło o to, że ja miałam jakieś doświadczenia erotyczne tego rodzaju. Po prostu nie miałam barier w głowie. Ale, mimo wszystko, byłam wychowana - jak wszyscy - w kulturze heteronormatywnej i jak sobie wyobrażałam swoje życie, swoje wybory, to myślałam tymi kalkami: mężczyzna, dom, pięcioro dzieci. Potem przyszły jakieś zakochania w rozmaitych chłopcach, aż pewnego dnia zobaczyłam na konkursie polonistycznym dziewczynę, która tak zwróciła moją uwagę, że... szok! Nie szkodzi, że nie zamieniłam z nią ani jednego słowa, ale przez cały czas ją pamiętałam. Później, przypadkiem, spotkałam ją na studiach. Ona była po prostu... totalna!

A.L.: Co znaczy „totalna”?

Marzena: Miała absolutnie fascynującą twarz, w żadnym razie nie klasycznej urody, ale dla mnie to była najpiękniejsza dziewczyna, jaką w życiu widziałam. Grube, gęste brwi, duże usta, zresztą nie chodziło o detale, tylko o jakąś całość, kompletną ekspresję tej twarzy. Ona była „totalna” dla mnie, bo kiedy mówiłam komuś, że to jest taka piękna dziewczyna, słyszałam: „No, skąd! Gdzie piękna? Są ładniejsze!”, ale ona mi się podobała i koniec. Kiedy się poznałyśmy i zaprzyjaźniłyśmy, byłam nią tak zafascynowana, że wreszcie zdałam sobie sprawę: czuję pociąg erotyczny i już. Nie bardzo wiedziałam, jak przez to przejść, co zrobić, co powiedzieć? Ona nie podejrzewała niczego, a ja miałam nadzieję, że coś się stanie, samo. Ale jakoś się nie stawało, mimo, że w różnych sytuacjach mówiłam jej: „Wiesz, Kocham cię”, a ona na to: „Ja Ciebie też”, oczywiście nie rozumiejąc, o co tak naprawdę mi chodzi.

Kiedy po kilku latach tej męki wydusiłam z siebie bez ogródek całą prawdę, była bardzo zdziwiona. Ale też zdobyła się wobec mnie na takie akty czułości, na jakie nie zdobyła się wcześniej.

A.L.: Nastąpił happy end?

Marzena: Niestety, była związana z pewnym chłopakiem. Za to w moim życiu nastąpił przełom. Zaczęłam sobie zdawać sprawę, że to nie jest tylko taka teoria, że „wszyscy mogą się kochać” (płeć nieważna, niech żyje uczucie), wynikająca z lektur romantyczno-modernistycznych, tylko moje życie. I wybór, na ile będę wolna, czy pokonam barierę

nieakceptacji społecznej. Zaczęłam wyobrażać sobie, jak to ma być, jak ma wyglądać realnie. Miałam przecucie, że przechodzę z lepszej pozycji (ze świata, który ma władzę, siłę i opatentowane racje) na gorszą, z której będę ciągle się bronić. Zaczęłam myśleć o tym, jakim tabu w kulturze jest seks, erotyka. Jak gładko „nietypowe” zostaje odczytane jako „złe”, jak łatwo można zostać naznaczonym, wykluczonym. Zmuszonym do godzenia się na jakieś parawany i ustępstwa z racji swojej nietypowości.

Oczywiście na początku wpadłam w pułapkę zastanawiania się, skąd, dlaczego, może coś w rodzinie było nie tak, może to, może owo. Aż zorientowałam się, że takie myślenie nic nie daje, poza wzmocnieniem w sobie tego naznaczenia. Nie znałam wtedy żadnych stron internetowych z informacjami o lesbijkach. Wiedziałam, że istnieje gdzieś w pobliżu klub, bardziej gejowski niż lesbijski, mocno zakamuflowany, owiany tajemnicą i aurą perwersji. Ale dzięki mojemu zainteresowaniu feminizmem trafiłam w jakimś piśmie na trop OLA - Archiwum...

A.L.: Czyli Ogólnopolskiego Feministycznego Archiwum Lesbijskiego...

Marzena: ...i zamówiłam dwa numery „Furii Pierwszej”, którą OLA - Archiwum wydawało. Chciałam się czegoś dowiedzieć i pomyślałam nawet, że może napiszę jakiś tekst o lesbijkach (kończyłam właśnie polonistykę). Oczywiście za mało wtedy wiedziałam, żeby napisać coś sensownego, moje analizy były, obiektywnie rzecz biorąc, banalne, chociaż dla mnie ważne, bo osobiste, takie zupełnie świeże.

A.L.: „Furia Pierwsza” stawiała wysoką poprzeczkę, tam były pierwszorzędne artykuły o lesbianizmie, fragmenty literatury nie tłumaczonej dotąd na język polski, niektóre teksty Judith Butler, twórczyni teorii queer, i inne z zakresu lesbian studies.

Marzena: Olga Stefaniuk, twórczyni OLA, prowadziła też w Warszawie coś w rodzaju Lesbian Studies, spotkania dotyczące filmów i literatury lesbijskiej, na które zaczęłam przyjeżdżać. To mi bardzo dużo dało, ukształtowało moje myślenie na temat związków między kobietami, istnienia lesbijek w świecie. Przedmiotem tych zajęć była między innymi kwestia: jak zwiększyć świadomość społeczną na temat kobiet, które są z innymi kobietami. I żeby to się nie wiązało z krzywdzącymi wyobrażeniami, których jest mnóstwo w kulturze, typu: brzydkie dziewczyny, których nikt nie chciał, albo takie, które zostały zranione przez facetów.

Co najmniej tak samo ważny był kontakt ze wszystkimi kobietami, które na te spotkania przychodziły. Wreszcie przestałam się czuć sama. Rozumiesz, z całkowitej pustki trafiłam do grupy dziewczyn, z którymi można było pogadać i poznać kobiety żyjące w związkach z innymi kobietami. Ja sobie wtedy na swój sposób opracowywałam własne pożądanie, jego kształty, pisałam wiersze i opowiadania. Zaczynałam świadomie konstruować swoją tożsamość, ale to nie było wcale takie gładkie, pozbawione ambiwalencji.

A.L.: Jakiego rodzaju?

Marzena: Bałam się na przykład wpisania w schemat męskiej lesbijki typu *butch*, bo sama uwielbiałam te wszystkie makijaże, sukienki, zabawy w tworzenie swojego obrazu, one były dla mnie bardzo ważne. I chciałam się upewnić, czy przypadkiem nie ulegam potrzebie bycia inną, oryginalną - „Och, ja teraz będę taka szalona i zostanę lesbijką!” - przerysowuję oczywiście, ale chodzi o to, że potrzebowałam czasu na rozpoznanie, kim właściwie jestem.

A.L.: Kiedy zaczęłaś być widoczna jako lesbijka dla innych?

Marzena: To przyszło później. W moim otoczeniu istniała dość śmieszna sytuacja: miałam na studiach koleżanki, które robiły imprezy tylko dla kobiet. Pozornie nic takiego, bo na polonistyce większość stanowiły dziewczyny, ale później się okazało, że wiele z nich to były pary albo dziewczyny, które chciały być z innymi kobietami. I ja miałam przecucie, że tak to wygląda, ale mówiłam sobie: „Wydaje ci się, przesadzasz”. To wszystko były tajemnice, które teraz oczywiście interpretuję jako klasyczną niewidzialność lesbijek. Wielkie, kulturowe tabu nałożone na pewne słowa, jak „lesbijka”, „homoseksualizm”, powodujące, że ze względów społecznych wygodniej jest nie nazywać. Sama dość długo też nie nazywałam. Z moimi rodzicami nie rozmawiałam nigdy otwarcie na ten temat, choć przecież muszą wiedzieć, zwłaszcza, od kiedy kupiłyśmy z Magdą na spółkę mieszkanie. W każdym razie od czasów OLA - Archiwum wiele się w moim życiu zmieniło.

A.L.: Na przykład powstało koło naukowe „Nic Tak Samo” na Uniwersytecie Wrocławskim, w czym miałaś bezpośredni udział. Jak to było?

Marzena: Znałam we Wrocławiu jednego chłopaka, który był gejem i wcześniej działał w Lambdzie. Powiedział mi, że jest parę osób, które chciałyby coś robić razem. Początkowo nasze wizje były chaotyczne, rozmazane, wiedzieliśmy tyle, że chcemy stworzyć grupę właśnie na Uniwersytecie. Rozwiesiliśmy więc plakaty z ogólną informacją, że

powstaje stowarzyszenie, które będzie się zajmowało kulturą gejosko-lesbijską w ramach Uniwersytetu. Na początku było nas pięć w porwach do 15 osób, przychodzili ludzie z matematyki, z filozofii, z antropologii, właściwie zewsząd. To stanowiło pewną trudność, chociażby dla wspólnego tworzenia projektów, ale nam zależało, żeby spotkania były otwarte dla wszystkich.

Był i oddźwięk negatywny, ktoś napisał list do rektora, że tu się promuje zбочeńców, co na szacownym uniwersytecie jest nie do przyjęcia, że nie powinno się pozwalać na takie spotkania, bo za chwilę powstanie grupa zoofilów, i tak dalej w tym stylu. Twórcy tego listu powiesili go także na uniwersyteckiej tablicy informacyjnej, sytuacja zrobiła się niefajna. Postanowiliśmy więc działać szybko, zanim pomysł zostanie spacyfikowany. Akurat jedna z dziewczyn, która zakładała Interdyscyplinarną Grupę Gender Studies przy wydziale anglistyki, zaproponowała nam, żeby to stowarzyszenie tam włączyć. I tak zrobiliśmy, co ukierunkowało nasze działania w akademicką stronę, stworzyliśmy Koło Naukowe Gender Studies „Nic Tak Samo”.

Nazwa dobrze brzmiała i odnosiła się zarówno do odmienności, jak i do hasła antyfaszystowskiego „każdy inny - wszyscy równi”.

A.L.: Co przyciągnęło do was ludzi z rozmaitych naukowo światów? Od matematyków przez polonistów do antropologów...

Marzena: To, że na uniwersytecie można pogadać o seksualności nienormatywnej, co wszystkim się kojarzyło w pierwszym odruchu z homoseksualizmem. Potem, przez studiowanie różnych tekstów, słuchanie wykładów (bo zapraszaliśmy różne osoby zajmujące się *queer theory* i studiami gejosko-lesbijskimi jako dziedzinami naukowymi), ludzie nabrali świadomości, czym jest queer.

A.L.: To ja znowu zapytam czym jest, bo wcale nie jest to takie proste.

Marzena: *Queer theory* jest obszarem nauki, który bada odmiennosc, jest też koncepcją tożsamości, która nie ma być jednoznaczna i niezmienna, ale właśnie płynna i niepodlegająca kulturowym nakazom. Słowo queer oznacza „odmieńca”. Można powiedzieć, że odmieńcami są wszyscy, którzy nie uznają płciowo-seksualnej normy. Także ludzie, którzy w związkach dwupłciowych (męsko-żeńskich) nie realizują takich wyobrażeń, że mężczyzna ma być współczesną wersją Tarzana, a kobieta jego Jane. Wystarczy się przyjrzeć ludziom wokół, żeby zobaczyć, że nie mają takich samych cech. Nawet, jeżeli większość męż-

czynn, których spotkaliśmy, uwielbia siłownię, to spotkamy także takich, którzy lubią dzieci, chętnie gotują, a ich ulubionym kanałem telewizyjnym jest Fashion TV...

A.L.: *Ten z modą...*

Marzena: ...i już nie spełnia się święta kategoria różnicy. To samo z kobietami. Rzeczywistość rozwała normy, ale w kulturze mamy do czynienia z tym niesamowitym fenomenem, że pomimo namacalnych doświadczeń wierzymy, że norma to prawda o świecie, i odwołujemy się do niej bez końca.

Queer jest pomysłem na wolność wyboru w zakresie swojej tożsamości. Ale oczywiście nie chodzi o to, żeby nagle wszyscy ludzie zaczęli eksperymentować i robić różne dziwne rzeczy, żeby w ten sposób realizować ideę swobodnego konstruowania tożsamości. Jeśli ktoś przez 40 lat dobrze się czuje w związku z jedną osobą, płci przeciwnej, to świetnie. Tylko nie jest świetnie, kiedy rządzi przymus: „Tak ma być, bo to jest dla wszystkich najlepsze”.

A.L.: *Czy tożsamość widziana jako coś, co można ciągle dekonstruować i konstruować na nowo, nie jest czymś nieznośnie niestabilnym?*

Marzena: Może nie daje takiego poczucia bezpieczeństwa, ale przynajmniej jest autentyczna, bliższa skórze. Jeśli ma być w dużej mierze narzucona, to tak, jakby założyć cudzy kostium, zapiąć go pod szyję i udawać, że nie ciśnie. Jasne, że tożsamość po części jest kulturowym kostiumem, ale nie wszystko z niego pasuje każdemu.

A.L.: *Chcesz nosić kostium, który nie uwiera?*

Marzena: Który sama sobie uszyję.

A.L.: *Ale jednocześnie taki kostium może być bardzo ekscentryczny czy kompletnie niezrozumiały dla innych. Porozmawiajmy o biseksualności, ona jest bardzo dobrym przykładem takiego „nie wiadomo czego”.*

Marzena: Moim zdaniem to jedno z większych wykluczeń, ze względu na panujące przekonanie, że osoba biseksualna jest „szpiegiem w obozie”, przychodzi tutaj niby do nas, ale tak naprawdę nie jest „nasza”. Z punktu widzenia normy homoseksualnej (bo i taka istnieje) bywa postrzegana jak ktoś, kto chciałby mieć ciastko i zjeść ciastko. Słyszy: „Tak to nie można, trzeba się zdecydować”, co jest konsekwencją wytworzonej w kulturze polaryzacji homo - hetero. Biseksualista/ka nie budzi zaufania i jest odbierany/a jako osoba nieokreślona. Z perspektywy

osoby homoseksualnej, która miałaby się związać z biseksualną (wiem to z różnych rozmów), występuje też obawa, że oto przychodzi ktoś z tego uprzywilejowanego świata hetero, zabawić się na chwilę, a przy pierwszej lepszej okazji i tak wróci na swoje pozycje, stworzy ostatecznie związek bezpieczniejszy społecznie, bardziej „opłacalny”.

A.L.: Z tego samego powodu biseksualizm z perspektywy heteronormy nie jest taki groźny, bo zgodnie z omawianym stereotypem, jeśli ktoś idzie się tylko pobawić, to wróci na łono „porządnego” społeczeństwa.

Marzena: Tyle, że bezpieczeństwo w związku wynika z odpowiedzialności, umiejętności, bez względu na orientację, zbudowania czegoś, a nie identyfikacji z jakąkolwiek grupą.

A.L.: Czy każda grupa okopana na swoich pozycjach ma tendencje do wykluczania?

Marzena: Owszem, i właśnie queer ma spełnić rolę antidotum na wykluczenie, jako teoria przeciwna przymusowi tworzenia tak zwanej twardej tożsamości. Normy grupowe wyznaczają twardą tożsamość, na przykład absolutnie dominująca norma heteroseksualna i bardzo jej bliskie normy „prawdziwej” męskości oraz „prawdziwej” kobiecości. Te szablony do powszechnego użytku uzasadnia się „prawami natury”, które właśnie z naturą nie mają wiele wspólnego, natomiast patologizują, wykluczają wielki obszar zachowań i możliwości. Dziwaczny jest mężczyzna ubrany w sukienkę, chociaż nikt nie potrafi powiedzieć, co w tym złego. Dziwaczne wydają się nawet osoby, dla których seksualność w ogóle nie jest ważna, określają się jako aseksualne albo deklarują życie w świeckim celibacie. Kultura z jednej strony robi z seksualności tabu, a jednocześnie z każdej kolorowej gazetki wyziera przesłanie, że tak naprawdę my wszyscy (a zwłaszcza mężczyźni) non stop myślimy o seksie.

A.L.: Ale celibat kojarzy się jednak z poświęceniem seksualności na rzecz „czystości”, co może nie znajduje dziś powszechnego zrozumienia, ale też nie sędzę, żeby było szczególnie piętnowane. Co innego gry z płcią czy transseksualizm.

Marzena: No tak, bo kategorie biologiczne traktowane są jako absolutnie święte, wszyscy jesteśmy wychowywani w poczuciu świętości i naturalności kostiumu przynależnego określonej płci. Ludzie, którzy zmieniają płeć, bardzo często po tej zmianie umacniają siebie i otoczenie w przekonaniu, że zawsze mieli właśnie tę płeć, którą przybrali. Wolą wymazać przeszłość, zaprzeczyć jej, żeby uniknąć tego zdumie-

nia, nieakceptacji społecznej. Zdarza się, że wymyślają sobie nowe dzieciństwo, budują na użytek nowe życiorysy, to jest potwornie obciążające psychicznie. Rozmawiałam kiedyś z dwiema kobietami (M/K), które zmieniły płeć. Między innymi powiedziały mi, że wśród osób transseksualnych jest bardzo dużo samobójstw, zwłaszcza wśród starszych ludzi. Nie wszyscy dokonują zmiany płci w wieku, dajmy na to, lat 18.

A.L.: Mam wrażenie, że teoria queer przełożona na praktykę miałyby oznaczać solidarność wykluczonych, a to jest utopijne. Niektóre lesbijki mówią: „Nie lubię tych męskich kobiet”, albo: „Co ja niby mam mieć wspólnego z transseksualistami?”

Marzena: Może w praktyce to jest utopijne, ale nie szkodzi, koncepcje filozoficzne nie są pragmatyczne. A to jest koncepcja, która ma do czegoś inspirować, poszerzać pole świadomości. To też odpowiedź, reakcja na dominujący dyskurs w kulturze, dość wywrotowa, i bardzo dobrze. Do tego otwarta i będzie pewnie ewoluować. W feminizmie też był okres, kiedy wspólna tożsamość kobiet wydawała się bezdyskusyjna, czy po prostu na tym się skupiano, a potem coraz więcej było głosów różnicujących, że nie ma wspólnej tożsamości, a to, co nas łączy, to wspólna opresja. Ale też dostrzegano, że opresja kobiet z Trzeciego Świata czy kobiet czarnych jest inna, niż kobiet z klasy robotniczej czy białych kobiet z klasy średniej. Podobnie społeczna opresja lesbijek nie jest identyczna jak gejów. Ale ich źródła są jakoś wspólne, między innymi ta kulturowa norma, która mówi, że płeć partnera/partnerki jest najważniejszą osią naszych osobistych wyborów.

Ludziom się wydaje: „Tacy jesteśmy, a tacy na pewno nie”. Myślę, że nie ma nic na pewno.

Kobiety są realne

Agnieszka (30 lat) pochodzi z Warszawy i tam mieszka. Pracuje naukowo i jako tłumaczka. Przez 6 lat była mężatką, potem przyszły kobiety.

Cztery lata temu zakochałam się w kobiecie. To była tak uderzeniowa dawka uczuć, że wszystko pękło: moje małżeństwo, całe dotychczasowe życie. Jakby strzelił we mnie piorun, i rzeczywiście, rozwiązało się to błyskawicznie. Dwa miesiące po jej poznaniu rozstałam się z mężem, reszta to już były formalności.

Wcześniej, w tamtym życiu, wszystko było w porządku. OK. Wykonywaliśmy plan. Nadal uważam, że to był bardzo udany mąż i bardzo dobre małżeństwo; nasze rodziny i przyjaciele też byli zadowoleni. Bardzo ładnie skończyliśmy studia, pracowaliśmy zgodnie z wykształceniem i zainteresowaniami. Można tak było żyć aż do śmierci. Cały czas miałam podskórne wrażenie, że to mi się tylko śni, ale sądziłam, że to jakiś mój poważny problem. Teraz prawie nic z tego snu nie pamiętam, jakby życie zaczęło się później.

Zawsze czułam się feministką i rewolucjonistką, tylko w ukryciu. Nie manifestowało się to w mojej codzienności, zresztą, nie zostałam wychowana na manifestantkę. Opierałam się temu, ale każdy rok umacniał pancerz: z zewnątrz byłam coraz lepiej dostosowana. I nie spodziewałam się już wyzwolenia. Próbowалаm różnych sposobów na „samorealizację”, niektórych bardzo śmiesznych, na przykład starałam się coś pisać, ale nic z tego nie wychodziło. Po prostu nie miałam skąd czerpać i nie miałam po co tego robić.

Kiedy ją poznałam i spadła na mnie ta miłość, to była kuracja wstrząsowa. Ta kobieta nie przypominała żadnego innego człowieka. Kobiety - oprócz ciała - właściwie też nie, była i jest zupełnie osobnym zjawiskiem. Dla mnie była jak drzwi do zdarzeń, emocji, twórczości, które wcześniej tylko słabo przeczuwałam. Nie była aniołem, nie przynosiła samych cudów i słodkości. Była raczej wyjątkowym dramatem życia i tym mnie wzięła. Kolorami, pazurami, temperaturą, rzadko spotykanym formatem i niebotyczną skalą. Co ja sobie wtedy myślałam? Nic. To się działo. Nie miałam okazji ani czasu myśleć, nie było miejsca na nic poza tym uczuciem. Szłam jak w ogień. Nie zastanawiałam się, co z tego wyniknie, nie analizowałam, działałam zdecydowanie, skutecznie, wyłącznie dla siebie.

Wydałam miliony na telefony i pociągi. Spotykałyśmy się w poży-

czonych mieszkaniach, z których wychodziłyśmy rzadko, dopiero pod wieczór.

Oczywiście, że się bałam. Mąż na szczęście sam dostarczył mi okazji, żeby powiedzieć mu, co się dzieje, zapytał o fragment z jej bloga. Wyjaśniłam z miejsca, że tak, chodzi o mnie. Musiałam być bardzo przekonująca, bo on też nie miał wątpliwości, że nie ma już powrotu ani innego wyjścia. Żal mi go, zafundowałam mu potężny cios, a nawet nie można powiedzieć, że się o to prosił czy był winny. Ja też nie czuję się winna, tylko wolna.

Bałam się powiedzieć rodzicom, ale zrobiłam to zaraz po rozmowie z mężem. Najłatwiej poszło z siostrą: potraktowała wszystko jak amerykański film. Mama płakała, bo czuła, że to ona zrobiła coś nie tak. Ojciec był w szoku. Ale wszyscy stanęli po mojej stronie, co nieczęsto się zdarza. Pokazali klasę, za co im jestem bardzo wdzięczna i po prostu ich podziwiam. Ani razu nie usłyszałam: „Co ty robisz ze swoim życiem, oszalałaś” i żadnych wyrzutów, że ich kompromituję. Powiedzieli za to, że cokolwiek zrobię, nie przestaną mnie kochać. Nie, nie chwają się przed całym światem, że mają córkę rozwódkę i lesbijkę, ale też nie odżegnują. Nie rozmawiamy często na ten temat, wyczuwam, że jest trudny, nie wiem tylko, czy bardziej dla nich, czy dla mnie. Mimo to czuję ich akceptację; wsparli mnie w komplikacjach mieszkaniowo-kredytowych; w chwilach politycznych kryzysów podpisują petycje. A moja mama, zdecydowanie domowa istota, czasem przychodzi na imprezy około-LGBT, na przykład promocje książek, i na koniec Manify (na całą nie, bo w marcu jeszcze marznie). Robi to bardziej dla mnie niż dla siebie, ale jest naprawdę dzielna.

Jeżeli chodzi o opinię znajomych i przyjaciół, to nic mnie nie obchodziła. Ja walczyłam o życie. Miałam nadzieję, że ci, którzy są najbliżej, zostaną przy mnie, i tak się stało. A nawet zbliżyliśmy się bardziej. To samo mogę powiedzieć teraz o wszystkich moich relacjach z ludźmi: są bliższe i lepsze. Dalszym otoczeniem się nie przejmuję, nie potrzeba mi do szczęścia powszechnej akceptacji.

Dość szybko zaczęłam szukać dla siebie miejsca w ruchu feministycznym i lesbijskim. Chciałam znaleźć podobnych ludzi i przekonać się, do kogo właściwie jest mi blisko. Od 2004 roku współorganizowałam warszawskie Manify, wzięłam udział w warsztatach Lesbian Empowerment, które przygotowała Konsola. Wielkie przeżycie. Pierwszy raz spotkałam tyle lesbijskich, zaangażowanych w życie, świetnych dziewczyn. Potem razem zakładałyśmy Porozumienie Lesbijek (LBT). Byłam zafascynowana możliwością wspólnego działania, przełożenia pomy-

słów na czyn, rewolucyjny oczywiście. Cieszyłam się tymi akcjami jak dziecko psotą. Fioletowa Rewolucja na Manifie 2005, „Poradnia Antyhomofobiczna” na ulicach, kalendarium „LESteśmy w Polsce”, *Fakty przeciwko mitom o lesbijkach i gejach* - te wszystkie widzialne rzeczy zostały zrobione po raz pierwszy, pierwszy raz przez kobiety. Dlatego ta grupa jest taka ważna, zwłaszcza teraz, na początku długiej dyskusji o tożsamości. Uświadamia, że lesbijki, biseksualistki, transseksualistki są i mogą być tam, gdzie chcą. W tej chwili, po niecałych 2 latach wyczerpującej, mocno chaotycznej aktywności, powstaje fundacja FioLet; mam nadzieję, że w nowej formule grupa utrzyma siłę i chęć działania. Oby tylko nie osłabł nacisk polityczny.

Jeśli o mnie chodzi, już nie stoję w pierwszej linii. Coraz bardziej zaczynam rozumieć (m.in. dzięki pozytywnym doświadczeniom z „Poradni Antyhomofobicznej” i negatywnym z rozmaitych debat, dyskusji, a nawet po części z Parad i Marszów), że najlepszy sposób na zwalczanie każdej dyskryminacji to bezpośredni kontakt dwóch stron, jak najbliższy. Bez rewolucyjnego haju i bez spektakularnych doniesień w mediach. Poza tym przekonałam się, że aktywność polityczna czy publiczna jest dla wielu osób metodą na rozwiązanie osobistych problemów. Nie chcę dawać sobie takiej szansy. Ale chyba najważniejsze jest to, że nie czuję już potrzeby tak wyraźnej, głośniejszej identyfikacji. Nawet określenia „lesbijka”, „osoba homo/heteroseksualna”, „queer” wydają mi się nie na miejscu. To jedna z wielu metod ujmowania w ramy, w szufladki. W pewnym sensie konserwatyści mają rację, że to, z kim się żyje i kogo się kocha, jest sprawą prywatną. Co dla mnie oznacza, że nie muszę się deklarować. W idealnym świecie.

Najważniejsze moje odkrycie: gotowe role to groźne ograniczenie. W relacji z kobietą porwało mnie właśnie to, że nie musimy się dopasowywać do istniejącego układu (którego nigdy nie czułam się częścią). Można być w różnych momentach - albo w tym samym momencie - kobietą, mężczyzną, dzieckiem, opiekunem, kotem, psem. I to jest zgodne z rzeczywistością, w której żyjemy: nie ma biegunów ani porządku, są ciągle zawirowania, które rozrywają ją od środka. Rozumiem dążenie do bezpieczeństwa przez narzucenie dyscypliny i czarno-białego ładu. Sama chciałabym poczuć to bezpieczeństwo. Ale świat się takim próbom wymyka. Nie można powstrzymać tej siły.

W bliskości z kobietą znalazłam właśnie taką siłę, seksualne pożądanie życia. Związki między kobietami, którym teraz przyglądam się z bliska, na pewno nie są spokojnym portem. To nie jest wytchnienie od trudów. Zbyt wiele łączy kobiety, za bardzo się znają, żeby mogły

się bezpiecznie zbliżyć. Ale w tym bolesnym tarciu skóry o skórę jest prawda.

Z mojej wielkiej mitycznej miłości nie powstał związek - nie w potocznym rozumieniu. To było pewnie za gorące, zbyt nieprzytomne, za wiele było nadziei, a do tego nierealnych wymagań (ja też miałam być kimś innym, niż byłam), ran z przeszłości, emocjonalnej szarpaniny, żeby mogło się skończyć wspólnym kredytem na mieszkanie i psem. Czasem tęsknię za taką wspólnotą, ale jeszcze bardziej boję się pozornej dojrzałości. Bardzo dużo musiałam zapłacić za doświadczenie, mocno bolało i boli, umęczyłam się, przelałam krew, ale nadal to najlepsze, co mi się w życiu zdarzyło.

Wiele kobiet mogłoby odkryć i przeżyć coś podobnego. Mężczyzn też. Oczywiście nie nawołuję do przejścia na stronę homo, to nie takie proste. Chodzi mi o znalezienie własnej drogi, często innej niż ta, której się od nas oczekuje. Dla mnie tą drogą było odkrycie kobiet, bogactwa, wielkości, tajemnicy, zmienności życia, które w nich pulsuje. Są mi bardzo bliskie. Znam wielu miłych, fajnych mężczyzn i kilku porządnych, ale tylko kobiety są realne.

Drag kingi

„Jakoż młódka rodem z Fontaines (...) przebrała się za mężczyznę i służyła jako chłopak stajenny przez 7 lat w oberży na przedmieściach Foye, a potem poślubiła miejscową dziewczynę, z którą żyła około 2 lat, i uprawiała winorośl. Po tym czasie odkryto jej występki, którym postugiwała się, by grać rolę męża; pojmano ją zatem i po spowiedzi spalono żywcem”.

W minionych stuleciach kobiety, które ośmieliły się przywdziawać męski strój i tym samym aspirowały do roli i pozycji mężczyzny, karano śmiercią. Historie opisywane przez Marie Jo Bonnet pokazują, że przebranie nie zawsze wiązało się z innymi niż heteroseksualne preferencjami seksualnymi. Gry z płcią miały różne znaczenia, ale wszystkie z pewnością burzyły - i nadal burzą - zastany w kulturze porządek ról, przypisywanych płciom. Bycie „drag” (a nawet samo oglądanie ich występów) to okazja, żeby wyzwolić się z przyswajanego od dzieciństwa repertuaru nakazów i zakazów przeznaczonych dla kobiet. To jedna z dróg do odkrycia potencjału siły, pewności siebie i sensu zachowań, które kulturowo są zarezerwowane dla mężczyzn. To budzi emocje i kontrowersje.

Jesteśmy jak yin i yang

Martę (22 lata) i Aśkę (21 lat) poznałam w Warszawie, kiedy zaczynały występować jako drag kingi w zespole Warsaw Boys. Trio (kierowane początkowo przez Megi, która miała większe doświadczenie sceniczne) dynamicznie rozwijało swój repertuar. Dziewczyny naśladowały męskie ikony muzyki rozrywkowej (jak ulubiony idol Aśki, Elvis Presley) i bawiły się na scenie rolami zarówno mężczyzn, jak i kobiet, bo dla drag kinga płeć jest przede wszystkim przebraniem i rolą.

Anna Laszuk: *Czym się zajmujecie w życiu poza byciem drag kingami?*

Asia: *Ja właśnie próbuję załatwić sobie pracę w ochronie lub w agencji detektywistycznej. Od dzieciństwa chciałam być żołnierzem albo policjantką. Przez jakiś czas trenowałam karate, niestety przerwałam, czego teraz żałuję, bo mogłabym być trenerką. Chciałam udzielić kilku lekcji Marcie, niestety, chyba się przestraszyła. Po maturze myślałam o szkole policyjnej, ale w końcu trafiłam do szkoły dla pracowników*

1. Marie Jo-Bonnet, *Związki miłosne między kobietami od XVI do XX wieku*, Warszawa 2001, s. 27.

ochrony i detektywów. Obiecywano nam współpracę ze strażą miejską i policją, sztuki walki, ju-jitsu. Generalnie byłam rozczarowana, bo okazało się, że prawie wszystko sprowadza się do zakładania kajdanek i samoobrony. Ale szkołę skończyłam i mam dyplom.

Marta: Mnie zawsze pociągała stylizacja i charakteryzacja, moja mama zajmuje się tym zawodowo. Przebieranki bawiły mnie od dziecka. Nie zapomnę nigdy dnia, kiedy przyszedłam do szkoły z plecakiem pełnym dziwnych ubrań, peruk, koralików i innych gadżetów. Na WOS-ie aranżowaliśmy wiadomości, poprzebierałam wszystkich. Na co dzień w klasie byłam nieśmiała, niepozorna, a wtedy zaszalałam! I świetnie się bawiłam! Pracuję, żeby zarobić na swoje utrzymanie, ale na razie moje plany zawodowe są niesprecyzowane. Rozważam w przyszłości studiowanie psychologii lub skończenie szkoły związanej z charakteryzacją i stylistyką.

A.L.: Od przebieranek do bycia drag kingiem jest całkiem niedaleko.

Marta: Może w moim przypadku to powołanie, bo już w podstawówce (czy na koloniach) miałam różne męskie ksywki - Elvis, Marek, Michel. Potrafiłam się przebrać za chłopaka i pójść tak na dyskotekę tylko po to, żeby tańczyć z moimi koleżankami, które stały smutne pod ścianą (bo chłopcy się nimi nie interesowali).

Asia: Ja kochałam się w Janku z „Czterech pancernych”, w takim sensie, że sama chciałam nim być.

Marta: Kiedy odkryłyśmy z Asią, czym są drag kingi, od razu wiedziałam, że chcę to robić. Uczestniczyłyśmy obie w dragkingowych warsztatach podczas obozu Girlz Get United w Niemczech. Oglądałyśmy na wideo pokaz niemieckiej grupy, zaczęłyśmy rozważać możliwość podobnych występów w Polsce, w końcu zaczęłyśmy próbować - doklejać sobie wąsy, brody, poruszać się w sposób charakterystyczny dla mężczyzn. Później dzieliłyśmy się tym doświadczeniem ze sobą, rozmawiałyśmy, jak ono wpływa na nasze zachowanie, co nam daje. A po powrocie postanowiłyśmy razem z Megi założyć pierwszy w Polsce boysband.

Asia: Ja czułam podczas tych warsztatów presję, ponieważ to Marta bardzo chciała, żebym się również przebrała. Ale jak dałam się namówić, nie żałowałam. Bałam się kontaktu z publicznością, czułam tremę. Nie chciałyśmy zaczynać występów bez świadomości, że jesteśmy dobrze przygotowane.

Marta: Na początku brakowało nam koncepcji, od czego należy zacząć. Godzinami obserwowałyśmy, jak faceci tańczą, jak się poruszają, jak podrywają dziewczyny. Ale już po naszym próbnym pierwszym razie spotkałyśmy się z bardzo pozytywnym odbiorem, dostałyśmy kilka propozycji, nawet z Lipska.

A.L.: *Gdzie po raz pierwszy występowałyście jako drag kingi?*

Asia: W Warszawie na Ladyfeście, wcieliłyśmy się w gangsterów mafii sycylijskiej.

A.L.: *Co odkrywa dziewczyna, przebrana za mężczyznę?*

Asia: Może chociażby swobodnie usiąść, rozkraczyć się na fotelu, i okazuje się, że wypada jej to robić!

Marta: Niektóre dziewczyny korzystają z możliwości wcielenia się w męskie role, by móc się wyładować, powiedzieć coś, co kobiecie ze względów kulturowych nie uchodzi... Osobiście nie lubię przesadzać. Siła, pewność siebie - tak, ale są rzeczy, których nie zrobię ani jako kobieta, ani jako mężczyzna.

A.L.: *Wasze rodziny i znajomi wiedzą, że występujecie jako drag kingi?*

Marta: Z moją mamą, która jest stylistką, nie miałam żadnego problemu. Tata postrzega to jako rodzaj teatru. Nie mam obaw, że ktoś nas zobaczy i zareaguje negatywnie. Staram się być sobą.

Asia: Ja moim rodzicom o tym nie powiem w najbliższym czasie. Mogliby pomyśleć, że chcę zmienić płeć, i byłaby afera.

Marta: Wielu ludziom niesłusznie kojarzy się to z transwestytyzmem albo transseksualizmem. Niedawno potrzebowałam od psychologa zaświadczenia o dysleksji i w trakcie wizyty wywiązała się między mną a tą panią rozmowa na temat mojego hobby. Powiedziałam, że jestem drag kingiem, i w odpowiedzi zostałam zapytana, czy wiąże się to z realizacją popędu seksualnego poprzez tego typu występy... Pani psycholog nie rozumiała, że to jest po prostu show, dobra zabawa polegająca na grze z płcią.

A.L.: *Dlaczego tak mało jest drag kingów w porównaniu z liczbą drag queen?*

Asia: Kobiety są mniej śmiałe, w porównaniu z mężczyznami bardziej boją się zaistnieć. Poza tym drag queen w dużym stopniu są traktowane jako integralna część kultury gejowskiej. Drag kingi są sto-

sunkowo nowym zjawiskiem w Polsce i bywają odrzucane w ramach społeczności lesbijskiej.

A.L.: *Jak przygotowujecie show od strony technicznej? Jak wygląda charakterystyka, skąd bierzecie kostiumy?*

Marta: Zarost do tej pory rysowałyśmy sobie kredką. Teraz wychodząc od fryzjera, zbieram do szaszetki ścinki włosów z myślą, że dokleję je potem na żel jako wąsy lub brodę. Ciuchy kupujemy w second handzie, można znaleźć tam czasem zaskakujące rzeczy, np. marynarkę od munduru, charakterystyczną koszulę pracownika stacji benzynowej. Mój brat ostatnio zajrzał do mojej szafy i zdumiony stwierdził: „O matko, masz więcej męskich ciuchów ode mnie!”

Asia: Ja teraz szukam marynarki podobnej do tej, w jakiej występował Elvis, którego zamierzam scenicznie opracować. Jest moim idolem od najwcześniejszego dzieciństwa.

A.L.: *Dlaczego Elvis?*

Asia: Nie da się tego racjonalnie wytłumaczyć. Obserwowałam jego gesty tak długo, że w końcu zaczęłam się poruszać podobnie jak on. Odkąd pamiętam, zbierałam kasety, figurki i gadżety z nim związane.

A.L.: *Jakie jesteście bez kostiumu drag kingów?*

Marta: Jak yin i yang, skrajnie różne. Dziwię się czasem, że wytrzymujemy ze sobą. Poznałyśmy się w Lambdzie, na grupie dla kobiet. Pewne cechy mi wtedy w Asi przeszkadzały: miała długie włosy, nosiła pierścionki, a zachowywała się jak wulgarny facet - bardzo głośno się śmiała, klęła.

Asia: A ja pomyślałam na widok Marty: „Bez kija nie podchodź”. Nasz związek nie ma historii miłości od pierwszego wejrzenia, wszystko rozwijało się stopniowo.

A.L.: *Wasze rodziny wiedzą, że jesteście lesbijkami?*

Marta: Ja mojej mamie powiedziałam, kiedy miałam 15 czy 16 lat. Wiedziała, że jest tolerancyjna, ma przyjaciół gejów, mimo to miałam pewne opory. Co innego spotykać homoseksualistów poza domem, co innego we własnej rodzinie. Przyjęła to bardzo spokojnie i z pełnym zrozumieniem. Wiele razy przekonałam się, że nie ma żadnego zakamuflowanego „ale”.

Bałam się reakcji taty, on pochodzi z typowej małej miejscowości. Ale bardzo Asię polubił. Na Nowy Rok złożył nam nawet życzenia. Kiedy

brał ślub z kolejną żoną, zapytał, czy chciałabym przyjść na przyjęcie z Asią. Po odłożeniu słuchawki aż się popłakałam.

A.L.: *I zawsze ze wszystkimi było tak łatwo?*

Marta: Nie zawsze. Jak miałam 17 lat, postanowiłam powiedzieć o sobie mojej przyjaciółce, z którą się wychowywałam. Któregoś dnia, rozmawiając z nią przez telefon, powiedziałam jej że jestem biseksualna (bałam się powiedzieć, że jestem lesbijką). Rzuciła słuchawką i powiedziała, że nie chce mnie znać. Przez pół godziny siedziałam i patrzyłam przed siebie w osłupieniu.

Asia: U mnie w domu niestety używa się określeń „pedalskie”, „zbożone” - wystarczy, że zobaczą chłopaka, który ma włosy ułożone na żel albo wyższy ton głosu. Kilkakrotnie rozmawiałam o tym z rodziną. Pierwszą osobą, która się dowiedziała o mojej orientacji, była babcia. Powiedziała, że to moje życie i najważniejsze, żebym była szczęśliwa. Babcia sama miała przyjaciółkę, która jest lesbijką. Moi rodzice nie do końca to akceptują. Widzę, że nie jest im łatwo. A jeśli chodzi o znajomych, to jest różnie. Nikt się nie przedstawia: „Cześć, mam na imię Janek i jestem hetero”, więc ja nie mówię na dzień dobry: „Jestem homo”. Albo to przychodzi z czasem, albo nie. Co ciekawe, ludzie często odbierali jako żart, kiedy na pytanie czy mam chłopaka, odpowiadałam: „Nie, mam dziewczynę”.

Długo nie wiedziałam, co w tym jest, że łączę za dziewczynami. Byłam też piekielnie zazdrosna o moje różne koleżanki. Aż w liceum zakochałam się w dziewczynie mojego najlepszego kumpla. I odbiłam mu ją!

Marta: Mnie się zdarzyło, że razem z moim bratem zakochaliśmy się w tej samej dziewczynie. Nie wiem, czy Łukasz się zorientował, w każdym razie ostatecznie to on z nią zaczął chodzić, niestety. Ale mam satysfakcję, że mama zawsze bardziej akceptowała moje dziewczyny niż jego.

Asia: Dwa lata temu zrobiliśmy sobie z Martą taki prywatny ślub. Przeglądałyśmy katalogi z obrączkami i w konsekwencji mamy całkiem oryginalne, zrobione na podstawie kilku modeli.

A.L.: *Chciałybyście, żeby w Polsce weszła w życie ustawa o związkach partnerskich?*

Marta: Rozmawialiśmy ostatnio na ten temat. Nie jestem przekonana, czy zalegalizowałabym nasz związek, nawet gdyby była taka możliwość. Oczywiście jestem za tym, aby osoby homoseksualne miały takie same prawa jak heteroseksualne. Ale nie muszę brać z Aśką

ślubu, żeby czuć się z nią związana uczuciowo. Myślę też, co by było, gdybyśmy kiedyś chciały się rozstać. Znowu łożenie po urzędach? Złatwianie papierków?

Asia: No wiesz, ty wygodnicka jesteś!

Marta: Sorry, ale ja nie mam zbyt mocno wpojonej wiary w małżeństwo jako takie. Może mi się odmieni, jak będziemy ze sobą dłużej. Na portalach gejowsko-lesbijskich wiele osób mówi, że zalegalizowałyby swój związek, więc na pewno społeczna dyskusja na ten temat jest niezbędna.

PS.

Od czasu naszego pierwszego spotkania wiele się zmieniło, zarówno w życiu dziewczyn (Aśka porzuciła myśl o zawodzie policjantki i rozpoczęła studia politologiczne), jak i w życiu boysbandu Warsaw Boys, który zawiesił działalność.

Megi uczy, jak być drag

Kiedy pytam Megi (26 lat), czy bycie drag kingiem stało się jej zawodem, odpowiada, że zawód już ma, jest inżynierem środowiska. Ale idąc do pracy też się przebiera, za „stereotypową biurwę”, żeby wyglądać grzecznie i schludnie: garsonka, bluzeczka, łańcuszek (buciki na obcasie jednak porzuciła). Mówi: „Gram tam rolę stanowczej i nieco bezwzględnej kobiety, bo takie jest moje stanowisko. Jak wracam do domu, ciskam to wszystko w ką. Ubranie na pewno narzuca styl bycia, poruszania się, rolę społeczną”.

Anna Laszuk: Czy istnieje zasada, że drag kingi są jednocześnie lesbijkami?

Megi: Absolutnie nie! W Warszawie występy dragkingowe zaczęły właśnie nie lesbijki, a kobiety heteroseksualne. Robiły to w niesamowity sposób. Ważne jest to, co chcesz pokazać, zachowania, jakimi się bawisz, które chcesz ośmieszyć. Twoja seksualność nie ma tu nic do rzeczy.

A.L.: Jak wyglądały warsztaty dragkingowe, które prowadziłaś w Lipsku?

Megi: Na początek pokazałam dziewczynom film z występami polskich drag kingów i zademonstrowałam im sama, na czym to polega, a potem powiedziałam: „Słuchajcie, mam tu czarne kredki, możemy so-

bie narysować wąsy, pozakładać ubranka i zobaczymy, co nam z tego wyjdzie". Najpierw były opory: „Eee, jaka broda? Ja tego nie lubię, nie będę sobie niczego na twarzy rysować”, ale w rezultacie dziewczyny szybko się rozkręciły i bardzo spodobał im się końcowy efekt.

A.L.: Samo przebranie czy coś innego?

Megi: Jak zaczniesz się tym bawić, wychodzi z ciebie drugie „ja”, które na co dzień było schowane. Wydobywasz z siebie zachowania i cechy, o których myślałaś, że może je mieć tylko mężczyzna. Symboliczna broda czy krawat pomagają je wydobyć. I tak na przykład dziewczyny zaczynają się zachowywać ostro w stosunku do siebie, mają odwagę się kłócić, pokazują agresję. A wydaje się, że założyły tylko trochę inne ubrania i narysowały sobie coś na twarzy. Niewiele trzeba, żeby się wyzwolić, bo drag king jest jak wyzwolenie. Wchodzisz w nową skórę, więcej ci wolno.

Pamiętam taki przykład z innego wyjazdu, kiedy dziewczyna przebrana za kolesia w ogóle nie chciała wyjść z roli, którą sobie narzuciła dragkingowym przebraniem. Przez cały dzień była wstrętnym, okropnym, zadufanym w sobie facetem. Rozwalala nam pozostałe zajęcia, a w dodatku wszystkie dziewczyny jej się podporządkowały, robiła, co chciała. Wyszła z niej niesamowita siła. Pewnie właśnie takiej siły w kobietach boi się większość mężczyzn. Tego, że one potrafią być „męskie”, aroganckie i chcą stawiać swoje warunki.

A.L.: Zdarza się, że na takich warsztatach są obecni mężczyźni?

Megi: Najwspanialsza energia sprzyjająca przebieraniu się powstaje wtedy, gdy w warsztacie uczestniczą same kobiety, wtedy łatwiej jest im otworzyć się, uzewnętrznić. Do tego potrzebny jest klimat czysto siostrzańskich, kobiecych spotkań. Po warsztatach można już z tą uwolnioną mocą wyjść na miasto, do klubu. Kiedy jesteśmy z dziewczynami na scenie, chcemy, żeby kobiety, które nas oglądają, poczuły się wyzwolone i potraktowały mniej serio to, co nazywa się kobiecością i męskością. Nie wykluczam jednak możliwości uczestniczenia w warsztatach również mężczyzn.

A.L.: Skąd wzięło się twoje zainteresowanie drag?

Megi: Zaczęło się od tego, że po raz pierwszy zobaczyłam występ dragkingowy w klubie CDQ w 2003 roku. Efekt był piorunujący! Dziewczyny występujące na scenie były na co dzień moimi koleżankami, ale nie widziałam ich do tej pory w akcji. Spodobało mi się to, że dziewczyny-

na może wejść w skórę chłopaka, faceta, i spontanicznie bawić się tą rolą. Wychodziło im to naprawdę świetnie, chociaż nie były bardzo profesjonalnie przygotowane. Publiczność szalała, ja szalałam, ale wtedy do głowy mi nie przyszło, że kiedyś sama będę coś takiego robić. Później pytałam o ich kolejne występy i pojawił się nagle pomysł, że ja również wejdę na scenę. Temat był bardzo świeży, jeszcze nie ruszany. Były już w Polsce drag kingi, które pojedynczo robiły coś scenie, ale nie słyszałam nic o grupach. A grupa dragkingowa ma duży potencjał energetyczny, można robić wspólnie układy, scenki, jest bardziej różnorodnie. I to było coś!

A.L.: *Jak wyglądał Twój pierwszy występ?*

Megi: Moim pierwszym numerem była piosenka 50 Cent *In da club*. Długo przed tym występem moja siostra malowała mi rozmaite tatuaże. Raper, którego miałam zagrać, jest ciemnoskóry, więc, żeby lepiej wpasować się w rolę, stosowałam przez wiele tygodni jakieś samoopalające kremy, które zresztą nie zadziałały. A potem pamiętam tylko, że dużo skakałam po scenie i dobrze się czułam w szerokich ciuchach, które miałam na sobie. Dziewczyny fajnie mnie odbierały. Ich entuzjastyczny pisk był niesamowity, w życiu czegoś takiego nie słyszałam. I pamiętam jeszcze, że z wrażenia trzęsły mi się nogi.

A.L.: *To było trudne? Bycie mężczyzną, granie mężczyzny?*

Megi: Nie. Do tej pory wydaje mi się, że łatwiej przychodzi mi granie mężczyzny niż kobiety. Może jest mi bliżej do takiej „męskiej”, brutalnej roli, sama nie wiem. Kobieta kojarzy mi się z sukienką, która mnie zniewala i krępuje, nie potrafię swobodnie się w tym poruszać. I te buty na obcasie!

A.L.: *Zdarzały się po występach jakieś negatywne albo sceptyczne reakcje?*

Megi: Czasami nie widziałam zrozumienia w oczach widzów, ale to było dosyć rzadko. Na ogół występy są odbierane bardzo pozytywnie. Nawet moja rodzina ucieszyła się, kiedy się dowiedziała, że występuję, i zmuszała mnie do „pokazów” w domu.

A.L.: *Warsaw Boys jest jedynym zespołem dragkingowym w Polsce?*

Megi: Nie, oprócz Warsaw Boys istnieje też grupa Da Boyz, do której również należę. Moja pierwsza grupa dragkingowa, nazwana kiedyś Drag King Team, nie była boysbandem. Teraz jest nas więcej i mamy

większe możliwości. Razem z Warsaw Boys występuję od maja 2004, natomiast Da Boyz powstało w kwietniu 2006 roku.

A.L.: Kto was zaprasza? Kluby lesbijskie, gejowskie, czy nie tylko?

Megi: Znajomi królika, czyli każdy, kto o nas usłyszy albo nas zobaczy i pomyśli: „Mhm... może zaprosimy takie drag kingi?” Występy organizowane są w różnych miejscach, głównie alternatywnych i homofriendly. Zdarzało się też, że miałyśmy show się w klubach czysto heteryckich. Pamiętam też swój występ na prawdziwym wieczorze panińskim, w ramach niespodzianki dla panny młodej.

A.L.: Słyszałam, że honoraria drag kingów nie są tak wysokie jak drag queen, to prawda?

Megi: Niestety, prawda. Oni dostają nawet kilkaset złotych za solowy występ, a my góra 150, a jest nas przecież kilka na scenie. Z różnych powodów mają lepszą pozycję niż drag kingi. Wydaje mi się, że wynika to głównie z dyskryminacji ze względu na płeć. Może mężczyzna przebrany za kobietę jest dla ludzi ciekawszy, bo często emanuje seksem, podrywa i czaruje publiczność? Dla mnie liczy się bardziej dobrze przygotowany show, który będzie ośmieszał różne stereotypy i edukował.

A.L.: Czyli nie robicie takich gier z publicznością, że podrywacie dziewczyny albo facetów? Drag queen uwodzą.

Megi: Od jakiegoś czasu ja również staram się wchodzić w interakcję z publicznością, ale na pewno w mniejszym stopniu niż drag queen. Zgadza się z tym, że publiczność będzie się lepiej bawiła, jeśli sama poczuje, że uczestniczy w danym show. Drag kingi uwodzą raczej poprzez zdejmowanie kapelusza, okularów czy marynarki. Wtedy są piśki i oklaski. Zawsze jednak drag queen, jako kobiecie, jest łatwiej się „zaprezentować” na scenie, gdyż powszechnie uważa się, że kobiety istnieją po to, aby się ładnie ubierać i podobać wszystkim.

A.L.: Myślisz, że ludzie odbierają drag jako zwykłą przebieraną, zabawę, czy jednak rozumieją grę płci, głębszy sens, który się pod tym wszystkim kryje?

Megi: To zależy. Niektórzy kojarzą, że to, co robimy, ma związek z przełamywaniem stereotypów płci, odkrywają drugie dno naszego show. Inni po prostu myślą: „Fajny występ!”

A.L.: Mówiłaś wcześniej, że nie doświadczyłaś negatywnych reakcji, a ja mam wrażenie, że wśród lesbijek takie reakcje są. Przed Paradą

Równości w 2005 roku śledziłam na portalu www.lesbijka.org.pl dyskusję wokół obecności drag kingów na tej imprezie. Było bardzo dużo głosów typu: nie chcemy drag kingów, bo one wzmacniają stereotyp (lesbijka równa się babochłop, delikatniej mówiąc: kobieta, która za wszelką cenę chce być mężczyzną). Co ty na to?

Megi: Takie dyskusje to zupełnie inna sprawa, nie odbieram ich personalnie. Postrzeganie lesbijek w życiu społecznym jako dziwolągów czy kobiety udające mężczyzn jest stereotypem, funkcjonującym niezależnie od zjawiska drag king. Rozumiem, że dziewczyny, o których mówisz, nie chcą, żeby drag kingi były ich przedstawicielkami na marszu, paradzie czy Manifie. Mówią: wyrzucimy „to coś” (także drag queen) z naszej manifestacji, to wtedy ludzie wreszcie przestaną myśleć, że nie jesteśmy cudakami z piórkiem w dupie. Częściowo się z tym zgadzam. Myślę, że Polska powinna mieć też takie czysto polityczne parady, gdzie nie byłoby muzyki i ludzie nieśliby czarno-białe, polityczne transparenty. Z drugiej jednak strony, to, w jaki sposób Parada jest przedstawiana w polskich telewizorach i gazetach, jest zasługą mediów, które, jeśli są przychylnie, pokażą najważniejsze elementy Parady - przemówienia i transparenty, a jeśli nas nienawidzą, pokażą berlińską Love Parade (z seksem, nagością i ludźmi ubranymi w skóry) i napiszą, że to my.

A.L.: A z czego jeszcze, twoim zdaniem, mogą wynikać głosy krytyczne wobec drag kingów?

Megi: Myślę, że czasem dziewczyny po prostu nie lubią „męskich” kobiet, a lesbijka przebrana za mężczyznę jest już dla nich podwójnie męska. Poza tym dla mnie zrozumiałe jest, że nie wszystkim taka forma przebieranek musi się podobać. Ale fajne jest też to, że drag kingi wzbudzają różne komentarze i kontrowersje. Ich brak oznaczałoby, że nic nie wnosimy do społeczeństwa i nie jesteśmy nikomu potrzebne. Na szczęście jest inaczej.

A.L.: Istnieje dla ciebie coś takiego jak kobiecość i męskość poza przebraniem, poza rolą?

Megi: Nie. Dla mnie istnieje zespół określonych cech, które składają się na stereotypową kobiecość i stereotypową męskość. Niestety, z tego się robi podstawę tożsamości, zapisaną w dowodzie osobistym. Nie jest tam napisane, że lubisz pływać albo czytać książki, tylko akurat to, że jesteś kobietą. To ma cię określać, definiować. Jasne, że w codziennym życiu sama mówię: „Jestem kobietą”. Gdybym powiedziała: „Jestem queer”, nikt by mnie nie zrozumiał. Dla mnie kobiecość i mę-

skość to po prostu cechy i zachowania, które przypisuje się danej płci. Nic więcej.

A.L.: Brak akceptacji dla „męskiej kobiety” czy „kobiecego mężczyzny” nie jest wyłączną domeną heteroseksualnej większości. Słyszałam także od lesbijek czy gejów niechętnie komentarze wobec takich osób, dotyczące choćby ich sposobu poruszania się lub ubierania.

Megi: W środowisku homoseksualnym też funkcjonują stereotypy. Większość ludzi ma je mocno wbite w głowę, dlaczego lesbijki miałyby być wyjątkiem? Niektóre dziewczyny są uprzedzone wobec „męskich kobiet”, inne wobec hiperkobiecych, o image „typowo heteryckim”. Uważam to wszystko za wielką bzdurę. Należy walczyć z takimi stereotypami i oceniać ludzi po ich wnętrzu a nie wyglądzie. Tym między innymi zajmuje się grupa Porozumienie Lesbijek (LBT), do której należę. Porozumienie walczy o widzialność lesbijek w życiu społeczno-politycznym organizując m.in. happeningi „Poradnia Antyhomofobiczna”, które mają wyleczyć ludzi z homofobii i uświadomić im, że lesbijki zawsze były i zawsze będą częścią społeczeństwa. Dzięki takim i innym akcjom, w których uczestniczę, jestem czasami postrzegana jako ta „aktywistka”, która chodzi ze sztandarem. Nie podoba mi się takie sformułowanie, bo wcale nie robię dla homośrodowiska aż tak wiele i czasami zdarza mi się nie pójść na manifestację lub happening, nie mówiąc już o występowaniu jako lesbijka w telewizji. Skoro nazywasz siebie lesbijką, to popieraj inne kobiety, inne lesbijki. Zrób coś, zacznij się udzielać, zamiast narzekać i krytykować: „Ty to taka aktywistka jesteś, daj spokój, i tak świata nie zmienisz”. Mam dość takiego gadania. Dla wielu kobiet bycie lesbijką niestety niewiele znaczy, chociaż i tak to sukces, że słowo „lesbijka” w ogóle się w Polsce wymawia. Mówią też: „Jest źle, nie ma tolerancji”, ale nie czują, że od nich też może coś zależeć.

A.L.: Pamiętasz moment, w którym powstało Porozumienia Lesbijek?

Megi: Wymyśliłyśmy z dziewczynami Porozumienie Lesbijek (LBT) (na każdym kroku podkreślamy, żeby pamiętać o tych trzech literkach, bo one oznaczają, że w Porozumieniu jest miejsce dla lesbijek, biseksualistek i transseksualistek) z myślą, żeby połączyć siły. Zaczęło się od spotkania w Pogorzeli, przyjechały kobiety z różnych miejsc w Polsce, które robiły coś w ramach lokalnych, homoseksualnych organizacji. Postanowiłyśmy wejść w układ, stworzyć sieć porozumienia i zacząć działać razem. Od tamtej pory zrobiłyśmy bardzo dużo, między innymi wspomniane happeningi, imprezy, konferencje i inne.

A.L.: A czy jeden z tych happeningów, które opisywałaś, nie odbył się przypadkiem w Warszawie, przy stacji metra?

Megi: Tak, w samym centrum Warszawy. Ubrane w białe kitle mówiliśmy o groźnej chorobie, którą mogli się zarazić pasażerowie metra i która nazywa się homofobia. Miałyśmy fioletowy (to kolor lesbijek) banner i megafon, i krzyczałyśmy różne fajne hasła, na przykład „Czy masz amstaffa, czy masz jamnika, z homofobią walczyć - niech znika!” Ludzie byli oszołomieni, wielu nawet nie wiedziało, co to jest homofobia. Jeden pan zupełnie serio pytał, czy można się na wypadek tej choroby ubezpieczyć, jak się ją leczy i czy istnieje szczepionka (jakby to było coś w rodzaju ptasiej grypy).

Wielu nas popierało, ale byli i tacy, którzy wyzywali. Jeden facet podszedł i wykrzyczał: „Nienawidzę was!” Nikt nie podniósł na nas ręki, ale były ostre klótnie. Takie akcje są bardzo potrzebne, zwłaszcza w mniejszych miastach: Toruniu czy Bydgoszczy.

A.L.: Wszystkie te znaczki, które można kupić przy okazji Parad Równości, też są chyba dziełem Porozumienia? Rozpowszechniły się w całej Polsce.

Megi: Kiedy Kaczyński zakazał Parady w Warszawie, karierę zrobił nasz znaczek „Kaczko, nie włącz nam w Paradę”. Ale od początku działalności miałyśmy różne wzory, takie jak „LESteśmy!” czy „Stop homofobii” (z wykorzystaniem drogowego znaku „stop”). Hasło „Fioletowa Rewolucja” również zaistniało w mediach, jako jedno z ważniejszych haseł Manif.

A.L.: Mimo to ciągle słyszę, że lesbijek nie widać.

Megi: To się zmienia, rośniemy w siłę i wkrótce znajdziemy swoje miejsce w polskim społeczeństwie.

Bardzo daleko od szosy, czyli życie w alternatywie

Iza (33 lata) niedawno wróciła z Niemiec. Tam skończyła studia, tam zanurzyła się w wielokulturowym świecie i tam poznała życie we wspólnotach, których w Polsce nie ma wcale. Jest osobą stuprocentowo zaangażowaną - w pracę zawodową, w „działactwo” (organizacje kobiece i lesbijskie), w bycie DJ-ką, w relacje z ludźmi. Ciągłe słyszę od niej: „Nie mam czasu, żyję na kartonach”, i jeszcze: „Słuchaj, jest taki projekt...” W tej chwili mieszka w Warszawie.

Anna Laszuk: *Najbardziej mnie interesuje ta część Twojego życia, którą spędziłaś w Niemczech - wspólnoty, w których mieszkałaś, doświadczenia, które stamtąd przywiozłaś - więc pójdźmy trochę na skróty, jeśli chodzi o to, co było przedtem.*

Iza: Do Niemiec pojechałam, będąc już na studiach, a przedtem... Urodziłam się w Warszawie, w liceum chodziłam do klasy humanistycznej i wtedy spotkało mnie prawdziwe szczęście w postaci bardzo fajnych ludzi, głównie fantastycznych dziewczyn. Nie trzeba się było w tej grupie starać, żeby zostać zaakceptowaną, nikt nie musiał być cool, dostosowywać się do jakiegokolwiek stylu. Superprzyjazny mikrokosmos. Przez 4 lata biegałam do szkoły w takich ciuchach, w jakich chciałam. Czasami w krawacie i garniturze ojca. Nikt się mnie nie czepiał, miałam dużo przestrzeni życiowej. Moje pierwsze dwa związki z kobietami przeżyłam właśnie w szkole średniej. Nie czułam, że to jest eksperyment w ramach dojrzewania, próbowanie czegośkolwiek. Moje życie już było zorientowane na kobiety, co zresztą oznacza wiele rzeczy, nie tylko seksualność. Ale zrozumienie, o co w tym wszystkim chodzi, zajęło mi dużo czasu.

Krótko przed maturą wymyśliłam na przykład, że jestem transseksualna. Podczytywałam sobie książki panów Imielińskiego i Dulki, a nawet skierowałam swoje kroki do Zakładu Seksuologii i Patologii Więzi Międzyludzkich. Rozmawiałam o tym z rodzicami, głównie dlatego, że miałam niewiele ponad 17 lat i na jakiegokolwiek porady, nie mówiąc o działaniach, musiałam mieć zgodę rodziców.

A.L.: *I czego się dowiedziiałaś w Zakładzie Seksuologii i Patologii Więzi Międzyludzkich?*

Iza: Że raczej nie jestem transseksualna. Bardzo miła pani doktor skierowała mnie natomiast do psychologa, żebym poukładała sobie różne rzeczy w głowie (na marginesie - psycholog był świetnym face-

tem, spotkania z nim dużo mi dały). Właściwie pomysł, że mogę być transseksualna, wynikał z odczuwanej przeze mnie mocno presji świata pt. „Masz być >prawdziwą< kobietą”. Ja nie odnajdywałam w sobie co poniektórych cech zestawu „prawdziwa kobieta”. Do tego moja ówczesna dziewczyna chciała, żebym prezentowała więcej cech męskich, bo dla niej byłam zbyt kobieca. Dawała mnóstwo sygnałów tego rodzaju, więc ja z miłości do niej zapragnęłam być męska na całego. Generalnie więc chodziło o rozmaite naciski z zewnątrz, a nie moje własne, autentyczne odczucia. Cały ten galimatias uporządkował się we mnie już potem, kiedy spędziłam trochę czasu w Niemczech. Zrozumiałam, że nie muszę być mężczyzną, jeśli chcę być z kobietą.

A.L.: Dlaczego pojechałaś do Niemiec?

Iza: Chciałam postudiować za granicą, uniezależnić się od mojej rodziny - i stwierdziłam, że czas spróbować czegoś nowego. Warunkiem ubiegania się o miejsce na uczelni niemieckiej była nie tylko matura z rozszerzonym językiem niemieckim, ale również pełne 2 lata studiów w Polsce. I tak to się zaczęło, pojechałam do Berlina ze względu na program studiów, bardzo alternatywny. Berlin był też miejscem wielu inicjatyw studenckich, samoorganizujących się ruchów. To było świetne, w Polsce ciągle działalność społeczna kojarzyła się z jakimś wypaczonym aktywizmem.

Po przyjeździe dość szybko znalazłam się w kręgu osób, które zajmowały się autonomicznymi grupami politycznymi czy grupami dyskusyjnymi. Były też grupy kobiece, działające na rzecz mniejszości, na przykład imigrantów. Zadania, które te grupy sobie wyznaczały, były bardzo różne. Na przykład ktoś rzucał hasło: „Jest taki problem, że zastrzono prawo imigracyjne i np. jednemu z naszych znajomych grozi deportacja, potrzebuje kasy na adwokata”, więc organizowało się imprezę benefitową (tam się mówi: solidarnościową) na konkretny cel, na której wszyscy oczywiście pracowali za darmo.

Spodobało mi się to wszystko od razu, ale dałam sobie miesiąc na zorientowanie się, czy sobie poradzę finansowo, miałam bardzo małe oszczędności. Zaczęłam szukać jakiegoś niedrogiego miejsca zamieszkania i tym miejscem okazała się dość przypadkowo znaleziona wspólnota kobiet i lesbijek.

A.L.: Wytłumacz pojęcie wspólnoty mieszkaniowej, w Polsce to oznacza coś zupełnie innego.

Iza: Zasada jest taka: jakaś grupa osób dzieli ze sobą kilkupokojo-

we mieszkanie, przy czym każda osoba zajmuje jeden pokój, a celem tej grupy nie jest wyłącznie to, żeby płacić niski czynsz w przeliczeniu na osobę (to wychodzi przy okazji), ale przede wszystkim żyć razem. Można to nazwać symulacją rodziny czy wspólnie prowadzonym gospodarstwem domowym.

Ludzie, którzy decydują się na dzielenie takiej życiowej przestrzeni, muszą mieć sobie coś do powiedzenia. Każdej grupie może zależeć na czymś innym, więc kryteria doboru są różnorakie. Przeprowadza się zwykle rozmowę wstępną czy zapoznawczą z kandydatką lub kandydatem do wspólnoty.

A.L.: Jak wygląda taka rozmowa?

Iza: Kim jesteś, czym się zajmujesz, takie rzeczy. Bardziej światli ludzie stosują zasadę krótkiej piłki. Wystarczy spojrzeć sobie parę razy w oczy i pogadać o niczym. Decyduje pierwsze wrażenie, a co dalej - okaże się w praniu. Mniej doświadczeni podobno sporządzają całe listy, a potem odhaczają jakieś plusy i minusy, co nie ma oczywiście najmniejszego sensu. Każdy na początku mówi „super”, nikt ci nie powie, że nienawidzi sprzątać albo że jest beznadziejny. Na początek wystarczą intuicja i prosty kontrakt: akceptujesz zasady i wprowadzasz się.

A.L.: A jeżeli drugie wrażenie okazuje się fatalne, to co?

Iza: Często się zdarza, że jakaś osoba opuszcza grupę, bo albo się z kimś pokłóciła, albo ma inny pogląd na życie, albo chce zamieszkać ze swoją partnerką czy partnerem czy sama, powody mogą być różne. Wtedy dokooptowuje się nowe osoby.

A.L.: Szukając przez znajomych czy w inny sposób?

Iza: Jeżeli nie można znaleźć wśród znajomych, to daje się ogłoszenie do prasy lokalnej albo lewicującej. A najczęściej robi się małe ogłoszenia i rozwiesza w miejscach, w których spotykają się ludzie podobnego pokroju.

A.L.: Co jest w takim ogłoszeniu?

Iza: Na przykład: cztery kobiety i lesbijki w wieku od 20 do 35 lat szukają kogoś do pokoju 14 metrów kwadratowych, za tyle i tyle pieniędzy. Lokalizacja, numer telefonu plus informacje o tym, czy mają telewizor lub inne dobra, i bardzo ważna informacja, że nie chodzi o wspólnotę przymusową. Wspólnota przymusowa jest dla ludzi, którzy chcą oszczędzić pieniądze i mieszkać tanio. Mieć wydzieloną półeczkę w lodówce i niczym się razem nie zajmować.

Relacje we wspólnocie mają swoje reguły, także finansowe. Ludzie różnie to sobie układają, ale najczęściej takie gospodarstwo domowe polega na wspólnym robieniu zakupów, wspólnym rozliczaniu ich, jest też wspólna kasa, do której się wrzuca co tydzień lub co miesiąc większe sumy. Funkcjonuje po prostu skarbonka czy słoik, z którego się korzysta, idąc na zakupy, dajmy na to. Zbiera się też wszystkie rachunki, żeby wiedzieć, kto ile wydał na różne cele.

A.L.: To dobrze działa? Nie ma nadużyć?

Iza: Nie wiem jak działa we wszystkich przypadkach. Tam gdzie mieszkałam zdarzało się sporadycznie, że w połowie miesiąca cała kasa „wyszła”, a przez następne pół nie było za bardzo co jeść, albo nie było komu pójść do sklepu. Jasne, że konflikty się zdarzają. Jak się zdarzają, to po prostu się je rozwiązuje.

A.L.: W takich wspólnotach mieszkają również pary?

Iza: Zdarza się, chociaż nie jest to mile widziane, bo zmienia dynamikę mieszkania razem. Idea wspólnoty najlepiej zawiera się w słowie „współlokator/ka”, które oznacza specyficzną relację między ludźmi. W języku polskim trudno znaleźć jego odpowiednik. W każdym razie, jeśli chodzi o obecność par, rozmawia się o tym na spotkaniach wspólnoty (można nazwać je plenum), na których zresztą trzeba obgadać wszystkie sprawy (począwszy od tego, że ktoś kogoś wkurza, a skończywszy na tym, że trzeba pomalować przedpokój, bo wygląda ohydnie, albo że ktoś znowu nie kupił papieru toaletowego), i to całkiem fajnie wychodzi.

A.L.: Jeśli takie związki powstaną spontanicznie w obrębie wspólnoty, to co wtedy?

Iza: To albo banicja, albo funkcjonowanie w tajemnicy (co na dłuższą metę się nie udaje) albo tak, jak mówiłam przed chwilą: jest ogólna dyskusja na ten temat, która nie musi kończyć się jakąś restrykcyjną decyzją.

A.L.: Brzmi rygorystycznie.

Iza: Możliwe, ale naprawdę jest w tym sens, bo jeżeli decydujesz się na taki wspólnotowy model życia i przyjmujesz jego reguły, to orientujesz się, o co w tym wszystkim chodzi. Pojawienie się pary w ramach wspólnoty po prostu zmienia relacje w tej grupie ludzi. Wpływa na ich symetrię, na przykład przez to, że para broni nawzajem swoich interesów. Idea życia wspólnotowego zakłada równy status wobec siebie

nawzajem. Na tyle, na ile to możliwe. Wydaje mi się też, że jeśli chodzi o wzajemne kontakty, Niemcy są mniej elastyczni niż Polacy, Włosi lub Hiszpanie, których miałam okazję poznać. To znaczy wiele osób mieszkających w Niemczech ma dużą potrzebę kontrolowania swojego życia prywatnego, planowania życia uczuciowego. Bardzo często słyszałam od znajomych czy przyjaciół: „Tak, spotykam się z nią, ale nie mam zamiaru się zakochać”, coś w stylu: „Panuję nad sytuacją”, „Muszę pomyśleć”. Ale z drugiej strony wiadomo, że relacja współlokatorska jest bardzo, bardzo bliska. Możliwe, że po wielu miesiącach (czy nawet latach) wspólnego mieszkania dwie osoby naprawdę się sobie spodobają. Nie znam bardziej intymnych relacji niż te współlokatorskie - masz do czynienia z osobami, które widzą wszystko, wiedzą o sobie bardzo dużo, uczą się siebie nawzajem każdego dnia. I naprawdę, zwykle dobrym pomysłem jest ujawnienie faktu, że relacja stała się intymna, żeby nie tworzyć chorej tajemnicy. Lepiej pogadać i wspólnie się zastanowić, jak obejść trudności.

A.L.: Opowiedz o wspólnocie kobiet i lesbijek, w której mieszkałaś. Przede wszystkim - skąd taka nazwa?

Iza: Wyodrębnienie lesbijek wzięło się z ich wcześniejszej niewidzialności w dyskursie publicznym. W pewnym momencie dziewczyny w Niemczech uznały, że różne sprawy w ramach samego ruchu feministycznego tę niewidoczność wspierają. Że postulaty lesbijek są za słabo wyartykułowane, za mało wspierane, z różnych powodów się nie przebijają. A jednocześnie lesbijki angażowały się ogromnie w akcje dotyczące aborcji, wolnego wyboru w kwestii macierzyństwa, chociaż te sprawy dla nich osobiście często mniej znaczyły niż dla kobiet heteroseksualnych. Klasyczny konflikt interesów: „No, co jest? My cały czas walczymy o wasze sprawy, to może i wy byście z nami postulowały przeciwko homofobii?” Z tego urodził się pomysł podkreślania obecności lesbijek w różnych konkretnych miejscach. I na przykład zamiast „kawiarnie dla kobiet”, czy „księgarnie dla kobiet” zaczęto mówić „dla kobiet i lesbijek”. Oczywiście w innych krajach często wywoływało to szyderczy śmiech, komentarze typu: „Lesbijka to nie kobieta, tak?” I ja wiem, że to może być postrzegane nie najlepiej, ale jednocześnie, kiedy mówi się „kobiety”, zawsze myśli się o kobietach heteroseksualnych. Bardzo rzadko używa się jakiegoś terminu włączającego i dlatego lesbijki między innymi w taki sposób się emancypują czy uwidaczniają. Żeby łopatologicznie zakomunikować: „Jesteśmy!”

A.L.: Jak wyglądają wspólnoty kobiet i lesbijek? Wszystkie funkcjo-

nują na podobnych zasadach?

Iza: Są różne wersje. Przede wszystkim oznaczają mieszkanie wolne od mężczyzn. Ja zawsze tylko takie wybierałam, nie chciałam mieszkać z chłopakami, chociaż odwiedzałam często wspólnoty, w których mieszkali faceci. Miałam tam kumpli czy przyjaciół.

W jednej wspólnocie była na przykład taka zasada, że nie przyjmujemy gości męskich na noc. Owszem, facet zawsze mógł przyjść w odwiedziny, ale o nocowaniu nie było mowy, ponieważ dwie dziewczyny spośród nas nie życzyły sobie tego. Z jedną z nich długo rozmawiałam i wiedziałam, jakie są tego powody.

A.L.: Jakie? Jeśli możesz je ujawnić...

Iza: Jej powody były bardzo konkretne - przechodziła terapię w związku z doświadczeniem przemocy na tle seksualnym, mówiąc wprost: gwałtu. Nie chodziło o to, że czyjś znajomy płci męskiej miałby być potencjalnym gwałtciwielem, tylko ona nie miała ochoty na przykład spotykać obcego mężczyzny przy śniadaniu. Myśmy to szanowały.

A.L.: Ile kobiet liczyła ta wspólnota?

Iza: W okresie, kiedy w niej mieszkałam - cztery, w następnej wspólnocie było nas sześć w porywach do siedmiu, kobiet heteroseksualnych i lesbijek. Niektóre miały dzieci (kilkunastoletnie i młodsze). Mieszkałam z dziewczynami po czterdziestce i z dwudziestolatkami. Generalnie wspólnota była wielopokoleniowa.

A.L.: Alternatywa dla patriarchalnej rodziny?

Iza: Jak najbardziej.

A.L.: Mówiłaś że ludzie, którzy żyją razem w ten sposób, muszą mieć sobie coś do powiedzenia. Pewnie oznacza to także jakieś wspólne działania?

Iza: Robiliśmy różne rzeczy razem, gadałyśmy o czymś przy śniadaniu, a za parę dni przybierało to już formę konkretnego projektu. W ten sposób zorganizowałyśmy kobieco-lesbijski obóz antyrasistowski w pobliżu polsko-niemieckiej granicy, w Zgorzelcu. Chciałyśmy zwrócić uwagę na problematykę zamykania granic, przystosowania Polski do wstąpienia do Schengen, i na to, co się działo w tak zwanym trójkącie polsko-niemiecko-czeskim. Wtedy właśnie rozkwitały tam handel ludźmi, prostytutka. Bardzo dużo dziewczyn, młodych chłopców z Czech i Polski przyjeżdżało do Niemiec, żeby się prostytuować, albo obywatele

Niemiec robili sobie eskapady właśnie w tamtym kierunku.

A.L.: Turystyka seksualna?

Iza: Tak właśnie. I zero podstawowych zabezpieczeń przeciwko chorobom wenerycznym czy AIDS. W Polsce oczywiście zajęła się tym La Strada, także inne organizacje kobiece. Natomiast przez jakiś czas to był po prostu boom.

A.L.: Widziałaś podobne wspólnoty w Polsce?

Iza: Nie, oczywiście, że nie! Słyszałam kilka razy o jakiś fajnych ludziach, którzy mieszkali sobie razem, ale to jest ograniczone, wersja mini. Polskie warunki lokalowe i ceny wynajmu mieszkań to jeden próg trudności. Po drugie, polska wersja życia wspólnotowego jest traktowana jako przejściówka na czas studiów, a docelowe marzenie to oczywiście klasyczna rodzina, koniecznie po ślubie.

A.L.: Domniemane marzenie.

Iza: Tak, tak, wszystko w cudzysłowie, prawda. Wydaje mi się jednak, że tak to wygląda. Słyszałam coś o różnych polskich wspólnotach, kilka z nich odwiedziłam. Może w Krakowie kultura wspólnotowości rozwija się bardziej. Zauważyłam, że coraz więcej ludzi chce mieszkać ze studentami biorącymi udział w programie „Erasmus”, co znaczy, że zaczynają sobie cenić wielokulturowość, chcą poznawać ludzi z innych stron świata itd. Ale nie widziałam tu wspólnot podobnych do tych, które funkcjonują w Niemczech.

A.L.: Jestem ciekawa, jak porównałabyś lesbijki żyjące w Polsce i w Niemczech, chodzi mi głównie o organizowanie się, dążenia...

Iza: Trudne pytanie. Ja nie mam całościowego oglądu po jednej i drugiej stronie, ale to są na pewno zupełnie inne sytuacje. Po pierwsze dlatego, że lesbijki w Niemczech już bardzo wiele uzyskały. Podstawowe przywileje zostały osiągnięte i można monitorować sytuację, czy wszystko jest OK, ale nic spektakularnego do wywalczenia w zakresie tej grupy chyba już nie ma. Dążeń polskich i niemieckich po prostu nie da się porównać.

Ale działa tam mocny, polityczny ruch lesbijski, który próbuje krytycznie się odnieść do kwestii przywilejów w ogóle. Kwestie ekonomiczne stały się bezwzględnie główną osią wykluczenia. To jest społeczeństwo dobrobytu i do tego dobrobytu należy wprawdzie spora część społeczeństwa, ale coraz większa część do niego nie należy. Jeżeli zarabiasz na miesiąc 8 tysięcy euro netto, to naprawdę nie ma znaczenia,

czy jesteś lesbijką, czy nie. Możesz sobie pozwolić na mnóstwo rzeczy, wartość twojej karty kredytowej wzrasta, wartość twojego mieszkania wzrasta, pijesz inne wino, chodzisz do innych knajp, wyglądasz inaczej (twoja dziewczyna też), z pocałowaniem w rękę proponuje ci się wiele różnych rozwiązań, których by ci nie zaproponowano, gdybyś tego wszystkiego nie miała. I nie żyjesz w strachu, że zostaniesz deportowana.

Poza tym w Niemczech wyraźnie odróżnia się imprezy komercyjne od autonomicznych. Na przykład festiwal lesbijski, co roku organizowany w jakimś dużym mieście, jest już czystą komercją. Wiele kobiet mówiło: „Nigdy tam nie byłam, ale nie mam ochoty jechać, bo wiem, że chodzi po prostu o konsumpcję, i jest mi wszystko jedno, czy sprzedaje się tam tęczowe flagi, czy dziergane skarpetki”. No i zapraszany jest tam *mainstream*, wyżej postawione towarzystwo, również materialnie. A na lesbijskie imprezy niezależne przychodzą wszystkie kobiety - rozumiesz, to nie jest komercha, ani clubbing.

A.L.: O ile dobrze zrozumiałam, w kwestii lesbijskiej nie ma tam już nic do zrobienia?

Iza: To nie tak. Przesunęły się po prostu akcenty. Ale najpierw może opowiem o sprawie, która była bardzo głośna i zjednoczyła środowisko wokół lesbianizmu. To zdarzyło się w Berlinie, gdzie mieszkałam. Chodziło o gwałt na lesbijce, która - wracając nocą do domu - zatrzymała się w jakimś barze szybkiej obsługi chcąc coś zjeść. I tam została zgwałcona przez obsługę. Policja próbowała jakoś sprawę zatuszować, a w trakcie procesu sądowego okazało się, że to ona ma być wszystkiemu winna. Dlatego, że a.) jest lesbijką, b.) pewnie prowokowała, c.) być może była pod wpływem alkoholu. I to była jedna taka sprawa, która na nowo zjednoczyła środowisko lesbijskie. Natomiast ostatnio przez długie lata dziewczyny koncentrowały się na innych sprawach, przyjmując jednocześnie perspektywę lesbijską. Podejmowały na przykład działania antyrasistowskie w obronie uchodźczyń, imigrantek, których jest mnóstwo. Kiedy na początku swojego pobytu w Niemczech pracowałam na rynku, sprzedając warzywa i owoce, poznałam dwie dziewczyny z Algierii, które przedstawiały się jako siostry, a dziwnym trafem nie były do siebie w ogóle podobne. Po jakichś 2 latach (przestałam już tam pracować) zobaczyłam je - jako parę - tańczące bardzo namiętnie w jednym z tak zwanych branżowych klubów w Berlinie. Najpierw się uśmiełam - „Ale siostry!” - a potem pomyślałam: jasne, musiały się z tym ukrywać, bo najprawdopodobniej uciekły z Algierii ciężarówką, czy

statkiem, w wielkiej tajemnicy. I pewnie nie miały ochoty opowiadać komukolwiek, jakie są naprawdę ich relacje, żeby nie narażać siebie nawzajem. Słyszałam wiele razy od imigrantek o podobnych sprawach, o zupełnie morderczej homofobii w Iranie na przykład. Tylko, że to jest tak: mnóstwo ludzi zataja na emigracji swoją tożsamość, bo nie mają żadnego prawa pobytu albo paszportu, który by się liczył, to znaczy nie ma na nim okładki z gwiazdkami Unii Europejskiej. Nawet jeżeli jednym z głównych powodów ich uchodźstwa byłaby orientacja seksualna, to ona nie jest już podstawowym punktem odniesienia, bo trzeba się martwić, jak zdobyć jedzenie, gdzie mieszkać, gdzie pracować, żeby nie zostać od razu aresztowanym. Środowisko lesbijskie było naprawdę jednym z pierwszych w Niemczech, które zaczęło coś robić wobec tego problemu. Powstawały networki, czyli sieci wspierania kobiet-imigrantek, także przez pomoc finansową dla ich dzieci, przez anonimowe usługi medyczne (chodziło o nawiązywanie kontaktów z lekarzami, którzy byliby gotowi, odpłatnie lub nieodpłatnie - to już było regulowane wewnątrz networku - leczyć te kobiety).

A.L.: Myślisz, że taka wrażliwość - na rozmaite wykluczenia i zajmowanie się szeroko rozumianymi kwestiami społecznymi - jest możliwa tylko wtedy, kiedy swoje sprawy ma się już załatwione (na przykład kwestię związków partnerskich)? Czy można jednak budować szeroką platformę współdziałania na różnych frontach, mimo, że nie załatwiło się jeszcze własnych interesów?

Iza: Zdecydowanie to drugie, co pokazuje choćby historia tak zwanej „partii kobiet” w Niemczech, „Frauenpartei”, która zawiązała się już dość dawno temu. One są bardzo feministyczne, właściwie wszystkie kwestie kobiece mają opracowane perfekcyjnie, ale jest to ich jedyny temat i od lat w wyborach nie dostają więcej niż 1 % głosów. Może śladowo więcej, ale to nie są żadne znaczące skoki poparcia. Przychodzi mi też do głowy taki klasyczny przykład ruchów wolnościowych i obywatelskich z lat 60., kiedy wielu działaczy (najpierw we Francji, później w Niemczech) mówiło z grubsza tak: najpierw socjalizm, a jak to załatwimy, to dopiero potem feminizm.

To jest absolutna pułapka, nie można załatwiać najpierw jednego, a potem ewentualnie myśleć o drugim i trzecim. Niemieckie lesbijki (mówię o tych bardzo świadomych politycznie) zaczęły się orientować na inne mniejszości, kiedy tam jeszcze nie było rejestrowanych związków partnerskich, nie było nawet żywej debaty na ten temat. I nie zajęły się tym dlatego, że zabrakło im tematów do rozmów, tylko po prostu

zauważyły, że politycznie brną w ślepy zaułek.

A.L.: *Rozumiem, że to jest kwestia myślenia o wykluczeniu w szerszym kontekście, a nie trzymania się osi „dyskryminacja ze względu na orientację psychoseksualną”.*

Iza: Jasne. Jak widzisz ten kontekst, to możesz krytycznie spojrzeć na własne przywileje.

A.L.: *A lesbijka z tak zwanej klasy średniej mieszkająca w Warszawie (już będę się trzymała tej warszawki, bo ona urosła do rangi symbolu) może powiedzieć: „Dlaczego ja mam się zajmować bezrobotnymi kobietami, albo takimi, które doznają przemocy? Mam swoje sprawy”.*

Iza: No i ma prawo tak mówić, tylko pewnie zacznie myśleć inaczej, jak w wieku pięćdziesięciu kilku lat, na przykład, nie będzie już w takiej rewelacyjnej sytuacji materialnej czy osobistej. Nie w tym rzecz, żeby wszyscy zajmowali się wszystkimi, tylko żyli w poczuciu odpowiedzialności za siebie nawzajem. Ja bym bardzo chciała, żeby tego było więcej.

A.L.: *Żyłaś w Niemczech 10 lat. Dlaczego postanowiłaś tu wrócić?*

Iza: Z różnych powodów, na przykład stęskniłam się za polską spontanicznością. Ale przede wszystkim tu zaczęło się dużo dziać. Na tyle ciekawie, że mam ochotę w coś się zaangażować. Wyjechałam do Niemiec z przeświadczeniem, że tu nie ma dla mnie miejsca. A teraz jest.

A.L.: *Powiedz mi jeszcze, Osobo Bardzo Zaangażowana - masz czas na własne osobiste szczęście?*

Iza: Jeśli chodzi ci o stereotyp nieszczęśliwej aktywistki, która się spala, bo nie ma nic innego do roboty, to ja się nie wpisuję. Myślisz, że bez przyjaźni i relacji typu, hmm... miłosnego, miałabym siłę tak zasuwać?!

Przeciwko dyskryminacji

Agata Teutsch i Monika Serkowska mieszkają w Poznaniu. Wspólnie prowadzą warsztaty antydyskryminacyjne, działają w grupach i organizacjach feministycznych, w ramach których realizowały m.in. projekty Feministyczna Akcja Letnia (obóz dla kobiet i dzieci) i Lesbian Empowerment. Są także trenerkami WenDo¹. Były współorganizatorkami poznańskich Dni Równości i Tolerancji w 2004 i 2005 roku. Nasza pierwsza rozmowa odbyła się na długo przed słynnym Marszem Równości z listopada 2005, który zyskał szczególne miejsce w historii walki z dyskryminacją.

Anna Laszuk: *Jesteście zaangażowane w tyle działań, że właściwie nie wiem, o które zapytać najpierw. Wszystkie wyrastają chyba z waszego feminizmu? Czy to był taki obszar, dzięki któremu się poznałyście?*

Monika: Można tak powiedzieć. Dla mnie początkiem była Letnia Szkoła Feminizmu, po której dołączyłam do poznańskiej Konsoli. W Letniej Szkole po raz pierwszy usłyszałam też o WenDo. Później postanowiłam sama zostać trenerką i przy okazji szkolenia trenerskiego bliżej poznałyśmy się z Agatą.

Agata: No tak, feminizm był takim obszarem. W moim przypadku przełomowym wydarzeniem w życiu był udział w międzynarodowym obozie feministycznym w Słowenii, na który pojechałam w 1995 roku. Wzięłam wtedy po raz pierwszy udział w warsztacie WenDo, jako uczestniczka. Można powiedzieć, że „zakochałam się” w tej metodzie. Od tamtej pory pomagałam w organizowaniu tego typu warsztatów i zaczęłam myśleć o tym, żeby zostać trenerką. Trening dla trenerek, który zorganizowała Fundacja Kobieta eFKa wraz z trenerkami WenDo z Niemiec, trwał 3 lata i wtedy, jak już powiedziała Monika, poznałyśmy się bliżej. Ale zarówno wśród trenerek, jak i uczestniczek są bardzo różne osoby, często niezwiązane z ruchem feministycznym.

A.L.: *Moja znajoma, która uczestniczyła w warsztacie WenDo, przysłała mi entuzjastycznego SMS-a: „Właśnie złamałam deskę!” Już wiem, że deskę łamie się głową, chociaż fizycznie ręką, ale czemu to służy?*

1. WenDo to metoda samoobrony i asertywności dla kobiet i dziewcząt, służąca przeciwdziałaniu przemocy, której kobiety doświadczają w swoim życiu ze względu na płeć, orientację psychoseksualną, pochodzenie etniczne, wiek.

Agata: Deseczka to w pewnym sensie symbol WenDo i symbol mocy, którą się w sobie ma i którą się na WenDo często odkrywa, bo trening wzmacnia kobiety w ich umiejętnościach obrony w każdym zakresie. Trening WenDo łączy samoobronę fizyczną (blokady, uwolnienia, kopnięcia) z warsztatem asertywności (umiejętności obrony swoich przekonań i praw, kiedy dochodzi do naruszenia naszych granic poza sytuacjami konfrontacji fizycznej). Chociaż chyba więcej czasu poświęca się trenowaniu asertywności. Podstawowy warsztat obejmuje zazwyczaj 12 godzin. Za każdym razem trening wygląda nieco inaczej, bo współtworzą go uczestniczki poprzez swój udział, doświadczenie, charakter i potrzeby.

A.L.: Dla kogo przeznaczone jest WenDo?

Monika: Dla kobiet i dziewczynek. Prowadzimy zajęcia dla kobiet dorosłych i dziewczynek w różnym wieku. W warsztatach mogą brać również udział kobiety niepełnosprawne - fizycznie i intelektualnie. Zadania można dostosować do potrzeb różnych kobiet. Różnorodność dotyczy też trenerek - w Holandii na przykład jest trenerka, która sama porusza się na wózku inwalidzkim.

A.L.: Możecie powiedzieć o sobie, że jesteście mistrzyniami szeroko rozumianej samoobrony?

Monika: Stanowczo nie. Gdyby nie WenDo, pewnie nie dokonałabym coming outu we własnej rodzinie. Ale na pewno nie mogę powiedzieć, że wszędzie i zawsze jestem asertywna. Wszystko zależy od rodzaju relacji między tobą a innymi ludźmi. Czym innym jest obrona swoich granic i praw wobec nieznanego na ulicy albo nieuprzejmej pani w sklepie, czym innym wobec bliskich ludzi.

Agata: W WenDo nie ma czarnego pasa, rangi mistrzyni. Asertywność to coś, co ciągle się praktykuje, a nie coś, w czym jest się mistrzynią.

A.L.: Wiem, że prowadziłyście zajęcia dla grupy lesbijek. Czy zakładałyście, że lesbijki - jako grupa społeczna - są bardziej niż inne kobiety narażone na różnorodną przemoc?

Monika: Założyłyśmy, że jeżeli uczestniczki doświadczyły agresji czy dyskryminacji ze względu na swoją orientację seksualną, pewnie wniosą to na forum grupy.

Elementem warsztatu zawsze są konkretne doświadczenia kobiet, które w nim uczestniczą.

Agata: Warsztaty dla lesbijek zorganizowałyśmy do tej pory dwukrotnie. Chodziło zarówno o specyfikę przemocy, której doznają lesbijki, ale także o większą łatwość utworzenia się w grupie. Kiedy można się podzielić osobistym doświadczeniem z innymi lesbijkami, nie jest to dodatkowo obciążone myśleniem o coming outcie.

W trakcie tych zajęć poruszałyśmy też kwestie związane z przemocą w związkach między kobietami. W Polsce właściwie nie ma żadnych materiałów na ten temat. Można dotrzeć do publikacji amerykańskich, zamieszczanych na stronach internetowych. Jest tam mowa między innymi o mitach dotyczących związków homoseksualnych. Mitem na temat związków kobiet jest przykładowo teza, że przemocy, jakiegokolwiek, w ogóle w nich nie ma. To większe tabu, niż przemoc wobec lesbijek w społeczeństwie. Nie wiadomo też praktycznie nic na temat przemocy, której lesbijki doznają we własnych rodzinach. Najtrudniej poradzić sobie z naruszeniem naszych granic - psychicznych i fizycznych - przez osoby najbliższe. Jest to doświadczenie nieporównywalne na przykład z sytuacją wyrwania torebki na ulicy.

Monika: Jeśli ktoś (niezależnie od orientacji psychoseksualnej) jest ofiarą długotrwałej przemocy, na pewno nie rozwiąże tego problemu na dwunastogodzinnym warsztacie WenDo. Warsztat nie jest grupą terapeutyczną, bardziej okazją do refleksji, otwartego mówienia o doświadczeniu przemocy w ogóle. W takim zakresie, na jaki konkretna osoba sama się zdecyduje. Oczywiście dobrze jest, jeśli poziom otwartości w grupie jest duży, bo kobiety mogą usłyszeć podczas warsztatu o doświadczeniach, które wcześniej postrzegały jako mało realne historie z czasopisma „Detektyw”. Celem warsztatu jest poza tym rozpoznanie własnej siły oraz uświadomienie sobie, że mamy prawo do życia bez przemocy.

Agata: Powszechnie panuje opinia, że geje są bardziej narażeni na fizyczną przemoc ze strony obcych ludzi niż lesbijki, ponieważ w społeczeństwie nie ma odium związanego z kontaktem fizycznym między kobietami, takim jak trzymanie za rękę, pocałunki na powitanie itp. Nie wiadomo, czy to przekonanie jest uzasadnione, nie zetknęłam się z żadnymi polskimi badaniami na ten temat. Ale gdyby nawet tak było, jest i druga strona medalu: lesbijki stają się przezroczyste dla otoczenia. Nie są postrzegane jako grupa społeczna czy polityczna. Środowisko gejów jest jednak prężniejsze, a może po prostu bardziej widoczne. Choć oczywiście coraz więcej jest bardzo aktywnych lesbijek.

A.L.: *Oprócz WenDo prowadzicie warsztaty antydyskryminacyjne.*

Na czym one polegają?

Agata: Program, który obecnie realizujemy, nosi nazwę „Nikt nie rodzi się z uprzedzeniami”. I tak jest, że nikt z nas się z nimi nie rodzi. Uprzedzenia i stereotypy są związane z procesem wychowania, socjalizacji. Żeby się ich pozbyć, musimy w pewnym sensie przejść odwrotny proces. Nie ma osoby, która byłaby wolna od stereotypów. Często brakuje nam świadomości, bo po prostu się nie zastanawiamy, czy kogokolwiek dyskryminujemy. A robimy to na różne sposoby, mniej i bardziej subtelne lub widoczne. Na przykład pytanie: „Nie chciałabym/chciałbym cię urazić, ale czy ty jesteś Żydówką/Żydem?” lub stwierdzenie: „Nie mam nic przeciwko gejom i lesbijkom, ale czy muszą się tak afiszować?” mogą być przykładami ukrytych uprzedzeń.

Warsztaty antydyskryminacyjne prowadzimy dla bardzo różnych grup, często jednorodnych zawodowo, na przykład ostatnio pracowałyśmy z urzędnikami.

A.L.: Pewnie większość uczestników uważa, że nie ma uprzedzeń i nie kieruje się stereotypami. Zgadłam?

Monika: Raczej tak. Są zdziwieni, że jednak jest inaczej. Niektórzy, mimo naszych usilnych prób czy proponowanych ćwiczeń warsztatowych, idą w zaparte, nie potrafią podać przykładu własnego stereotypowego myślenia. Staramy się im wytłumaczyć, że każdy z nas kieruje się czasem stereotypami, bo one naprawdę są powielane wszędzie - w wychowaniu, w podręcznikach szkolnych, w kulturze. Żeby je zakwestionować, najpierw trzeba nauczyć się je rozpoznawać, także we własnym myśleniu. Nie chodzi o udawanie, że się nimi nie posługujemy. Poza tym wychodzimy z założenia, że osoba, która kieruje się stereotypami i dyskryminuje innych, nie robi tego dlatego, że jest „złym” człowiekiem. Często dzieje się tak z braku refleksji nad zjawiskiem dyskryminacji i relacjami w społeczeństwie. Uprzedzenia wynikają z kultury, w jakiej żyjemy i, niestety, nikt nie jest od nich wolny.

A.L.: Można pozbyć się uprzedzeń w trakcie samych warsztatów?

Monika: One są raczej początkiem zmiany. I tego, co człowiek w tym obszarze zaczyna o sobie wiedzieć - są to tzw. warsztaty podnoszenia świadomości. Trudno zmienić w ciągu 10 czy 20 godzin myślenie człowieka, który żyje w społeczeństwie od 20-40 lat.

Agata: Jednym jest łatwiej przez to przejść, innym trudniej. Prawie każdy broni się przed tym, żeby przyznać, że dyskryminuje kogokolwiek lub posługuje się stereotypami. Ale to jest podstawa. Zawsze podczas

warsztatu proponujemy uczestnikom i uczestniczkom, żeby opisali kilka sytuacji: kiedy ich dyskryminowano, kiedy byli świadkami dyskryminacji i zareagowali na to oraz kiedy nie zareagowali na dyskryminację, której byli świadkami. Najtrudniej jest ludziom przypomnieć sobie te sytuacje, w których sami dyskryminowali. A każdy pamięta odwrotne, kiedy był przez kogoś dyskryminowany.

W trakcie warsztatów antydyskryminacyjnych ludzie bardzo się kontrolują i starają się zrobić wszystko, żeby nie wypaść na rasistów/rasistki lub antysemitów/antysemitki. Ale, co ciekawe, jeśli chodzi o homofobię, nie ma już takiej tendencji. Ludzie swobodnie wygłaszają teksty mniej lub bardziej obraźliwe, przy czym wiele osób mówi, że po prostu nie zna żadnego geja ani żadnej lesbijki. Nie są to zazwyczaj osoby bardzo młode, tylko, dajmy na to, czterdziestoletnie lub starsze.

Monika: Które czerpią informacje na temat homoseksualistów wyłącznie z gazet lub telewizji. A tam widzą na przykład zdjęcia facetów z parady w Berlinie, umalowanych, obściskujących się, rozebranych, przystrojonych w pióra. I to jest cała ich „wiedza” na temat gejów i lesbijek.

Bardzo wiele zależy od tego, w jaki sposób pracuje grupa i jakie są w niej osoby. My możemy mówić, że te zdjęcia w gazecie nie są żadną wiedzą, ale jeśli na przykład wśród uczestników jedna czy dwie osoby dokonają coming outu, zawsze będzie skuteczniejsze. O wiele mocniej wpłynie na zmianę myślenia, stanie się bardzo dobrym doświadczeniem dla pozostałych, którzy właśnie twierdzą, że w życiu nie widzieli geja czy lesbijki.

A.L.: *Wy, jako trenerki, dokonujecie przed grupą coming outu?*

Agata: W każdej nowej grupie podejmuje się decyzję - powiedzieć czy nie? To są codzienne sytuacje, w rozmaitych mniej lub bardziej formalnych grupach, i codzienne decyzje. My też je każdorazowo podejmujemy, bez względu na to, czy jesteśmy na warsztacie o europejskich funduszach strukturalnych, feministycznym czy innym. Ta decyzja nie zawsze jest na „tak”.

Monika: Jako trenerka nie czuję potrzeby coming outu podczas warsztatu antydyskryminacyjnego. Obawiam się, że zostanie to odebrane jako rodzaj prowokacji, bo bardzo często osoby uczestniczące w takim warsztacie czują się atakowane ze względu na swoje uprzedzenia, a nam przecież nie o to chodzi. Staramy się być uważne i nieoceniające. Ale raz mi się zdarzyło, że miałam wielką ochotę powiedzieć, że jestem lesbijką.

Wśród uczestników warsztatu odbyła się wtedy wyjątkowo burzliwa dyskusja na temat mniejszości seksualnych. Na podstawie jej przebiegu rozmawialiśmy z Agatą o tym, czy warto na koniec dokonać coming outu, uświadamiając niektórym uczestnikom, że przez dwa dni obrażali nas swoimi wypowiedziami. Ale doszliśmy do wniosku, że to niekoniecznie mogłoby odnieść pozytywny skutek. Sądziłyśmy nawet, że mógłby być odwrotny: może wyjechaliby z przekonaniem, że jako trenerki nie zachowałyśmy dystansu do tematu. Nie chciałyśmy konfrontacji „lesbijki kontra homofoby”. My obrażone, a oni zobligowani do poczucia winy.

Agata: Dla mnie, na przykład, ważniejsza jest moja identyfikacja feministyczna, która obejmuje sprzeciw wobec wszelkiej dyskryminacji: ze względu na płeć, orientację psychoseksualną, kolor skóry i tak dalej. Nie lubię też sprowadzania lesbianizmu do poziomu sypialni, a obawiam się że komunikat „jestem lesbijką” często jest odbierany wyłącznie w ten sposób. Oczywiście trenerka musi przede wszystkim mieć jednoznaczną postawę moralną i stanowczo ją komunikować, w pewnym sensie jej własna tożsamość jest drugorzędna.

Monika: Czasem trzeba zareagować zdecydowanie. Podczas warsztatu, który prowadziłam z grupą urzędników, okazało się, że prawie wszyscy uczestnicy myślą w sposób homofobiczny. Padały naprawdę okropne komentarze. I znowu miałam na końcu języka: „Proszę państwa, jestem lesbijką, proszę mnie nie obrażać”, ale ostatecznie wybrałam inną, moim zdaniem skuteczniejszą drogę: przedstawiłam uczestnikom obowiązujące przepisy prawne i konsekwencje kierowania się uprzedzeniami przy podejmowaniu decyzji. Każdy urzędnik zobowiązuje się przecież przestrzegać prawa.

Idealną sytuację warsztatową mamy wtedy, gdy uczestnicy reprezentują różnorodne grupy (pod względem wyznania, narodowości czy orientacji psychoseksualnej). W polskim społeczeństwie jest to niestety trudne, jesteśmy bardzo jednorodni. Ale zdarzyła nam się grupa warsztatowa, w której jedna z uczestniczek pochodziła z rodziny żydowskiej, inna pracowała z Romami, jeszcze inna z uchodźcami mułmańskimi z Czeczenii. Mówiły o swoich doświadczeniach i to było bardzo fajne, dużo dało pozostałym osobom, niezależnie od „twardej wiedzy”, którą my zawsze wnosimy.

A.L.: *Na czym polega „twarda wiedza”?*

Agata: Tłumaczymy na przykład, czym jest orientacja psychoseksualna, mówimy o tym, że we współczesnej antropologii odchodzi się

od pojęcia rasy. Podajemy informacje statystyczne i przepisy prawne, prezentujemy również filmy. Pierwszy z nich to *Niebieskoocy*, który jest zapisem ćwiczenia antyrasistowskiego, drugi - *Killing Us Softly* (Zabijając nas powoli) - dotyczy tego, w jaki sposób reklamy kształtują wizerunek i życie kobiet, trzeci to *Tough Guys* (Maska twardziela. Przemoc, media i kryzys męskości).

Monika: Bardzo ważnym elementem warsztatu jest informowanie o prawie antydyskryminacyjnym. Jeśli ktoś nie zamierza w żaden sposób zmienić swojego myślenia, powinien przynajmniej przyjąć do wiadomości istnienie prawa.

Rozmawiamy też, co zrobić ze swoimi uprzedzeniami: każdy z nas może je mieć, ale wcale nie musi w związku z tym nienawidzić drugiego człowieka, rzucać w niego kamieniami, odmawiać mu prawa do wystąpień publicznych.

Agata: Na koniec warsztatu staramy się wspólnie zaplanować jakieś działanie antydyskryminacyjne. To może być dowolny praktyczny pomysł, na przykład: co mogę zrobić, jeśli widzę napisy antysemitki na murach. Z kim mogę coś takiego zrobić, co mi jest do tego potrzebne. Ćwiczymy zachowanie w różnych realnych sytuacjach.

A.L.: *Mam wrażenie, że w naszym społeczeństwie na ogół dominuje postawa: „Są odpowiednie instytucje, które zwalczają dyskryminację, więc po co ja mam to robić? Nie muszę”.*

Monika: Prawo nie działa samo z siebie. Co z tego, że istnieją przepisy, skoro ludzie ich nie stosują. Jeśli chcemy zmiany, sami musimy reagować.

A.L.: *Wy same posługujecie się stereotypami?*

Monika: No jasne. Stereotypy wynikają także z niewiedzy. Ostatnio na przykład zastanawiałam się przed warsztatem dla straży granicznej, jak będą wyglądać uczestnicy, czy będą ubrani w mundury, czym się zajmują. I miałam w głowie jeden obraz - osoby w zielonkawym mundurku, która stoi na granicy i przepuszcza albo nie przepuszcza. A potem dowiedziałam się, że strażnicy graniczni pracują i w biurze, i na lotnisku, i na granicy, że czasem chodzą w mundurach, a czasem nie, i tak dalej. Nie wiedziałam nic na temat ich wykształcenia, nie miałam pojęcia, kim są: postrzegałam ich przez pryzmat stereotypu.

Agata: Nie mogłabym powiedzieć, że nigdy nie kieruję się stereotypami. Choć bardzo staram się na to uważać. Na przykład w pierwszym odruchu myślę: „Członkowie Młodzieży Wszechpolskiej są bar-

dzo agresywni”, chociaż nie dotyczy to wszystkich, bo tam pewnie jest wielu zagubionych młodych ludzi, którzy potrzebują oparcia w grupie albo tego, żeby ktoś się nimi zajął. Mam też w głowie wiele stereotypów dotyczących muzułmanów. Z mojej wiedzy na temat ich religii i praktyk wynika, że kobieta zajmuje w społeczności bardzo słabą pozycję, jej wolność bywa często maksymalnie ograniczana. I to też jest w pewnym sensie uprzedzenie, bo na pewno w niektórych związkach mężczyźni traktują kobietę partnersko. Choć generalnie zinstytucjonalizowane, monoteistyczne religie nigdy kobietom nie służą.

A.L.: Porozmawiajmy jeszcze o waszych osobistych doświadczeniach, jeśli chodzi o lesbianizm. Mówiłyście o coming outie podczas szkoleń, a kiedy dokonałyście go w życiu prywatnym?

Agata: Coming out nie jest zdarzeniem jednokrotnym, skończonym. Dla mnie nie ma czegoś takiego jak jednorazowy coming out. Trudno mi powiedzieć, kiedy pierwszy raz sama przed sobą „przyznałam” się do tego, że jestem lesbijką, to był dłuższy proces. Ale chyba miało to miejsce pod koniec liceum, kiedy byłam na obozie feministycznym w Słowenii. Wtedy zaczęłam wracać myślami do przeszłości. Nie wiem, czy zawsze to tak działa, ale od razu zaczęłam się zastanawiać, jakie wydarzenia mogły mieć wpływ na to, że jestem lesbijką. Wcześniej byłam w związkach z mężczyznami, wtedy w zasadzie byli to jeszcze chłopcy. Oczywiście nie zastanawiałam się, „jakie wydarzenia miały wpływ na to, że jestem hetero”. Nie powiedziałabym o sobie wtedy, że jestem biseksualna. A w tej chwili na pewno uważam siebie za lesbijkę.

Monika: Kiedy byłam nastolatką, trudno było mi zaakceptować moją orientację seksualną. Nie byłam zainteresowana chłopakami, ale to dla mnie nie oznaczało, że jestem lesbijką. Myślałam, że może to się z czasem zmieni. Wiem teraz, że moje podejście było homofobiczne. Myślałam o homoseksualizmie w kategoriach zboczenia czy degeneracji. Oczywiście bardzo dużo zmieniło się od czasów, kiedy miałam 15-16 lat. Z zazdrością patrzę teraz na nastolatki, które są świadome swojej orientacji, bycie lesbijką nie stanowi dla nich takiego problemu. (Chociaż mimo upływu 20 lat ich sytuacja wcale się nie poprawiła.) Ja sobie z tym odkryciem nie radziłam. O kobietach lesbijkach praktycznie nie wiedziałam nic, na temat gejów dochodziły do mnie plotki, że spotykają się wieczorami w parku. Miałam wizję homoseksualnego, mrocznego, zakamuflowanego podziemia. Mieszkałam wtedy w Katowicach, gdzie był jeden klub, o którym mówiło się „dla pedałów” - zaciemnione,

mroczne miejsce, którego należało unikać. Przez jakiś czas odsuwałam od siebie myśli o homoseksualizmie i nawet zastanawiałam się, czy nie jestem transseksualna. Ale to mi też nie pasowało, bo powinnam się wówczas czuć źle w swoim ciele, a ja czułam się w nim dobrze. Przez długi czas trwałam w zawieszaniu. Przeżywałam oczywiście zauroczenia kobietami, ale czysto platoniczne, niespełnione erotycznie. Dopiero, kiedy zakochałam się w pewnej dziewczynie i dotarło do mnie, że ona jest lesbijką, że możemy stworzyć związek (niezależnie od tego, czy będziemy ze sobą sypiały, czy nie), zrozumiałam, że jestem lesbijką. Miałam wtedy 19 lat, uważam, że zyskałam świadomość dość późno. Miałam cały czas w głowie myśli, że to jest coś bardzo złego i wpłynie na moje życie w sensie negatywnym, że będę musiała się ukrywać, że ciągle będę nieszczęśliwa. Z tamtego związku nic nie wyszło, przeżyłam to doświadczenie dość ciężko i nie było ono wyzwalające.

Jeśli chodzi o inny rodzaj coming outu, na przykład rodzinny, to bardzo długo nie mogłam się na niego zdobyć. Cieszę się, że w końcu jednak to zrobiłam. A co do coming outu towarzyskiego, mam różne doświadczenia, dobre i dosyć kiepskie.

A.L.: *Jak bardzo kiepskie?*

Monika: Na przykład odrzucenia przez grupę w momencie, kiedy powiedziałam: „Jestem lesbijką”. Było to bardzo nieprzyjemne, ponieważ odrzuciła mnie grupa kobiet, po których się tego zupełnie nie spodziewałam, przy których czułam się bezpiecznie. Mam takie doświadczenia również, jeżeli chodzi o długoletnie przyjaźnie. W momencie, kiedy mówiłam o swojej orientacji, one niby nadal trwały, wszystko z pozoru było w porządku, ale jednak po jakimś czasie się kończyły. Natomiast w pracy mam doświadczenia dosyć pozytywne. Tam gdzie zdarzyło mi się pracować, ludzie podchodzili do siebie w inny sposób, zadaniowo, liczyły się kompetencje, a orientacja była sprawą prywatną.

A.L.: *Dlaczego zdecydowałyście się ujawnić (jako bohaterki tej książki) także z nazwiska? Dla wszystkich pozostałych kobiet, z którymi rozmawiałam, było to nie do pomyślenia, ze względu na możliwość przykrych konsekwencji.*

Agata: Po pierwsze, bardzo nie lubię sformułowania „ujawnić się”, „przyznać” (wiem, że wcześniej użyłam tego sformułowania - świadomie, bo dotyczyło to okresu, kiedy właśnie tak myślałam). Dla mnie osobiście (chcę podkreślić, że nie uważam, żeby to był „jedyne słuszny” punkt widzenia) w pewnym sensie już samo pytanie „Dlaczego zdecy-

dowałaś się na podanie nazwiska i pokazanie twarzy?” sugeruje, że np. przynależność do takiej grupy nie jest czymś, czym należałoby się chwalić, być z tego dumną albo chociaż zadowoloną. Nikt nie pyta mnie, czy chcę, żeby moje nazwisko się pojawiło, kiedy na przykład prowadzę warsztaty albo realizuję projekt. Można by zadać Sławce Walczewskiej pytanie, czy w ogóle pytała swoje rozmówczynie, czy zgadzają się na podanie nazwiska albo opublikowanie zdjęcia (chodzi tu o wywiady z polskimi feministkami, które zostały wydane przez Fundację eFKa). „Ujawnianie się”, „przyznawanie” sugeruje, że po pierwsze, powinnam się obawiać czegoś - zarówno ze strony osób negatywnie, jak i pozytywnie nastawionych, po drugie, powinnam się wstydzić, bo zrobiłam coś złego, nie powinnam się afiszować itd. Stawia mnie w pozycji przestępczyni.

Jest też tak, że „instytucja coming outu”, to znaczy całość tej ceremonii „przyznawania się”, „ujawniania” itd., jest instytucją społeczeństwa, w którym panuje heteroseksualna norma, a jednocześnie homofobia. I to właśnie stawia nas w takiej dziwnej pozycji. Właściwie ja nie chcę, żeby te sytuacje, w których mówię, że jestem lesbijką (to może dla różnych osób znaczyć bardzo różne rzeczy), były rozumiane jako coming out.

Mam nadzieję, że już niedługo żadna z nas nie będzie się w ogóle musiała zastanawiać, czy podawać w takiej sytuacji nazwisko, czy nie. Nie dajmy się „trzymać w szafach”!

Poza tym - w moim przypadku - kto ma wiedzieć, to już wie.

Monika: Gdyby ta sytuacja miała miejsce 5 lat temu, to pewnie byłaby to dla mnie trudna decyzja. Ale już od kilku lat funkcjonuję oficjalnie z imienia i nazwiska przy okazji różnych działań związanych ze środowiskiem LGBTIQ² i robię to świadomie, więc w przypadku tej książki było to dla mnie raczej oczywiste. Nie obawiam się przykrych konsekwencji, ale rozumiem, że dla innych osób takie zagrożenie istnieje. Sama nie cierpię instytucji coming outu i mam taką skrytą nadzieję, że kiedyś nadejdzie taki czas, że nie będę musiała już tego robić. Sposobem na osiągnięcie tego celu jest jak najwięcej coming outów, bo jeśli wszyscy już będą wiedzieć, to po co się powtarzać?

2. Angielskojęzyczny skrót, oznaczający lesbijki, gejų, biseksualistki, biseksualistów, osoby transseksualne i transgenderowe, interseksualistów i osoby queer.

PS.

Agata Teutsch i Monika Serkowska były współorganizatorkami Marszu Równości w Poznaniu, który odbył się kilka miesięcy po naszej rozmowie, w listopadzie 2005 roku, i stał się wyjątkowym wydarzeniem w historii walki o prawa mniejszości. Państwowa władza (na różnych szczeblach) wystąpiła wówczas przeciwko konstytucyjnej wolności zgromadzeń, zakazując pokojowej demonstracji. Doszło także do brutalnego rozpędzenia uczestników marszu przez policję, na skutek czego w środowisku LGBT wydarzenia te porównywano do amerykańskiego Stonewall. Niedługo potem przez Polskę przetoczyła się fala wieców pod hasłem „Reanimacja Demokracji - Marsz Równości idzie dalej” (więcej informacji na ten temat znajduje się w Kalendarium). W maju 2006 roku Naczelny Sąd Administracyjny orzekł, że ani groźba kontrademonstracji, ani moralne przekonania władzy nie mogą stać się podstawą zakazania pokojowej demonstracji. Ponieważ podobne stanowisko wyraził także Trybunał Konstytucyjny, można mieć nadzieję, że w przyszłości prawo do wyrażania przekonań w przestrzeni publicznej nie będzie w Polsce reglamentowane.

Posłowie

Czy jest coś wyjątkowego w byciu lesbijką? Na poziomie osobistego doświadczenia odpowiedź pewnie brzmi: to zależy. Może jest to tak samo wyjątkowe, jak wyjątkowe lub zwyczajne jest malowanie obrazów, bycie Polką, matką pięciorga dzieci, posłanką, ekspedientką w sklepie, gwiazdą rocka, zakonnicą, ateistką i tak dalej.

Żadna z kobiet, które opowiadały tu o swoim życiu, nie jest tylko lesbijką. Podobnie, jak nikt z nas nie jest wpisany w jedną tożsamość, która automatycznie wyklucza inne. Jednak w wymiarze społecznym pewne nasze identyfikacje są nagradzane, inne piętnowane. Rodzima akcja „Tiszert dla wolności” pokazała, jak kontrowersyjny i odważny jest pomysł noszenia koszulki z hasłem „Byłem w więzieniu”, „Jestem ze wsi”, „Nie słucham papieża”, „Jestem na liście”, „Mam dwóch tatuśków”, „Nie chcę mieć dzieci”, „Jestem lesbijką”. I nie chodziło przede wszystkim o to, czy nosiciel/ka koszulki naprawdę jest tym, co ma z przodu napisane, ale o to, że się obnosi. Solidaryzuje z wyrzuconymi poza nawias, pokazuje, afiszuje, upublicznia. Tu prywatne zaczyna być polityczne (tak, jak w przypadku Marszów Równości, na które nie przychodzą wyłącznie osoby nieheteroseksualne, ale także zwolennicy równego traktowania). Oczywiście, nie wszyscy mamy ochotę pokazywać na co dzień, lub choćby od święta, kim naprawdę jesteśmy i co naprawdę myślimy. Ujawniać się, zakładać prowokacyjne koszulki, chodzić na manifestacje, podpisywać listy protestacyjne, wyrażać niepopularne poglądy. To takie męczące. Ale, jak to zgrabnie ujął mój radiowy kolega, Jakub Janiszewski: „Jeśli mówisz, że polityka cię nie interesuje, to uważaj, bo ona bardzo interesuje się tobą”.

Kalendarium (Polska)

Na podstawie kalendarium „LESteśmy w Polsce” opracowanego z inicjatywy Porozumienia Lesbijek (LBT) przez Annę Górską, które przedstawia obecność lesbijek w życiu kulturalnym, społecznym i politycznym Polski na szerszym tle ruchu LGBT. Pełny tekst kalendarium i informacje o źródłach: <http://www.porozumienie.lesbijek.org>

1841

W piśmie „Pierwiosnek” ukazał się wiersz Narcyzy Żmichowskiej *Szczęście poety*, uznawany za manifest Entuzjastek, działaczek ruchu kobiecego. Można domyślać się, że w kilku przypadkach przyjaciółki i współpracowniczki łączyła również miłość, jak np. Paulinę Kuczalską-Reinschmit z Józefą Bojanowską.

1845

Narcyza Żmichowska wydała *Pogankę*. Powieść ta odczytywana jest jako alegoryczny opis nieszczęśliwej miłości lesbijskiej, oparty na motywie autobiograficznym - związku Żmichowskiej z Pauliną Zbyszewską.

1923

Odbył się, otoczony atmosferą skandalu, proces Zofii Sadowskiej, działaczki ruchu kobiecego i lekarki oskarżonej o nakłanianie pacjentek do „praktyk lesbijskich” i „lesbijskiego nierządu”.

1932

W Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej nie umieszczono - obecnego w prawodawstwie zaborców - zapisu o karalności homoseksualizmu.

1933

Ukazał się polski przekład powieści Radclyffe Hall *Źródło samotności*, z przedmową Ireny Krzywickiej.

1974

Pierwszy artykuł o homoseksualizmie w polskiej prasie autorstwa Tadeusza Gorgola pt. *Homoseksualizm a opinia* ukazał się w „Życiu Literackim” nr 18/1974.

1983

Gazeta „Kurier Polski” i pismo „Relaks” zaczęły publikować ogłoszenia towarzyskie lesbijek i gejów (1983-1984 i 1988).

1984

Pierwsza telewizyjna dyskusja na temat homoseksualizmu w Polsce; radio zaczęło emitować audycję „Rozmowy intymne”.

1985

Z polecenia gen. Czesława Kiszczaka, ministra spraw wewnętrznych, MO rozpoczęło akcję przeciw homoseksualistom „Hiacynt”. Gromadzenie danych odbywało się w latach 1985, 1986 i 1987. Akcja polegała na: a) aresztowaniu osób podejrzanych o homoseksualizm lub kontakty z tym środowiskiem, b) wypełnieniu szczegółowego formularza o nagłówku „Karta homoseksualisty” (podobnie jak w przypadku wcześniej wspomnianych taktyk werbunkowych działo się to w atmosferze zastraszenia przymusowym ujawnieniem orientacji osoby aresztowanej w jej zakładzie pracy, szkole czy przed rodziną), c) niekiedy spisaniu oświadczenia o treści: „Niniejszym oświadczam, że ja (tu imię i nazwisko), jestem homoseksualistą od urodzenia. Miałem w życiu wielu partnerów, wszystkich pełnoletnich. Nie jestem zainteresowany osobami nieletnimi”. W „rózowej kartotece” zostało zarejestrowanych ponad 11 tysięcy gejów. Akcja „Hiacynt” dotyczyła tylko mężczyzn.

W „Polityce” ukazał się artykuł Krzysztofa Darskiego (pseudonim) *Jesteśmy inni*. Było to pierwsze publiczne wystąpienie homoseksualisty w Polsce.

1986

Powstało pismo „Filo Express”, odbijane na powielaczu, pierwsze pismo gejowsko-lesbijskie w krajach bloku socjalistycznego. Później zmieniło tytuł na „Facet”.

W tygodniku „Na przelaj” ukazał się reportaż *Rozgrzeszenie* autorstwa Ewy Żychlińskiej i Mariusza Szczygła, pierwsza w kraju inicjatywa, która zwróciła powszechną uwagę na problematykę homoseksualizmu.

1987

Warszawa. Pierwsze spotkanie robocze współpracujących ze sobą grup gejowskich z całego kraju w Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu. Omawiano na nim bieżące sprawy środowiska gejowskiego, problemy prawne z zarejestrowaniem grup oraz programy ich działania. Debatowano również nad rozszerzeniem współpracy z nowymi grupami i sposobami tworzenia kolejnych. Wstępnie opracowano

założenia następnego spotkania w szerszym już gronie z liderami nowych grup. Nieformalna grupa gejów z Warszawy nawiązała kontakt z prof. Mikołajem Kozakiewiczem, dr Marią Dziedzic z Ministerstwa Zdrowia oraz Markiem Kotańskim z „Monaru”. Rozpoczęto pierwsze starania o legalizację zrzeszenia.

•
8 czerwca ukazał się pierwszy numer pisma gejowsko-lesbijskiego „Efebos”. Niestety istniało ono bardzo krótko.

•
W Mielnie odbył się nieformalny zjazd grupy lesbijek, który był wynikiem zamieszczenia anonsu prasowego w miesięczniku „Relaks” przez jedną z nich.

1988

Prof. Mikołaj Kozakiewicz skierował do ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka i ministra zdrowia Zenona Komendera list w sprawie zalegalizowania organizacji gejowskich i potępienia akcji „Hiacynt”. Pod listem podpisali się: prof. Tadeusz Kielanowski, Bolesław Popielski, Zbigniew Sternadel, Kazimierz Imieliński, prof. Bogdan Suchodolski, Stanisław Ehrlich, Jan Szczepański, Artur Sandauer, reż. Jerzy Kawalerowicz, art. plastyk Szymon Kobyliński, red. Daniel Pasent. Poparcia dla listu odmówili: Aleksander Gieysztor, Andrzej Wajda i Magdalena Sokołowska. Obaj ministrowie nie zareagowali na list.

•
Ukazała się publikacja *Homoseksualizm* autorstwa prof. Krzysztofa Boczkowskiego.

•
Próba rejestracji Warszawskiego Ruchu Homoseksualnego (WRH).

1990

Zarejestrowano w sądzie Stowarzyszenie Grup Lambda, w którym udział lesbijek wynosił ok. 30%. Początkowo do stowarzyszenia należały 3 grupy: w Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu.

•
Grupa gdańska Stowarzyszenia Grup Lambda zaczęła wydawać miesięcznik „Filo” - pismo Stowarzyszenia Grup Lambda.

•
W czerwcu ukazało się „Inaczej” - pierwsze polskie pismo gejowsko-lesbijskie, dostępne w kioskach „Ruchu”.

•
W Warszawie powstaje Pink Service - pierwsze w Europie Środ-

kowej i Wschodniej Biuro Obsługi Gejów i Lesbijek (gejowskie biuro poradniczo-informacyjne, zajmujące się także obsługą turystyczną itp. działalnością) kierowane przez Sławomira Starostę.

•
Rozpoczęcie działalności klubu „Cafe Fiolka” na warszawskim Służewcu - pierwszego oficjalnego klubu lesbijsko-gejowskiego w Polsce. Funkcjonował on do 31 stycznia 1992 r. - powodem zamknięcia był konflikt z osiedlową młodzieżą.

•
Przy Lambdzie Kraków powstała grupa LL (Lesbian Lambda). Na apel „Czy w Polsce są lesbijki”, ogłoszony w piśmie „Inaczej”, zaczęły przychodzić listy od dziewczyn i kobiet z całej Polski. Konsekwencją tej korespondencji były zjazdy organizowane w Krakowie, Zakopanym, Warszawie, Bielsku-Białej.

1991

Wiceminister zdrowia Kazimierz Kapera stwierdził w telewizyjnych „Wiadomościach” (TVP1), że „AIDS jest ograniczony przede wszystkim do jednej grupy, (...) która w naszym pojęciu jest zboczona, czyli do kontaktów homoseksualnych”. Wypowiedź ta wywołała duże oburzenie i doprowadziła do odwołania 3 dni później wiceministra z zajmowanego stanowiska przez premiera Krzysztofa Bieleckiego. Za byłym ministrem ujął się publicznie kardynał Józef Glemp.

1992

Ukazał się zbiór opowiadań Izabeli Filipiak *Śmierć i spirala*, w którym obecne są wątki lesbijskie.

•
10 członkiń LL (Lesbian Lambda) wzięło udział w obozie dla kobiet z krajów nadbałtyckich w ośrodku Kvindehojskolen (Wyższa Szkoła Kobiet) w Danii, stworzonym przez lesbijki w małej miejscowości Visby w Jutlandii. Na obozie tym wiele zajęć i dyskusji było poświęconych tematom lesbijskim.

•
Powstała Lambda Bilitis, warszawska grupa skupiająca lesbijki. Nie miała swojego lokalu. Spotkania odbywały się w pubach odwiedzanych przez gejów albo w prywatnych mieszkaniach.

1993

Lambda Warszawa zorganizowała z okazji Walentynek happening na Placu Zamkowym pod Kolumną Zygmunta, rozwieszając na niej

transparenty i domagając się prawa do miłości.

1994

Przewodniczący Zarządu Stowarzyszenia Grup Lambda wystosował list otwarty do prezydenta Lecha Wałęsy, zawierający protest przeciwko brakowi zapisu o zakazie dyskryminacji ze względu na orientację psychoseksualną w złożonych projektach nowej konstytucji.

Pierwsze teksty o lesbijkach pojawiły się w periodyku feministycznym „Pełnym głosem”, wydawanym przez Fundację eFKa z Krakowa (nr 2/jesień 1994, w dziale „Lesbijki a Kościół” tekst Marzeny Stany *Lesbijki w Polsce. Problemy z Kościołem*).

W warszawskim kinie „Tęcza” odbyła się zorganizowana przez Stowarzyszenie Grup Lambda konferencja prasowa, dotycząca opracowanego przez tę organizację „Raportu o dyskryminacji ze względu na orientację seksualną w Polsce”, w którym po raz pierwszy w Polsce przedstawiono przypadki łamania prawa wobec gejów i lesbijek.

1995

Komisja Konstytucyjna wprowadziła do projektu Konstytucji zakaz dyskryminacji. Ostateczna formuła brzmiała: „Nikt nie może być dyskryminowany w życiu politycznym, społecznym lub gospodarczym z jakiegokolwiek przyczyny”, a więc w Konstytucji brak zapisu o zakazie dyskryminacji ze względu na orientację psychoseksualną.

Violetta Cywicka z Grupy LL (Lesbian Lambda) z Krakowa opracowała rozdział poświęcony lesbijkom do raportu o sytuacji kobiet w Polsce, przygotowanego na konferencję ONZ w Pekinie.

Na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego obchodzony był po raz pierwszy w Polsce Dzień Dumy Gejowskiej, zorganizowany przez Lambdę i Pink Press, w ramach którego odbył się koncert zespołu Balkan Electrique. Organizatorzy nie uzyskali zezwolenia na manifestację.

1996

Grupa Lesbijek i Gejów Chrześcijan w Warszawie skierowała do abpa Józefa Michalika i bpa Tadeusza Pieronka list w sprawie duszpasterstwa osób o orientacji homoseksualnej, na który nie otrzymała odpowiedzi.

Powstała nieformalna grupa OLA - Archiwum (Ogólnopolskie Feministyczne Archiwum Lesbijskie), zarejestrowana w 1998 r. Inicjatorką i przewodniczącą była Olga Stefaniuk. Początkowo spotkania odbywały się w siedzibie La Strady, potem OLA - Archiwum zdobyło swoją siedzibę. Główny zakres jego działalności to wydawanie „Furii Pierwszej - literackiego feministycznego czasopisma lesbijskiego” i prowadzenie projektu „Lesbian Studies” (programu edukacyjnego dla studentek, analizy obecności problematyki lesbianizmu w głównym nurcie społeczno-kulturowym). Ponadto OLA - Archiwum organizowało projekcje filmów wideo i zajmowało się gromadzeniem książek, czasopism, plakatów, wycinków prasowych, materiałów dokumentujących ruch lesbijski i feministyczny w Polsce i za granicą.

- Powstała pierwsza strona internetowa środowiska gejowsko-lesbijskiego - www.innastrona.pl

- Powstała pierwsza strona internetowa polskich lesbijek - Polish Lesbians Site, stworzona przez Alicję Kowalską i Joey. Znajdowały się na niej informacje o OLA - Archiwum, lokalach gejowskich, cytaty z prasy, ogłoszenia towarzyskie.

- Kinga Dunin opublikowała książkę *Tao gospodyni domowej*, której cały rozdział poświęcony jest analizie programu „Na każdy temat” z udziałem lesbijek.

1997

W Krakowie, od września 1997 r. do kwietnia 1999 r. co sobotę w kamienicy przy ulicy Szerokiej odbywały się spotkania grupy Safo, wcześniej Lesbian Lambda (LL). Przez ten okres działał telefon zaufania, którego numer był ogłaszany w dwóch gazetach lokalnych („Dziennik Polski”, „Gazeta Wyborcza”), oraz skrzynka mailowa, służąca do nawiązywania kontaktów w Polsce i zagranicą.

- Ukazał się nr 1 „Furii Pierwszej - literackiego feministycznego czasopisma lesbijskiego”, wydawanego przez OLA - Archiwum. Znalazł się w nim m.in. tekst Joanny Mizielińskiej *Lesbianizm w Polsce - pomiędzy świadomością a jej brakiem*.

- W Poznaniu powstała feministyczna grupa nieformalna Konsola, obecnie działająca jako stowarzyszenie.

1998

W ramach Akcji Przewygranicznych Dni Kobiet i Lesbijek (Frauen-Lesben Aktionstage) odbył się polsko-niemiecki obóz antygraniczny. Obóz był organizowany głównie przez dziewczyny działające w ruchu lesbijskim i wolnościowym z Niemiec. Zorganizowano akcje przeciwko polityce migracyjnej Unii Europejskiej, spotkania nt. handlu kobietami, sytuacji kobiet i lesbijek w Polsce.

• Ukazał się debiut literacki Ewy Schilling - wybór opowiadań o tematyce lesbijskiej *Lustro*.

• Izabela Filipiak udzieliła w lutym wywiadu dla pisma „Cosmopolitan”, w którym dokonała - jako pierwsza w Polsce lesbijka - publicznego coming outu.

• Po raz pierwszy wręczone zostały „Tęczowe Laury”, nagrody środowiska lesbijsko-gejowskiego, przyznawane osobom i instytucjom zasłużonym dla tego środowiska.

1999

Ukazała się książka Sławomiry Walczewskiej *Damy, rycerze i feministki* - poświęcona historii myśli i ruchu polskich feministek. Jeden z rozdziałów „Przyjaźnie kobiece, związki lesbijskie” poświęciła autorka lesbianizmowi i zakłamywanym, przemilczanym związkom Marii Konopnickiej, Marii Rodziewiczówny, Narcyzy Żmichowskiej, Pauliny Kuczalskiej-Reinschmit Józefy Bojanowskiej i innych.

• Powstała, prowadzona przez Karę Auchemann, polska strona „Inny Kraków” będąca witryną literacko-kulturalną poświęconą twórczości lesbijek. Z biegiem lat strona ewoluowała w stronę portalu i obecnie znana jest jako „Lesbijka.org.pl - niezależny wortal społeczno-kulturalny lesbijek i biseksualistek”.

<http://www.lesbijka.org.pl>

• W Krakowie powstało Stowarzyszenie Labrys - organizacja lesbijska, której działalność obejmowała pomoc psychologiczną (również dla rodziców), prowadzenie biblioteki, archiwum prasowego, grupy teatralnej, pokazy filmowe.

2000

Przy Stowarzyszeniu Lambda Warszawa powstała grupa otwarta

Gennema, której celem było „tworzenie środowiska kobiecego poprzez wzajemne poznanie się, współpracę i wspólne działania artystyczne”.

2001

Powstało Koło Naukowe Gender Studies „Nic Tak Samo” na Uniwersytecie Wrocławskim. Głównym celem koła jest prowadzenie i upowszechnianie w Polsce badań z zakresu *gender studies*, *gay and lesbian studies* oraz *queer theory*.

- Powstała nieformalna grupa Ulica Siostrzana, której przewodnią ideą jest chęć włączenia szerokiej grupy kobiet (np. matek z dziećmi, osób z małych ośrodków miejskich i wiejskich itd.) w tworzenie ruchu kobiecego w Polsce oraz w przeciwdziałanie dyskryminacji.

- Powstał, założony przez Absolut6na9 i Renifer, portal Kobiety-Kobietom skierowany głównie do kobiet LBT.

<http://www.kobiety-kobietom.com>

- W Warszawie odbyła się pierwsza w Polsce Parada Równości, zorganizowana przez aktywistów polskiego oddziału ILGCN (Międzynarodowego Stowarzyszenia Gejów i Lesbijek na Rzecz Kultury) Szymona Niemca i Krzysztofa Szymborskiego.

- Kampania Przeciw Homofobii ogłosiła swoją Deklarację Założycielską.

2002

Posłanka SLD Joanna Sosnowska przygotowała projekt ustawy, który przewiduje możliwość legalizacji konkubinatu. W założeniu ma on także obejmować związki homoseksualne.

- W ośrodku Rainbow Lambdy Warszawa rozpoczęła działalność grupa wsparcia dla rodzin i bliskich osób homoseksualnych - Tacy Sami.

- Pierwsza internetowa akcja „Tak Wygląda Lesbijka” organizowana przez wortal Lesbijka.org.pl. Akcja była powtarzana corocznie do 2004 roku. W pierwszej edycji wzięło udział kilkanaście osób, w ostatniej ponad 100.

- Odbyła się druga warszawska Parada Równości. Wg TVP w Parade brało udział 500 osób, wg organizatorów 2 tysiące.

- Przy okazji spisu powszechnego Stowarzyszenie Lambda Warszawa wezwało do zmanifestowania swojej obecności i pokazanie społeczeństwu w wynikach spisu, ilu jest w Polsce gejów i lesbijek. W wyniku tej akcji prezes GUS i Główny Komisarz Spisowy zapowiedzieli, że w arkuszach spisowych znajdą się adnotacje o związkach osób tej samej płci, o ile osoby biorące udział w badaniu udzielą takich odpowiedzi.

- W „Gazecie Wyborczej” ukazał się artykuł Jacka Kochanowskiego *Geje nie będą udawać małżeństw*, który zapoczątkował szeroką publiczną debatę nt. praw osób homoseksualnych.

- Stowarzyszenie na rzecz Wszechstronnego Rozwoju Kobiet „Dakini” zorganizowało grupę dla lesbijek pragnących zostać oraz będących matkami i ich partnerek.

2003

KPH przy współpracy Lambdy Warszawa rozpoczęła akcję „Niech nas zobaczą”. Projekt składa się z 30 fotografii par osób tej samej płci. W zamysle autorki zdjęć, Karoliny Breguły, fotografie miały być podobne do siebie, wręcz monotonne, aby widz znudził się nimi i pomyślał, że mijają na ulicy codziennie setki takich ludzi. Problemy związane z zaprezentowaniem wystawy w poszczególnych miastach zainicjowały dyskusję o homofobii i obecności osób homoseksualnych w polskim społeczeństwie.

- Odbyła się trzecia warszawska Parada Równości, w której wzięło udział ponad 3,5 tysiąca osób, zorganizowana przez ILGCN.

- Wrocław. Odbył się pierwszy Festiwal „Lesbijki, geje i przyjaciele”, zorganizowany przez Stowarzyszenie na Rzecz Aktywizacji Kultury Alternatywnej i Koło Naukowe Gender Studies „Nic Tak Samo”.

- Prof. Maria Szyszkowska przygotowała ustawę o związkach partnerskich pomiędzy osobami tej samej płci.

- Sejm przyjął tekst nowelizacji ustawy o prawie pracy. Znowelizowane prawo pracy zakazuje dyskryminacji ze względu na płeć, wiek, niepełnosprawność, rasę, religię, narodowość, przekonania polityczne, przynależność związkową, pochodzenie etniczne, wyznanie, orientację seksualną.

2004

Kraków. Odbył się festiwal „Kultura dla Tolerancji” - Dni Kultury Gejowskiej i Lesbijskiej. Jednym z elementów programu był Marsz Tolerancji. Organizatorzy marszu zrezygnowali z przejścia pod Smoczą Jamę, z obawy przed atakiem członków Młodzieży Wszechpolskiej i pseudokibiców piłkarskich. Obstawa policyjna użyła psów. Do akcji wkroczyli antyterrorysty. Oddano strzały ostrzegawcze.

•
W Wiecu Wolności na Placu Bankowym, nazywanym również *Stojącą Paradą Równości*, będącym sprzeciwem wobec łamania podstawowych praw demokracji, brało udział około 1000 osób. Prezydent Warszawy Lech Kaczyński nie zgodził się na przeprowadzenie Parady Równości i - mimo dwukrotnego uchylecia tej decyzji przez wojewodę mazowieckiego - nie zmienił zdania.

•
W Warszawie odbyła się konferencja organizowana przez wortal Lesbijka.org.pl nt. „Lesbijki w życiu społeczno-politycznym”. Efektem konferencji były cykl warsztatów pod tym samym tytułem w głównych miastach Polski oraz książka, wydana w 2006 roku.

•
Odbyły się zorganizowane przez Konsolę warsztaty Lesbian Empowerment. Poszczególne spotkania poświęcone były sytuacji prawnej osób homo-seksualnych w Polsce, WenDo, związkom między kobietami i lesbijkom w kulturze.

•
W Warszawie miał miejsce panel dyskusyjny „Lesbijki vs Feministki”, organizowany przez wortal Lesbijka.org.pl.

•
Odbyło się seminarium dla aktywistek ruchu kobiecego, zorganizowane przez Stowarzyszenie Lambda Warszawa w Pogorzeli k/Otwocka. Celem spotkania było wzmocnienie środowiska kobiet homo- i biseksualnych poprzez: nawiązanie współpracy między organizacjami działającymi na rzecz tych kobiet, stworzenie i rozwój sieci organizacji/osób, działających na rzecz tej grupy w Polsce, promowanie w środowiskach kobiet homo- i biseksualnych aktywności na rzecz ich środowiska.

•
Powstała, zainicjowana podczas seminarium w Pogorzeli, nieformalna grupa Porozumienie Lesbijek (LBT), łącząca aktywistki z organizacji LGBT i feministycznych oraz grupy nieformalne i osoby niezrzeszone (skrót LBT oznacza lesbijki, biseksualistki i kobiety transseksualne i

transgenderowe).

- Osoby obrażone wypowiedziami przewodniczącego Rady Miasta Poznania, Przemysława Alexandrowicza (PiS), i radnego Jacka Tomczaka (PiS) na temat homoseksualistów złożyły zawiadomienie w Prokuraturze Okręgowej w Poznaniu. Wnioskodawcy domagali się wszczęcia śledztwa w sprawie pomówienia homoseksualistów o skłonności do pedofilii, zoofilii i nekrofilii.

- W warszawskich klubach Galeria 23, CDQ i Le Madame odbył się pierwszy w Polsce Ladyfest Wawa 2004, festiwal organizowany przez kobiety i prezentujący niezależną kulturę kobiet (oraz wszystkich osób identyfikujących się jako kobiety), wyrastający z undergroundowej sceny punk, anarchofeministycznego ruchu Riot Grrrl i kultury queer.

- Odbyły się Dni Równości i Tolerancji w Poznaniu, organizowane przez Zielonych 2004, Stowarzyszenie Kobiet Konsola, Lambdę Poznań i Nową Lewicę. W Marszu Równości 20 listopada udział mieli wzięć niepełnosprawni, mniejszość żydowska i przedstawiciele mniejszości seksualnych. Uczestnikom udało się przejść zaledwie kilkadziesiąt metrów. W ich stronę poleciały jajka, cytryny, a nawet petarda. Policja cofnęła uczestników Marszu pod Zamek. Poinformowano organizatorów, że policja nie zapewni bezpieczeństwa, jeśli marsz będzie kontynuowany.

- Odbyły się, organizowane przez wortal Lesbijka.org.pl, Wybory Człowieka Tęczy. Na kandydatów do nagrody przez kilka miesięcy głosowali lesbijki i geje z całej Polski - laureatami zostali: prof. Maria Szyszkowska (za całokształt działań na rzecz mniejszości seksualnej w Polsce) i Robert Biedroń (przewodniczący Kampanii Przeciw Homofobii).

2005

Porozumienie Kobiet 8 Marca oraz Porozumienie Lesbijek (LBT) współorganizowały feministyczną Manifę z okazji Dnia Kobiet pod hasłem „Jesteśmy silne, razem silniejsze”, której głównymi tematami były sprzeciw wobec dyskryminacji ekonomicznej kobiet oraz dyskryminacji ze względu na orientację psychoseksualną. Wzywane do Fioletowej Rewolucji lesbijki pojawiły się licznie z fioletowymi flagami, szalikami i balonami.

- Z okazji IDAHO - Międzynarodowego Dnia Przeciw Homofobii - Poró-

zumienie Lesbijek (LBT) zorganizowało pierwszą akcję „Poradnia Anty-homofobiczna” przy wejściu głównym do Metra Centrum (Warszawa).

W Warszawie odbyła się nielegalna Parada Równości: mimo zakazu prezydenta Kaczyńskiego kilka tysięcy osób przeszło ulicami stolicy w Paradzie Równości, zorganizowanej przez Fundację Równości przy współpracy m.in. Porozumienia Lesbijek (LBT) i Porozumienia Kobiet 8 Marca. Próby zatrzymania manifestujących przez bojówki Młodzieży Wszechpolskiej oraz „szalikowców” zostały skutecznie odparte przez policję. Parada przekształciła się w manifestację poparcia wszystkich mniejszości społecznych.

Przed wejściem do jednego z klubów gejowsko-lesbijskich w Katowicach doszło do aktu nienawiści wobec geja i lesbijki. Dwie osoby po wyjściu z lokalu zostały postrzelone śrutem. Jedną z poszkodowanych była Marzena Rozlach - członkini Zarządu Stowarzyszenia Kampania Przeciw Homofobii.

Powstało pierwsze internetowe radio dla lesbijek „Lorga”, będące inicjatywą niezależnego kobiecego wortalu społeczno-kulturalnego Lesbijka.org.pl i Fundacji Lorga. Radio działało 5 miesięcy.

Nielegalny Marsz Równości w Poznaniu został rozpędzony przez policję. Mimo zakazu prezydenta Poznania kilkaset osób manifestowało przeciw dyskryminacji ze względu na płeć, kolor skóry, orientację psychoseksualną, niepełnosprawność. Wszyscy aresztowani - 68 osób - zostali wypuszczeni po przesłuchaniach.

Ogólnopolski Komitet „Solidarność z Poznaniem” zorganizował wiece pod hasłem „Reanimacja Demokracji - Marsz Równości idzie dalej” w Elblągu, Gdańsku, Krakowie, Łodzi, Rzeszowie, Toruniu, Warszawie, Wrocławiu i Poznaniu. W wiecu na placu Konstytucji w Warszawie wzięło udział ok. 2 tysiące osób.

KPH zaczęło wydawać dwumiesięcznik „Replika”.

2006

W maju Naczelny Sąd Administracyjny uznał, że decyzja o zakazie Marszu Równości w Poznaniu w listopadzie 2005 roku była niezgodna z prawem, tym samym stwierdzając, że prezydent Poznania i wojewoda wielkopolski postąpili nielegalnie, zabraniając marszu.

•

W maju i czerwcu poseł LPR Wojciech Wierzejski wielokrotnie wygłaszał homofobiczne wypowiedzi i atakował osoby i organizacje LGBT. W liście do ministrów SWiA oraz sprawiedliwości napisał m.in. „(...) Powszechnie wiadome jest, że środowiska homoseksualne programowo zainteresowane są upowszechnianiem postaw dewiacyjnych wśród młodzieży, oraz - co gorsza - powiązane są ze światem quasi-przestępczym o charakterze m.in. pedofilskim”. Na skutek tej inicjatywy Prokuratura Krajowa miała zbadać sposoby finansowania organizacji homoseksualnych, ich powiązania z półświatkiem i to, czy są obecne w szkołach. Wierzejski mówił również: „Środowiska homoseksualne są podatne na wpływ obcych agentur”. W związku z kontrowersjami wokół Parady Równości oświadczył: „Jeżeli dewianci zaczną demonstrować, to należy dolać im pałą”; „Jak [niemieccy politycy, goście Parady] dostaną parę pał, to drugi raz nie przyjadą. Gej to przecież z definicji tchórz”.

•

W czerwcu minister edukacji narodowej, Roman Giertych, podjął decyzję o odwołaniu Mirosława Sielatyckiego z funkcji dyrektora Centralnego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli. Jako powód przedstawiono domniemaną promocję homoseksualizmu w szkole. W rzeczywistości chodziło o oficjalny poradnik Rady Europy *Kompas - edukacja o prawach człowieka w pracy z młodzieżą*, adresowany do nauczycieli i liderów organizacji młodzieżowych.

•

W warszawskiej Paradzie Równości wzięło udział wg szacunków policji 3 tysiące, zaś wg organizatorów - 10 tysięcy uczestników. Dniom Równości 2006 towarzyszył festiwal filmowy „Teddy on Tour in Warsaw”, prezentujący obrazy z niemieckiego Festiwalu Berlinale.

•

W czerwcu Parlament Europejski przyjął rezolucję, w której wyraził poważne zaniepokojenie wzrostem nietolerancji powodowanej rasizmem, ksenofobią, antysemityzmem i homofobią w Polsce, za który odpowiedzialne są Radio Maryja i Liga Polskich Rodzin. Parlamentarzyści wezwali do ponownego rozpatrzenia decyzji o likwidacji urzędu Pełnomocnika Rządu ds. Równego Statusu Kobiet i Mężczyzn.

•

We wrześniu poznański sąd zdecydował, że dwaj parlamentarzyści PiS muszą publicznie przeprosić za wypowiedź, w której porównali homoseksualizm do pedofilii, zoofilii i nekrofilii. Był to efekt akcji „Nasza Sprawa”, którą, przy wsparciu licznych organizacji LGBT, przede

wszystkim Lambdy, portalu www.kobiety-kobietom.com i Porozumienia Lesbijek (LBT), prowadziły cztery lesbijki.

- W początkach października radio TOK FM zaczęło nadawać conie-dzielną nocną audycję o tematyce genderowej i LGBT „Lepiej późno niż wcale”, którą prowadzą Joanna Piotrowska z Fundacji Feminoteka i Krystian Legierski, założyciel klubu „Le Madame”.

- Prywatna stacja telewizyjna ITV wprowadziła do swojej ramówki pro-gram „Homofonia”.

- W październiku odbył się 1. Międzynarodowy Festiwal Filmu Queer „a million different loves!?” W ciągu 5 dni zaprezentowano blisko 50 filmów z całego świata.

- W Warszawie odbyła się 1. edycja festiwalu filmowego „Pryzmat”.

Kalendarium (Świat)

Wybrane zagadnienia z „Historii lesbianizmu w odcinkach”. Opracowanie dla wortalu Lesbijka.org.pl: Sylwia Dziwura. Pełny tekst „Historii lesbianizmu” i informacje o źródłach: <http://www.lesbijka.org.pl>.

Do XV w n.e.

2300 p.n.e. Pierwsze zapiski o Enhudeannie, autorce wierszy, którym część badaczy przypisuje wymowę lesbijską. Żyła na terenach obecnego Iraku. Jej wiersze były hymnami na cześć bogini Inanny. Enhudeanna lubieżnie opisywała fizyczną piękność bogini, jej nieokiełznaną miłość do dzikości. Nazywała samą siebie *małżonką Inanny*.

ok. 630 p.n.e. Na wyspie Lesbos urodziła się Safona (gr. *Psafō*). Źródła podają różne daty urodzin i śmierci Safony. Data jej urodzin umiejscawiana jest od 664 do 615 roku p.n.e., data śmierci podawana jest często między 604-590 rokiem p.n.e., co byłoby sprzeczne z datą założenia przez nią szkoły. Safona prawdopodobnie pochodziła z rodziny arystokratycznej, wychowana była przez matkę (ojciec zginął, gdy Safona była dzieckiem). Opisywana była jako niska brunetka. Będąc młodą kobietą, wyszła za mąż, potem swych wierszach wspominała córkę. O mężu nie ma mowy w żadnym z jej ocalałych utworów. Legenda głosi, że Safona rzuciła się z klifu z powodu nieszczęśliwej miłości do żeglarza. Ponieważ nie ma na ten temat żadnych zapisów w greckiej historii, zachodzi podejrzenie, iż legenda ta została wymyślona przez Kościół, który pragnął odwrócić uwagę wiernych od „nienaturalnych” skłonności Safony.

ok. 580 p.n.e. Safona została przewodniczką i nauczycielką koła ku czci muz i bogini Afrodyty (gr. *thiasos*), w którym kształciła młode, niezamężne dziewczęta. Jej najznamienitszymi uczennicami były poetki Erinna z Telos i Damofila z Pamfilii. To do swoich uczennic Safona kierowała najpiękniejsze liryki. W swych wierszach odeszła od popularnego wtedy opiewania bogów na rzecz opisywania uczuć do kobiet. Stąd pojęcie „safizmu” - miłości lesbijskiej. Grecy zakochani byli w poezji Safony, nazywali ją „Dziesiątą Muzą”, „Kwiatem Grecji” oraz „Cudem”.

53 n.e. Cesarz Justynian I wprowadził do prawa rzymskiego zasady moralności chrześcijańskiej. Uważał, że homoseksualizm i bluźnierstwo są przyczynami panujących wówczas zaraz, głodu oraz trzęsień

ziemi. Rozkazał kastrować kobiety i mężczyzn przyłapanych na tych „przestępstwach”.

60 n.e. Boudikka, przywódczyni plemienia Icenów, zamieszkującego wschodnią Anglię, stanęła na czele powstania Celtów przeciw Rzymianom. Uwięziona i poniżana, otruła się. Niektórzy sądzą, że z jej imienia wywodzi się angielskie określenie *bulldyke* - „męska lesba”.

380 Biskup kościoła wschodniego Grzegorz z Nazjanzu rozkazuje spalić poezję Safony. Był on jednym z teologów zwalczających herezję, do której zaliczono również wiersze greckiej poetki.

1073 Hierarchowie kościołów wschodniego i rzymskiego nakazali spalić zachowane kopie utworów Safony. W konsekwencji ocalała zaledwie dwudziesta część jej twórczości (odnaleziona podczas wykopalisk archeologicznych w 1897 roku).

1260 Orleańska szkoła prawnicza wydała rozporządzenie w sprawie miłości lesbijskiej. Kobietom dopuszczającym się tego występku po raz pierwszy zalecano usuwać łechtaczki, przyłapano po raz drugi miały być dalej okaleczane, a po trzecim oskarżeniu należało spalić je na stosie.

XII-XIII wiek W społeczeństwach Inków i Azteków kobiety przyłapano na aktach homoseksualnych skazywane były na śmierć.

1450-1453 Papież Mikołaj upoważnił hiszpańską Inkwizycję do karania wszelkich przejawów homoseksualizmu. Kobiety i mężczyźni podejrzani o homoseksualizm byli torturowani, często ze skutkiem śmiertelnym.

1477 Jedna z pierwszych w Europie egzekucji za lesbianizm. Młoda kobieta ze Speier w Niemczech została oskarżona o stosunki lesbijskie i utopiona.

XVI-XVII wiek

1520 W Hiszpanii odbyła się egzekucja dwóch zakonnice oskarżonych o używanie „instrumentów seksualnych”.

1533 Dwie Francuzki poddano torturom podczas procesu o lesbianizm w Bordeaux. Zarzuty oddalono z powodu niewystarczających dowodów.

1535 Mieszkanka Fontaines we Francji została oskarżona o przebranie się za mężczyznę i poślubienie kobiety. Spalono ją żywcem.

Ok. 1550 Kilka kobiet z Granady w Hiszpanii zostało zesłanych na galery za używanie przyrządów seksualnych.

1554 We Francji ukazuje się pierwsze greckie wydanie dwóch wierszy Safony, z których jednym była słynna *Modlitwa do Afrodyty*.

1568 W Genewie pewna kobieta została skazana za stosunki lesbijskie na karę śmierci przez utopienie.

1580 Francuska tkaczka o imieniu Mary została powieszona za przebranie się za mężczyznę, poślubienie kobiety i używanie przyrządów erotycznych.

1591 Mieszkanka Brazylii, Felipa de Souza, była skazana i torturowana przez portugalską Inkwizycję za stosunki lesbijskie.

Pocz. XVII wieku Powszechnie sądzono, iż stosunek seksualny między dwoma kobietami jest niemożliwy, ponieważ dwie kobiety nie mają organów płciowych potrzebnych do „normalnego” (w sensie heteroseksualnym) stosunku płciowego.

Włoszka siostra Benedetta Carlini skazana została na 40 lat odosobnienia za stosunki seksualne z wieloma zakonnicami, którym przedstawiała się jako anioł Splenditello.

1623 Isabel Galandre, po udowodnieniu jej związków lesbijskich, została uznana za czarownicę i spalona na stosie w Neuchatel we Francji.

1631 W Londynie urodziła się Katherine Fowler, nazywana później „siedemnastowieczną Safoną”. Założyła ona „Stowarzyszenie Przyjaźni” („Society of Friendship”), w którego skład wchodziły poetki. Wszystkie kobiety pisały pod pseudonimami, Katherine jako *Orinda*. Dwie trzecie jej wierszy dotyczy platonicznej i erotycznej miłości do kobiet ze „Stowarzyszenia Przyjaźni”. Najważniejszymi kobietami w życiu Katherine Fowler były Mary Abwrey (Rosania), Anne Owen (Lucasia) i Elizabeth Boile (Celimena). Wiersze Fowler zostały po raz pierwszy opublikowane 3 lata po jej śmierci, w 1664 roku.

1640 W hrabstwie Kent w Anglii przyszła na świat Aphra Behn, uważana za pierwszą profesjonalną pisarkę. Wychowana w zachodnich Indiach, była angielskim szpiegiem w Holandii. Po powrocie do Anglii odniosła wielki sukces jako dramatopisarka, powieściopisarka i poetka. W swych poezjach odkrywała swoją „męską” stronę, przez co oskarżana była przez kobiety o lubieżność. Bulwersowała społeczeństwo swo-

ją twórczością, pisząc o swoich związkach z kobietami, o erotyzmie, gwałtach oraz o kobiecej przyjemności czerpanej z seksu.

1644 W wieku 18 lat Krystyna Waza została koronowana na królową Szwecji. Pozwoliła wszystkim sądzić, że poślubi Karola Gustawa, choć już podczas koronacji myślała o abdykacji, mówiąc zaufanym ludziom, iż nie ma zamiaru wychodzić za mąż. Będąc już królową, zaangażowała się w związek z damą dworu Ebbą Sparre (Belle), piękną arystokratką w wieku Krystyny. Królowa pisała do niej wiele listów miłosnych, w których czytamy m.in.: „Jestem skazana na wieczne kochanie Cię, wieczne poważanie Cię i niemożność widywania Cię”. Niektórzy spekulowali, że jest to związek lesbijski, inni, że renesansowe, platoniczne zakochanie.

1648 9 kobiet w Nowej Anglii zostało publicznie wychłostanych za lubieżne zachowanie w stosunku do innej kobiety. Ostrzeżono je także, by „poprawiły swoje sprośne zachowanie”.

1649 W stanie Massachusetts Mary Hammon i Goodwife Norman oskarżone zostały o „grzeszne zachowanie w łóżku”. Oskarżenie przeciwko szesnastoletniej Mary Hammon zostało oddalone, podczas gdy Goodwife Norman zmuszona była do publicznego przyznania się do swoich występków. Norman uważana jest za pierwszą kobietę w Ameryce skazaną za lesbianizm.

Ok. 1650 Purytańscy osadnicy w Nowej Anglii ustanowili karę śmierci za stosunki lesbijskie.

1654 Szwedzka królowa Krystyna 6 czerwca abdykowała, unikając w ten sposób małżeństwa. Przeszła na katolicyzm, religię, która w Szwecji w owym czasie była zabroniona. Po abdykacji opuściła ją Ebba Sparre, która (jak twierdziła) straciła zainteresowanie Krystyną, gdy ta przestała być królową. Krystyna w męskim ubraniu konno podróżowała po Europie, potem na stałe zamieszkała w Rzymie. Kochała się również w diwie operowej, Angelice Georgini.

1655 W New Haven (obecne USA) definicja sodomii, karanej śmiercią, została rozszerzona o związki seksualne między kobietami.

1682 We Francji opublikowana została powieść o zakonnicach-lesbijkach, która ukazała się pod dwoma tytułami: *Venus w klasztorze* (*Venus in the Cloister*) oraz *Zakonnica w koszuli* (*Nun in her Smock*). Utwór, który wywołał skandal, wydaje się być napisany w celu podniesienia mężczyzn i nie opowiada o faktycznych wydarzeniach.

1694 Kobieta z King's Bench została skazana na chłostę i ciężkie roboty za przebranie się za mężczyznę, poślubienie kobiety i noszenie się z zamiarami poślubienia kolejnej. Jej listy miłosne do kobiet odczytano w sądzie przy salwach śmiechu.

XVIII-XIX wiek

1720 Anne Bonny i Mary Read zostały schwytane na Jamajce i skazane na śmierć przez powieszenie za piractwo. Były ze sobą bardzo blisko związane, ubierały się w męskie stroje i na czele pirackiej załogi dokonywały rabunków na morzach.

1721 13 października Catharina Margaretha Linck i Catharina Margaretha Muhlhahn stanęły przed sądem w Halberstadt w Saksonii. Linck była fanatyczką religijną, chodziła w męskich strojach, przez 2 lata była prorokiem. W 1717 roku Linck i Muhlhahn wzięły ślub; Linck w przebraniu mężczyzny. Prawdę o związku kobiet odkryła matka Muhlhahn. Obie kobiety sądzone były za sodomie oraz za zbrukanie świętości małżeństwa. Linck została ścięta, a jej ciało spalone. Muhlhahn skazana została na 3 lata robót w przędzalni, potem została wypędzona z kraju.

1730 Władze amsterdamskie rozpracowały „sieć homoseksualistów”. Pociągnęło to za sobą 300 procesów i 70 egzekucji, m.in. wielu kobiet.

1732 Lady Frances Brudenell, biseksualna wdowa, utworzyła koło trybad (lesbijek) w Dublinie. Jej kochanką była Lady Allen.

1746 Angielka Mary Hamilton oskarżona została o poślubienie kobiety oraz używanie dildo w kontaktach seksualnych. Skazano ją na chłostę na rynkach czterech miast i na 6 miesięcy więzienia.

1749 Anonimowo wydany został utwór *Dom zbiorów Szatana (Satan's Harvest Home)*, w którym czytamy, że „kobieta całująca kobietę to coś bardzo na miejscu ze względu na ich naturalną delikatność”.

1762 W słowniku języka francuskiego zostało umieszczone hasło: „Trybada - kobieta, która nadużywa innej kobiety”.

1768 Eleanor Butler spotkała Sarah Ponsonby i zostały parą. 10 lat później uciekły razem z Irlandii do Walii, by uniknąć niechcianych małżeństw. Zamieszkały nieopodal Llangollen, a swój wiejski domek nazywały Plas Newydd. Wkrótce zaczęły je odwiedzać sławne osobistości, jak Edmund Burke, William Wordsworth czy Anna Seward. Butler i Ponsonby ubierały się w męskie płaszcze i długie spódnice, publicznie

zwracali się do siebie „kochanie” i byli wzorem wzajemnego szacunku i miłości. Jedną z nich suk wabiła się Safona. Życie „dam z Llangollen” opisywali Wordswortha, Seward i Colette.

1770 Therese de Fleury założyła we Francji lesbijską „Sektę Anandryn”. Przywódczynią grupy była aktorka Raucourt (Francoise Marine Antoinette Joseph Saucerotte). Została ona uwięziona przez jakobinów w 1793 roku, lecz uwolniono ją na skutek starań Napoleona, który był jej wielbicielem.

1777 Angielce Ann Marrow udowodniono, że podawała się za mężczyznę, poślubiła trzy kobiety i zdefraudowała ich majątek. Skazana została na 3 miesiące więzienia, potem przywiązano ją do pręgierza, przy którym doszło do linczu. Zebrani biczowali ją tak zawzięcie, że straciła wzrok. Podobno największe okrucieństwo okazały kobiety.

1779 W *Tajnych pamiętnikach (Mémoires secrets)* opisane zostały uczucia królowej Francji Marii Antoniny do hrabiny de Polignac oraz łączące je „słodkie rozkosze przyjaźni”.

1782 Deborah Sampson, przyjmując imię swojego zmarłego brata, wstąpiła, jako pierwsza kobieta, do armii kontynentalnej jako Robert Shurtleff (pisane również często Shirtliff lub Shirlieff). Została ekskomunikowana z Pierwszego Kościoła Baptistów w Massachusetts za noszenie męskiego stroju oraz niechrześcijańskie, zbyt swobodne zachowanie.

1792 Przyjaciółka Marii Antoniny, księżna de Lamballe, została ścięta, jej głowa niesiono na bagnecie aż pod okna celi Marii Antoniny, a ciało pozbawiono części rodnych. Kobiety oskarżane były o stosunki lesbijskie.

Pewna Holenderka została skazana za zamordowanie swojej partnerki. Powodem morderstwa była zazdrość o inną kobietę.

1793 20 października, 4 dni po egzekucji królowej Marii Antoniny, rozwiązano wszystkie kluby kobiet we Francji.

1796 Ukazała się powieść Denisa Diderota *Zakonnica (La Religieuse)*, która przez wiele lat znajdowała się na liście ksiąg zakazanych. Diderot uznał lesbianizm „nie za grzech ciała, ale grzech umysłu”; przypuszczalnie dlatego uważany był za „pioniera nowoczesnej psychiatrii”.

W Europie Wschodniej (na terenach obecnej Albanii i byłej Jugosławii) kobiety utworzyły stowarzyszenie „Zaprzysięgłych Dziewic”, którego członkinie nosiły męskie ubrania i brały sobie żony.

1800 Napoleon wydał edykt, w którym zakazał kobietom „przebierać się za mężczyzn” bez odpowiedniego zezwolenia policji.

1810 Matka jednej z uczennic szkoły z internatem dla dziewcząt oskarżyła dwie nauczycielki, Marianne Woods i Jane Pirie, o karygodne prowadzenie się. Brytyjskie sądy debatowały, czy związek między dwoma kobietami jest w ogóle możliwy. Po 8 latach sąd oddalił zarzuty. 120 lat później Lillian Hellman wystawia sztukę *Godzina dzieci* (*The Children's Hour*) opartą na tych wydarzeniach.

1811 Gabriel Frechere opisał przypadek transseksualnej Indianki Qungon, która chodziła w męskim stroju, miała trzy żony i wykonywała typowo męskie zawody: była kurierem, prorokiem, przewodnikiem, rozjemcą pokojowym i wojownikiem.

1812 Nastoletnia James Miranda Berry zdobyła stopień medyczny, pierwszy, jaki przyznano kobiecie w Anglii. W życiu prywatnym, podczas studiów i w pracy podawała się za mężczyznę. Żyła w związku z oficerem wojskowym - z tego powodu podejrzewano ją, że jest gejem. Lubiła flirtować i tańczyć z kobietami.

1816 Francois Marie Charles Fourier, utopijny socjalista i ekscentryczny wizjoner, wydał przemilczane wówczas kontrowersyjne dzieło *Nowy świat miłości* (*Le Nouveau Monde Amoureux*), w którym wypowiada się za związkami między kobietami, uważając je za bardziej dynamiczne i postępowe. Dzieło to zostało opublikowane po raz pierwszy w całości dopiero w 1967 roku, a wznowiono je w 1999 roku.

1820 Urodziła się Florence Nightingale, reformatorka szpitala wojskowego i fundatorka szkoły pielęgniarskiej. Jako że żyła w pruderyjnej epoce wiktoriańskiej, ukrywała swoje preferencje i publicznie okazywała niechęć wobec osób homoseksualnych. Mimo to w swych pamiętnikach pisała: „Mieszkałam i spałam w tym samym łóżku z hrabinami i pruskimi wieśniaczkami... Żadna kobieta nie doświadczyła większej pasji, obcując z kobietami, niż ja”.

W słownikach medycznych pojawiła się nowa choroba - klitoryzm. Doktor Hournier podał taką definicję: „Jest to akt, podczas którego kobiety sprowadzają na siebie różnymi sztuczkami rozkosze, jakie przez naturę przeznaczone były tylko złączeniu miłosnemu dwóch płci. Jest

to odpowiednik masturbacji u mężczyzn”.

1830 W Chinach urodziła się Wu Tsao, uważana za jedną z trzech największych chińskich poetek. Mimo, iż wyszła za kupca, jako przyjaciółki i kochanki wybierała kobiety. Pod koniec życia została mniszką taoistyczną i żyła w odosobnieniu.

W Amherst Massachusetts urodziła się Emily Elizabeth Dickinson. Za jej życia opublikowano tylko 7 wierszy poetki, wszystkie bez jej zgody. Reszta, około 1800 utworów, światło dzienne ujrzała dopiero po jej śmierci. Emily całe życie zakochana była w swej przyjaciółce Susan Gilbert, do której pisała miłosne listy. Ponad 100 jej wierszy opowiada o miłości do Susan.

1833 George Sand wydała powieść *Leila*. Obecna w niej erotyczna symbolika miłości dwóch kobiet wywołała skandal. Przypuszcza się, że w *Leili* George Sand opisała własne uczucia do Marie Dorval. W jednym z jej listów do Marie czytamy: „Jesteś jedyną kobietą, którą kocham, jedyną, którą kontempluję z podziwem, ze zdumieniem. Masz wady, które kocham, i zalety, które ubóstwiam”.

1841 Malarka Rosa Bonheur wystawiła swe prace w Salonie Paryskim i otrzymała dwa złote medale przyznane przez rząd francuski. Jej obraz *Koński targ* oglądała na osobności królowa Wiktorja. Do Paryża Rosa pojechała ze swoją partnerką, Nathalie Micas. Sukces przyniósł jej wielkie pieniądze, kupiła posiadłość w pobliżu lasu Fontainebleu i mieszkała tam razem z Nathalie do jej śmierci.

1848 Elizabeth Cady Stanton zorganizowała pierwszą Konwencję Praw Kobiet w USA i przedstawiła deklarację praw kobiet, opartą o Deklarację Niepodległości. Wydarzenie to uważa się za początek ruchu sufrażystek w USA, który w pewnych okresach wspierał lesbijki i biseksualistki.

1855 Lucy Ann Lobdell wydała autobiografię pod tytułem *Lucy Ann Lobdell: myśliwa z hrabstwa Delaware (Lucy Ann Lobdell: Female Hunter of Delaware County)*. Wyjaśnia w niej, iż zarobienie pieniędzy było głównym powodem, dla którego zaczęła parać się polowaniem i chodzić w męskim stroju. Lucy napisała krótką tyradę na temat zrównania płac kobiet i mężczyzn. Jako Joseph poślubiła Marie Perry w 1868 i żyła z nią aż do 1879 roku, kiedy to upozorowano śmierć Josepha. Lucy została wtedy zamknięta w zakładzie dla umysłowo chorych na następne 40 lat, a Marie została wdową po Josephie.

1857 Ukazały się *Kwiaty zła* Baudelaire'a, a w nim dwa wiersze *Lesbos* i *Wyklęte*, które wzbudziły oburzenie społeczeństwa. Baudelaire w 1847 chciał tom zatytułować *Kwiaty zła - Lesbijki*, lecz słowo „lesbijka” nadal wzbudzało zbyt dużo kontrowersji.

1861 Z angielskiego prawa usunięto karę śmierci za homoseksualizm, zamieniając ją na 10 lat więzienia. Przyczyną była jednak zmiana poglądu na zasadność kary śmierci, nie na homoseksualizm.

1865 Kobiety w Chinach zaczęto zatrudniać w fabrykach jedwabiu, przez co osiągnęły niezależność ekonomiczną. Niektóre odrzuciły heteroseksualność, nazywały siebie *tzu-shu nii* („nigdy za mąż”) i założyły stowarzyszenie sióstr „Shuang Chieh”.

1869 Termin „homoseksualność” został po raz pierwszy użyty przez austriacko-węgierskiego pisarza Karoly Maria Kertbeny'ego w anonimowym pamflecie, adresowanym do pruskiego ministra sprawiedliwości.

• John Stewart Mill opublikował *Poddaństwo kobiet* (*The Subjection of Women*). Utwór podejmował problemy prawnego i społecznego równoprawnienia kobiet. Nieoficjalną współautorką książki była jego żona Harriet.

• Urodziła się Charlotte Mew, lesbijka, jedna z ostatnich poetek ery wiktoriańskiej. Ubierała się jak mężczyzna, nosiła krótkie włosy i nigdy nie wyszła za mąż. Zakochana była w Elli D'Arcy i w May Sinclair, obie miłości były nieszczęśliwe.

1870 Carl Westphal, berliński psychiatra, dokonał pierwszego medycznego opisu przypadku pociągu do tej samej płci, który dotyczył kobiety. Westphal stwierdził, że nie jest to psychopatologiczny stan, nazwał tę sytuację „przeciwным uczuciem seksualnym”. Celem artykułu było sformułowanie naukowych i medycznych podstaw zjawiska homoseksualizmu.

1877 Urodziła się Renée Vivien, której prawdziwe nazwisko brzmiało Pauline Mary Tarn. Z pochodzenia Angielka, życie spędziła we Francji. Przez długi czas publikowała swe wiersze pod męskim pseudonimem (René Vivien), gdyż pisała o miłości do kobiet. Potem, pragnąc podkreślić swą płć, zmieniła pseudonim na Renée Vivien. Jej kochankami były Natalie Barney, Violet Shilleto i baronowa Hélène de Zuylen de Nyevelt. Renée zmarła z powodu anoreksji i wycieńczenia spowodowanego

wanego alkoholizmem.

1883 W artykule o ubierającej się jak mężczyzna Lucy Ann Lobdell w czasopiśmie medycznym „*Alienist and Neurologist*” po raz pierwszy użyto terminu „lesbijka” na określenie kobiety kochającej kobietę.

1885 W Wielkiej Brytanii wprowadzono prawo, zakazujące stosunków między osobami tej samej płci, które pomijało jednak kontakty lesbijskie. Niektórzy uważali, że powodem tego wyłączenia był fakt, że królowa Wiktoria nie wierzyła w możliwość stosunku między dwoma kobietami. Bardziej prawdopodobne jest jednak, że nie chciano uświadamiać kobietom, że takie kontakty i związki są w ogóle możliwe.

Opublikowana została powieść Henry’ego Jamesa *Bostończycy*, która opowiada m.in. o związku dwóch kobiet z Bostonu. James opisywał relację swojej siostry Alice z Katharine Loring. Utajony w powieści lesbianizm został srodze skrytykowany, a związek pomiędzy Olive Chancellor i Veroną Tarrant uznano za „obłąkańczy” i „anormalny”. Od ukazania się powieści przyjął się termin „małżeństwo bostońskie”, który dotyczy głównie dwóch zaprzyjaźnionych, wspólnie mieszkających kobiet, lecz ma także znaczenie lesbijskie.

1886 Urodziła się Gertrude Malissa Rainey, znana jako Ma Rainey. Była śpiewaczką bluesową, pierwszy raz wystąpiła w wieku 14 lat. Nazywana była często „Matką Bluesa” lub „Madame Rainey”. Ma Rainey była biseksualistką. Wyszła za mąż, lecz nie ukrywała swoich związków z kobietami. Słowa jednej z najstynniejszych jej piosenek *Prove it on me blues* wydają się być czysto lesbijskim wyznaniem: „Wyszłam wczoraj wieczorem z tłumem przyjaciół, wszystkie to kobiety, bo nie lubię mężczyzn”.

Annie Hindle i Annie Ryan wzięły ślub w Michigan, USA. Hindle ubrana była w męskie rzeczy i podawała się za Charles’a E. Hindle. Oświadczyła również, że ma 31 lat (w rzeczywistości miała 40), Annie Ryan miała 22 lata.

Lata 90. XIX wieku Jiu Jin, chińska rewolucjonistka, która sama siebie nazywała Qinxiong (co oznacza „rywalizująca z mężczyznami”) walczyła przeciwko ograniczeniom kobiet, pisała poezję feministyczną i nosiła męskie ubrania. Została aresztowana za zdradę i ścięta przez rząd mandżurski w 1907 roku.

1892 Clelia Mosher, amerykańska lekarka, przeprowadziła badania

dotyczące poglądów oraz doświadczeń seksualnych wśród wykształconych kobiet klasy średniej. Wyniki badań zostały opublikowane dopiero w 1980 roku, gdyż kobiety zbyt „otwarcie” odpowiedziały na pytania zawarte w kwestionariuszu.

1894 Pierre Louys w *Pieśniach Bilitis* (*Les Chansons de Bilitis*) stworzył archetypową lesbijkę Bilitis, Fenicjankę, która miała osiąść na Lesbos i przyłączyć się do koła Safony. *Pieśni Bilitis* weszły do klasyki literatury lesbijskiej. Od imienia bohaterki dzieła Pierre’a Louysa wzięła nazwę pierwsza polityczna organizacja lesbijska na świecie, „Córki Bilitis” („Daughters of Bilitis”), założona w USA.

1896 Dwie aktorki wymieniły pocałunek na scenie jednego z amerykańskich teatrów. Natychmiast potem kilku pracowników teatru musiało podać wodę osobom, które słabo się poczuły. Sztuka, której tematem nie był bynajmniej związek lesbijski, opowiadała o młodej kobiecie, magicznie zamienionej w mężczyznę.

1897 Archeolodzy odkryli na papirusach z Oksyrynchos pozostałości twórczości Safony.

XX-XXI wiek

1901 Po śmierci Murraya Halla, który przez 30 lat był szanowanym nowojorskim politykiem, okazało się, iż był on w rzeczywistości kobietą o nazwisku Mary Anderson. Jako Hall Anderson zawarła dwa związki małżeńskie.

1904 Renée Vivien opublikowała w Paryżu *Ukazała mi się kobieta* (*A Woman Appeared to Me*), autobiograficzny opis jej związku z Natalie Clifford Barney.

1908 Amerykańska powieściopisarka i poetka Gertruda Stein i Alicja B. Toklas zamieszkały razem w Paryżu. Stein i Toklas stanowiły jedną z najszlachetniejszych par lesbijskich XX wieku.

1912 W nowojorskim Greenwich Village powstał pierwszy feministyczny klub „Heterodoxy”, którego spotkania odbywały się raz na dwa miesiące.

1920 Natalie Barney wydała powieść *Myśli amazonki* (*Pensées d'une amazone*), idealizującą kobiece piękno i romantyczną miłość między dwoma kobietami.

1922 W Princetown wystawiona została sztuka *Bóg zemsty* (*The*

God of Vengeance) opowiadająca o związku lesbijskim.

1923 Emma Goldman, która popierała walkę o prawa homoseksualistów, została uznana przez FBI za „najbardziej niebezpieczną kobietę w Stanach Zjednoczonych”.

1926 Poetka Amy Lowell otrzymała nagrodę Pulitzera za zbiór krótkich liryków *What's O'Clock*. Przez 16 lat związana była z aktorką Adą Russel.

W USA wprowadzono zakaz wystawiania na Broadwayu sztuk dotyczących „perwersji seksualnych”. Prawo wymierzone było przede wszystkim w dramaty o tematyce lesbijskiej *Jeniec* (*The Captive*).

1928 Radclyffe Hall wydała pierwszą powieść, otwarcie poruszającą kwestię lesbianizmu, *Studnia samotności* (*The Well of Loneliness*), która stała się ogromnym skandalem. Po publikacji na pierwszej stronie „Sunday Express” redaktor James Douglas napisał: „Wolałbym raczej podarować zdrowemu chłopakowi lub dziewczynie flakonik kwasu pruskiego aniżeli tę powieść. Trucizna zabija ciało, lecz moralna trucizna - duszę”.

Lata 20.-30. W niemieckim piśmie „Przyjaciółka” („Die Freundin”) dyskutowano otwarcie na temat lesbijek.

1932 Szwajcarka Mammaia utworzyła „Szwajcarską Więź Przyjaciółni” i zaczęła wydawać miesięcznik z opowiadaniem lesbijskimi.

1934 28 czerwca w Niemczech rozpoczęło się prześladowanie homoseksualistów. W tym dniu stracono 200 „homoseksualnych świń, które szargają honor partii” (słowa Hitlera). Poczynając od tego roku, aż do końca wojny, naziści stawiali gejów (w mniejszej mierze lesbijki) przed sądem i umieszczali ich w obozach koncentracyjnych.

1937 Ruth C. Ellis utworzyła ze swoją partnerką Ceciline „Babe” Franklin firmę wydawniczą Northwestern Detroit-Ellis and Franklin Printing. Ellis była pierwszą kobietą-wydawcą.

Naziści w obozach koncentracyjnych zaczęli używać różowych trójkątów do identyfikacji homoseksualnych mężczyzn, a czarnych trójkątów do identyfikacji kobiet „aspołecznych”, co dotyczyło również lesbijek.

1941 Stany Zjednoczone włączyły się do II wojny światowej, a główny chirurg armii ogłosił, że lesbijskie i gejowskie związki w armii powinny

być tolerowane, dopóki pozostają prywatną sprawą zainteresowanych.

1947 Lisa Ben (jej lesbijski pseudonim brzmiał Edythe Eyde) zaczęła wydawać „Vice Versa”, pierwsze lesbijskie czasopismo w USA.

1952 Kongres Stanów Zjednoczonych wprowadził prawo zakazujące lesbijkom i gejom wstępu do kraju. Prawo to zniesione zostało dopiero w 1990 roku.

1953 Jedna z pierwszych ustaw wprowadzonych przez Eisenhowera mówiła o zakazie zatrudniania lesbijek i gejów w sektorach państwowych. Rozpoczęto czystkę w urzędach stanowych i lokalnych; do połowy lat 50. ponad 20% pracowników objętych było śledztwem.

Kinsey opublikował raport o seksualności kobiet, który uzupełnił raport z 1948 roku, dotyczący seksualności mężczyzn. Kinsey podawał, iż 2% kobiet jest lesbijkami, a 13% kobiet miało doświadczenia lesbijskie.

1955 W San Francisco oowstała pierwsza lesbijska organizacja „Córki Bilitis” („Daughters of Bilitis”).

1957 Departament Obrony Stanów Zjednoczonych opłacił wykonanie „Raportu Crittendena”, z którego wynikało, iż zabezpieczenia w strefach militarnych przed zatrudnianiem w nich lesbijek czy gejów są przesadzone. Pentagon jednak zignorował ów raport.

1959 Urodziła się Janette Winterson, jedna z najslawniejszych pisarek-lesbijek XX wieku. Za powieść *Nie tylko pomarańcze* (*Oranges are not the only fruit*) zdobyła w 1985 roku Whitebread Prize w kategorii „Najlepszy debiut”.

1960 Urodziła się Gia Marie Carangi, supermodelka, która żyła w związkach z wieloma kobietami. Była pierwszą słynną kobietą, która zmarła na AIDS.

1964 Jane Rule opublikowała swoją pierwszą lesbijską powieść *Pustynne serca* (*Desert of the Heart*), która natychmiast weszła do kanonu lesbijskiej klasyki i posłużyła za kanwę filmu *Pustynne serca* (*Desert Hearts*), nakręconego w 1985 roku.

1967 Rita Mae Brown pomogła założyć w USA jedną z pierwszych studenckich organizacji gejowskich i lesbijskich, Studencką Ligę Homofilów przy Uniwersytecie Columbia.

W Luizjanie Mary Young i Dawn DeBlanc zostały oskarżone o „nie-naturalną cielesną kopulację” i skazane na 30 miesięcy więzienia.

1969 Jackie Forester wygłosiła słynne przemówienia w obronie lesbijek w londyńskim Hyde Parku.

1970 W Minneapolis powstała pierwsza amerykańska księgarnia lesbijsko-feministyczna, Amazon Bookstore.

•
Władze National Organization for Women NOW (Narodowej Organizacji Kobiet) usunęły z szeregów organizacji Ritę Mae Brown i inne lesbijki. Rok później uznały to za błąd.

1971 Lesbijsko-Feministyczne Separatystki, były członkinie NOW, Joan Biren, Charlotte Bunch, Rita Mae Brown i Helaine Harris utworzyły organizację „Furie” („The Furies”).

1972 Camille Mitchell, oficjalnie przyznająca się do swojego lesbiizmu, wygrała podczas rozwodu opiekę nad dzieckiem. Sędzia postawił jednak warunek, że nie może ona mieszkać ze swoją partnerką.

1973 Opublikowana została powieść Rity Mae Brown *Dżungla owoców rubinowych* (*Rubyfruit Jungle*), która zapoczątkowała nowy rodzaj literatury lesbijskiej, będący kpina z osób heteroseksualnych.

•
Barbara Grier i Donna McBride otworzyły wydawnictwo lesbijskie Naiad Press.

•
Dwie kobiety służące w armii USA, Gail Bates i Valerie Randolph, przyznały się publicznie do łączącego je związku i zostały wydalone z wojska.

•
Powstało, założone przez lesbijki, studio nagrań Olivia Records, które wydawało single lesbijskich piosenek, m.in. Meg Christian i Cris Williamson.

1974 W USA przedstawiono pierwszy projekt ustawy przeciwko dyskryminacji lesbijek i gejów, autorstwa Belli Abzug i Eda Kocha.

•
Elaine Noble, otwarta lesbijka, kandydowała do wyborów stanowych w Massachusetts.

•
W Canterbury odbyła się pierwsza w Anglii Krajowa Konferencja Lesbijek.

1977 Ellen Barrett, jako pierwsza lesbijka, została wyświęcona na pastorkę.

1978 Martina Navratilova zwyciężyła w Wimbledonie, co uczyniło ją najwyżej notowaną tenisistką świata. Od początku lat 80. prasa interesuje się nią niemal wyłącznie z powodu jej publicznego coming outu.

1981 W San Francisco lesbijka Mary Morgan została zaprzysiężona na stanowisko sędziego.

1983 Karen Thompson wywalczyła z rodzicami Sharon Kowalski możliwość opieki nad partnerką po wypadku samochodowym, po którym Sharon była sparaliżowana.

1991 Lesbijka Debra Chasnoff dostała Oscara za film dokumentalny. Z podium dziękowała swojej partnerce za wsparcie.

•
Homoseksualizm został usunięty z listy chorób Światowej Organizacji Zdrowia (WHO).

1992 Pułkownik Margarethe Cammermeyer została zwolniona ze służby w armii po tym, jak przyznała się, że jest lesbijką. Fakt ten stał się kanwą filmu *Naznaczona (Serving in Silence)*, w którym zagrała Glen Close.

•
W Nowym Jorku powstała organizacja „Lesbian Avengers” („Lesbiskie Mścicielki”).

1993 „Lesbian Avengers” w dzień św. Walentego postawiły wykonaną z *papier maché* rzeźbę Alicji B. Toklas obok pomnika Gertrudy Stein w Bryant Park.

•
Odbył się pierwszy „Marsz Lesb” („Dyke March”) w Waszyngtonie.

1997 Trzy odrębne ośrodki badań z Wielkiej Brytanii, Belgii i Stanów Zjednoczonych zgodnie stwierdziły na konferencji w Waszyngtonie, że para lesbijek może wychować zdrowe i dobrze przystosowane dziecko.

•
W Dallas otworzono szkołę dla lesbijek i gejów imienia Walta Whitmana.

2003 W grudniu w Limie, stolicy Peru, prezydent Alejandro Toledo poprosił pierwszą w tym kraju kobietę-premiera o rezygnację z zajmowanego stanowiska. Przyczyną była pogłoska, że Beatriz Merino jest

lesbijką.

2004 W lutym w San Francisco ponad 2 tysiące lesbijek i gejów wzięło ślub, korzystając z nowo uchwalonego prawa. Śluby te zostały unieważnione po kilku miesiącach.

Wraz z postępującymi w wielu krajach świata pracami legislacyjnymi, umożliwiającymi zawieranie związków partnerskich (lub małżeństw) przez pary homoseksualne, coraz więcej lesbijek zdecydowało się na uprawomocnienie swoich związków. Do najślawniejszych par należą m.in. Melissa Etheridge (piosenkarka) i Tammy Lynn Michaels (aktorka), Del Martin i Phyllis Lyon¹ (liczące po ok. 80 lat założycielki „Daughters of Bilitis”, pierwszej na świecie politycznej organizacji lesbijek), Cheryl Jacques (była amerykańska senator) i Jennifer Chrisler (aktywistka lesbijska).

2006 Żyjące ze sobą w zarejestrowanym związku partnerskim piosenkarka Melissa Etheridge i aktorka Tammy Lynn Michaels ogłosiły publicznie, że zdecydowały się na dziecko. W ciążę (metodą *in vitro*) zaszła Tammy Lynn - w październiku na świat przyszły bliźniaki, syn Miller Steven i córka Johnnie Rose.

1. Małżeństwo Del Martin i Phyllis Lyon, zawarte w lutym 2004 w San Francisco, zostało unieważnione przez sąd.